

# Lodowy Kliper

Alan Dean Foster



calibre 0.7.3

**ALAN DEAN FOSTER**

## LODOWY KLIPER

Tytuł oryginału: Icerigger

Trylogia: Tran-ky-ky tom 1

Przełożyła: **Anna Wojtaszczyk**

**Data wydania polskiego: 1998**

Data wydania oryginalnego: 1974

TMN

## ROZDZIAŁ I

Niewiele brakowało, a tym razem, za czwartą próbą, facet grzmotnąłby głową w zakrzywiony, gwiazdzisty sufit w barze *Antaresu*. Zresztą może była to piąta próba. Kilku z bardziej wymownych gości tego luksusowego baru dało wyraz swojemu rozczarowaniu. Kiedy się wyprostował – a w ostatnich minutach rzadko się to zdarzało – miał niemal dwa metry wzrostu. Znający się na rzeczy właściciel sklepu z galanterią męską oceniłby pewnie jego wagę na jakieś dwieście kilo. Naturalnie nie wliczając gorzały, którą facet wlewał w siebie z fantastyczną szybkością. To, że w ogóle udało mu się zbliżyć do sufitu z imitacją ziemskiego nieba, należało przynajmniej częściowo przypisać jego potężnej budowie.

Ruszał z drugiego końca pomieszczenia, ciężko jak słoń rozpędzał się w kierunku baru, wskakiwał na wypolerowaną ladę z klonowego drewna i z tej platformy startowej o pięknym rysunku słoï wzbijał się w kierunku sufitu. Prostował rękę, wyciągał się, usiłował za coś się złapać i opadał w powodzi plastikowych butelek, szklanek i mieszadełek do drinków. Następnie oganiał się od wymachującego na wszystkie strony rozwścieczonego barmana-roboty, który był już na krawędzi elektronicznego rozstroju nerwowego, zataczając się wracał między stoliki i ponawiał próbę.

Właśnie z trudem podniósł się na nogi, wlał w siebie haust tego czegoś, co aktualnie pił, i niepewnie ruszył na pozycję startową. Przyglądający mu się kibice, elegancko ubrani i raczej młodzi, wiwatowali i zagrzewali go do czynu. Ogarnęła ich gorączka sportowa. Nie przestawali zawierać zakładów. Czy się w końcu zabije, spadając na ten swój zalany łeb, piąty (a może szósty już) raz? A może tylko straci przytomność, jak uda mu się wreszcie łbem rąbnąć w sufit?

Po kopule sunęły trójwymiarowe kumulusy, tłuste i wełniste. Wyglądały całkiem jak prawdziwe, ale były to tylko projekcje, przemyślnie wyświetlane na hartowanym duramiksie. A chociaż ten osobisty brat kangura wyraźnie nie miał w głowie nic prócz kości, to w bliższym kontakcie z delikatnymi chmurkami musiały wygrać te ostatnie.

Gdzieś na tyłach sali zaczął się ruch. Pierwszy oficer i dwóch niższych stopniem inżynierów *Antaresu* podskakiwało jak szmaragdowe korki wśród roześmianych, klaszczących hazardzistów i oburzonych, ale zaintrygowanych gości. Przez ostatnie piętnaście minut mieli jeden jedyny cel w życiu: uspokoić tego galopującego, wielkiego, starego małpoluda z jak najmniejszą szkodą dla siebie i dla majątku kompanii. Jak dotąd ich usiłowania spełzły na niczym. Więcej, zaczęto się z nich już trochę podśmiechiwać. A pierwszemu oficerowi, który był człowiekiem wykształconym i większość czasu pracy spędzał na planowaniu manewrów nadbiegowych i manipulowaniu polem grawitacyjnym małej, sztucznej masy słonecznej, nie wydawało się to ani odrobinę śmieszne. Tak naprawdę miał już tego po dziurki w nosie.

Nie ma co zaglądać jeszcze raz do regulaminu. Przepisy kompanii wyraźnie zabraniały strzelać do pasażera, który zapłacił za przejazd, bez względu na to, jak by się obrzydliwie zachowywał. Tymczasem każda z dotychczas zastosowanych metod zakończyła się fiaskiem. Jednemu z inżynierów ten rozpędzony akrobata przyłożył celnie stalową pięścią. Oficer otarł dolną wargę i zastanowił się głęboko, czyby nie rozwalić krzesłem łba temu człekokształtnemu moczymordzie. Zawsze mógłby później zwalić to na działanie w afekcie. I niech się wypchają emeryturą.

– Rozstąpcie się chłopcy. Znowu leci.

Kandydat na Ikara ponownie wystartował w kierunku baru; wymachiwał na pół opróżnioną butelką Heepu Uriasza z niepowседневną wytrzymałością wył na całe gardło i z każdym krokiem nabierał szybkości. Ze zręcznością zdumiewającą u kogoś lak starego i tak zalanego wybił się wysoko i jednym susem wskoczył na ladę. Leciał w górę, coraz wyżej i wyżej, z rękami wyciągniętymi w stronę sufitu. O włos minął się zjedną z płynących po pseudoniebie pseudochmurek. Z drugiej strony baru dobiegł wcale udany i swojski już łomot. Plastikowe dzbanki i nietłukące się szkło połączyły się ze sobą w tęczową fontannę i spłynęły na podłogę. W tłumie kibiców pieniądze przechodziły z rąk do rąk.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo i pierwszy oficer zdecydował się na nowe podejście do sprawy. Spróbuje perswazji. Poza tym ten facet jeszcze się nie podniósł. Może sobie kark skręcił. To by wszystkim zaoszczędziło mnóstwo kłopotów. Skinął na inżynierów, na paluszkach podszedł do szpetnie porysowanej klonowej lady i ostrożnie zajrzał na drugą stronę.

Niestety.

To prawda, że faceta na chwilę unieruchomiło, jako że spadł na mechaniczny bar, czasowo nieczynny, ale parsknął i mamrotał z przerażającą energią.

– Proszę pana, odwołuję się do pana morale. Publiczne upijanie się jest aż nadto naganne. Jeszcze gorsze jest to, że skasował pan wieczorne obroty baru, nie mówiąc już o samym barze. Ale fakt, że w przestrzeni kosmicznej nie zważa pan na upomnienia załogi statku, może być potraktowany jako zniewaga. Czy obraziliśmy czymś pana?

Przez chwilę mężczyzna jakby czegoś szukał na podłodze, wreszcie wyglądało, że znalazł – własne nogi. Chwiejnie na nich stanął, mniej więcej się wyprostował, położył dwie olbrzymie pięści na blacie i pochylił się do przodu.

– Obrazić mnie? OBRAZIĆ MNIE!

Oficer uchylił się od oparów alkoholu i taktownie odwrócił głowę. To byłaby czysta samoobrona. Chyba mogą tego człowieka sprzątnąć! Nie ulega wątpliwości, że jest łatwopalny i stanowi realne zagrożenie dla statku.

Oczy mężczyzny błędziły, aż trafiły na butelkę, którą ścisnął mocno w jednej łapie. Wychylił połowę z tego, co w niej pozostało.

– Obrazić mnie! – wybełkotał znowu. – Słuchaj no, ty brukowe zagrożenie dla nawigacji. To pieskie nasienie, które tam siedzi – tu machnął wielkim, sękatym paluchem w kierunku szczególnie zadowolonego z siebie, młodego hazardzisty – ten świński szczyłek twierdzi, że więcej wie o pozygrawitacji niż ja. Niż ja. JA! Wyobrażasz to sobie?

– Nie jestem pewien – odparł oficer. Odczuwał pewne trudności przy śledzeniu toku myślenia swojego rozmówcy. Może miała z tym coś wspólnego lokalna zmiana atmosfery. Dwaj inżynierowie chyłkiem przesuwali się na jedną stronę baru. Jeżeli uda się i ta kreatura nie przestanie mówić...

– Najzadokładniej – powiedział mężczyzna i czknął. – Tak więc zajęci jesteśmy eksperymentem naukowym, żeby ten problem rozwiązać raz na zawsze. Nie jesteś chyba jednym z tych antydoświadczalników, chłoptasiu, co?

– Dobry Boże, nie – przyznał, nawet szczerze, oficer.

– No. Trochę policzyliśmy, jakie będzie pole statku, rozumiesz? I zgodnie z moimi wyliczeniami powinienem móc dotknąć dachu.

– Tego nad naszymi głowami?

– No, właśnie tego. Nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz, koleś. Rozumiesz teraz, co robię, co?

– Oczywiście. – Inżynierom jeszcze troszkę brakowało do zajęcia pozycji. – Ale chociaż jestem pewien, że zna się pan na obliczeniach, ten młody facet, którego mi pan pokazał, to syn dobrze znanego żeglarza, a sam jest czymś w rodzaju międzyplanetarnego sprintera. Niewykluczone, że wie, o czym mówi.

Wpatrzył się w rozwichrzone jak od wybuchu białe włosy, otaczające głowę imponującą aureolą, w wielki, zakrzywiony jak dziób nos, w brodę przypominającą obuch topora, w czarne jak smar oczy pod nawisłymi brwiami i w złoty koleczyk w prawym uchu. Ale na obnażonych rękach mężczyzny włosy były jasne, a na opalonej twarzy mniej dostrzegł zmarszczek, niż wydawało mu się na pierwszy rzut oka. Z tym, że te, które już tam były, to były zmarszczki-kaniony, istne wąwozy. Nie budziło to też wątpliwości, że najpierw powstał nos, jak u Bergeraca, a potem dookoła niego została skonstruowana twarz, z kawałków i odłamków poprząszyszanych to tu, to tam. Zmarszczki leżały schludnie na swoich miejscach, jak szwy na skórze.

– Natomiast nie całkiem jestem pewien – kontynuował oficer – kim pan jesteś. – A sąd na pewno będzie chciał to wiedzieć, pomyślał.

Przez chwilę wydawało mu się, że jego rozmówca ma może jakiś atak, bowiem wciąż trzymając zaciśniętą w dłoni butelkę, potrząsnął pięścią najpierw w kierunku pierwszego oficera, a potem ogólnie w kierunku całego baru.

– Na Zastępy Niebieskie i na Końską Głowę, jestem Skua September, oto kim jestem! I że się tak wyrażę, biję na głowę w picciu, bijatyce, lataniu, spaniu, żarciu, pieprzeniu, wyścigach, gadaniu,

wrzaskach i kochaniu każdego innego człowieka czy stworzenia na tym końcu Spiralnego Ramienia!

September wydawał się mieć ogromną ochotę na kontynuowanie tej wyliczanki swoich wątpliwych zalet, aż do najbliższych obchodów milenijnych. Jego tyradę przerwało jednak godne brontozaura czknięcie, po którym na chwilę w barze zapanowała ogólna konsternacja. W tym momencie obydwie niższe szarże równocześnie zaatakowały go od tyłu, w wyniku czego powstała *menage a trois* zważyło się na podłogę przed ladą. Jeden z inżynierów złapał za butelkę pełną złotolitego czegoś tam i zamachnął się nad głową Skuy. Ale pierwszy oficer wyciągnął rękę i powstrzymał go.

– Nie trzeba, Evers. Leży obojętnym bykiem.

Po raz pierwszy na dłuższą chwilę zapanowała cisza. Potem przerwały ją uprzejme oklaski jednej pary dłoni. Oficer odwrócił się do syna żeglarza, który ich wszystkich oklaskiwał... czy z szacunkiem, czy z sarkazmem, tego nie potrafił powiedzieć.

– Brawo – zaćwierkał playboy.

\* \* \*

Cisza była jak makiem zasiał. Ludzie musieli chyba siedzieć, jak myszy pod miotłą. Stwierdzenie to było słuszne, ale porównanie niewłaściwe, myślał sobie Ethan Frome Fortune, sunąc na tyły pasażerskiej kopuły. Myszy i szczury nie umiały przechytrzyć regulaminu lotów międzygwiazdnych. Och, potrafiły dostać się na pokład wahadłowców, a stamtąd na statek i na początku były nawet z nimi problemy.

A potem ktoś wpadł na sprytny pomysł, żeby w części pasażerskiej wyłączać na pół godziny pole pozygawitacyjne. Jeden człowiek pływał po pomieszczeniach z siatką i zbierał zamroczone szkodniki; w ten sposób problem mieli z głowy aż do następnego portu. No i dobrze, dumał z ironią Ethan. Gdyby gryzonie były w stanie się przystosować, to może musiałby w imieniu swojej kompanii handlować łapkami na myszy. Tymczasem był przecież umiarkowanie wziętym sprzedawcą towarów luksusowych Domu Kupieckiego Malaiki, a więc na składzie miał raczej wysadzone klejnotami drobiazgi, perfumy i przyrządy mechaniczne misternej roboty o wysokiej cenie. Ozdobione klejnotami łapki na myszy nie sprzedawałyby się najlepiej.

Minął małe okienko obserwacyjne, zatrzymał się, żeby popatrzeć na planetę wirującą ociężale pod nimi. Tu, na tyłach przedziału pasażerskiego, takich okienek było mniej, ale i mniej było tu pasażerów. Przyszedł, bo zmęczony już był idiotyczną paplaniną, a nikomu z tego tłumu nie uda się niczego sprzedać hurtem.

Większość Tran-ky-ky pogrążona była jeszcze w ciemnościach. Pewnie to zbieg okoliczności, że obrócona była stroną nocną do orbitującego wokół niej w porze snu statku. Ethan był chyba jedynym nie należącym do załogi człowiekiem, który wyszedł z kabiny.

Jutro polecą wahadłowcem na dół, chociaż szansę zrobienia jakiegoś interesu są mizerne. Znaczący to, że będzie musiał jakoś wytrzymać towarzystwo gromady turystów. No cóż, rozpychanie się

lokциями też jest częścią istnienia, obojętnie pod jakie prawo się je podciągnie.

Tran-ky-ky była, metaforycznie mówiąc, przystankiem na żądanie na trasie *Antaresu*. Gigantyczny międzygwiazdny transportowiec pozostanie dzień czy dwa w pobliżu planety, a większość tego czasu zajmie transfer ładunku dla jedynej thranxludzkiej placówki działającej na posępnej powierzchni planety.

Fakt, że ta placówka została nazwana w języku teranglo niekoniecznie oznaczał, że odkrywcami świata byli ludzie. Załoga mogła być mieszana albo czysto thranxyjska. Ale bardziej prawdopodobna była ta pierwsza możliwość. Żaden thranx, a z natury miały one dobrze w głowie, nie nazwałby prawdopodobnie placówki Wspólnoty Dętą Małpą. Poza tym dla tych kochających skwar owadów leżący w dole glob byłby czymś gorszym niż porządna porcja lodowatego piekła w najlepszym gatunku.

Słońce padało jedynie na mały skrawek planety, tworząc na jej skraju jaskrawy, niemal boleśnie biały półksiężyc. Przypomniały mu się wiadomości z infotaśmy, dotyczące tej ciemnej kuli. Tran-ky-ky znajdowała się na obrzeżach zasiedlanych terenów thranxludzkich i odkryta została niedawno. Oznaczało to wiele różnych ważnych rzeczy, ale także i to, że stanowiła nowe terytorium dla rozmaitych gorliwców, takich jak on sam, nie została jednak zaklasyfikowana jako potencjalna kolonia. Ludzie mogli na niej żyć i jakoś żyli w Dętej Małpie, ale planeta była bardzo niegościnna. Nie była to żadna Nowa Riwiera! Poza tym została oznaczona symbolem 4-B. Oznaczało to, że zamieszkuje ją rasa tubylców o przyzwoitym potencjale intelektualnym, żyjących na etapie technologicznym poprzedzającym wiek pary, a może nawet jeszcze wcześniejszym.

Jeśli chodzi o topografię, planeta mogła się poszczycić kilkoma niewielkimi kontynentami, a właściwie obszernymi wyspami i tysiącami małych wyseppek. Niektóre były przyzwoicie płaskie jak Asurdun, na której leżała Dęta Małpa, inne urwiste, pochodzenia tektonicznego. Wszystkie były rozproszone po płytkich morzach planety, w permanencji zamrożonych na głębokość dochodzącą w niektórych miejscach nawet do trzech kilometrów, a w innych zaledwie do dziesięciu metrów.

Grawitacja około 0,92 standardowej ziemskiej, doba około dwudziestu standardowych godzin, odległość od słońca – zbyt wielka. Na tej uroczej, wypoczynkowej planecie, myślał sobie z sarkazmem, temperatura na równiku dochodziła do balsamicznych trzech stopni Celsjusza powyżej zera. Istna fala upałów w Dętej Małpie. Średnia temperatura utrzymywała się około minus piętnastu, a niekiedy nocą opadała do absurdalnych minus dziewięćdziesięciu stopni. A jak się człowiek ruszył gdzieś dalej od równika, dopiero zaczynało się robić chłodno.

O tak, to uroczy przystanek w podróży po wystrzępionych, obdartych rąbkach cywilizacji! Innym komiwojażerom wyznaczono trasy po terytoriach takich jak bliźniacze, rozrywkowe planety Balthazar i Beersheba, a nawet po samej Ziemi. A Ethan Fortune? Zawsze odwrócony plecami do ciepłutkich, wewnętrznych światów Wspólnoty, szperający za swoją marzą niepewnie, skromniutko po różnych pustkowiach i zakazanych dziurach. Wariat!

Och, miało to pewne dobre strony. Na przykład bardzo dobrze zarabiał. I wciąż jeszcze nie przekroczył trzydziestki. Bez wątpienia lada dzień ktoś w głównym biurze zwróci uwagę na jego niewiarygodne, zdumiewające osiągnięcia w tych niemożliwych warunkach. Może wtedy dadzą mu



coś, co by lepiej pasowało do jego wyjątkowych uzdolnień. Na przykład szukanie nabywców na kosztowną chuć-bieliznę wśród osławionych ekdyzjastek Świata Przegranych czy świeżo upieczonych debiutantek Nowego Paryża.

Zamrugnął oczami, odwrócił się od hipnotyzującego bielą sierpa i starał się zmusić do skupienia się na bardziej prozaicznych rozważaniach. Na przykład, jak wytłumaczyć tubylcom działanie przenośnego asandyjskiego grzejnika katalitycznego, model delux. Infotaśma dała mu praktyczną znajomość języka – zawsze przygotowywał się na każdy nowy świat tak sumiennie, jak się dało – ale niewiele było na niej takich decydujących o wszystkim rodzyneków, jak lokalne zwyczaje czy niuanse dotyczące handlu. Tran-ky-ky była tak nowym światem, że dostępne taśmy dotyczyły wyłącznie podstawowych faktów i niczego więcej. Na badania antropologiczne przyjdzie czas później. Tak więc zakres jego działań będzie ograniczony.

Ale przynajmniej jednej pozycji ze swojej listy powinien się pozbyć w całości. Te asandyjskie grzejniki produkowane były na Amropolousie i stanowiły istny cud mocy i miniaturyzacji. Nawet w trańskim klimacie jeden z takich kieszonkowych grzejników będzie w stanie utrzymać plażową temperaturę w sporych rozmiarów pokoju. A ponieważ tubylcy zaadaptowali się do krańcowo niskich temperatur, taki asandus powinien u nich funkcjonować bez końca. Wystarczy podkręcić termostat na zero i niech dziadzius i dzieciaki pływają się w luksusie.

Na powierzchni Tran-ky-ky prędkość wiatru dochodziła do trzystu kilometrów, co powodowało, że zimno było doprawdy aż nedorzeczenie przenikliwe. Jeżeli jakiś człowiek utknąłby tam bez zabezpieczenia i nie miał przy sobie urządzenia typu asandus, mógłby później służyć wyłącznie jako dekoracyjna rzeźba lodowa. Do niczego innego by się nie nadawał.

Zresztą pewnie i w samej placówce znajdzie się parę osób, które z radością powitają mały, luksusowy grzejniczek, który można wziąć ze sobą na skuter. Najprawdopodobniej niezbyt często zdarza im się oglądać towar tej klasy. Jeżeli tylko uda mu się powstrzymać dygotanie rąk, kiedy będzie nastawiał termostat...

Pogrążony całkowicie w rozmyślaniach o wspaniałych perspektywach sprzedaży skręcił za róg i trafił na żywy obraz, który mu się wcale nie spodobał.

Pięć osób skupiło się wokół wejścia do szalupy ratunkowej. Wyżej wymienione wejście było otwarte, co nie powinno mieć miejsca. A może on chwilowo zapadł na głuchotę, a tymczasem rozpoczęły się ćwiczenia ratunkowe? Słyszał, jak wali mu serce. No, uszy ma w porządku, ale informacja wzrokowa do kitu. Niewątpliwie, musi mieć jakieś problemy z oczami, bowiem dwóch z tych ludzi wymachuje z pijacką nonszalancją laserami. Jeden z bandytów, niski facet o łasicowatej twarzy, cierpiący chyba na poważny przypadek epilepsji palcowej, celował swoim laserem w starszego pana, który usiłował się dzielnie trzymać, zacny ten człowiek ubrany był w wyśmienicie skrojony garnitur z jaskrawoszmaragdowej emeraldyny, nałożony na ciemnolazurową koszulę z żabotem. Na lewo od tego wytwornie odzianego sześćdziesięciolatka stał drobny, nieśmiało wyglądający człowieczek i patrzył na laser tak, jak gdyby zastanawiał się, czy nie rzucić się na jego właściciela.

Drugi z bandytów to był kawał chłopca o płaskiej twarzy, zębach zabarwionych na wszystkie

kolory tęczy i potężnych bicepsach. W chwili, o której mowa, usiłował poradzić sobie ze swoim laserem i opanować jakoś kłębek drącej się i drapiącej kobiecości, chyba rodzaju ludzkiego. Tylko chyba, bo wyglądało na to, że kłębek ma osiem nóg i dwanaście rąk i wszystkimi naraz wymachuje. Dobiegające gdzieś ze środka kłębka przekleństwa były jednak niewątpliwie w języku teranglo. Kilka z nich doszło do uszu Ethana, który spiekł raka. Opryszek również kłął, jego *basso profundo* – a właściwie *profano* – stanowiło melodyjny kontrapunkt dla głosu dziewczyny. Ethan ciekaw był, jak też ona wygląda. Miotła się tak, że nie sposób było coś dostrzec.

Jego uwagę przyciągnął znowu łasicowaty, który mówił do starszego pana.

– Nie mam zamiaru ci powtarzać, du Kane! Chcesz, żebyśmy cię stuknęli? – Ręka, którą trzymał promiennik, lekko drżała. – Wsiadaj do szalupy, ale już! – Nerwowe spojrzenie na zegarek. Żaden z bandytów nie zwracał uwagi na drugiego z więźniów.

– No cóż, nie jestem pewien... Nie chciałbym wam sprawiać kłopotów, ale tak trudno jest już przypomnieć sobie, co właściwie należy zrobić. Może lepiej poczekam...

Łasicowaty aż ręce wyrzucił w górę i wzrok podniósł, szukając pomocy w niebiosach i nie zwracając uwagi na to, że we wszechświecie położenie niebios zależało tylko od chwilowego ustawienia statku.

W tej chwili wielkie chłopisko wrzasnęło: „Auć!” w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości. Bez zastanowienia upuściło dziewczynę na podłogę. Ta przeturlała się od twardego ładowania i powoli usiadła. Klęła teraz ciszej, ale nie mniej oryginalnie. Ethan troszkę podupał na duchu. Dziewczyna musiała ważyć co najmniej ze sto kilo, a nie była jakoś wyjątkowo wysoka.

– Ugryzła mnie – powiedział duży zaskoczony. Zaczął ssać swój uszkodzony paluch. – Słuchaj no, du Kane. Zaczyna nam brakować czasu. Już nic na to nie możemy poradzić. Najpierw pokazała się ta krewetka – pokazał na nieśmiałego, który wciąż im się uważnie przyglądał – a teraz ty się musisz zapierać. Nic ci to nie pomoże.

– No cóż, sam nie wiem... – powiedział z wahaniem du Kane.

Poszukał oczami dziewczyny.

– Nie ruszaj się, ojcie. – Podniosła wzrok na dużego i Ethan zauważył, że z tej pulchnej twarzy patrzy dwoje zaskakująco zielonych oczu. – Jeżeli uderzysz ojca, prawdopodobnie go zabijesz... jest już stary. Skończcie z tym idiotyzmem. Dopilnuję, żeby was nie zastrzelono, przynajmniej nie od razu. A ojciec nie wniesie oskarżenia. Ma za dużo roboty, żeby interesować się takimi szumowinami jak wy.

Du Kane! Teraz wiedział już, skąd ich zna... ależ ona naiwna... liczy na kruche zdrowie ojca... co za ryzyko. Hellespont du Kane był prezesem Rady Kurita-Kinoshita Ltd. Produkowali wiele rzeczy, między innymi napędy dla statków międzygwiazdnych. Powiedzieć, że był bogaty, to tak jakby stwierdzić, że klimat leżącej pod nimi planety nieco odbiega od tropików. O kim jak o kim, ale o nim można było niewątpliwie powiedzieć, że jest nadziany.

Ethan był dobrym handlowcem, szybko więc połapał się w sytuacji i podzielił aktorów na dwie grupy. Dwóch porywaczy, dwoje porywanych i jeden niewinny przechodzień, który wpadł w pułapkę. Ciekaw był, czemu tego człowieczka nie zastrzelili.

Pytanie to przestało być tylko czysto akademicką ciekawostką, ponieważ wielkie chłopisko z obolałym kciukiem wpatrywało się teraz prosto w niego. I kiedy Ethan gapił się w lufę promiennika, przyszło mu na myśl, że nieco za dużo czasu poświęcił na obserwowanie, a nieco za mało na ulatnianie się z miejsca akcji. Cofnął się o krok.

– Idę do wnęki bagażowej numer trzy... przepraszam, że przeszką...

– Czekaj no, ty odpadku. – Duży odwrócił się do swojego partnera. – I co teraz, Walther?

– No nie, na Ramę, jeszcze jeden! Czy wszyscy na tym statku prowadzą nocny tryb życia? – Jeszcze jedno spojrzenie w kierunku przegubu. – Musimy się stąd wynosić. Zabieraj go na razie, Kotabit. Whitting wyraźnie mówił, żeby nie zostawiać żadnych szczątków.

Ethanowi wcale nie podobało się to, że nazywają go „szczątkiem”. Brzmiało to jak jawna groźba. Na razie jednak wpadł.

– Ty, przechodź tam – rozkazał Walther, gestykulując promiennikiem w kierunku pozostałych jeńców.

– Słuchajcie, ja naprawdę nie mogę do was dołączyć. Za pół godziny mam bardzo ważną naradę handlową i...

Walther wytopił niewielką dziurkę w pokładzie między nogami Ethana, który już nie ociągając się ruszył i stanął obok człowieczka, na lewo od du Kane’a. Człowieczek poprawiał sobie chyba szkła kontaktowe.

– Czy to naprawdę porwanie? – zapytał Ethan, kiedy dwaj bandyci zaczęli się naradzać.

– Obawiam się, że tak, przyjacielu. – Człowieczek akcentował słowa miękko, wyrażał się precyzyjnie. – Z formalnego punktu widzenia można by nas uznać za współsprawców zbrodni głównej. – Mówił jak nauczyciel pouczający klasę.

– Obawiam się, że wszystko się panu pomieszało – poprawił go Ethan. – Współsprawcą, jest ktoś, kto pomaga i nakłania do przestępstwa. Pan i ja jesteśmy ofiarami, a nie współsprawcami.

– Wie pan, to wszystko zależy od punktu widzenia.

– Do szalupy, wszyscy! – ryknął Walther nie troszcząc się już o to, czy ktoś go usłyszy.

– A może damy każdemu po głowie? – zapytał Kotabit.

– Słyszałeś, ty tłuściochu... to niebezpieczne. Zwłaszcza przy podchodzeniu do lądowania.

Colette du Kane wpatrywała się w Ethana. Może to imię pasowało do niej, kiedy była mała, ale teraz... jakaś „Hilda” byłaby bardziej a propos. Od spojrzenia tych niezwykłych oczu robiło mu się zimno. Nie uśmiechała się.

– Słuchaj no, czemu nie poszedłeś po pomoc?

– Dopiero co wszedłem i nie byłem pewien, co...

– Nie byłeś pewien? Och, zresztą wszystko jedno. – Westchnęła ze zrezygnowanym wyrazem twarzy. – Przypuszczam, że nie powinnam się spodziewać niczego innego.

Pewnie by się z nią posprzeczał, gdyby nie jeden niezręczny fakt, a mianowicie to, że absolutnie miała rację. Niewątpliwie przeciągnął obserwację ponad miarę.

– Dlaczego ty nie jesteś piękna? – zadał jej idiotyczne pytanie. – Dziewice w opałach są zawsze piękne.

Uśmiechnął się z zamiarem obrócenia tego w żart, ale ona patrzyła na to inaczej. Rzuciła mu ostre spojrzenie, a potem całe jej ciało pochyliło się, drżące, rozdęte.

– Słuchaj no – warknął Kotabit do du Kane’a. Głos miał spokojniejszy, bardziej pewny niż jego towarzysz, chociaż to ten niższy mężczyzna wydawał się kierować akcją. – Jeżeli trzeba będzie poobcinać po plasterku nogi twojej córce, zaczynając od wielkiego palca, sądzę że nie przeszkodzi to naszym planom. Może to cię przekona?

– Nie zwracaj na niego uwagi, ojciec – powiedziała Colette. – Błefuje.

– Ojej...!

Starszy pan mimo posiadanych miliardów przypominał wyłącznie żaloszny worek, pełen niezdecydowania. I nagle w jego umyśle pojawiła się chyba jakaś myśl i nadała nowy ton jego postawie. Stał się bardziej prosty i plunął na Kotabita. Wysoki mężczyzna z łatwością się uchylił, nie tracąc nic ze swojej czujności. Du Kane robił wrażenie zadowolonego z siebie. Odwrócił się i wszedł do maleńkiej, giętkiej służby prowadzącej do szalupy. Ethanowi przyszło na myśl, żeby walnąć z rozmachem w broń Walthera, ale Kotabit nie sprawiał wrażenia ani odrobinę roztrzęsionego, odwrotnie niż pierwszy opryszek. Nie miał najmniejszych wątpliwości, co zrobi drugi bandyta, jeżeli on rzuci się na jednego z nich, chociaż jego śmierć mogłaby nieco skomplikować ich plany. Poszedł więc za małym człowieczkiem do szalupy.

– Nawiasem mówiąc, nazywam się Williams... Milliken Williams – zagał ten ostatni, kiedy wchodził do służby przed Ethanem. – Uczę w szkole. Duża matura.

– Ethan Fortune. Jestem komiwojazerem.

Rzucił okiem na dziewczynę. Obaj bandyci szli tuż za nią. Szkoda, przyszło mu bowiem na myśl, żeby zamknąć im drzwi do szalupy przed nosem, ale za bardzo się tłoczyli.

W szalupie było ciemno. Światło dochodziło jedynie od pulpitu, który był zawsze włączony. Żaden z bandytów nie zadał sobie trudu, by zapalić światło. Oczywiście obawiali się, że włączyłoby się urządzenie ostrzegawcze w kołpaku kontrolnym. Zastanawiał się, czyby nie przycisnąć kontaktu nie bacząc na konsekwencje, ale jego plany unicestwił jeden drobny fakt. Nigdy, poza okresem ćwiczeń, nie był w szalupie i nie umiałby odróżnić kontaktu światła od wyłącznika samodestrukcji. Tak więc potykali się w niemal kompletnych ciemnościach, a potem popędzani przez bandytów poprzypinali się pasami do leżanek. Foteli było dwadzieścia, a oprócz tego na przedzie dwie leżanki dla pilotów. Walther już siedział na jednej z nich i wykonywał jakieś niewidoczne manipulacje przy konsoli głównej. Kotabit leniwie przypinał się do drugiej. Okręcił dookoła swój fotel, żeby popatrzeć na pozostałych. Ethan jakoś nie miał ochoty sprawdzić, czy tamten dobrze widzi w ciemnościach.

Zatrzasnęły się drzwi i nie odezwała się ostrzegawcza syrena. Przynajmniej to urządzenie musieli odłączyć wcześniej, żeby nie dopuścić do ostrzeżenia głównego komputera. Chyba ich ktoś zauważył, jak tylko szalupa oderwie się od kadłuba, ale Ethan nie był inżynierem i nie mógł mieć pewności.

Walther mamrotał coś, co brzmiało jak „... ustawiony wystarczający dystans... mam nadzieję...”

– Lepiej się poprzypinajcie porządnie – doradził Ethan pozostałym. – Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli wylądować na standardowym lądowisku.

– Geniusz! – Głos Colette du Kane było równie łatwo rozpoznać, jak jej kształty.

– Pewnie będzie twarde lądowanie – dokończył Ethan niezręcznie.

– Dwie iście einsteinowskie dedukcje pod rząd. Ojczy, sądzę, że nie ma się czym martwić. Przecież mamy na pokładzie geniusza takiego kalibru jak ten chłopak. Pewnie zaraz wprawi nas w zdumienie informacją, że te dwa puchłogłowe białkowce mają wobec nas złe zamiary.

– Słuchaj no – zaczął Ethan, usiłując zlokalizować ją w ciemnościach. Oczy powoli zaczynały się przyzwyczajać do nikłego światła. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak Walther w tych ciemnościach manipuluje sterami. Musieli ćwiczyć to tysiące razy. – Wciąż jeszcze nie jestem całkiem pewien, co tu się dzieje. Przyszedłem popatrzeć sobie na moje próbki towarów, zajmowałem się swoimi sprawami, a naraz zwały mi się na głowę twoje problemy rodzinne.

– Postawiłbym hipotezę, że chodzi o próbę okupu – powiedział pan du Kane. – Jak bez wątplenia orientują się ci teriologiczni potwarczy, nie jestem tak całkiem bez środków.

– Uważaj, co mówisz – wybuchnął kolos Kotabit, który nie bardzo wiedział, jak się ustosunkować do zarzutów producenta.

– Przykro mi, że pan i pan Williams zostaliście w to wciągnięci.

To oczywiste, tych dwóch nie spodziewało się, że o tej porze im ktoś przeszkodzi.

– Mnie też jest przykro – powiedział z przejęciem Ethan.

Przez mały pojazd przeszło lekkie drżenie, potem jeszcze jedno. Wkrótce pod plecami czuli stałe, nieustanne brzęczenie.

– Znajdą nas, jak już wylądujemy – ciągnął dalej, usiłując dodać swojemu rozmówcy otuchy. – Wykreślenie naszej trajektorii lądowania nie powinno sprawić większych problemów.

– Zgodziłbym się z tobą, młody człowieku, gdyby nie dokładność, jaką do tej pory wykazywali nasi nikkzemni towarzysze...

Coś nimi szarpnęło i Ethan gwałtownie zaczął tracić na wadze. Oderwali się od statku i zaczęli oddalać od pasażerskiego pola.

– Opuściliśmy statek – zaczął, ale przerwał mu dobrze znany głos:

– Dobry Boże! Znowu mnie zaskoczył! – powiedziała Colette z nabożną ironią.

– No to już, interpretuj sobie wszystko sama! – odparł ze złością Ethan. – I tak się pewnie nic nie będzie działo, zanim nie zaczniemy przygotowywać się do lądowania.

Oczywiście nie miał racji.

Nagle coś uderzyło szalupę w bok, jakby ogromny młot. Szalupa zaczęła koziółkować jak szalona. Ethan w przelocie zobaczył przez okienko planetę obiegającą ich dookoła i to dużo za szybko. Colette zaczęła krzyczeć. Z przodu Walther klął i jęczał, manipulując przy sterach, wrzeszcząc coś na temat czasu, którego mu już brak i czasu, który stracił.

Jeszcze jedno mdlące szarpnięcie i w polu widzenia pojawił się oświetlony słońcem *Antares*. Już nie był blisko, więcej, gwałtownie się oddalał. Ale nie na tyle gwałtownie, żeby Ethan nie zdążył spostrzec dziury ziejącej w zwróconym ku nim boku. Spojrzał znowu na wnętrze szalupy.

Nagle w części pasażerskiej pojawiła się jakaś dodatkowa postać. Nie była przypięta pasem i zataczała się jak pijana na tyłach magazynku. Przez moment Ethan miał wrażenie, że jednak oczy mu się jeszcze nie przystosowały.

Szalupa zakołysała się obłąkańczo i Walther zaczął bezradnie wrzeszczeć. Williams krzyknął: – Ojej!

A widziadło z magazynku ryknęło w bełkotliwej terangielszczyźnie:

– Żarty żartami, ale na wszystkie Czarne Dziury i Fioletowe Protuberancje, tego już za wiele!

I w tym momencie oczy Ethana zrezygnowały z przystosowywania się do ciemności czy czegokolwiek innego.

## ROZDZIAŁ II

Nie żyje, co do tego nie było dwóch zdań. Zamarzył żywcem. Lodowaty dreszcz przeszedł go od stóp do głów.

Zaraz, chwileczkę. Jeżeli nie żyje, to nie powinien się trząść. Żeby się upewnić, zatrzęsł się raz jeszcze. I drugi raz. Przyszło mu na myśl, że może te wstrząsy mają jakieś zewnętrzne źródło. Mrugając powiekami odwrócił głowę. Wpatrywała się w niego pochylona, hebanowa twarz Williamsa.

– Jakże się pan czuje, mój drogi Fortune? – zapytał nauczyciel z troską.

Ethan zauważył, że ma on na sobie gruby płaszcz z jakiegoś ciężkiego, brązowego materiału. Widać było pomarańczowe łaty, wyściółka miejscami była skłębiona, ale sprawiał wrażenie ciepłego. Odwrócił się na bok i usiadł. Od wysiłku zakręciło mu się w głowie i dopiero po minucie wyostrzył mu się wzrok. Natychmiast zorientował się, że sam jest przyodziany w podobny strój, który sięga mu dobrze za kolana i jest na niego co najmniej o dwa rozmiary za duży.

Williams podał mu kubek czarnej kawy. Kawa parowała jak szalona. Ethan ujął naczynie przez rękawice i dwoma haustami wychylił wrzący płyn. Akurat w tym momencie było mu obojętne, czy przełyk nie zmieni mu się w krater wulkaniczny. Miał za plecami coś, co wydawało się skłonne go podtrzymać, oparł się więc, głęboko odetchnął i badawczo przyjrzał się swemu otoczeniu.

Du Kane'owie siedzieli naprzeciw niego. Ubrani byli w takie same brązowopomarańczowe płaszcze, tylko dobrane rozmiarem. Starszy pan trzymał przed sobą jakąś puszkę i z namysłem w niej dłubał. Z puszczyki unosiło się pasemko pary. Du Kane wybrał coś z wnętrza, wsunął to do ust, zmarszczył się, przełknął i znowu zaczął dłubać. Jego córka siedziała z boku, opierała się na łokciu i patrzyła spode łba tak po prostu przed siebie.

Siedzieli w jakimś niewielkim pokoju. Podłogę tu i tam pokrywała warstewka czegoś białego. Chociaż Ethan umysł miał przyćmiony, nawet dla niego było jasne, że to śnieg albo jakaś Inna zamrznięta ciecz. Wiedział, że znajdują się na powierzchni planety. Domyślił się po temperaturze. Jedno pytające spojrzenie na Williamsa.

– Jesteśmy w szalupie, w tylnym magazynku. Prawie się nie rozszczelnił.

„Prawie” było słowem odpowiednim, bo z miejsca, gdzie stykały się ze sobą framuga i drzwi, napływało powietrze. Metalowe ściany były bardzo pogięte, zwłaszcza z tyłu, tam gdzie znajdowały się silniki. Skończył kawę i podczołgał się do drzwi wejściowych. Drzwi i ściana pochylały się u

szczytu do wewnątrz. Na trzech czwartych wysokości znajdowało się niewielkie okienko.

Stojąc wyrzał przez glasyt, nie troszcząc się o to, że odcina niemal cały dopływ światła do małego przedziału. Colette wyraziła się w sposób odpowiednio zjadliwy na temat takiego braku względów, ale Ethan zbyt był pochłonięty widokiem, żeby na nią zwrócić choćby najmniejszą uwagę.

Patrzył na centralne przejście przez to, co było kiedyś przedziałem pasażerskim wahadłowca. Przez ogromne dziury, ziejące w świętej pamięci dachu, widać było niebo. Ponad połowa leżanek używanych na czas przyspieszania została wyrwana z zamocowania lub powykręcana. Wnętrze kadłuba zalane było jaskrawym, oślepiająco jasnym światłem słońca. Uświadomił sobie nagle, że w kaptur płaszcza, który miał na sobie, wmontowane zostały gogle i osłona twarzy.

Odwracał głowę i wyciągał szyję, aż udało mu się zobaczyć prawą stronę statku; cała była dziobata. Połowę lewej strony coś rozdarło na całej długości, została z niej jedna szrama potarganego metalu. Nie był z niego żaden mechanik, ale nawet taki matoł w tej dziedzinie zorientowałby się, że prędzej polecą nowym statkiem, niż zreperują ten stary. W tej chwili większą nośność miał jego fundusz reprezentacyjny.

Podłoga kabiny i powykręcane fotele były lekko przyprószone śniegiem, zwłaszcza po tej rozdartej, lewej stronie. Muśnięcia bieli łagodziły widok porozdzieranego duramiks i zastygłej w konwulsjach podłogi. To tu, to tam leżące w śniegu odłamki rozbitego glasytu rzucały kalekie tęcze na wnętrze przedziału. Jeżeli któreś okienko nie doznało uszczerbku, musiało znajdować się poza jego linią wzroku.

Może przesadził z tym wyciąganiem się i obracaniem. W każdym razie znowu poczuł zawroty głowy. Zaparł się plecami o drzwi, powoli osunął do pozycji siedzącej i wtulał głowę w dłonie, dopóki mu nie przeszło.

– Czy dobrze się pan czuje? – zapytał znowu Williams.

Na jego twarzy malował się niepokój.

– Tak... odrobinę mnie tylko mdli. – Zamrugął oczami. – Chyba już w porządku, przynajmniej tak mi się zdaje. – Przerwał. – Tyle, że jakoś nagle chyba nic najlepiej widzę.

– Za długo patrzył pan przez okienko bez zabezpieczenia – wysunął przypuszczenie Williams. – Spodziewam się, że to zaraz minie. Niech się pan nie martwi. Nic ma to nic wspólnego z urazem głowy.

– I niby ta informacja ma mnie podtrzymać na duchu?

Z tyłu na głowie miał guza, czuł to. Ale przynajmniej wydaje się nienaruszony. Jego łeb, a nie ten guz. W zasadzie to powinien być tak podziurawiony jak kadłub statku.

– Powinien pan to założyć. – Nauczyciel pokazywał palcem na gogle spoczywające na czole Ethana. – Żeby zapobiec ślepotcie śnieżnej – dodał zupełnie niepotrzebnie.



– Pomyśleli o wszystkim, nie? – stęknął Ethan. Znowu przeszedł go dreszcz. – Ma pan jakieś rozeznanie, ile może być stopni?

– Tak na oko około dwudziestu poniżej zera, naturalnie w skali Celsjusza – odparł Williams, jak gdyby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie. – I jak mi się zdaje, trochę się ochładza. Ale może się pan sam zorientować. W lewy mankiet ma pan wbudowany termometr. – I lekko się uśmiechnął.

Rzeczywiście, w materiał tuż za obrąbkiem rękawicy wszyty był maleńki, okrągły termometr. W pierwszej chwili Ethan sądził, że nauczyciel musi się mylić. Czerwona linia wydawała się okrążyć niemal całą tarczę. Potem zauważył, że najwyższe wskazanie termometru odnosi się do temperatury zamrażania wody. Dalej wskazania szły w dół, nie w górę. Duże wrażenie robił nie tyle odczyt bieżący, ile nasuwające się wnioski. Nagle przyszło mu na myśl coś zabawnego. Roześmiał się, a nawet ryknął śmiechem. Dla całej reszty nie wyglądało to ani zabawnie, ani nawet zrozumiale. Przyglądali mu się z pewnym niepokojem, zwłaszcza du Kane. Colette zaś miała taką minę, jak gdyby od samego początku spodziewała się czegoś podobnego. Siłą powstrzymał się od śmiechu, kiedy poczuł, że na policzkach zaczynają mu zamarzać łyzy. Wtedy zauważył, że wszyscy mu się przyglądają.

– Nie, nie zwariowałem. Uderzyła mnie tylko myśl, że na pokładzie *Antaresu* został towar, którym handluję, między innymi cztery tuziny asandyjskich, przenośnych, katalitycznych grzejników, model deluxe. Miałem je zamiar sprzedać biednym, zacofanym tubylcom. A teraz za jeden z nich oddałbym własną babkę.

– Gdyby, gdyby na piecu rosły grzyby, zawsze byśmy mieli co jeść... – powiedział filozoficznie Williams. – Coś takiego powiedział Russel... filozof angielski, dwudziesty wiek.

Ethan kiwnął głową. Narysował palcem na śniegu spiralę... te rękawice są z prawdziwej skóry, zauważył. A kiedy patrzył na zebraną grupkę, coś wpadło mu do głowy. Jego umysł wciąż jeszcze o kilka kroków nie nadążał za wzrokiem.

– A mówiąc o *Antaresie*, coś z nim było bardzo nie w porządku, kiedyśmy odpalili przy starcie. Tak, w kopule pasażerskiej była dziura! Zobaczyłem ją w czasie koziołkowania.

– Bardzo nie w porządku i dużo za silnie odpalili – zawtórował mu jakiś jakby swojski głos z ciemnego kąta gdzieś w tyle. Niewielka, markotna postać wysunęła się w smugę nikłego światła. Prawą rękę miała zgiętą i podwieszoną na prowizorycznym temblaku, a na policzku powoli zasychała szpetna szrama.

– Nie ma co, umiesz dobierać słowa, koleś – zakończyła.

– Hej, przypominam sobie, kto ty jesteś – powiedział bez wahania Ethan. – Masz na imię... czekaj no... ten drugi facet mówił do ciebie Walther.

Ten duży facet. – Usiłował zobaczyć coś za jego plecami, w najdalszym kącie pomieszczenia. A skoro już o nim mowa...

– Ten większy facet... September... go wykończył poinformowała go Colette du Kane. – Wprawdzie światła na konsoli zgasły, ale jestem pewna, że to był on, przecież chyba nic... – Ugryzła się w język. – Ciekawe, skąd on się wziął?

Ethan cofnął się myślami i przypomniał sobie widmową, przeklinającą w żywy kamień zjawę, która pojawiła się w kabinie na chwilę przed tym, jak stracił przytomność.

– Chyba wiem, o kim mówisz. Mało resztek zmysłów ze strachu przez niego nie postradałem... wyskoczył jak diabeł z pudełka w tym całym rozgardiaszu.

– To było naprawdę interesujące – zaczął du Kane. – Przypominam sobie, jak kiedyś...

– Cicho, ojcze, skończ jeść – powiedziała Colette.

Ethan popatrzył uważniej na tę dziewczynę, która w swoim kombinezonie ratunkowym wyglądała jak różowy Budda. Kto tu właściwie jest prezesem, co?

Colette znowu zwróciła oczy na Ethana. Jej spojrzenie było otwarte, bezkompromisowe. Oceniała jego wartość. Nie, nie... to powinna być jego prerogatywa. Odwrócił się, a ona musiała wyczuć jego zdenerwowanie.

– Pan oberwał najmocniej z nas wszystkich – powiedziała uspokajająco.

Ethan zdawał sobie sprawę, że z rozmysłem usiłuje mu poprawić samopoczucie. Chociaż guz, jaki wyczuwał z tyłu głowy, potwierdzał słuszność jej uwagi.

– Miał broń? – zapytał Ethan.

Odpowiedź dziewczyny była chłodna i obojętna.

– Nie, wydaje mi się, że mu kark skręcił. Czysta robota.

– O – powiedział Ethan. – Słuchaj, chciałem przeprosić, że powiedziałem ci, że jesteś gru... to znaczy za to, co tam powiedziałem.

– Daj sobie spokój – mruknęła cicho. – Przyzwyczaiałam się do tego.

Po raz pierwszy, pomyślał Ethan, w swoich wypowiedziach minęła się z prawdą.

Wyglądało na to, że Du Kane wyczuł ich zażenowanie. I z niezwykłym taktem pomógł im je ukryć.

– Ma pan na sobie, jak mi się zdaje, płaszcz nieboszczyka.

– Nie najlepiej pasuje, prawda? – mruknął z roztargnieniem Ethan.

Podniósł ręce. Jeżeli nie będzie uważał, pogubi rękawice. Ale nie przeszkadzało mu to, że śmiesznie wygląda. Płaszcz był ciepły. Chociaż prawdopodobnie Colette du Kane była jeszcze

cieplejsza. Rozejrzał się dookoła.

– Gdzie jest ten facet... jak mu tam...

– September. Skua September – podpowiedział mu Williams.

– No, gdzie on jest?

Colette machnęła ręką gdzieś w kierunku drzwi.

– Kiedy przekonaliśmy się, że to pomieszczenie jest właściwie nienaruszone... nawiasem mówiąc, to on cię wniósł do środka... wydawało się naturalne, żeby tu się schronić. Nie tracić ciepła własnego, schować się przed wiatrem. Awaryjne racje żywnościowe są w tej pokręconej szafce za moimi plecami. Z radością mogę cię poinformować, że ogólnie mówiąc przetrwały nie najgorzej. September przekąsił coś i zniknął na zewnątrz. Jakiś czas temu. Jeszcze nie wrócił.

– Milczący facet – wtrącił du Kane. Jedzenie pociekło mu po brodzie i zaczął je z zażenowaniem ocierać.

– Spodziewam się, że nic mu się nie stanie – wtrącił Williams. – Zabrał ze sobą jeden z promienników. A ja – ciągnął dalej podnosząc niewielką broń – mam drugi. Sugerował, żebym wykorzystał go, gdyby naszemu porywaczowi – wskazał na posępnego Walthera – zebrało się znowu na jakieś nietowarzyskie poczynania.

Ethanowi przyszło na myśl, że ten ostatni przygląda się bronii z nieco tęsknym wyrazem twarzy.

– Phi! Niewiele by mi teraz z niej przyszło!

Zadygotał. Wyraźnie był nawet bardziej zmarznięty niż Ethan. Ponakładał na siebie kilka koszul i awaryjne termoponczo z zapasów w szalupie, przez co wyglądał jak przysadzista, tłusta żaba. Ale ponczo nie było zaprojektowane z myślą o takich temperaturach, a kaptur działał na granicy wytrzymałości. No cóż, tym gorzej dla niego.

Ethan zastanowił się nad ubraniami, które nosili du Kane i jego córka. Pasowały na nich niemal idealnie, jak gdyby zamówiono je w warsztacie jakiegoś thranxyjskiego krawca. Niewykluczone, że właśnie tak było. Wyraźnie porywacze nie chcieli, żeby ich podopieczni zamarzli na śmierć. W takim razie Williams prawdopodobnie ubrany był w futra Walthera. On sam został już poinformowany o przerażającym pochodzeniu własnego stroju. No cóż, jeżeli ktoś tu miał zamarznąć na śmierć, to bez najmniejszych skrupułów wybierze tego szpetnego człowieczka z rozwalonym skrzydełkiem. Kiedy pomyślał, ile w prowizji będzie go kosztowało to nałożenie drogi...

Zaraz, zaraz. Jeżeli on ma na sobie kurtkę zmarłego Kotabita, Williams nosi ubranie Walthera, a du Kane'owie mieli swoje własne – to znaczy, że ten dziwny pan September grasuje gdzieś tam na zewnątrz bez płaszcza. Chyba że porywacze mieli jakieś zapasowe, a to było niezbyt prawdopodobne. Cóż, to już sprawa pana Septembra. Teraz w pierwszej kolejności miał co innego na głowie.

– Ma pan jakieś zielone pojęcie – zapytał Williamsa – gdzie jesteśmy?

Odpowiedzi na pytanie udzielił jednak Walther.

– Mieliśmy wylądować – zaczął z goryczą – około dwustu kilometrów na południowy wschód od Dętej Małpy. Spotkanie było zapięte na ostatni guzik. Jednak wskutek kilku cholernych opóźnień i problemów z zapalnikiem znaleźliśmy się w polu wybuchu ładunku, który zamontowaliśmy na *Antaresie*. Pokierowało nam całą zdolność nawigacyjną. Instrumenty tak skomlały, że nie mogę mieć pewności, a do tego jeszcze ten rozwalony komputer. Wcale nie zdziwiłbym się, gdybyśmy byli po drugiej stronie planety. A jak się chcecie zakładać, jaką mamy szansę, żeby się z tego wykaraskać, to odstąpię wam mój udział za pół darmo.

– Zamontowaliście ładunek? – wypytywał go Ethan, ale Walther najwyraźniej powiedział już wszystko, co chwilowo miał zamiar powiedzieć. Popadł w ponure milczenie i zaszył się z powrotem w swoim kącie.

– Prawdopodobnie jakaś solidnych rozmiarów bomba nastawiona tak, żeby wybuchła, kiedy opuścimy *Antaresa* – brzmiał profesjonalny komentarz Colette. – Gdy wchodziliśmy do szalupy, a potem uszczelnialiśmy wejście, nie było słyhać żadnego alarmu, tak więc zakładam, że o to zatroszczyli się wcześniej. W oczywisty sposób ta bomba to był manewr maskujący, zgodnie z planem miała przekonać ekipę ratunkową, że wszyscy w tej części statku wyparowali, a zwłaszcza ojciec i ja.

– Rozumiem – powiedział Ethan. – W ten sposób wszyscy założyliby, że wy z ojcem nie żyjecie... aż ci dwaj odlecieliby na bezpieczną odległość i przygotowali się do wysuwania żądań. I nie byłoby żadnego pościgu. Bardzo sprytnie. Oczywiście, jeżeli ktoś akurat przechadzałby się po tej części statku w momencie wybuchu bomby, to już tylko jego pech. – Rzucił Waltherowi wściekle spojrzenie, ale ten go ignorował.

– Właśnie – ciągnęła dalej Colette. – A zwlekali, zwlekali, aż rozwalił im się całkiem rozkład jazdy i nie udało im się odlecieć na porę. W ogóle nie udałoby im się odlecieć, gdyby ojciec nie... – Wzruszyła ramionami.

– Powinnaś podziękować mu, że uratował ci życie – powiedział z dezaprobatą Ethan.

Colette ponownie zmiażdżyła go spojrzeniem. – Jakie życie? Czy ma pan choć cień pojęcia, co to znaczy być bogatym, panie Fortune? To wspaniałe uczucie. Ale być bogatym i wyśmiewanym...

– No to czemu się nie od...? – Ugryzł się w język. Ale Colette zrozumiała.

– Odchudzę? Nie da się. Zmiany gruczołowe, nieodwracalne, tak mówią lekarze. – Była wyraźnie podrażniona. – Och, idź pan już sobie coś odmrozić!

– Słuchajcie – wtrącił się Walther, wystawiając głowę w smugę światła. – Obojętne, co sobie myślicie, ale planowaliśmy to tak, żeby nikogo nie zaskoczył ten wybuch. To był jedyny powód, dla którego nie zastrzeliłem ciebie ani ciebie jak tylko wetknęliście swoje nosy na pokład szalupowy.

Gdyby ekipa ratunkowa znalazła twoje ciało czy jego, czy jakieś fragmenty, zaczęłaby się może zastanawiać, czemu nie ma żadnego śladu po nich – pokazał na du Kane'ów. – Mało prawdopodobne, ale Kotabit i inni chcieli mieć pewność. Taa, absolutną pewność. A teraz – zakończył nieodwołalnie i z goryczą – z absolutną pewnością zamarzniemy sobie na śmierć.

– Nie powiem, żebym się bardzo cieszył na myśl o agonii w twoim towarzystwie, stary – powiedział Ethan z całą brutalnością, na jaką było go stać. – I nie mam najmniejszego zamiaru umierać. Czy ktoś pomyślał, żeby sprawdzić trójwymiarówkę? – Nie potrzebował pytać czy działała.

Colette du Kane powoli potrząsnęła głową.

– Sam złom. A w każdym razie tak nam powiedział September. Ja się na tym nie znam nic a nic, ale skłonna jestem mu wierzyć.

– Bezsprzecznie wygląda na to, że nie posiadamy żadnego urządzenia, które umożliwiłoby nam łączność nawet w elementarnym zakresie – zgodził się z powagą Williams. – Nie mówiąc już o czymś, co mogłoby nadawać na odległości kontynentalne.

Mówiąc zwięźle, utknęli.

Mówiąc mniej zwięźle, utknęli na bardzo słabo znanym świecie, o tysiące kilometrów od jedynej thranxludzkiej osady, a pogoda była taka, że nawet korpulentny mors rzuciłby się wdziawać ciepłe majtki. A powiadomić o swoich tarapatach mogli tylko siebie nawzajem.

Co gorsza, nikt nawet nie wyruszy na poszukiwania, nikt nie uwierzy, że mogli przeżyć, chyba że – co bardzo mało prawdopodobne – ktoś zauważył, jak szalupa koziółkuje w kierunku powierzchni planety. Dotyczyło to również partnerów Walthera, którzy oczekiwali na niego o kilka kilometrów od miasta.

Ethan nie miał nic przeciw mrożonemu jedzeniu, ale nie odczuwał najmniejszych skłonności, żeby samemu zamienić się w mrozonkę! Przemyślał całą sprawę, zastanowił nad widokami na najbliższą przyszłość i musiał wyznać, że wcale nie robi mu się ciepło na sercu. Czy gdziekolwiek indziej. Z drugiej strony nigdy nie udałoby mu się niczego sprzedać, gdyby tylko rozsiadł się i czekał, aż klient przyjdzie do niego. Jak się będzie ruszał, to przynajmniej jego krew nie wpadnie na żaden śmieszny pomysł, na przykład, żeby zastrajkować.

Podniósł się z trudem na nogi. Kaptur był na niego nieco za luźny, ale gogle i osłonę można było regulować, więc je dopasował ściśle do twarzy.

– A ty gdzie się wybierasz? – zapytała Colette.

– Na dwór, chcę się rozejrzeć po okolicy. Może gdzieś w pobliżu będzie jakiś sklep z elektrycznymi łózkami.

Zapiął górny zatrzask płaszcza, usiłował zacisnąć obszerny kaptur, ale mu się nie udało. Przytknął goglami i natychmiast zrobiło cię ciemniej. Dwa razy musiał macać po drzwiach, zanim znalazł klamkę. Obrócił ją, pchnął – i...

Ani drgnęły. Pchnął znowu.

– Zacięły się.

– O, bogowie! – zaczęła Colette. – Chronście nas przed takim wzbudającym cześć nabożną, przygniatającym, analitycznym...!

To był następny powód, żeby się stąd wydostać. W drzwi trafił porządny, szybki kopniak i kilka przekleństw w najlepszym gatunku. Albo poluzował je kopniak, albo może przekleństwa wywarły ocieplający wpływ na zamrożone zawiasy. W każdym razie drzwi uskoczyły o kilka centymetrów. A potem stawiając wprawdzie opór, ale przesunęły się w łożyskach. Zamknął starannie drzwi za sobą i odwrócił się. Upewnił się, na czym stoi – śnieg mógł zakrywać wszelkiego typu dziury – potem ruszył środkowym przejściem statku. Pod nogami chrupały mu zimne płatki. Brzmiało to tak, jak gdyby szedł po szkłe. Jego oddech tworzył maleńką chmurkę kłębiastą, cień życia, który wciąż go lekko wyprzedzał. Wiatr jęczał i wył w poszarpanym metalu. Czuł jak płuca mu się rozszerzają i kurczą. Wydawały się żałośnie małe w tym mroźnym powietrzu. Każdy oddech był bolesny, kłuł jak pszczele żądła i druciane szczotki.

Środkowe przejście było pochylone. Widać wahadłowiec zatrzymał się gwałtownie z nosem w dół.

I wtedy Ethan zrobił coś, co pewni ludzie mogli uznać za głupotę, ale zawodowo zajmował się dostarczaniem wyrafinowanych pod względem kulturalnym drobiazgów, a nie przeprowadzaniem planetarnego zwiadu. A na infotaśmie nie było nic, że nie wolno tego robić. Więc ukląkł, nabrał garstkę śniegu. Wyglądał całkiem jak zwykły, staroświecki śnieg, taki do zabawy w śnieżki. Połyskiwał w świetle jak śnieg. Podniósł go do ust, przez moment czuł, że jest zimniejszy od powietrza. Rozpuścił się w piecu jamy gębowej, spłynął w dół i tam pozostał. Zrobiony z wody, jak zwykły, pocziwy, ziemski śnieg. Wiedział z taśm, że atmosfera Tran-ky-ky była praktycznie taka jak ziemska. Nie wziął tylko pod uwagę, że w śniegu mogły nagromadzić się śladowe ilości pierwiastków toksycznych. Ale widać nie nagromadziły się, bo nic się nie stało. Śnieg i jego żołądek bez trudu się ze sobą pogodziły.

Na próbę uniósł odrobinę gogle. Była to krótka próba. Musiał zamrugać, żeby usunąć kilka zamrożonych łez, zanim znowu nasunął gogle na miejsce. Blask był ostry i nieustępliwy. Zza szkieł wszystko było widać równie wyraźnie jak przedtem, ale mógł patrzeć na śnieg i nie robiła mu się od tego papka z nerwów wzrokowych. Przyszła mu na myśl refleksja, że człowiek, który by tu trafił bez gogli, mógłby oślepnąć i nawet tego nie zauważyć, że ślepnie. To było dużo bardziej zwodnicze niż kurza ślepotą. Jak człowieka dopadło światło, to wychodził na tym dużo gorzej, niż jak go dopadły ciemności.

Trafił na wygładzony kawałek podłogi, pośliznął się, musiał łapać równowagę obiema grubo ubranymi rękami. Na chwilę zamarł w bezruchu, po prostu stał i łapał oddech. Uważaj, ty głupi! To nie miejsce, żeby sobie wykręcić nogę w kostce. Doszedł do końca przejścia. Rzucił szybkie spojrzenie w tył na kompletnie zrujnowany przedział pasażerski, a potem odwrócił się, żeby zajrzeć do kabinki pilotów. Drzwi odgięły się do środka jak pokrywka konserwy. Dziób wahadłowca był

zagrzebany w ziemi. Pozbawione szyb okienka wypełniała mieszanina sypkiej ziemi i śniegu. Przedostała się do kabinki, osypywała się po tablicy i oprzyrządowaniu. Widział tylko fragmenty poszarpanej konsoli i regulatorów precyzji lotu i zdumiał się, że drobnemu porywaczowi w ogóle udało się bezpiecznie wylądować. A jeśli chodzi o trójwymiarówkę, była tak pokiereszowana, że nie bardzo potrafił ją rozpoznać. Miał właśnie wyjść z kabiny, kiedy znowu się potknął. I znowu miał szczęście i nic mu się nie stało. Ale zaczynał być wściekły. Odwrócił się z zamiarem porządnego zwymyślenia tego pokręconego kawałka metalu, który tak sprytnie wkręcił mu się pomiędzy nogi, przekleństwa wypełzły mu na usta i tam para z nich uszła, kiedy zorientował się, że przeszkoda nie była z metalu. Chociaż była pokręcona.

Ciało było nagie, lekko przysypane śniegiem i zaczynało przybierać kolor, który nie świadczył o nadmiernie dobrym stanie zdrowia. Leżało tyłem do niego. Wyglądało na to, że potknął się o głowę. Ukląkł i położył dłoń na tył tej nieruchomej głowy. Przekreśliła się z łatwością, kiedy jej dotknął. Ze zbyt wielką łatwością. Du Kane miała rację.

Przyszła mu nagle, mdląca chęć, żeby zobaczyć, czy trup ma oczy zamknięte, czy otwarte, jak na tych trójwymiarowych pokazach. Mógłby je łagodnie zamknąć, gdyby były otwarte, tak jak to robili bohaterowie filmów. Ale zdecydował się ostrożnie wycofać, nawet tego nie sprawdziwszy.

Otrzeptyjąc śnieg z kolan odwrócił oczy od na wpół zamrożonego trupa. I zaczął zastanawiać się, jak ten facet, ten September, może wędrować poza osłonę szalupy nie mając jednego z tych specjalnych płaszczy. Potem przyszło mu na myśl, że przecież on ma dwa komplety ubrania.

Wyglądało na to, że w kabynie niczego nie da się uruchomić, wykorzystać. Jeżeli jednak uwzględnić zakres jego wiedzy na temat inżynierii, ta obserwacja nie miała żadnej wartości. Wyszedł niczego nie dotykając. Ślizgając się i jadąc na butach utorował sobie drogę do dziury, która królowała na lewej burcie szalupy. Kłęby podartej izolacji wylaziły spomiędzy podwójnych ścian. Oparł się o nie i ostrożnie wyrzwał na zewnątrz.

Przyprószone śniegiem ziemia leżała tylko o pół metra pod nim. Na prawo widać było poczciwy, solidny pagórek, w którym szalupa zagrzebała swój zmiotoszony ryjek. Niewielki to był pagórek. Prawdopodobnie można go było obejść dookoła, ale był wystarczająco wysoki i solidny, żeby powstrzymać ślizg rozpedzonej szalupy. Rosnące na wierzchołku karłowate, zimozielone drzewka wystawiały w kierunku słońca szczeciniaste korony. Niemal że nie zginały się w huraganowym wietrze. Zdrętwiał już tak, że prawie w ogóle nie czuł jego podmuchów. Kłujące go igielki zmieniały położenie w zależności od słońca. Kilka płatków śniegu leniwie pomykało z kamyka w dołek. Pieńki drzew były grube i wyglądały równie solidnie jak duramiks. Większość ziemi na zachód i na północ pokryta była zielonawym puchem, który wyglądał, jak krótka, bardzo gruba trawa. Odwrócił się, podniósł głowę i popatrzył na zachód, w stronę horyzontu. I dokonał następnego interesującego odkrycia.

Horyzont wyglądał, jak gdyby go ktoś nakreślił piórkiem. Linia oddzielająca ziemię i niebo była prosta, płaska i wszystko razem wzięwszy zbyt ostra, żeby mogła być prawdziwa. Na większości planet ludzkie oczy oczekiwały czegoś lekko zamazanego czy falistego. A tutaj nie. Można by złapać za tę linię i szarpnąć ją jak strunę.

Niebo nad jego głową było ciemnobłękitne, miało połysk wypolerowanej, starej cynowej misy. Kolor był równy, oleisty, nieskażony, kopuła niebios gładka jak pupcia niemowlęcia. Nie było na nim ani jednej chmurki. Mieli szczęście. Jakakolwiek chmurka w tej otchłani lodowatego błękitu bezzwłocznie wyrzekłaby się wszelkich aspektów lekkości i przybrała charakter solidnej, białej skały. Mieliby prawo się denerwować, gdyby jakaś prawdziwa chmura unosiła się im nad głową.

We wszystkie strony ciągnął się płaski, połyskujący, dziewiczy lód, z lekka przyprószony teraz śniegiem. Jedynym wyjątkiem był ten kleks ziemi, na którym utknęli. Przypomniawszy mu się następny fragment wiedzy z taśmy. W większości płytkie morza, zamrożone na amen. Dryfowali po lodowym oceanie. Blask nie zagrożonego niczym słońca na tym morzu bez fal byłby nie do zniesienia bez gogli.

Zeskoczył na ziemię. Był odrobinę zaniepokojony, że śnieg może im sprawiać kłopoty i z ulgą przekonał się, że był głęboki najwyżej na centymetr. Wewnątrz szalupy nagromadziło się go więcej i utworzyły się maleńkie zaspę. Odszedł kilka kroków od statku. Kiedy spojrzawszy w kierunku ogona, dostrzegł dwa głębokie wyżłobienia w lodzie. Biegły prosto jak strzelił w stronę południowego widnokregu. Pod szalupę nie mógł zajrzeć, ale było oczywiste, że przy lądowaniu wpadła w ostry poślizg. Podpórki podwozia zostały pewnie wyrwane lub zdarte do kikutów. Potem sama szalupa sunęła, kto wie, ile mil na brzuchu, aż przypadkiem trafiła na tę kupę ziemi i kamieni.

Po kilku krokach doszedł do miejsca, gdzie ziemia się kończyła. Odgarnął śnieg i przekonał się, że może zajrzeć w lód na kilka centymetrów. Pod spodem ziemia opadała w nieznaną, zamrożoną głębiny. Trawa, jak zauważył, wrosła aż w lód. Rosła gęstymi kępami, ale w bardzo zorganizowany sposób. Pomiędzy każdym źdźbłem a jego sąsiadem był zawsze kawałek pustego miejsca, maleńki, ale był.

Z tego wszystkiego wcale nie można było ocenić, jaką wielkość ma ta wyspa – a musiała to być wyspa. Wnętrze ust zamrzło mu już na chrupką skórę. Przesunął po niej językiem i poczuł się tak, jak gdyby liżał tekturę. Westchnął i z zamiarem obejścia wyspy dookoła stanął na lodzie. Bezzwłocznie zapoznał się z jeszcze jedną właściwością Tran-ky-ky. Jeżeli ktoś bez specjalnego wyposażenia próbował normalnie chodzić po lodzie, natychmiast wchodził w bliższy kontakt z powierzchnią.

Na szczęście nie pojechał za daleko po tym przejmująco zimnym lodzie, ale wracać musiał na czworakach. Zanim udało mu się dopełznąć z powrotem na stały ląd, zupełnie stracił czucie w dłoniach i kolanach.

Ci, którzy projektowali awaryjne zaopatrzenie szalupy, brali pod uwagę przede wszystkim przeciętny typ światów thranx-ludzkich i uwzględniali raczej wyższe zakresy skali na termometrze. Nie sądził, żeby na liście posiadanego przez nich inwentarza mogły znaleźć się łyżwy.

W tym momencie wiatr, jak gdyby chcąc upewnić go, że nie ma co spodziewać się wygod większych niż absolutnie konieczne, przybrał na sile i zabrał się do lekkiego ochładzania stosunków. Wyraźnie planeta zdecydowała, że najpierw zamrozi go na kość, a potem wiatr pozamiata szczątki.

Naprawdę ochłodzi się dopiero wieczorem – koncepcja zimna przybierała w myślach Ethana całkiem nowe znaczenie – i jak wiatr porządnie dmuchnie, chłód stanie się tak przenikliwy, że będzie



to rzeczywiście niebezpieczne. Będą musieli uważać, żeby nie zrobiły się z nich lodowe posągi – niewielka szansa, żeby je sobie ktoś poustawiał w ogródku. Oczywiście gdyby nie to względne schronienie w szalupie, zamarzliby na śmierć nawet w swoich termopłaszczach.

Albo mu się wzrok poprawiał, albo mróz powoli przeżerał mu mózg. Horyzont nadal przecinał niebo ostrą linią, tak jak papier przecina opuszkę palca, ale teraz wydawało mu się, że w oddali dostrzega zarysy jak gdyby szerzej rozciągającego się lądu. Ale nie był tego pewien. Przez moment sądził, że mogą być to jakieś wady samych gogli, kiedy jednak odwracał głowę, te odległe zarysy pozostawały na swoim miejscu.

Odwrócił się na prawo i krew mu się ścięła w żyłach. Tym razem tylko w przerośni. Trochę dalej było widać coś jeszcze, coś, co wylaziło zza krzywizny wysepki. Ale tym razem kiedy pokręcił głowę, to coś nie tylko nie zostało na swoim miejscu, ale zrobiło się większe. Kiedy podeszło bliżej, zmieniło się w postać przypominającą w przybliżeniu człowieka, chociaż dawały się zauważyć pewne różnice; nogi postaci wyglądały jak rozdęte, zniekształcone łapy. Postać zamachała rękami. Nie mając nic lepszego do roboty, Ethan też do niej pomachał. Podniósł się na nogi. Jeżeli okaże się, że ta postać nie jest człowiekiem, lepiej na spotkanie z nią będzie przybrać postawę bardziej odpowiednią do oddalania się w przyspieszonym tempie.

Postać okazała się ludzka, chociaż osoba była olbrzymia. Podwójne ubranie, jakie miała na sobie, sprawiało, że wydawała się jeszcze większa. Przywiodło to Ethanowi znowu na myśl ten płaszcz, w który był ubrany, wyraźnie przeznaczony dla dużo potężniejszego mężczyzny. Takiego jak ten. Ogarnęło go wątle poczucie winy. Przynajmniej gogle śnieżne September miał założone. Nadawały mu one z lekka ziemnowodny wygląd. Ethan zaczął się zastanawiać, czy sam też tak głupio wygląda. Prawdopodobnie jeszcze głupiej. Jeżeli temu człowiekowi przeszkadzał dotkliwy chłód, nie pokazywał tego po sobie. Kiedy podeszedł bliżej, problem jego rozdętych stóp sam się wyjaśnił. Najwyraźniej September rozerwał jedną czy dwie leżanki startowe, luronową tapicerkę uformował w parę grubych poduch i przypasał je do swoich wcale niemałych łap. Wyglądało na to, że luron jest wystarczająco szorstki i pozwala się jakoś utrzymać na lodzie. To sztuczne tworzywo było mocne i wytrzymałe i nie zużywało się nawet na bardzo ostrej powierzchni. A wyściółka nie tylko amortyzowała jego kroki; stanowiła również o krytycznej odległości pomiędzy stopami i wysysającym ciepło lodem. Prowizoryczne obuwie śnieżne wyglądało niezgrabnie, ale jako tymczasowa metoda transportu przewyższało znacznie ślizgi na własnym odwłoku.

Ethan przyjrzał się bliżej tej osobistości, która ich uratowała lub skazała. Ściśle mówiąc, żaden z niego olbrzym, chociaż istotnie był diabelnie wielki, większy nawet od nieboszczyka Kotabita. Dobre dwa metry w górę i proporcjonalnie szeroki w barach. Próbował go jakoś zaklasyfikować, nie udało mu się i wytrąciło go to z równowagi, chociaż nie od razu zorientował się czemu. W końcu nie miał zamiaru temu facetowi niczego sprzedawać. Przyjrzał się jego siwym włosom, drapieźnie sterczącemu nosowi, zupełnie nieodpowiedniemu złotemu kolczykowi. Gość miał w sobie bardzo wiele z angielskiego lorda z dużą domieszką ziemskich Arabów. Może z jakiegoś szczepu Beduinów.

September zatrzymał się, dyszał ciężko. Wokół jego zakrzywionego jak bułat nosa kłębiła się miniaturowa burza mgielna. Wyciągnął rękę i szeroko się do Ethana uśmiechnął. Ręka stanowiła nadzionko między dwoma kromkami wyrwanej z foteli pianki. Ethan zagapił się na nią.

– Może to i gorsze niż te ratunkowe rękawice, które masz na sobie, ale grzeje... na swój sposób. Trudno w tym czymkolwiek manipulować, ale w najbliższym czasie nie spodziewam się ładnej zegarmistrzowskiej roboty.

– Co do tego nie ma wątpliwości. – W odpowiedzi Ethan Uśmiechnął się szeroko i potrząsnął jego ręką. A raczej pozwolił, by tamten potrząsnął nim całym. – Pan musi być Skua September.

– Lepiej, żeby tak było – odparł tamten – bo jak nie, to ktoś poważnie oszukał panią September. Chociaż jej bardziej do smaku przypadłoby przypiekanie się na słoneczku.

Popatrzył w dal nad głową Ethana. Zabił parę razy rękę i nachuchał uważnie pomiędzy warstwy pianki. Przez cały ten czas nie spuszczał horyzontu z oczu.

– No i jak ci leci, mój chłopcze? Porządnie oberwałeś. Przez minutę czy dwie obawiałem się, że nie wyjdiesz z tego. Wystarczająco trudno tu się pozbierać i bez śpiączki.

– „*Więc spać. Śnić może? Jakież to sny będą?*” Nie, jakiś dłuższy sen tutaj z pewnością nie jest dobrym pomysłem – zgodził się Ethan. – Człowiek by się nawet nie zorientował, kiedy zamarźnie na dobre. A nie chciałbym zmarnować takiej okazji, jak przyjdzie na to czas.

September skinął głową.

– Powinno być całkiem interesująco. Ciekawe, jak się tu zamarza. Od góry do dołu, czy od środka na zewnątrz? – Skrzyżował ręce i zaczął się klepać po ramionach. – Wiesz coś na temat tej środowiskowej mrożonki? Ja liznałem tylko standardowych ogólnych wiadomości turystycznych z infotaśmy – język, ciekawostki, itd. Ten mały człowieczek, Williams, też. Myślę, że on będzie w porządku. Jest milczący. Nie ponurak, tylko nie lubi się udzielać. A ten zgniłek Walther, że się nie wyrażę, bez wątpienia poradzi sobie z lokalną gwarą. Chociaż prędezej bym mu język uciął, niż pozwolił zostać tłumaczem. A ty co?

– Ja jestem komiwojazerem i...

September nie pozwolił mu dokończyć.

– Więc nadziany jesteś jak faszzerowana papryka czasownikami i wyrażeniami przyimkowymi, i różnymi przydechami! Wspaniale, mój chłopcze.

Ethan wzruszył ramionami.

– Nie więcej niż byłby każdy na moim miejscu. Przesłuchałem też kilka taśm o miejscowych warunkach – kultura, flora, fauna, różne takie. Zawodowe sprawy.

– Albo sprawa przeżycia. – Klepnął Ethana po przyjacielsku po plecach, a ten aż się rozkaszał mimo grubej wyściółki, która zamortyzowała uderzenie. – Wspaniała przezorność, mój chłopcze. Przykładowa! Od tej chwili obejmujesz przywództwo.

– He? – Ethan miał wrażenie, że chyba opuścił ze dwa ważne akapity z tych pochwał. – Czemu

mam przywozić?

– No przecież będziesz przywoził naszej małej grupie i dopilnujesz, żeby bezpiecznie wróciła na łono cywilizacji, oczywiście. Wyprawa musi mieć przywódcę. Niniejszym mianuję siebie twoim wiernym zastępcą. Jak sądzisz, komendancie, kiedy naszym spragnionym oczom pojawi się najbliższy bar? – Coś pobłyskiwało pod nawisłymi brwiami.

– Czekaj no pan chwilkę – powiedział Ethan pospiesznie. – Chyba uważa mnie pan za kogoś innego, niż jestem. Wcale nie jestem typem przywódcy. A co z panem? Wykazał się pan potężnymi kompetencjami. Sposób, w jaki poradził pan sobie z tym całym Kotabitem...

– No cóż, niekiedy przydają się takie umiejętności – zgodził się September, przyglądając się bacznie swoim niezgrabnym rękawicom – ale mają one pewne ograniczenia. Poza tym on nie żyje. Na ten szczególny problem nie będziemy już musieli zwracać uwagi. Już taki jestem, że nie mam do ludzi cierpliwości i rozwalam im głowę, kiedy głaskanie byłoby może praktyczniejsze. Niech mnie diabli, jeżeli wiem, czemu tak jest, ale ludzie czują się przy mnie zagrożeni, nawet kiedy mam jak najlepsze intencje.

Potrzebny jest nam ktoś opanowany, rozsądny, doświadczony w pracy z ludźmi, kto umie szybko zmieniać front w nieznannej sytuacji, tak żeby ludzie nie poczuli się zagrożeni. Przecież to wszystko jest niezbędne, jeżeli trzeba w środku transakcji zmienić jeden rodzaj zachwalania towaru na inny. Przytomność umysłu i szybka orientacja, mój chłopcze.

– Pewnie, ale...

– Przekonywujący, a nie apodyktyczny. Dyplomata.

Ethanowi w końcu udało się powstrzymać tę nie kończącą się listę swoich zalet.

– Proszę pana, nie jestem pewien, czy posiadłszy umiejętność sprzedawania perfum Poupee-de-Oui, nadaję się na skrzyżowanie Metternicha z Amundsenem.

– Ale ta umiejętność pomagała ci przekonać ludzi, że białe jest czarne i jeszcze im się przyda. A tu wystarczy, żebyś ich przekonał, że białe jest białe. Łatwizna.

– W porządku, w porządku. Zgadzam się.

– Tak myślałem, że się zgodzisz.

– Jedyne dlatego, że panu wydaje się to konieczne. I niech pan pamięta, że tylko chwilowo. – Zaczął grzebać przy zatraskach kurtki. – A teraz mój pierwszy rozkaz jako przywódcy tej wyprawy wchodzi w życie natychmiast, ma pan założyć to ubranie. Wyraźnie jest ono szyte na kogoś o sylwetce zbliżonej do pańskiej postury. Nie znoszę, jak się coś marnuje, a ja się mogę w tym utopić.

– Przepraszam, mój chłopcze. – September wysunął dłoń i powstrzymał proces rozpinania. – Jesteś przywódcą, zgoda. Ale wciąż jeszcze jest to wolne społeczeństwo, a nie dyktatura. Oznacza to, że każdą decyzję należy poddać pod głosowanie, żeby ratyfikowała ją większość. A ponieważ

obecnych jest tylko nas dwóch, zależy to od nas. No?

– Jestem za tym, żebyś założył ten płaszcz.

– A ja jestem za tym, żebyś go nie zdejmował. Ile wazysz?

– He?

To już po raz drugi w ciągu ostatnich kilku minut Ethan miał okazję skorzystać z tego lebskiego okrzyku. Ach, ten jego olśniewający dowcip, cięty jak ostrze rapiera. Wymamrotał odpowiedź.

– Tak też myślałem – powiedział September. – Przegrywasz.

– Ale słuchaj, ty go lepiej wykorzystasz – przekonywał Ethan. – Ty bardziej jesteś typem odkrywcy niż ja. Poradzę sobie bez niego.

– Nie, nie uda ci się poradzić sobie bez niego – powiedział ostro September szczerząc zęby. – A jeżeli ten wiatr jeszcze mocniej dmuchnie – ciągnął dalej ustawiając się twarzą w stronę nasilających się podmuchów – wszyscy będziemy marzyć, żeby mieć jakieś dodatkowe cholerne ubrania. Poza tym, jeżeli jak twierdzisz, bardziej jestem typem odkrywcy, powinienem być w stanie lepiej wytrzymać zimno niż ty.

– Sam sobie przeczysz – zwrócił mu uwagę Ethan.

– Nie rób z siebie tępaka, kiedy ja się robię nielogiczny. A w ogóle ten cały Kotabit miał na sobie specjalną termobieliznę. Trochę za bardzo się do mnie przytula w różnych nieodpowiednich miejscach, ale całkiem mi w niej przyjemnie, zwłaszcza z tą podwójną warstwą wyposażenia zewnętrznego. Ten Walther też coś takiego pewnie ma na sobie. Wcale nie jest mu tak zimno, jak udaje. Może to i nie jest takie wygodne, jak te specjalne kurtki, ale nie zamrznę, mój chłopcze. Żeby tak szklaneczkę dobrej brandy. – Obliznął tęsknie wargi. – Martw się o siebie, a nie o starego Skua.

– A właściwie to ile pan ma lat? – zapytał z ciekawością Ethan, patrząc na długie powrozy mięśni, od których napinał się materiał.

Miał nadzieję, że Skua się nie obrazi.

Nie obraził się. Jeżeli można było coś wnioskować z szerokiego uśmiechu, od którego pomarszczyła mu się twarz, raczej go to rozbawiło.

– Starszy jestem niż ta pulchniutka pularda, którą du Kane ma za córkę, a młodszy nieco od księżycy. Ale wracajmy do ubrań. Wszystkie wasze stroje ratunkowe są ciemnobrązowe. Moje własne ubranie zewnętrzne jest białe. Każdy z was odbija od tego krajobrazu jak stary rodzynek na cytrynowym lukrze. Ja tam wolę raczej troszkę zmarznąć ale odrobinę mniej rzucać się w oczy. Stare przyzwyczajenie. Słuchaj, czy z tych twoich taśm możesz się w jakiś sposób zorientować, jakie zimno grozi nam tej nocy?

Ethan popatrzył przez przymrużone oczy w górę; słońce zwisało z nieba jak nieudany sygnał

światlny.

– Jeżeli spadliśmy gdzieś na tej samej szerokości co osiedle, to znaczy w pasie równikowym, temperatura w nocy spadnie prawdopodobnie tylko do minus trzydziestu czy czterdziestu. Na to może nakładać się wiatr, tak gdzieś od osiemdziesięciu do stu kilometrów na godzinę. Chyba wylądowaliśmy w porze bezwietrznej.

– Warunki jak dla sybaryty, co? – zamruczał September. – Przypomnij mi, bym się trzymał z daleka od przeciągów. – Kopnął rzadki, sparszywiały śnieg. – Ciekawe, czy du Kane’owie coś wiedzą?

– Pojęcia nie mam – odparł Ethan. – To zabawna para. Ten stary jak na kogoś, kto trzyma wodze imperium w swoim ręku, wydaje się dosyć niepewny. A dziewczyna... – Ethanowi aż twarz zmarszczyła się z pomieszenia, kiedy pomyślał o Colette. – Wydaje się kompetentna... a może nawet coś więcej. Ale taka jest pełna gorczy i żółci...

– Chodzi o to, jak wygląda? – odpowiedział September, a Ethan skinął głową. – Fatalna sprawa... Tyle na koncie, a zbudowana jest jak poducha. To grzech, zdecydowanie grzech. Ale nie sądzę, żeby miała być nam ciężarem, a na tym świecie sam nie miałbym nic przeciw paru dodatkowym kilogramom warstwy izolującej. – Jego myśli nagle przeskoczyły na inny tor. – To może być dobry pomysł, trzeba wystawić dziś w nocy wartę.

Oparł ręce po dwóch stronach dziury i wydzwignął się w górę do szalupy. Odwrócił się i podał Ethanowi pomocną dłoń.

\* \* \*

Kiedy Skua wciągał go na pokład, Ethanowi mignęło z przodu coś ciemnobrązowego. Wskazał gestem na kabinę pilotów.

– Co się właściwie stało? To znaczy, jak schodziliśmy w dół?

– Hmmm? A, to. – September wzruszył ramionami. – Cholernie to wszystko było dziwne. Widzisz, popiłem sobie trochę... nie żebym był pijany, rozumiesz!

– Skądże znowu – powiedział uspokajająco Ethan.

– No więc właśnie, gołnałem sobie. I chociaż w to trudno uwierzyć, nie jest to całkiem nie do pomyślenia, że mogłem ociupinkę przekroczyć swój limit. W każdym razie zgraja obrzydliwych członków załogi o bliżej nieokreślonym pochodzeniu wbiła sobie do swoich łżejszych od powietrza łbów, że zachowuję się w sposób nie licujący z ogólnie rozumianym dobrym samopoczuciem tych przeciętnych, fajtłapowatych pasażerów. No i rzucili się na mnie. Potem nic nie pamiętam, aż coś wyrwało mnie z głębokiego snu i w niemal kompletnych ciemnościach i przy zerowym ciężeniu, a jakaś banda karzełkowatych górników uznała, że moja czaszka nadaje się na kopalnię i usiłowała zapuścić próbny szyb w głąb. A do tego wszystkiego ktoś mnie związał.

Nasunęło mi się kilka możliwości. Raz, mam *delirium tremens*, a już bardzo dawno mi się to nie

zdarzyło, młodziku. A może właśnie taplam się w gigantycznym kacu z halucynacjami. Kiedy wreszcie zaświtało mi, że przyczyny mojego żalostnego stanu są czysto ludzkie, można powiedzieć, że się na serio zdenerwowałem.

– Rozumiem – powiedział Ethan. – Załoga pana związała i wrzuciła do szalupy ratunkowej, żeby pan wszystko odespał.

– No pewno! – zgodził się September. – Gdyby mnie wsadzili do aresztu czy w jakieś miejsce, które im służy za areszt na tych wielkich, luksusowych statkach, musieliby do sprawy podejść formalnie. Dużo łatwiej było zwalić mnie w pustą szalupę ratunkową. Na początku myślałem, że całe to koziołkowanie i podskoki to jakiś kawał. Ale obijanie się w stanie nieważkości o fotele jest cholernie bolesne! I ani trochę mnie nie bawiło. Potem przyszło mi na myśl, że szalupa oderwała się od statku, poza rozkładem jazdy wybrała się na przejażdżkę i właśnie daje nura w kierunku gleby. Z zasady nie lubię kidnapingu. A jeszcze bardziej nie lubię, jak to mnie porywają. Nie minęło parę chwil, a szalupa zaczęła podskakiwać w atmosferze jak kamień na wodzie. I jak sam wiesz, wcale te podskoki nie były łagodne. Nie byłem pewien, co się właściwie dzieje, ale nikt mnie o zdanie nie pytał. No to zerwałem więzy i ruszyłem, żeby się dowiedzieć. Resztę z was porządnie już pokołysało. Nie pamiętam, kto z was był przytomny, a kto nie, ale nikt się nie wrywał z żadnymi radami. Ten tam – tu machnął ręką w kierunku kabiny pilotów – okropnie się zdziwił, jak mnie zobaczył. I natychmiast wycelował we mnie swój promiennik. Od razu wiedziałem, że z tym gościem się nie dogadam. No, tośmy się trochę wzięli za bary. Tymczasem ten chłystek Walther nie mógł się zdecydować, czy ma się trzymać sterów, czy wyciągnąć swój promiennik i pomóc koledze. Skończyło się na tym, że próbował robić jedno i drugie naraz i żadne mu dobrze nie wyszło. Udało mu się wyciągnąć promiennik i udało mu się sprowadzić nas na ziemię. Rozwalił statek i swoją łapę też. A jak chodzi o tego drugiego faceta, nie miałem zamiaru go zabijać, ale on niewątpliwie miał taki zamiar w stosunku do mnie. – Pogrzebał w kieszeni i wyciągnął drugi promiennik. – Chcesz?

– Nie, dziękuję. Prawdopodobnie trafiłbym się w nogę. Niech pan je oba zatrzyma.

– W porządku. – Skua wepchnął broń z powrotem za pazuchę. – Jeżeli dziś w nocy zrobi się naprawdę groźnie, zawsze będziemy mogli rozgrzać jedną ze ścian. Wolałbym jednak tego nie robić. Nie wiem, na jak długo jeszcze starczą, a nie ma żadnego sposobu, żeby je tu podładować.

Ethan nieraz trzymał już promiennik w ręce, chociaż teraz nie miał na to ochoty. Czasami było to konieczne przy prowadzeniu interesów. Na niektórych planetach tubylcy w przebłytku naiwnego geniuszu dochodzili do wniosku, że najkorzystniejsza dla nich transakcja będzie polegała na pozbyciu się handlarza i konfiskacie jego towarów, co przy sposobności pozwoli im dowieść starego przysłowia, że jednak można otrzymać coś za nic. Tym razem jednak broń może bardziej się przydać, żeby ogrzać plecy sobie, a nie jakiemuś nieuświadomionemu dzikusowi. Lepiej, żeby pozostała pod opieką Septembra. Ten ostatni przerwał jego zamyślenie.

– A co z jedzeniem?

– Ma pan na myśli miejscowe jedzenie? Nie wiem. Czy nie sądzi pan, że wystarczy nam tego, co mamy na statku?

– Wahadłowce o takich rozmiarach konstruuje się dla około dwudziestu osób – poinformował go September. – Nas jest tylko sześcioro. Ale wielcy świata tego zakładają w swojej bezprzykładnej mądrości, że takich statków będzie się używało wyłącznie do lotu z nie nadającego się do zamieszkania statku na nadającą się do zamieszkania planetę. A nam się zdarzyło coś wręcz przeciwnego, nie? Nie liczyłbym więc na to, że znajdziemy tam więcej koncentratów żywnościowych niż na jakieś dwa tygodnie. No i mnóstwo witamin w pigułkach. Taka ilość jedzenia powinna nam wystarczyć na około cztery ziemskie miesiące. A nawet dłużej, jeżeli umiejętnie będziemy nimi gospodarować. Przy założeniu – dodał – że wszystko przetrwało lądowanie w stanie nadającym się do spożycia. Przynajmniej nic musimy się martwić, że się coś zepsuje. Nie w tym klimacie. Było coś, o co Ethan chciał już od dawna zapytać.

– Jak pan myśli, jakie mamy szansę?

September zamyślił się.

– Dwa tygodnie plus koncentraty spożywcze dla dwadzieściora ludzi, mamy z czym zacząć. Musimy coś wymyślić, żeby to przewieźć. I jakiś lepszy sposób na wędrówkę dookoła tej zamrożonej kuli bilardowej niż to – wskazał na swoje prowizoryczne buty. – Tyle na początek. Potem będziemy musieli znaleźć jakiś sposób, żeby nie zamarznąć, kiedy noce zrobią się naprawdę zimne i żeby uchronić się przed tym przeklętym wiatrem. Musimy coś wykombinować, żeby zorientować się, gdzie teraz jesteśmy, gdzie jest Dęta Małpa i jak połączyć oba te miejsca linią prostą, której będziemy w stanie się trzymać. Zakładając, że uda nam się tego wszystkiego dokonać, moglibyśmy tam dojść w cztery miesiące. Ale nie postawiłbym na to ani dziesiątej części kredytu. Może nam to zająć nawet rok. To dlatego ciekaw jestem, jak się ma sprawa z miejscowym pożywieniem.

– Tak. – Ethan usiłował przypomnieć sobie te szczegóły z taśm, które nie dotyczyły przeprowadzania transakcji handlowych. – Mamy na przykład to.

Zeskoczył na lód i przeszedł na wyspę. Tam pochylił się i wyrwał z zamrożonej ziemi kilka źdźbeł trawy. Musiał się za każdym razem dobrze przyłożyć, a nawet wtedy trawa poddawała się z najwyższą niechęcią.

Te grube łodygi czy liście, czy co to tam było, miały nie więcej niż dziesięć centymetrów. Im dalej od ziemi wysuwały się w lód, tym się robiły krótsze. Źdźbło, które zerwał, nie miało brzegów ostrych, jak u ziemskiej trawy, było grube, mięsiste i solidne. Przypominało bardziej spiczastą, trójkątną kiełbasę. Nawet kolor miało inny; było zielone, ale z dużą domieszką czerwieni. Kolor innych łodyżek wahał się od jaskrawo szmaragdowego, do soczyście rdzawego. W zupełnie bezsensowny sposób ta roślina swoją budową chyba najbardziej przypominała ziemską śródziemnomorską trawę, *południk okroplony*. Tyle, że poszczególne źdźbła rosły wyżej, prościej i nie tworzyły nawet w przybliżeniu tak gęstych kęp, jak swojska *mesembryanthemum crystallinum*.

– Jeżeli dobrze sobie przypominam, co było na taśmie, to ta trawa porasta całą planetę – powiedział Ethan. – Nazywa się to pika-pina i jest jadalne, chociaż nie ma wciąż pewności co do wartości odżywczej. Ale ma wysoką zawartość soli mineralnych i jest bogata w białka. To nie jest prawdziwa trawa, mieści się gdzieś pomiędzy trawą a grzybami. Rośnie nawet na gołym lodzie. Ma

bardzo skomplikowany system korzeniowy. Nie jest rośliną kwitnącą.

– W to mogę bez trudu uwierzyć – zapewnił go September. – Żadna szanująca się pszczoła za nic nie najęłaby się do roboty na tej planecie. – Wziął niezgrabnie w okryte rękawicą palce jeden z grubych pędów i przyglądał mu się z zainteresowaniem.

– Mówisz, że ma dużo białka? To dobrze. Będzie nam trzeba jak najwięcej surowego paliwa, kiedy skończą nam się zapasy. – Przegryzł źdźbło na pół i zaczął je z namysłem przeżuwać.

– Wcale nie najgorsze – powiedział po chwili. – Nie dorównuje sałatce ze szpinaku, ale dużo lepsze od mleczy.

– Mleczy?

– Wszystko jedno, chłopcze. Mało prawdopodobne, żebyśmy na jakieś mlecze tu trafili. – Przełknął, wsunął drugą połowę do ust i ją również zjadł. – Ma grubą skórę i jest łykowata, jak stary but. Ale smak ma nawet interesujący. Słodkawy, łagodny. Bardziej pietruszka niż seler. Gdybyśmy mieli wszystko, co trzeba, to z odpowiednim sosem można by z tego przyrządzić prawie cywilizowaną potrawę. Pewnie nie mamy ze sobą octu, co?

– Nie, chyba że wystarczy panu kwaśny humor córki du Kane’a. – Ethan prychnął. – Niektóre z tych roślin na wyspie też powinny być jadalne, ale nie pamiętam dokładnie. Trudno mieć zaufanie do wiadomości z infotaśmy, jak się słuchało jej tylko raz. Obawiam się, że większą uwagę zwracałem na lokalny system monetarny i zasady handlu wymiennego. Ale pika-pinę pamiętam.

– A co ze zwierzętami? Z chęcią skosztowałbym jakiegoś steku.

– W ogóle nie mogę sobie przypomnieć rozdziału o faunie. – Ethan szperał w pamięci, aż mu się czoło zmarszczyło. – Ale są tu zwierzęta. I coś w rodzaju ryb. Przypominam sobie też, że ryby są jadalne. Do tego podobno niesłychanie smaczne. Rozwinął im się taki metabolizm z niskim zapotrzebowaniem na tlen. W ten sposób mogą przeżyć pod powierzchnią.

– Rybki, powiadasz? Nawet wolałbym je od steku.

– Jest tylko jeden problem – przypominał mu Ethan. – Trudno się do nich dostać przez co najmniej ośmio czy dziewięciometrową warstwę lodu.

– Och – powiedział September, a jego wielki dziób trochę się pochylił. Miał przygnębiony wyraz twarzy. – Zapomniałem o tym drobnym szczególe.

– A jak pan myśli, co powinniśmy teraz zrobić? – zapytał Ethan. Mógł sypać jak z rękawa interesującymi informacjami o tej planecie, ale żeby zaproponować jakieś ich bezpośrednie zastosowanie, to całkiem inna sprawa.

– Po pierwsze, musimy się jak najlepiej przygotować na noc. Zaśniemy bez problemów, nie ma strachu. Ale chciałbym zasypiać, mając jaką taką pewność, że się obudzę. Jeżeli uda nam się przetrwać noc bez większych kłopotów, może jutro jakoś skombinujemy coś w rodzaju sań i



zaimprovizujemy jakieś ożaglowanie. Ci tak życzliwi nam porywacze mogli mieć jakieś lokalne mapy, chociaż wątpię. Wszystko zależy od tego, gdzie wylądowaliśmy. Udało mi się rzucić okiem na ekran latarni kierunkowej; zesliśmy z kursu tak daleko, że sygnał ledwo było widać. Nie, placówka na pewno nie jest tuż za rogiem. Ale niewykluczone, że znajdą się jakieś mapy. Trzeba pamiętać, żeby zapytać o nie tego naszego żalostnego robaczka.

– Myśli pan, że będzie z nami współpracował?

– A czemu nie, mój chłopcze? On też kandyduje na mrozonkę. A tymczasem pogrzeb jeszcze w tych wiadomościach z infotaśmy i zobacz, czy nie uda ci się umiejscowić Asurdunu w stosunku do jakichś większych punktów orientacyjnych czy nietypowych formacji powierzchniowych. Ja tymczasem zajmę się tym, żebyśmy nie zamarзли w nocy. Wolałbym w kabinie nie rozpalać ognia, trochę tam ciasno, ale nie widzę sposobu, żeby tego uniknąć. Pewnie powinniśmy być wdzięczni, że trafiliśmy tu na coś w rodzaju zapasów drewna. Gdybyśmy zatrzymali się na środku tego – pokazał na nie kończący się lodowy ocean – naprawdę byłibyśmy w tarapatkach.

Ethanowi przyszło na myśl, że w wahadłowcu nie było nic, co mogłoby się zapalić. Oczywiście, że nie. Niepalne były też opakowania samogrzrejnych posiłków i wyściółka foteli. Sam Patrick O'Morion miałby kłopoty z rozpaleniem ogniska z dostępnych na wahadłowcu materiałów. Temperaturę można by podnieść za pomocą paru podgrzewaczy z racji żywnościowych, ale trzeba mieć co palić. Lepiej by człowiek wyszedł na tym, gdyby znalazł się w dawnych czasach na starej Ziemi, kiedy środki transportu sporządzano z naturalnego drewna, a jako paliwa używano produktów organicznych.

September gestem wskazał na wyspę.

– Możemy użyć promienników do ścinania drzew. Mam nadzieję, że nie ma w nich za dużo żywicy, mogłyby się nie zająć. Ciekawe, jak one to robią, że im nie zamarzają soki?

Kiedy September wspomniał o zamrażaniu, Ethan rzucił znowu okiem na słońce. Przeraził się, jak nisko już opadło. A równocześnie niemal wyczerpało się dzienne ciepło – nie, nie można było tego nazywać ciepłem – powiedzmy możliwszy do zniesienia chłód. Przypomniał sobie, że dzień był tutaj o około dwie godziny krótszy niż dzień ziemski, czy dzień na statku.

Drzwi do kabiny otwały się z piszczącą niechęcią. Colette du Kane wytknęła głowę na wiatr. Jak duży borsuk czy świstak obudzony na chwilę ze snu zimowego, przemknęło Ethanowi. Zły był na siebie – co ona mu złego zrobiła? Ale nie mógł się powstrzymać od takich myśli. Nic na to nie mogę poradzić! Przeprósł ją w myślach. Colette nie miała zdolności telepatycznych i nawet nie spojrzała w jego stronę, tylko wbiła wzrok w senne niebo.

– Znaleźliście coś? – zapytała. Pytanie skierowała w przestrzeń, gdzieś w okolice prawego ucha Ethana. Nie powinien był mieć jej tego za złe, ale miał.

– Drzewa. Ale niełatwo je będzie teraz pościnać.

– Chodź, Skuo – wybuchnął Ethan bez zastanowienia. – Weźmy się za te drzewa. Daj no

promiennik.

– Zdawało mi się, że nie chcesz nim sobie zawracać głowy – September był wyraźnie zaskoczony.

– Zmieniłem zdanie. Będę ciął, a ty noś... nie! – ręka Septembra zatrzymała się w pół drogi. – Jak mnie jeszcze raz po przyjacielsku klepniesz po plecach, nie będę w stanie nawet tego unieść. – Wziął promiennik i mocno go ścisnął przez rękawiczkę.

– W porządku, Ethanie. Przydałby nam się solidny sąg drzewa i to jak najszybciej. A w każdym razie zanim się zrobi dużo ciemniej. Albo wietrzniej – zakończył, podciągając wielowarstwowy kołnierz wyżej.

Odwrócili się i wyszli ze zniszczonej szalupy. Colette przyglądała im się z namysłem, dopóki nie zniknęli. Potem potrząsnęła głową i uśmiechnęła się leciutko, zamykając za sobą drzwi.

\* \* \*

Zanim wleźli z powrotem do metalowego pokoiku, słońce zniknęło już w swoim mroźnym grobie, a w zastępstwie pojawiło się złowrogie, lodowate oko księżycy. Całą uwagę Ethana pochłaniały wysiłki, żeby się nie roztrząść na kawałki. Miał takie gwałtowne dreszcze, że niemal widział, jak odpadają z niego różne fragmenty i podskakują po duramiksowej podłodze. Tu paluszek, tam oczko. Ale schowali się przynajmniej przed tym piekielnym wiatrem. Skóry nie odmroził sobie tylko dlatego, że w kombinezonie ratunkowym były ochronne podgrzewacze twarzy. Jak September był w stanie to wytrzymać, nie miał pojęcia.

A miało się zrobić jeszcze dużo gorzej.

Nagle coś na niego wpadło od tyłu; udało mu się chwiejnie usunąć z drogi, kiedy zataczając się wszedł do środka September. Niemal nie było go widać spod ogromnego ładunku drewna, tak czysto nie porąbałoby się go żadną siekierą.

Ethan odsunął się na bok od drzwi i powoli opadł na podłogę. Jeżeli wydostaną się stąd i uda mu się zachować wszystkie swoje części składowe w stanie nie naruszonym, to poszuka sobie jakiegoś miłego, spokojnego, ciepłego zajęcia w samej głębi biurokratycznych trzewi organizacji i w spokoju będzie się wygrzewał. Promiennik cisnął w kąt.

Walther, który i tak zaczął już przypominać pająka podkopyka, rzucił się na broń w sposób bardzo przypominający to stworzonko. Bezzwłocznie odwrócił się i zaczął wymachiwać promiennikiem w kierunku Skuy. Zaczynał ten człowiek, nie zwracając na niego uwagi, układał pocięte drewno obok kilku pustych skrzyń po jedzeniu – wszystkie z niepalnego plastiku, oczywiście.

– To nie był najmądrzejszy pomysł, koleś – powiedział porywacz do Ethana, nie spuszczać oczu z Septembra. – A ty, ty kwaśna mordo, żebyś też niczego nie próbował! – ostrzegł Williamsa.

Nauczyciel jednak ani drgnął. Nie drgnęli też Colette, ani jej ojciec.

Ethan przysunął się do kartonów w poszukiwaniu jakiegoś cieplejszego miejsca, ale spotkał go

przykry zawód. September ułożył na środku podłogi kilka gałązek i trochę drewna na stoliku zielonobrunatnych igieł. Leżało tam też kilka kępek czegoś, co wyglądało na mech, ale prawdopodobnie nim nie było.

Colette usiadła prosto i zwróciła się do ojca.

– Ojcie... twoja zapalniczka.

– Co? – Starszy pan wyglądał, jak gdyby nie rozumiał, potem rozjaśnił się i rzucił coś małego i błyszczącego w kierunku Septembra.

– To powinno się przydać, panie September. Obawiam się, że nie jest pełna. Nie ma co chować jej na później. Obejdę się bez palenia przez jakiś czas. – Jego uśmiech był pełen nadziei.

September pstryknął małą zapalniczką na paliwo stałe – była, jak zauważył Ethan, cała pokryta filigranem z czystego irydu.

– Dzięki, du Kane. – Starszy pan wydawał się zadowolony. – Dużo wygodniej będzie użyć tego niż podgrzewacza z jednej z tych paczuszek żywnościowych, i łatwiej.

Drobne igły zajęły się niemal natychmiast. Ethan pomyślał, że zabezpieczenia przeciwpożarowe nie były na tym świecie bardzo potrzebne. Drewno na początku pryskało i strzelało jak fajerwerki na jakieś chińskie święto, ale wyglądało na to, że się zajmie. Łatwiej byłoby im nazbierać pika-piny, niż ścinać drzewa, ale to łykowane poszycie zawierało tak dużo wilgoci, że na pewno by się dobrze nie paliło. Równie dobrze można by próbować zapalić mokłą gąbkę.

– Ty!

Waltherowi powoli przestawała się podobać akcja na drugim planie. Przecież to on powinien być panem sytuacji, ale chyba nikt nie przyjął tego do wiadomości. Zaczynał się denerwować. Najpierw przysłuchiwał im się bez zrozumienia, a teraz się wściekł.

– Łeb ci odstrzelę – wyszczerzył zęby do Septembra. – Będziesz miał śliczną, małą dziurkę na przestrzał przez całą głowę.

September pogrzebał jeszcze przy ogniu, aż iskry poszły. Obejrzał się na drzwi i przesunął stopą żar tak, że zasilął go powiew płynący przez powyginane brzegi. Potem leniwie spojrzął na Walthera.

– Nie uda ci się tym tego zrobić.

– Jak ci się zdaje, że możesz blefować... – porywacz aż dygotał.

– Zamknij się, karzełku. Wleź z powrotem do swojej dziury. Nie widzisz, że jestem zajęty utrzymywaniem cię przy życiu?

Walther trząsał się. Oczy mu się rozszerzyły, zacisnął zęby. Jego palec zaciskał się na zakrzywionym cynglu.

– Ma zamiar cię zastrzelić – powiedziała Colette spokojnie. – Biedaczyna.

U wylotu lufy promiennika zamajaczył zielonkawy płomyk. I koniec.

Walther popatrzył z niedowierzaniem i znowu pociągnął za cyngiel. Tym razem światełka niemal nie było widać. Kiedy spróbował trzeci raz, nie pokazała się nawet najlżejsza poświata. Z gardła wydobył mu się jęk, może lęku, może udręki, upuścił bezużyteczną broń i umknął znowu w cień, oszczędzając chorą rękę. Nie spuszczał szeroko otwartych, obecnie pełnych przerażenia oczu z Septembra.

Przez kilka minut panowała cisza, potem September znowu pogrzebał w ogniu.

– Uspokój się, Walther. Z radością ukręciłbym ci ten twój łeb i wyrzuciłbym cię na przód, do towarzystwa twojemu sztywnemu koledze, ale nie mam zamiaru tego robić, a przynajmniej nie w tej chwili. Być może jutro najdzie mnie chęć albo pojutrze. Faktem jest, że nie byłaby to dla mnie pierwszozna, ale stanowisz taką żalospną namiastkę człowieka, że właściwie szkoda się wysilać. Ograniczyłem się więc do tego, żeby ci złamać rękę. Ale więcej nie zwracaj mi głowy.

Usadowił się koło drzwi i ze skupieniem zajął się upychaniem kilku wąskich pasków podartej wyściółki foteli w szparę po stronie zawiasów. Drugiej szpary nie zatykał, żeby dochodziło powietrze do ognia i do nich.

– W każdym razie może uda nam się wpuszczać nieco mniej wiatru – mamrotał na wpół do siebie.

Colette grzebała w pojemnikach z jedzeniem. Wyciągnęła jedno opakowanie i odczytała etykietę.

– Kurczak w kokilce – zamruczała. – Bardzo to miło, ale zysk z tego niewielki. Niech skazaniec zje obfity ostatni posiłek. Któryś z tych przewoźników ma poczucie humoru.

Ethan z zaskoczeniem podniósł wzrok. Była to jej najbardziej do żartu zbliżona wypowiedź, odkąd im się to przydarzyło. Jeżeli miała jakiś głębiej ukryty sens, nie umiał go znaleźć.

Zaczęła rozdawać samogrzejne dania, a Ethan był tak głodny, że skończył pierwszą porcję, zanim przyszło mu do głowy popatrzeć na nalepkę.

September pomrukiwał, usiłując powpychać i powciskać oporny materiał w szczelinę. Obejrzał się na Williamsa, który siedział skulony przy ogniu.

– Bardzo się pan dobrze zachował, panie nauczycielu. Tak jakoś ciekaw byłem, co pan robi.

Williams podziękował za pochwałę ledwo dostrzegalnym pochyleniem głowy.

– Nie spodziewałem się, żeby pan Fortune był tak zmęczony, czy tak niemądry, żeby rzucał użyteczną broń w kierunku tego osobnika. Stąd założyłem, że musiała się wyczerpać, albo jakoś inaczej przestała działać. Bardzo sympatyczny ogień pan tu rozpałił.

– Niech panu służy, z miłą chęcią, dokąd się pali – odpowiedział September. – Sądzę, że na tę noc

wystarczy nam drzewa. Chyba mi się nie zdaje, że mówiłeś mój chłopcze, że noce są tu krótsze?

Ethan odwrócił się na drugi bok. Usiłował ułożyć się jak najbliżej płomieni, nie zostając przy tym ofiarą całopalną. Nie udało mu się jeszcze znaleźć tego ciepłego miejsca, którego szukał, a jeżeli na duramiksie było gdzieś jakieś miękkie miejsce, też umknęło ono jego uwadze.

Problem polegał na tym, że wokół buzującego ale niewielkiego ogienka tłoczyło ich się sześcioro. A to oznaczało, że przy ogniu mógł się zmieścić tylko niewielki kawałek człowieka. Albo ciepło, albo uprzejmość, innej możliwości nie było. Tak więc jeden koniec człowieka częściowo się rozmrażał, a drugi – mówiąc metaforycznie – tkwił w zamrażalniku.

Bardzo to było przykre.

## ROZDZIAŁ III

Pozbyli się opakowań, układając je jedne na drugich w pustym kartonie, który wepchnęli głęboko w kąt. September był za tym, żeby wszystkie śmieci wynieść na zewnątrz i wyrzucić na wiatr, chciał, żeby ich kryjówka była schludna, przynajmniej dopóki będą w niej siedzieć, ale tymczasem huragan na zewnątrz przybrał wymiary łącie brobdingiańskie. Wiatr niósł ze sobą szybką, mroźną śmierć, mimo ochrony jaką dałyby im kombinezony i ogrzewacze twarzy. Przegłosowali go cztery do jednego i potężny mężczyzna wyraził zgodę.

– Żałuję, że nie wiem czegoś więcej o tych tubylcach – mamrotał.

Złożono żarłocznym płomieniom w ofierze następne polano. Siedzieli skuleni w swoich kombinezonach ratunkowych wokół pomarańczowoczerwonej rzeźby kinetycznej i wyglądali jak zamrożone tusze, czekające na piłę rzeźnika. Ale drewno ciągle się paliło, co im dodawało ducha, chociaż chwilami płomień otaczała niesamowita, fioletowa poświata. Pod spodem tworzył się miły stosik żaru. Nawet duramiks zdawał się przybierać czerwony odcień od równomiernie pulsujących płomieni.

– Nie ma w tym nic dziwnego, że jeszcze nikogo nie spotkaliśmy – powiedział Ethan. – Mogliśmy spokojnie wylądować w samym środku największej pustyni na tej planecie.

– Wszystko jest w porządku, ojciec – szeptała Colette do swego rodziciela. – Twoje kwiaty mają dobrą opiekę... a kiedy patrzyłam ostatni raz, Międzynarodowe Smary na Goldinie IV poszły w górę o sześć punktów.

– Człowiek sądziłby, że powinni zauważyć, jak ta szalupa leci w dół – mruknął September. – Tu jest takie czyste powietrze, że powinni byli nas widzieć na setki kilometrów stąd.

– Może i zobaczyli – przyznał Ethan. – Ale i tak może to miejscowej ludności zająć kilka dni czy tygodni, zanim zorganizują ekspedycję, która by do nas dotarła. Zakładając, że będą skłonni ją organizować.

– Mimo wszystko należałoby wystawić wartę – uznał September.

– Nie przesłuchałem niczego poza podstawowymi infotaśmami – zaczął Williams – ale wydaje mi się, że jacy by nie byli ci wasi tubylcy, to w taką noc jak ta nie zapuszczaliby się za daleko.

Podmuch wiatru znowu załomotał drzwiami, jak gdyby na potwierdzenie teorii nauczyciela.

– Dla nich to może być tropikalna noc – odparował Ethan. – Ale jeżeli jesteśmy tak daleko od

jakiegokolwiek osady, jak się zdaje, to dla ludności miejscowej maszyny lotnicze muszą być czymś obcym. Nie można przewidzieć, jak zareagują. Mogliśmy przecież przelecieć nad lokalną metropolią i niemal na śmierć przerazić mieszkańców. A jeżeli tak, to mogą ogłosić, że ten obszar lodu ma na zawsze pozostać tabun, czy jak to tam miejscowi określają. Już się z czymś takim zetknąłem.

– Miejmy nadzieję, że nie – powiedział September żarliwie. – Zaczynam odnosić wrażenie, że będzie nam potrzebna pomoc z zewnątrz, jeżeli mamy jeszcze kiedyś zajrzeć do kieliszeczka brandy. Ale to nie dlatego uważam, że powinniśmy wystawić wartę. I nie ma to nic wspólnego z nim. – Gestem wskazał Walthera.

W odpowiedzi, z miejsca, gdzie siedział porywacz, dobiegło ich jedynie cienkie skomlenie, jakby chrapanie myszy. Walther spał jak zabity.

– Chociaż dopóki będą go nachodzić takie pomysły jak atakowanie nas i dopóki mamy jeden czynny promiennik – poklepał się po kieszeni kamizelki – byłoby dobrze, żebyśmy wszyscy naraz nie zapadali w drzemkę. Ale martwię się przede wszystkim, żeby nam ogień nie wygasł. Jak zgaśnie, to mamy to jak w banku, że zrobi się tu całkiem chłodno. I możemy się nigdy nie obudzić.

– Zgadzą się – powiedziała nie ociągając się Colette.

– Ja zwykle nie śpię do późna w noc – poinformował ich Williams. – Jeżeli nikt nie wyraża sprzeciwu, z przyjemnością obejmę tę pierwszą, uch, wartę.

– Bardzo dobrze... a ja obejmę drugą – zgłosiła się na Ochotnika Colette. – Ale będziecie musieli zwolnić mojego ojca z tego obowiązku... obawiam się, że to ponad jego siły.

– Ależ moja droga... – zaczął du Kane.

Colette cmoknęła go od niechcienia w czoło.

– Cicho, staruszk. Oprzyj się o mnie.

– Ale twoja matka uważałaby...

Oczy Colette przybrały nagle tak szalony wyraz, że Ethanowi aż dech zaparło. Wyglądała, jak gdyby miała zamiar się rozkrzyknąć, ale zamiast tego powiedziała tonem, który świadczył, że trzyma nerwy na wodzy, chociaż z trudem.

– Nie wspominaj mi teraz o tej kobiecie.

– Ale...

– Nie!

Głosem dała wyraźnie do zrozumienia, o co chodzi. Nie było miejsca na wątpliwości. Ethan miał ochotę delikatnie zadać jej pytanie czy dwa, popatrzył jeszcze raz w te przenikliwe, zielone oczy i zdecydował się nie wtrącać. Zajmij się swoimi sprawami, głupcze! Okręcił się i ułożył twarzą do

ognia.

\* \* \*

Wydawało mu się, że dopiero co się przyłożył po swoich dwóch godzinach warty, kiedy nagle coś go obudziło. Leżał twarzą do odległego o pół metra ognia. Przez chwilę, gdzieś bardzo głęboko w jego wnętrzu, coś bardzo prymitywnego skuliło się z przerażenia. Ale dzięki temu szybko się rozbudził. Przekręcił się i znalazł się niemal nos w nos z Williamsem.

Nauczyciel przyłożył palec do warg. Ethan powoli usiadł i zdusił cisnące mu się na usta pytania. Po drugiej stronie żarzącego się ognia widać było Colette du Kane. Miała taki wyraz twarzy, że całkiem odechciało mu się spać. Obgryzała sobie kostki u jednej z rąk. Obok w napięciu klęczał jej ojciec, obejmując ją ramieniem. Skua September, który w blasku ognia wyglądał całkiem jak Hefajstos, stał z boku i wpatrywał się z przejęciem w drzwi. Ostatni promiennik trzymał kurczowo zaciśnięty w prawej pięści. W środku, dzięki temu, że palił się ogień, nie zrobiło się dużo zimniej, ale naciskająca ze wszystkich stron ciemność była niemal namacalna.

Ethan uświadomił sobie, że w maleńkiej kabinie daje się wyczuć coś nowego i nieprzyjemnego. Ludzie nie umieją równie dobrze jak ich psy wywęszyć lęku, ale potrafią rozpoznać go u siebie nawzajem.

– To było podczas warty panny du Kane – wyszeptał nauczyciel cicho. – Obudziła pana Septembra, który uznał, że najlepiej będzie obudzić pozostałych.

Ethan odwrócił się na tyle, by kątem oka dostrzec Walthera, który siedział w swoim kącie i nie mógł opanować drgania rąk.

– Podobno pannie du Kane wydało się, że słyszy, jak coś się porusza na zewnątrz – ciągnął dalej Williams. – I chociaż, jak wyznała, brak jej rozeznania w miejscowych formach życia, nie wydaje jej się, żeby to miał być któryś z waszych tubylców. Oczywiście nie może mieć pewności.

W tym momencie rozległ się dźwięczny łomot, nagły niby zapłon silnika, jak gdyby coś ciężkiego uderzyło w metal. Odgłos dochodził z zewnątrz. September spał się do skoku. Dobiegający z kąta chichot Walthera działał wszystkim na nerwy. September syknął na niego, żeby się zamknął albo mu kark skręci.

Ethan słyszał, jak gdzieś daleko coś szura i czymś podzwania. Odgłosy brzmiały tak, jak gdyby dzieliło je od nich z tysiąc mil. Niestety, było to mało prawdopodobne. Na dodatek ponad wycie wiatru wyraźnie wybijał się niski, jękliwy dźwięk. Taki odgłos wydają z siebie ludzie wyrwani nagle z koszmarnego snu. To był mocniejszy, to słabszy, jak pracujący na jałowym biegu silnik. Dźwięk był bardzo niski. Chwilami przerywało go basowe pokasływanie. Rozległo się głośnie łupnięcie. Potem zapadła cisza. Potężny mężczyzna ani drgnął. Ethan przyglądał mu się. September trwał sprężony do skoku, łowiąc uchem jakieś niewyobrażalne dźwięki.

Wiatr mozolił się nieprzerwanie nad swoją samotną pieśnią, porykiwał nieustannie, monotennie, a od tego ryku Ethanowi po grzbiecie chodziły zimne dreszcze. Niemal już uwierzył, że na zewnątrz



poza wiatrem świszczącym w porozdzieranym metalu niczego więcej nie ma. Może to tylko jakiś wyrwany fotel podskakuje po zniszczonym kadłubie statku.

Podczołgał się powoli do drzwi. Przyłożył ucho w pobliże otwartej szpary, zignorował wiatr, który usiłował mu to ucho odgryźć. Zwracał jednak uwagę, żeby nie dotknąć metalu. Przez ten czas nawet wewnętrzna powierzchnia drzwi zrobiła się potwornie zimna, skóra się mogła do niej przylepić.

Obejrzał się na Septembra i potrząsnął głową na znak, że niczego nowego nie słyszy. September skinął głową raz. Promiennik w jego ręce nawet nie zadrżał.

Ethanowi wydało się, że z zewnątrz dobiega jakiś głuchy łomot i zdał sobie sprawę, że słyszy swoje własne serce. Czuł się tutaj bardzo nie na miejscu. To wszystko zupełnie nie ma sensu, to oczywiste. Jeżeli kiedyś tam na zewnątrz coś nawet było, znudziło mu się obwąchiwanie wraku i sobie poszło. Chociaż próby wyobrażenia sobie, co mogło wędrować przez ten nocny Ragnarok, nie sprawiały mu przyjemności. Zaczął się właśnie podnosić, usiłując wyprostować na wpół skostniałe kolana i zastanawiając się, czy stawy mu zastygną na mur, zanim zdąży to zrobić. Rozpaczliwie chciał się znaleźć z powrotem przy ogniu. Powoli, delikatnie unióśł się do poziomu okna. Wyrżał na zewnątrz.

Przez podziurkowaną powłokę sączyła się wystarczająca ilość światła od jedyne go księżyc a planety, by nasycić zrujnowane wewnątrz widmową poświatą. Do środka przeniknęło trochę świeżego śniegu i znowu pod warstwą dziewiczej bieli pogrzebało ślady po ludziach. Wiatr musiał zerwać następny kawałek ściany i dachu po lewej stronie. Można się tego było spodziewać. Zdumiewające było to, że w tej wichurze nie rozleciała się cała szalupa.

Odwrócił się do pozostałych i nie zdając sobie z tego sprawy, westchnął.

– W porządku. Jeżeli tam na zewnątrz coś nawet było, to sobie poszło.

Napięcie stopniało i wyśliznęło się z kabiny. Nietrudno będzie zasnąć, nie. Odwrócił się do okienka z glasytu, żeby rzucić ostatnie spojrzenie na zewnątrz.

I okazało się, że patrzy prosto w krwistoczerwone oko, troszkę mniejsze od talerza. W samym jego środku pływał mały, zjadliwy kleksik źrenicy.

Wstrząs był tak wielki, że nawet nie udało mu się zemdleć. Krew mu się ścięła lodem w żyłach i stracił głos. Zimno nie miało z tym nic wspólnego.

I znowu doszło do nich to potworne zawodzenie, teraz przyspieszone, bardziej podniecone. Coś walnęło w drzwi niczym dwutonowa ciężarówka. Zawiasy się przerażająco wygięły, a Ethan chwiejnie cofnął się o parę kroków. Na twardym, mocnym glasycie pokazało się trójkątne pęknięcie.

Jak przez mgłę słyszał, że ktoś krzyczy. Może to była Colette, a może Walther. A może obydwoje. Coś uderzyło go z boku i odepchnęło z drogi. September. Potężny mężczyzna spojrzał przez wygięte drzwi na to coś, co za nimi stało i nawet on się wzdrygnął. Wysunął promiennik przez szparę,

pociągnął za spust.

I nic.

Coś znowu uderzyło w drzwi i September poleciał w tył, klnąc z zaskakującą szybkością trzech przekleństw na jeden krok. Jak oka w głowie strzegli wyczerpanego promiennika.

Po obu stronach groźnie wygiętych drzwi rozległo się głośnie, nerwowe zgrzytanie, coś z monstrualną siłą zaczęło drapać i skrobać, a potem znowu uderzyło w drzwi. Tym razem górny zawias odskoczył, jak gdyby był z plastiku i górna połowa metalowego skrzydła wgięła się do środka. Ethan leżał na plecach, miał więc świetny widok przez nowo powstały otwór.

A zobaczył wielką, prostokątną głowę. Prosto w niego wpatrywało się dwoje okropnych, czerwonych ślepiów, przypominających oszalałe latarnie. Paszcza stała otworem, była wprawdzie nieco mniejsza od spychacza, ale wypełniała ją chyba z parę tysięcy długich, przypominających igły zębów. Te igły sterczały z niej na wszystkie strony, istna płatanina kolców.

To coś albo go zobaczyło, albo wywęszyło. Olbrzymi łeb dał nura w dół. Wepchnął się kawałek i utknął w nowej dziurze. Gdyby Ethan wyciągnął rękę, mógłby dotknąć jednego z tych chropowatych kłów. Zwierzę było tak blisko, że czuł jego oddech – pachniał goździkami i starą cytryną.

Metal zajęczał w proteście, kiedy zwierz kręcił się i wpychał w podwójne drzwi niczym wygłodzony pies, złośliwie pojękując. Ethan zobaczył jak z boku September chyłkiem przysuwa się do drzwi, podrywa się, rzuca coś potworowi prosto w jego lśniąco jak reflektory oczy i w samą porę uchyla się przed kłapięciem wielkiej jak parowa koparka paszczy. Zębiska z przypominającym dźwięk gongu kłapięciem zwały się tuż nad jego rozwianymi, siwymi włosami.

Zwierz zamrugał, a potem wydał z siebie niewyobrażalnie potworny, wrzaskliwy ryk. Głowa zniknęła ze zdumiewającą szybkością. Kiedy zwierz rzucał się po zniszczonym kadłubie, trzęsła się cała szalupa. Ethan z trudem się utrzymywał, żeby nie Wturlać się w ogień.

A potem nagle zrobiła się zupełna cisza.

September mozolił się nad wepchnięciem nadwerężonych drzwi z powrotem na miejsce. Osłabiona tafla poddała się trochę, ale pozostała szeroka dziura. September podniósł duży kawał wyrwanej z fotela wyściółki i wepchnął ją w szparę, utykając ciasno po obu stronach. Wyściółka utrzymała się na miejscu.

– Niech no ktoś otworzy jakąś kawę. I tak nie sędzę, żebyśmy teraz mogli zasnąć. – September dzielił wyściółkę swoją olbrzymią pięścią. – Przydałby mi się kubeczek czegoś. Biada nam, że to tylko sok z brązowych nasion, a nie coś mocniejszego.

– Na Boga! – wydyszał Williams. Po raz pierwszy odkąd Ethan znał nauczyciela, w jego głosie dosłyszał prawdziwe zdenerwowanie. Ale musiałby być robotem, gdyby w czasie wydarzeń, jakie miały miejsce przed chwilą, serce mu raz czy dwa nie zadrżało. – Co to było?

Ku swemu własnemu zdziwieniu na to pytanie odpowiedział Ethan, kiedy się już zdążył raz

zakrzusić kawą.

– Przypomina mi się ten rozdział o faunie. To był nocny drapieżnik. Miejscowa ludność uważa, że jest dość niebezpieczny...

– Co ty nie powiesz – zauważył September. Wciąż jeszcze szamotał się z wyściółką przy drzwiach. – Żadne pojedyncze stworzenie nie ma prawa mieć tylu, zębów... Do diabła z tym wiatrem!

– Ono nazywa się droom – dodał Ethan i odwrócił się. Colette wciąż siedziała przy swoim ojcu... i niech go piorun strzeli, jeżeli się trochę nie trzęsła. Miała też wystraszoną minę. Pewnie, że miała – każdy by miał – ale to było takie do niej niepodobne. Zauważyła jego spojrzenie. Wyzywająco wyprostowała się i pozwoliła, by ręka starego człowieka opadła z jej ramienia. Nie zaprotestował. Usiłowała spiorunować Ethana tym swoim druzgocącym spojrzeniem, ale jakoś nie wyszło i zmieszana odwróciła wzrok.

– Pewnie myślisz, że bałam się tego czegoś.

– Nic nie szkodzi – zaczął Ethan. – Nie ma się czego wsty...

– A właśnie że się nie bałam! – zawołała. Potem znowu przycichła. – Tylko że... nie boję się niczego, co jest rzeczywiste, dotykalne. Ale od wczesnego dzieciństwa ja zawsze... zawsze bałam się ciemności.

– To przez jej matkę, rozumiesz – zaczął wyjaśniać du Kane, ale Colette mu przerwała.

– Cicho, ojczy... prześpij się jeszcze. Muszę trochę pomyśleć.

Ethan przekręcił się i wpatrzył w to miejsce na podłodze, które odbijało mu ogień prosto w oczy. On też się zamyślił.

\* \* \*

Wiatr nieco przycichł, ale wciąż wiało równo z zachodu. Słońce było już w górze od kilku godzin, chociaż Ethan uważał, że jak coś wydziela z siebie taką mizerną ilość ciepła, to nie zasługuje na podobną nazwę. Bynajmniej nie spieszył się ze wstawaniem. W końcu nie było się do czego spieszyć. Jeżeli miał się z kimś spotkać, to nie szybciej jak za pół dnia.

Usiłowali zaoszczędzić gwałtownie zmniejszający się zapas drewna, więc pozwolili, by ogień odszedł tam, dokąd odchodzą wszystkie umarłe ognie. Williams pilnie układał gałązki, igły i niby-porosty, przygotowując wieczorne ognisko. Du Kane'owie pochłaniali śniadanie składające się z gorącej zupy mlecznej i żadne z nich nie domagało się jajek *a la Benedict*. Colette, jak zauważył, wsuwała już trzecią porcję. Z westchnieniem zatęsknił za utraconym snem.

Usiadł, przycisnął kolana do piersi.

– Dzień dobry, nauczycielu. A gdzie to nasz poskramiacz dzikich zwierząt?

– Znowu wyszedł. To absolutnie zdumiewające, jak on dobrze znosi tę pogodę, nie uważasz? – Williams wyciągnął rękę ponad gotowym stosikiem i rzucił Ethanowi cylindryczną paczuszkę. – Powiedział mi, że nie sypia dużo. To według niego strata czasu.

– Hm – mruknął Ethan i zaczął oddzierać wierzch opakowania. W ostatniej chwili zwrócił uwagę, że czerwona strzałka z boku skierowana jest w dół. Pospieszenie odwrócił pojemnik. Wzdychając nad własną niezdarnością, chwycił znowu za jęczyzek i pociągnął. Wierzch oderwał się, włączając mikroelement grzewczy w pojemniku. Nie minęło sześćdziesiąt sekund, a już popijał gorącą zupę, której o mało co nie wylał sobie na kolana. Kiedy wypił już więcej niż połowę, wstał. Albo zaczynał się przyzwyczajać do tej temperatury, albo jego zakończenia nerwowe straciły czucie do tego stopnia, że pozbył się takich doczesnych trosk jak niepokój o to, czy już zamarznął, czy jeszcze nie. Przecież jest zupełnie prześliczny dzień! Temperatura nie może być niższa niż minus czternaście czy piętnaście. Przełknął następną haust zupy, która już była ledwo letnia.

– Wychodzę – oznajmił, chociaż sam nie wiedział komu – odetchnąć świeżym powietrzem. Tu się stanowczo robi tropikalna atmosfera.

– Jeżeli to ma być silenie się na dowcip – zaczęła Colette z łyżką zawisłą w pół drogi – to nigdy...

Ale za Ethanem już się zamykały powyginane drzwi. Nasunął gogle śnieżne i spojrzał wzdłuż środkowego przejścia szalupy. Okazało się, że September badawczo przygląda się brzegom dużej dziury na lewej burcie. Rzeczywiście była większa niż wczoraj. Żałując, że nie może się skurczyć i popływać sobie w gorącej zupie, Ethan podszedł do niego. Samogrzejąca się ciecz borykała się mężnie z chłodem, ale w tym super arktycznym klimacie nie miała szans. Wypił ją do ostatniej kropelki.

– Dzień dobry, Skuo.

Musiał podejść bliżej i powtórzyć to jeszcze raz, zanim tamten się obejrzał.

– Hmmm? Och, pewnie można tak powiedzieć, ponieważ jeszcze wszyscy możemy go oglądać, mój chłopcze. Co myślisz o tym, ech? – Cofnął się o krok od ściany i pokazał palcem.

Ethan nie musiał się przypatrywać z bliska ani prosić o wyjaśnienie, żeby zorientować się, czemu przyglądał się jego towarzysz. To nie wiatr wyłobił w duramiksie te głębokie, zakrzywione bruzdy. Było ich sześć, pogrupowane były po trzy w pewnej odległości od siebie. Następne było widać wysoko na pancerzu.

– W pierwszej chwili myślałem, że to zrobił wiatr – powiedział Skua i potrząsnął swoją grzywiastą głową. – Możemy się pewnie spodziewać powtórnej wizyty tego... jak ty to coś nazwałś?

– Droom – odparł Ethan.

Przesunął otulonym w rękawicę kciukiem po bruzdzie w metalu. Palec pasował do bruzdy jak ulał.

– Na taśmach nie było szczegółowych wiadomości o życiu zwierząt. Nie wiem nic o jego zwyczajach.

Przerwał, wpatrując się w szorstką powierzchnię obnażonych przewodów, które biegły przez kadłub.

– Słuchaj, wiem, że niewiele było ze mnie wczoraj pożytku. To całe zamieszanie, ja...

Na jego ramię opadła w geście pocieszenia ciężka dłoń.

– Żebyś mi nie marnował na to już ani jednej myśli, mój chłopcze. Znałem wielu zawodowych żołnierzy, a na widok tego potwora niejednemu by skrzepły wątpia.

Ethan odwrócił się i spojrzał mu w twarz.

– Ale tobie nic nie skrzepło. Czy jesteś żołnierzem? A jak nie, to czym? Niewiele wiemy o tobie, prawda? Znamy du Kane'ów, wiemy, kim jest Williams, co do Walthera nie ma wątpliwości, ja o sobie mówiłem. A co z tobą?

September wzruszył ramionami, odwrócił się i zapatrzył w ponury krajobraz. Wiatr zwiął niemal cały lekki śnieg, jaki spadł przed wieczorem, a potem już nie padało. Na nie kończących się polach lodowych w miliardach rys i szczelin słońce lśniło wszędzie poza miejscami, które porastała krzepka pika-pina. Wylądowali na diamencie.

– Powiedzmy, że spotkałem się już w życiu z czymś gorszym niż to coś – wymamrotał cicho. – Mógłbym ci też powiedzieć, chociaż nie wiem, czemu miałbym to robić, że jestem poszukiwany. Przynajmniej na czterech planetach za moją głowę, dostarczoną niekoniecznie w połączeniu z resztą kadłuba, mógłbyś otrzymać ponad sto tysięcy razy po dziesięć kredytów. – Odwrócił się i wbił w Ethana błyszczące spojrzenie, a gęste, oszronione brwi zderzyły mu się nad nosem. – I co ty na to?

– Bardzo interesujące – odpowiedział Ethan nie tracąc głowy. – A co zrobiłeś?

– Wystarczy tego, co wiesz, chłopcze... jak na razie. Może kiedyś opowiem ci więcej.

Ethan znał się na handlu. Wiedział, kiedy należy nalegać, żeby się ktoś zobowiązał do czegoś, a kiedy zmienić temat. Osądził, że czas na zmianę i miał rację.

– A czym ty rzuciłeś w tego zwierzaka? Wydał z siebie taki wrzask, że krew mogła skrzepnąć w żyłach... o ile już wcześniej nie zamarzła.

– Sól – odparł September, jak gdyby o niczym innym nie mówili. – Z mojej porcji obiadowej. Niewiele jej zostało. Ale nie spodziewam się, żeby stworzenia na tym świecie bardzo często miały z nią kontakt, zwłaszcza na sucho i sproszkowaną.

– Pewnie całą sól, jakiej potrzebują, wylizują z lodu – dumiał Ethan – bo to przecież zamarznięta woda morska. Ale jakbym ja spróbował go polizać, to by mi się język pewnie przykleił raz na zawsze. Ja byłbym mu przyłożył rozpaloną głownią.

– To chciałem zrobić w następnej kolejności, ale wydawało mi się, że warto postawić na sól. I sól jest bezpieczniejsza.

– Bezpieczniejsza?

– No pewnie. Słuchaj, chłopcze. Są takie światy, gdzie ogień występuje dużo rzadziej niż na planetach thraxludzkich. Wygląda na to, że na taką planetę właśnie trafiliśmy. To tylko moje domysły, ale na podobnych światach widziałem zwierzątka, które rzucały się prosto na płomień i atakowały je. Im się zdaje, że to jakiś nowy rodzaj wroga. Coś żywego. Widziałem takiego, który turlał się i turlał z płonącym polanem w pysku. Drapał i gryzł. Nie to polano, tylko ogień. Jeżeli ten twój droom...

– Tylko nie mój – zaprotestował Ethan.

– ...zareagowałyby podobnie, mógł rzucić się nawet jeszcze bardziej gwałtownie do przodu, zamiast cofnąć się od tych wyważonych drzwi. Nie dowiemy się tego, bo sól podziałała. Może to nawet nasz ogień go zwabił. Założę się, że na takim świecie jak ten jest mnóstwo zwierząt, które potrafią wyczuć ciepło na sporą odległość. Nasz ogień mógł, powiedzmy, wydzielać tyle samo ciepła, co inny droom. Czy one trzymają się swojego terytorium?

– Tego też nie wiem – wyznał Ethan.

– Na gołym lodzie niełatwo zostawić jakiś trop. – September wyciągnął z kieszeni kurtki teraz już swojsko wyglądającą, czerwonozieloną łodygę i zaczął pogryzać. Ethan słyszał, jak mu chrupie pod zębami.

– Naprawdę w smaku przypomina pietruszkę. Jakim cudem ona wyrasta tak daleko na lodzie?

Ethan wsunął rękę pod kaptur i poskrobał się po głowie.

– Jeśli dobrze sobie przypominam to, co było na taśmie, system korzeniowy ciągnie się na pewną odległość i wszędzie po drodze wypuszcza boczne korzenie i powierzchniowe łodygi. Kiedy osiągnie pewną wielkość, przestaje rosnąć i końcówka głównego korzenia zaczyna puchnąć. Substancje odżywcze dochodzą z leżącej w samym środku gleby, na której bazuje roślina. W ten sposób buduje sobie na drugim końcu sporych rozmiarów, bogatą w pożywienie bulwę. Ta roślina wydziela tyle tylko ciepła, żeby powoli wytopić sobie drogę przez lód. Nowa bulwa działa jak odskocznia, albo jak przyczółek i wysyła korzenie we wszystkich kierunkach. Jeżeli korzenie z jednej bulwy napotkają jakieś inne korzenie, to rosną razem, niezależnie od tego, czy pochodzą od tej samej macierzystej rośliny, czy nie. To poszerza i wzmacnia sieć korzeni i pozwala roślinie przetrwać, nawet gdyby gałąź centralna uległa przerwaniam. Istnieje też olbrzymia odmiana o nazwie pika-pedan, która wyrasta na wysokość trzech i czterech metrów. Jej bulwy mogą osiągać średnicę do kilku metrów.

– Rozumiem. – September przez chwilę coś sobie nucił pod nosem. – Więc jeżeli pójdziemy za tym zielskiem, powinniśmy kiedyś dojść do jakiegoś lądu?

Ethan uśmiechnął się.

– Dobry pomysł. Problem w tym, że kiedy Wspólnota przeprowadzała swoje jedyne pomiary na tej planecie, donoszono o zielonych palmach, które rosły o półtora tysiąca kilometrów i więcej od najbliższego stałego lądu.

– O – powiedział Skua po prostu. Sprawiał wrażenie zawiedzionego. – Słuchaj no, nie jadłem jeszcze śniadania. A ty?

– Tylko trochę zupy. Przydałoby mi się coś stałego. – Wyrzucił pusty cylinder z szalupy i patrzył, jak podskakuje i turla się po jasnej powierzchni.

– W porządku, a po śniadaniu, jak myślisz, przywódco, co powinniśmy zrobić?

– No cóż – zastanowił się Ethan. – Zdecydowanie nie powinniśmy tu zostawać. – Popatrzył na Skuę szukając u niego potwierdzenia, ale potężny mężczyzna tylko się w niego wpatrywał.

Ethan ciągnął dalej.

– Niewiele posuniemy się w kierunku Dętej Małpy, jeśli się stąd nie ruszymy. A kiedy przyjdzie porządny podmuch wiatru, taki pierwszej klasy, to ta cała szalupa może z nami odjechać. Myślę, że pierwsza rzecz, jaką powinniśmy zrobić, to poszukać lepszego schronienia. Może na jakiejś dużej wyspie znajdzie się jakaś jaskinia. Ty wczoraj tą naszą wyspę obszedłeś dookoła? – September skinął głową. – No więc, tak jak mówiłem, nie jest ona zbyt rozległa. Na pewno nie widziałem tu niczego, co mogłoby nam posłużyć za schronienie, chyba żebyśmy je sobie wykopali. Przy takiej konsystencji, jaką ma najprawdopodobniej ta zamarznięta ziemia, wolałbym nie próbować.

– Wspaniale. Jak zjesz, to myślę, że możesz wspiąć się na...

– Wspiąć się? Co to, to nie.

– W porządku. Jeden z nas powinien wspiąć się na najwyższe drzewo na wyspie i dobrze się rozejrzeć. Może uda nam się coś wypatrzeć.

– Na przykład budkę z lodami?

September ryknął śmiechem i klepnął Ethana po plecach.

– Dobry pomysł, mój chłopcze. Ale może lepiej najpierw zajmę się tym, żeby sobie napełnić brzuch czymś pożywnym. Inaczej nie będę miał siły przyglądać się, jak spadasz.

\* \* \*

– Nawet gdyby nam się udało wypatrzeć jakiś inny kawałek lądu – zapytała Colette du Kane – jak według was mielibyśmy się tam dostać?

Zastanawiając się nad jej pytaniem, September zajął się owsianką.

– Sami powiedzieliście, że chodzenie po tym lodzie jest diabelnie trudne, nawet jak się zmajstruje jakieś urządzenia pomocnicze – ciągnęła uparcie. – Ponieważ nie ma niczego w odległości spacerowej, jeżeli wyruszymy na trasę, trzeba ją będzie liczyć na kilometry. Może dla was to pomysł pierwsza klasa, ale ja z moją budową nie nadaje się do pieszych wędrówek na przełaj po tym świecie. A ojciec w żadnym wypadku nigdzie dalej nie dojdzie.

Du Kane zaczął protestować, ale Colette uniosła rękę i uśmiechnęła się.

– Nie, ojczu. Wiem, że zrobiłbyś to z chęcią, ale stanowisko dyrektora korporacji nie najlepiej przygotowuje do większego wysiłku fizycznego.

– I może więcej dyrektorów powinno o tym pamiętać – powiedział September, odkładając pusty pojemnik. – Młoda damo, nawet jeżeli pani myśli, że jest inaczej, to ja również mam opory przed wyruszeniem w taką trasę. Będziemy musieli spróbować wykombinować jakieś sanie. Może uda nam się odłamać tę poszarpaną część kadłuba. Jeżeli zaostrzylibyśmy parę gałęzi i spróbowali okuć je jakimś metalem, można by pojechać na pych. Powoli i niezbyt elegancko, ale lepiej niż na piechotę. Nie całkiem będzie to przypominało Intercity na Hivehomie, ale powinno nam się udać zabrać ze sobą większość zapasów.

– Musiałaby też utrzymać się pogoda – powiedziała z namysłem Colette. – Nie wiem, czy wytrzymałabym jeszcze jedną taką noc i to na otwartym lodzie.

September był zakłopotany.

– Nie ma sposobu, żeby wiedzieć to na pewno, panno du Kane. Nie podoba mi się ten pomysł, a jeżeli jeszcze jeden taki zębaty koszmar nadzieje się na nas, no cóż, wszyscy wystąpimy w charakterze zimnych zakąsek. Ale jedno jest pewne. Nic nam nie pomoże, jeżeli tu zostaniemy. A przynajmniej jakoś będziemy posuwać się w kierunku placówki.

– A jeżeli ktoś po nas wyśle ratunkowy wahadłowiec? – wtrącił żałośnie du Kane.

Ethan sam siebie zaskoczył udzielając mu odpowiedzi.

– To bardzo mało prawdopodobne, żeby mieli przeszukiwać powierzchnię planety w nadziei, że ktoś pozostał przy życiu. A jeżeli tak, to do wyboru mają cały świat. Niewielka szansa, żeby nas zauważyli na tym lodzie, skoro nie mamy zasilania i nic nie nadajemy. Ale gdyby całkiem niemożliwym przypadkiem tak się złożyło, że ktoś przybyłby tu nas szukać, to i tak założyłby, że ruszyliśmy w stronę Dętej Małpy. I szukaliby nas na którejś z najbardziej prawdopodobnych dróg. Możemy zostawiać znaki. Przynajmniej wiemy, że to gdzieś na zachodzie.

No, panie Fortune, powiedział sam do siebie nieco spłoszony, właśnie ogłosiłeś chyba swoje własne zejście. Dostyc smutny koniec dla jasnowłosego geniusza sprzedaży z Przedsiębiorstwa Malaiki, nie? Tak, trzęś się, trzęś. I wmawiaj sobie, że to z zimna.

– Czy nam się to podoba, czy nie, jesteśmy na własnym rozrachunku, tak jak mówi ten młody człowiek – dodał September.



Ethan znowu usłyszał swój własny głos.

– Oczywiście, jest jeszcze jedna możliwość. – Zaskoczył nawet Septembra. – Mogą nas postanowić odszukać jego koledzy.

Ze swojego kąta Walther spojrzał na niego spode łba.

– Na to nie licz – prychnął. – Tyle wyobraźni to oni nie mają. Równie dobrze mogliśmy już nie żyć. A wszystko dzięki niemu. – Popatrzył na Septembra z gorzką nienawiścią.

– Mamy tu dużo różnych kawałków ostrego metalu – odpowiedział swobodnie ten ostatni. – Jak tylko będziesz sobie chciał poderżnąć gardło, proszę cię uprzejmie.

– A może tobie poderżnąć, co?

September lekko się tylko uśmiechnął.

– Możesz spróbować, proszę, jak tylko będziesz chciał. Tak czy tak, jakoś by to rozwiązało sprawę, prawda? Ale teraz – zwrócił się z energią do wszystkich – sądzę, że powinniśmy pójść na spacer i obejść dookoła tę kupę ziemi, w którą się wpakowaliśmy. Nie jest ona zbyt wielka, ale to nasz dom. Przynajmniej na jeszcze jeden dzień. Poza tym większość z was jeszcze nie była na zewnątrz. Pora, żebyście się zaczęli przyzwyczajać do kraju, w którym spędzicie długi, bardzo długi czas.

Nikt się nie sprzeciwiał, nawet Colette. Ale to Ethan zwrócił uwagę na to, z czym mają problemy.

– Czekaj no. Mamy tylko cztery pary gogli.

Była to prawda. Ani Williams, ani porywacz nie mieli tej niezbędnej pary soczewek ochronnych. Nauczyciel jednak sam znalazł rozwiązanie.

– Mnie one nie są potrzebne, panie Ethanie. To dlatego oddałem panu moje. – Pogrzebał pod kurtką i pokazał Ethanowi małe, czarne etui. Pochylił się nad nim, starannie osłaniając je od mocnych podmuchów wiatru, które przedostawały się przez pocięte drzwi. Kiedy znowu się wyprostował, miał przymrużone oczy.

– Noszę soczewki kontaktowe. – Schował etui. – Te, które założyłem teraz, są skonfigurowane na ostre światło. Powinno się ich używać przy intensywnym opalaniu. Nie spodziewam się, żebym miał tu dużo chodzić na plażę, ale powinny wystarczyć na warunki panujące na zewnątrz, może równie dobrze jak gogle. Dam sobie radę. I jest mi w nich wygodniej.

Chociaż nauczyciel był niewielkiego wzrostu i nie wyglądał na zahartowanego, Ethan musiał przyznać, że przemawia jak ktoś kompetentny. Nie ulegało wątpliwości – jak przyjdzie co do czego i przyda im się ktoś trzeci, będą mogli polegać właśnie na nim. Tak jak coraz silniej polegał na Septembrze. Człowieku poszukiwanym przez władze. Usilnie poszukiwanym, jeżeli wierzyć temu, co mówił. No cóż, na to przyjdzie czas później. Jeżeli będzie jakieś później. Położył rękę na klamce.

Z tyłu kabiny rozległ się piskliwy głos.

– Hej, a co ze mną?

– Ty też wychodzisz – warknął September. – Nie mam do ciebie tyle zaufania, żeby cię tu zostawić z całym jedzeniem i drewnem. Przynajmniej dopóki nie będę miał więcej pewności, co do twojej równowagi umysłowej.

– Ale ja nie mam gogli ani żadnych specjalnych okularów – zauważył Walther błagalnie. Wyraźnie wiedział, co w warunkach panujących na zewnątrz może stać się z jego oczami. – Kilka dni bez okularów ochronnych i oślepnę jak koń! A za tydzień czy dwa to już będzie nieodwracalne. – Mimo że było zimno, cały się spocił.

– Oderwij kawałek materiału z koszuli czy bielizny – poradził mu September – i obwiąż go dookoła głowy. Użyj czegoś cienkiego i ciemnego, żeby zasłonić oczy. I możliwie rzadko je otwieraj. Niewiele będziesz widział, ale też nie oślepniesz. Przynajmniej zyskamy cholerną pewność, że nie będziesz próbował żadnych sztuczek.

– I przecież zamarznę – upierał się Walther. – Nie mam ochronnego ubrania ani podwójnego zestawu rzeczy, jak wy.

– Tym gorzej dla ciebie. Kiedy już zmontujemy sanie, zrobimy, co się da, żeby cię osłonić od wiatru. I tak nie spodziewam się, żebyś był zdolny do uczciwej pracy. Jeśli chodzi o mnie, to możesz zostać przy szalupie i zamarznąć na śmierć, jeżeli wolisz. Ale jeżeli chcesz iść z nami, to teraz wychodzisz i już.

Porywacz jęknął cicho i rozpiął kurtkę. Dygocąc zaczął gmerać przy materiale rękawa.

Ethan uświadomił sobie, że jest mu go żal. Nie było to rozsądne, jeżeli uwzględnić, co im ten facet zrobił i jakie miał wobec nich plany, niemniej działało to kojąco na jego sumienie.

– Zaczekaj no. Zanim zaczniesz drzeć na sobie ubranie, rozejrzyj się po kabinie i poszukaj paru większych kawałków wyściółki wyrwanej z foteli. Sporo jej tam leży. Leży też izolacja kadłuba. Spróbuj sobie tym wypchać kurtkę i koszulę. Nie będzie to zgrabnie wyglądało, ale może nie zamarzniesz.

– Dziękuję. Bardzo dziękuję – Walther rozpromienił się i zapiął kurtkę. – Może rzeczywiście to pomoże.

– Po co sobie nim zawracasz głowę? – zapytał od niechcienia September. – Niech sobie zamarznie.

– A widziałeś kiedy człowieka, który powoli zamarza na śmierć? – odparował Ethan.

September zaczął coś mówić, przerwał, dziwnie na niego popatrzył i odwrócił się. Gdyby nalegał, Ethan musiałby przyznać, że on również nigdy nie widział zamarzającego człowieka.

– Niech ci będzie, mój chłopcze. Williams, nie spuszczaaj z niego oka i uważaj, żeby nie przyniósł ze sobą nic poza podartą wyściółką. Reszta idzie na spacer.

Mała wysepka okazała się w sumie jeszcze mniejsza, niż dawał do zrozumienia September. Składały się na nią w większości skały i zamrażnięta ziemia; była tak mało żyzna, że nie utrzymałby się na niej chyba nawet muchomor w stanie bezzennym. Nie mówiąc już o poszyciu, krzewach i sporych rozmiarów drzewach. A jednak one tam były. Na kilku potarganych krzaczkach wyrosły nawet rdzawoczerwone owoce, które wyglądały jak coś pomiędzy malinami a fasolką szparagową.

Ethan przyjrzał się owocom z uwagą, ale nie mógł sobie absolutnie nic przypomnieć na temat ich rośliny macierzystej. Zerwał jeden i wsunął do wolnej kieszeni, żeby się później nad nim zastanowić. Sprawiał wrażenie jadalnego, ale to kompletnie nic nie znaczyło. Równie dobrze mógł zawierać stężony kwas azotowy, czy cokolwiek innego.

Na wysepce żyli też przedstawiciele lokalnej fauny, pierwsi, jakich widzieli nie licząc drooma. Najwięcej było małych, ciemnych, futrzastych kulek o jaskraworóżowych oczkach i króciutkich, serdelkowatych łapkach. Z zaskakującą szybkością wskakiwały i wyskakiwały z norek, takich jakie mają susły. A raz, kiedy September przyglądał się z bliska pewnemu drzewu, sfrunęła z góry i opadła go para stworzeń, przypominających nietoperze w etolach z szynszyli. Był to tylko bluff, ale Skua się odsunął. Pewnie miały gdzieś w koronie drzewa coś w rodzaju gniazda. Z bezpiecznej odległości nie przestawały obrzucać go obelgami.

Ethan usiłował wyobrazić sobie, jakie musiało być to gniazdo nadrzewnych istot, że potrafiło się opierać tutejszym podmuchom wiatru. Powiedzmy, huraganowi wiejącemu prosto od zamrażniętego morza z szybkością dwustu kilometrów na godzinę. Nie miał aż takiej wyobraźni, odwrócił się, żeby popatrzeć na gęsty, czerwony mech, który porastał chronione przez skupisko skał zagłębienie. Hellespont du Kane przyglądał się tej samej roślinie.

– Wie pan – powiedział mu Ethan – pika-pina ma zdecydowanie czerwony odcień... a to coś jest niemal szkarłatne.

– Śliczne, prawda? – powiedział du Kane. Starszy pan wyraźnie był zachwycony, dla Ethana była to tylko jakaś nieznana mu pleśń. Starszy pan pochylił się niżej. – Wiesz, ja hoduję kwiaty. O tak! W pewnych kręgach uważają mnie nawet za eksperta. – Nagle pstryk i jak gdyby coś przełączyło się za jego oczami, a w głosie pojawił się interesowny ton. – Może to oznaczać, że na tym świecie jest mnóstwo żelaza albo manganu.

– Nie wiem – powiedział Ethan, usiłując oddzielić od siebie kwiatki i rudy metali. – Na taśmach niewiele było o tutejszej geologii.

– No cóż, to interesujące przypuszczenie – powiedział du Kane. Pochylił się jeszcze trochę, żeby przyrzeć się z bliska tej roślinie o tłustawym wyglądzie. – Ciekaw jestem, czy jest tak miękka, jak wygląda. Wiele roślin zawiera w swoich tkankach interesujące minerały w ilościach przemysłowych.

Wetknął palec w środek jednego zagonka... i odskoczył z tak zdumiewającą szybkością, że Ethan sam drgnął.

September i Colette musieli usłyszeć, jak starszy pan skrzeknął, ponieważ w kilka sekund znaleźli się przy nich.

– Ojciec... co się stało? Czy wszystko w porządku?

Ethana kusiło, żeby w odpowiedni sposób skomentować żeński geniusz semantyczny tej wypowiedzi, jako że du Kane siedział na ziemi, wyraźnie zacisnął zęby z bólu i trzymał się za nadgarstek. Ale chwilowo za bardzo leżała mu na sercu pomyślność starszego pana.

– Wetknął palec w ten zagonek mchu... czy co to tam jest – odparł Ethan.

– Odniosłem wrażenie, że to kwas – powiedział przemysłowiec sztywno. – Ból jest dość intensywny. – Pstryk. – Colette?

– Jestem tu, ojciec – odpowiedziała spokojnie.

– Czy uda się panu dojść do szalupy? – zapytał September.

Du Kane wstał, wciąż trzymając się za przegub i zaczął zsuwać rękawicę.

– Do szalupy? Tak, tak mi się wydaje. Nie kręci mi się w głowie ani nic. Tylko boli.

– To było niemądre, co zrobiłeś, ojciec – zbesztła go Colette.

– Słuchaj no – powiedział Ethan – to nie wygląda groźnie, a twój ojciec nie miał pojęcia, że to może być jakaś zabójcza roślina.

– Ty też nie miałeś pojęcia i kropka – powiedziała, obejmując ramieniem starszego pana.

Ethan zaczął protestować. W końcu opisu podobnej rośliny nie podawała żadna z jego taśm. Mógł to nawet być jakiś nieznaną gatunek. Ale Colette to nie interesowało.

– Miejmy tylko nadzieję, że to nie jest trujące – powiedziała cicho.

Du Kane z trudem opanowywał się. Ethana zaciekawiło to, że on się tak włącza i wyłącza. W jednym momencie był jak opoka, władczy pan stu przemysłów, o stalowoszarych włosach i kręgosłupie z duramiks, a w następnym jak na wpół zdziecinniały staruszek, rozpaczliwie potrzebujący aprobaty i ochrony. Który z nich był prawdziwy, a który udawany? Pewnie tylko Colette mogła na to odpowiedzieć, a nie zgłaszała się z informacją na ochotnika.

– Nie ma się skąd dowiedzieć – powiedział September; myśli Ethana gwałtownie wróciły do bieżącego problemu. – Może mu zaszkodzić nie bardziej niż uządlenie pszczoły. Z drugiej strony może za minutę paść na dobre. Ale wątpię. Bogacze umierają tylko z przepracowania i przeżarcia.

Colette obrzuciła go wściekłym spojrzeniem, ale du Kane niemal się uśmiechnął.

– Zwierzęta i rośliny, które żyją w zimnym klimacie, rzadko są jadowite. – Ethan głośno myślał. –

A jak już są, to przeważnie jad jest nieporównanie mniej potężny niż u ich tropikalnych odpowiedników. Ale to jest całkowicie obcy nam ekosystem. Trucizna mogłaby nieść natychmiastową śmierć innym roślinom i zwierzętom, a nam nie szkodzić. Albo na odwrót. Ale wystarczy tego gadania. Wracajcie do szalupy i posmarujcie to czymś. Przynajmniej niech przestanie boleć.

Ojciec i córka ruszyli powoli w kierunku wraku. Ethan patrzył za nimi.

– Naprawdę sądzisz, że nic mu nie będzie?

– No. Trochę to przypomina lekkie oparzenie kwasem. Nie mogę mieć pewności, ale dobrze że miał rękawicę na ręce. Już czas, żebyś wlaź na to drzewo.

– Spróbuję – westchnął Ethan. – Nie jestem najlepszy, jeśli chodzi o taką gimnastykę. Gdyby w grę wchodził tenis, poef czy golf, to...

– Dobrze ci to robi, mój chłopcze. Poza tym, jak się gałęzie na górze zrobią gęste, to ty się jakoś prześlizgniesz, dużo łatwiej niż ja. I będziesz się też mógł wspiąć wyżej.

Ethan powstrzymał się od komentarza, że September mógłby poodłamywać te gałęzie, które on będzie musiał obchodzić.

Najwyższy punkt na wysepce znaleźli w prosty sposób, mianowicie dotąd szli pod górę, aż zaczęli iść w dół. Od tego punktu krążyli w promieniu kilku metrów i znaleźli drzewo, które im się spodobało. Ethan zaparł się jedną nogą o pień i chciał pod – ciągnąc się na najniższą gałąź, ale było to zbyt ciężkie. Kiedy September go podsadził, to niemal pofrunął w koronę drzewa. Gdy złapał oddech i ukoił zadrapania na ręce, ruszył w górę. Gałęzie rosły bardzo blisko siebie i łatwo było się wspinać. Drzewo kończyło się gdzieś na wysokości dwudziestu metrów. I pień, i przysadkowate gałęzie były grube i pokryte ścisłą korą, dla ochrony przed utratą ciepła i po to, żeby oprzeć się wichrom o huraganowej sile, które przewalały się przez wysepkę. Właściwie wiatr nie przestawał wyc od chwili ich lądowania.

Kiedy dotarł na czubek, był o dobre trzydzieści metrów nad lodem, może nawet więcej. Popatrzył w dół, na lewo. Ze swoje-go dogodnego punktu obserwacyjnego miał wspaniały widok na pogniecioną szalupę ratunkową i ślady prowadnic, które ciągnęły się prosto, jak strzelił aż po horyzont. Wydawało mu się, że daleko po prawej stronie lód ma zielonkawe zabarwienie. Pewnie znowu pika-pina albo jej krewniaczka-olbrzymka, pika-pedan. Jeszcze dalej na horyzoncie widać było jakiś jeden czy dwa guzki, mogły to być duże wyspy. Niestety leżały na wschód od nich. Jeżeli to będzie jedyny ląd w polu widzenia, to i tak tam się udadzą, ale wolałyby posuwać się w kierunku cywilizacji.

Odwrócił się, mocno trzymając gałęzi i z ulgą zobaczył podobne guzki na zachodzie. Wydawały się równie wielkie – jeżeli tam rzeczywiście coś było poza złudzeniem optycznym albo wymysłem jego zmrożonego wiatrem wzroku. Trudniej jednak było patrzeć w tę stronę, prosto pod wiatr. Drzewo stało na swoim miejscu, za co był mu szczerze wdzięczny, ale gogle miały perwersyjną skłonność do przekręcania się pod maską. Sięgnął do tyłu, pogmerał przy pasku i udało mu się go

niedocześnie mocniej ściągnąć.

Wyteżył wzrok jeszcze bardziej.

Wydało mu się, że na lodzie, pomiędzy ich wysepką a tymi odległymi garbami widać z tuzin czy coś koło tego ciemnych plamek. To nie mogły być pika-piny, bo się ruszały.

Z dołu doleciał do niego głos Septembra.

– Widzisz coś, chłopcze?

Wiatr powodował, że głos zdawał się dochodzić z większej odległości niż naprawdę. Uchylił się przed podmuchem i wrzasnął w dół:

– Nie jestem pewien! Może to stado zwierząt. A może czeka nas zaproszenie na ucztę.

– Dobra! – Na odwróconej do góry, skurczonej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. – Miejmy nadzieję, że nas czymś poczęstują, a nie umieszczą w karcie dań.

Ethan przyjrzał się odległym kropkom jeszcze raz. Upewnił się, że rzeczywiście przesuwiają się one w kierunku wysepki, zanim zaczął ostrożnie złaźić po twardym jak lód pniu.

W chmurkach zamrożonego oddechu obaj mężczyźni pobiegli do szalupy. Williams i reszta czekali na nich. Nauczyciel pomógł Septembrowi zamknąć za sobą drzwi. Ethan zobaczył, że kurtka i spodnie Walthera pełne są niezgrabnych wybrzuszeń. Wyglądał w tym wszystkim, jakby udawał gнома. Głowę miał spowitą w podarty kawałek materiału, a przez szparkę wyglądały czarne oczy. Nie było to ładne i nie mogło być zbyt wygodne, ale może było chociaż ciepłe. A porywacz nie był w sytuacji, w której mógłby wysuwać zastrzeżenia co do mody.

– Co z tym palcem? – zapytał September Colette o rankę ojca.

– Posmarowaliśmy go kremem znieczulającym – powiedziała. – Chyba od tego trochę skłęsł. Boli go jeszcze, ale już nie tak bardzo.

– Takie śliczne stworzenie – sapał du Kane. – Fascynujący mechanizm obronny. A może zaczepny. Z czubka rękawicy wyciągnęliśmy kilka tuzinów parzydełek. Bardzo bym nie chciał stanąć na niego bosą stopą.

– Przypomina mocno ziemską meduzę – dodał Williams.

– Mówiąc o parzydełkach – odezwał się Ethan tak niedbale, jak tylko potrafił – sędzę, że czeka nas wizyta lokalnego komitetu powitalnego. – Może to nią wstrząśnie?

– Najwyższy czas – zamruczała Colette. – Co za nieudolność.

– Może to jakaś grupa myśliwych – dodał wesoło September.

– Tubylcy! – wybuchnął z podnieceniem Williams. – Jak cudownie! Muszę postarać się, jak najwięcej zanotować. Moi studenci będą tym zafascynowani. – Wydawał się kompletnie nie pamiętać o tym, że nim dzień minie, sam może stać się głównym daniem na stole jakiegoś innego studenta.

– Czy myślicie, że będą przyjaźnie nastawieni? – zapytał z wahaniem du Kane.

– A cóż będziemy mogli zrobić, jeżeli nie – powiedziała Colette zimno.

– Mogą to nawet być kanibale – dodał September, najwyraźniej zdecydowany poprawić im nastrój. – Chłopcze, ty przerabiałeś taśmy, ty będziesz rozmawiał. Ja stanę ci po prawicy i będę usiłował wyglądać przyjaźnie. Williams, stań po lewicy, jako że ty też znasz tę taśmę.

– Jeśli nie będą za bardzo mówili gwarą, to ja też powinienem ich dobrze rozumieć – pisał Walther.

– Tego się spodziewałem – odparł September. – Będziesz się trzymał z tyłu i masz się nie odzywać.

– I tak nic bym nie mógł zrobić – powiedział człowieczek urażony. – Rozumiecie wszyscy tyle samo co ja.

– To nie twój język mnie martwi, to twój porywający wygląd. Taki jesteś wykoślawiony, że mógłbyś wystraszyć nawet Całkiem zrównoważonego tubylca. Dopóki ich lepiej nie poznamy, wolałbym, żeby widzieli nieco bardziej symetryczną powierzchowność. Mogą być płochliwi. Nie możemy ryzykować, że potencjalna pomoc nam się wystraszy.

Walther zrzędził, ale nie potrafił odeprzeć argumentów. September zwrócił się do du Kane'ów.

– Z całym należnym szacunkiem, wy także nie rozumiecie tego języka. Więc również trzymajcie się z tyłu. – Wydawało się, że żadne z dwojga kosmopolitycznych podróżników nie ma nic przeciw temu.

– Czy wszyscy wiedzą, gdzie jest ich miejsce? Dobrze! – Odwrócił się do Ethana. – W porządku, mój chłopcze, teraz twój ruch.

Ethan położył rękę na kłamce i powiedział do Septembra:

– Znasz jakieś odpowiednie zwroty na nawiązanie kontaktu między gatunkowego? Oni pewnie jeszcze nigdy nie widzieli człowieka.

– Nie, spróbuj zanucić jakąś melodyjkę, a ja się przyłączę do refrenu. – Zachichotał i popchnął go. – Ruszaj.

Ethan miał szczęście, że już wcześniej otworzył drzwi. Gdyby nie to, wyleciałby na zewnątrz razem z nimi.

## ROZDZIAŁ IV

Sir Hunnar przymrużył oczy i natężył wzrok, ale wciąż byli za daleko, żeby zorientować się, ile postaci stoi w pobliżu tej bryły o dziwnym ukształtowaniu. Bryła naprawdę zdawała się być zrobiona z metalu.

Kiedy Eer-Meesach wpadł pędem do Wielkiej Sali i wybełkotał swoją histeryczną opowieść o płomienistym przedmiocie z metalu, który spadł z nieba, Hunnar był jednym ze sceptyków. Czarodziej jednak upierał się, że jego teleskop zdradził mu, iż z zewnątrz przynajmniej ta rzecz pokryta była litym metalem, dlatego lśniła jak tiara tancerza. A do tego jeszcze upierał się, że widział, jak z metalu wyszły jakieś dwa stworzenia i weszły na wysepkę. Teraz Hunnar zobaczył to na własne oczy i na chwilę zapomniał o tych stworzeniach. Tyle metalu! Jeżeli był równie dobry jak stal to stanowił zaprawdę cenny łup. Będzie im potrzebny każdy dostępny skrawek, jeżeli Rada ma zgodzić się na plan Longaxa, żeby rzucić wyzwanie Hordzie. Sprawą o decydującym znaczeniu będzie właściwe ułożenie stosunków z tymi stworzeniami. Miło byłoby po prostu poszifować tam i stracić parę łbów, ale niekoniecznie byłoby to praktyczne. Chociażby dlatego, że Eer-Meesach nigdy by mu tego nie wybaczył. Hunnar wykonał *Znak*. Wcale nie miał ochoty, żeby mu się w czasie godów łóżko zmieniło w rozdokazywanego gutorrbyna. Poza tym stworzenia, które potrafią zmusić taką ilość metalu do fruwania po niebie, będą również potrafiły zrobić coś niezbyt miłego, jak im się ktoś nie spodoba. I na pewno znają wartość swojego metalu.

Przez całą drogę z Wannome jedna myśl nie dawała mu spokoju. Czy mogli to być bogowie? Bogowie o szarych grzywach, wszechmocni, nieśmiertelni? Nie można tego jeszcze było wykluczyć. Kiedy jednak czarodziej opisywał sposób, w jaki ich statek podchodził do lądowania, nasuwał się wniosek, że nieomylni nieśmiertelni stracili nad nim kontrolę. Bardziej przypominało to opis kocząt na sankach, które je poniosły. Powstrzyma się z ostatecznym osądem, dopóki sam nie zobaczy. Ucieszyłoby to jego nauczycieli.

Ale tyle metalu!

Wpatrywał się w tę upadłą rzecz. Jedno wydawało się pewne. Wzrok tych istot, czym by one nie były, wydawał się równie dobry jak jego własny wzrok. Wyglądało na to, że cała ich grupka ustawia się tuż przed statkiem – z oporami zdecydował się uznać tę bryłę za coś w rodzaj statku. Stali na samym skraju wysepki. Już samo to było dziwaczne. Ale może miał to być gest przyjaźni, skoro ograniczyli się do przebywania na ziemi. Wnioski Hunnara były słuszne, chociaż założenia fałszywe. Dziko się uśmiechnął. A może znaczy to, że ci obcy boją się stanąć z nim do walki. Bo inaczej przecież wyszliby mu na spotkanie.

Było pięć... nie, sześć tych stworzeń. Wyglądało na to, że tylko jedno z nich ma posturę, jaka



przystoi wojownikowi. Coraz lepiej.

– Suaxus! – zawołał do swojego pierwszego oficera. – Zajedź z lewej! Yasen, Smjor, do niego! – Odwrócił się, wciągając mocno powietrze. – Budjir, zajeżdżaj z prawej z Avyehem i Hivellem!

Dziwiciu tranów bezzwłocznie rozdzieliło się na trzy grupy. Podjadą do obcych z trzech stron. Nie tylko był to rozsądny środek ostrożności, ale taki manewr powinien zrobić na nich odpowiednie wrażenie. Suaxusowi wyznaczył lewą stronę i nieco słabszy wiatr. Tego młokosa cechowała niecierpliwość i bywały z nim kłopoty, ale w czasie ćwiczeń w zasadzie należał do najlepszych. A ty sam, Hunnarze? Czyim to ty jesteś dziadkiem, co? Dojrzałość, przypomniał sam sobie, niekoniecznie jest funkcją wieku.

Dał znak. Po jednej stronie uformowanej w grot strzały grupy trzech tranów nagłym ruchem opuściło lewe ramiona. Mocne błony, które rozciągały się od nadgarstka do biodra złożyły się i trzech żołnierzy pochyliło się lekko na lewo. Wiatr dał silnie i miarowo w prawe skrzydła, trzy komplety pazurów-ostrzy zaryły się w lód. Giermek i dwóch żołnierzy wykonali zręcznie zwrot o sześćdziesiąt stopni w lewo. Budjir i jego ludzie powtórzyli ten sam manewr w prawo. Byli już całkiem blisko i Hunnar zaczął się zastanawiać, czy nie za długo zwlekał.

– Redukować szybkość! – rozkazał swoim towarzyszom. Wszyscy opuścili ramiona i zmniejszyli szybkość. To nie byłoby w porządku, gdyby do celu dojechali przed skrzydłowymi. Z wieży czarodzieja na pewno przygląda im się Eer-Meesach, a może i Landgraf. Nie pora na niechlujne wykonanie manewru.

– I uważać mi przy hamowaniu! – dodał. Obsypanie gości na powitanie ostrymi odłamkami lodu też nie ułatwi dyplomatycznej wymiany zdań.

Lanca, którą trzymał w lewej łapie, wydawała się nic nie ważyć. Dojechali już niemal do obcych, którzy nie zrobili nic, co można by uznać za akt wrogości. Twarze mieli różowe i zadziwiająco jasny koloryt, poza jednym, który był ciemnobrązowy. Kolorem różnili się nieco pomiędzy sobą, ale ogólnie rzecz biorąc wyglądali jak świeżo narodzone kocięta.

Zobaczył jak Suaxus szybko zbliża się od lewej i nieco szerzej rozpostarł własne skrzydła. Budjir zwróci uwagę na przyspieszenie i idealnie dopasuje swoją szybkość. Hunnar przyglądał się obcym i nie udało mu się dostrzec ani jednego miecza, topora, lancy czy nawet noża. Oczywiście, upomniał sam siebie, we wnętrzu tej metalowej butli może siedzieć pięćdziesięciu innych, uzbrojonych po zęby. Gdyby jednak chcieli walczyć, musieliby przejść z lądu na lód, a Hunnar miał po swojej stronie zarówno słońce, jak i wiatr. Niech no tylko spróbują! Przynajmniej tych pierwszych sześciu padłoby jak stado miauczających skoczków! Ostrożnie, ty idioto! Znowu przestałeś myśleć jak dyplomata. I czas na marzenia się skończył.

– Lance w górę! – rozkazał głośno – Hamujemy!

Suaxus i Budjir pojawili się niemal równocześnie. Zręcznie, pogratulował sam sobie. Jeżeli przygląda im się ktoś z pałacu, nie może być z tego manewru niezadowolony.

Hunnar i jego ludzie podnieśli broń do pionu, skręcili lekko w lewo i wryli się w lód. Deszcz odłamków lodu wyrwanych ostrymi pazurami trańskich żołnierzy posypał się migoczącą kaskadą w lewo. Ominęły obcych całkowicie. Kilku z nich się wzdrygnęło, ale ci na przedzie ani drgnęli, tak jak powinno być. Jedno ze stojących w tyle stworzeń wydało jednak z siebie krótki, cienki kwik. Na ucho Hunnara mógł on oznaczać niepewność, ale nic nie wiedział o tych dziwacznych istotach, więc mógł to być śmiech. To samo stworzenie natychmiast przywarło do drugiego. Para, zdecydował. Znowu dobry znak. Jak dotąd trudno mu było odróżnić samice od samców. Bez sekcji zwłok może to w ogóle nie być możliwe. Znowu zaczynasz, powiedział sam do siebie ostrzegawczo. Gdyby tylko to się stało o rok wcześniej, podchodziłby do wszystkiego z dużo lżejszym sercem.

No cóż, jeżeli w metalowym statku kryło się więcej tych dziwnych stworzeń, to te tutaj znalazły się na blefowaniu doskonale. Ani jedno z nich nie rzuciło w tamtym kierunku okiem. Z jednym wyjątkiem wszystkie wyglądały na niedożywione. Żadne z nich nie było też dzieckiem. Nie, wcale nie byli tacy niscy, ale za to potwornie wychudzeni. A i tak większość tego stanowiły ubrania.

Jeśli chodzi o ludzi, Sir Hunnar zrobił na nich odpowiednie wrażenie, ale rycerz był imponującą postacią nawet wśród twoich ziomków. Wzrostu był takiego jak September i niemal dwa razy taki w barach. Potężne, grube ręce kończyły się dłońmi o trzech palcach i kciuku i służyły jako nośniki dla błoniastych skrzydeł rozciągających się pomiędzy nadgarstkiem a biodrem. Stopy miał krótkie, z grubymi, wydłużonymi palcami. Każdy z trzech palców kończył się wyciągniętym, pojedynczym pazurem, zwążającym się u spodu w ostrze, dzięki czemu na stopie powstawało coś w rodzaju potrójnej łyżwy. Czwarty palec był krótki i przesunięty w tył, za piętę. Sterczał z niego przysadkowaty, tępy szpic, który po wbiciu w lód służył jako hamulec.

Kiedy tranowie jechali w stronę szalupy, robili wrażenie niższych, a to dlatego że poruszali się zgięci wpool, żeby zmniejszyć stosunek powierzchni ciała do skrzydeł. Pomagało im to także utrzymać równowagę przy tym zdradliwym wietrze. Muskularną, wysoko sklepioną pierś okrywało krótkie, miękkie futro. Każdy z żołnierzy miał na sobie gruby płaszcz z gęstego, bursztynowego futra hessawara. Płaszcze zebrane były w talii pasami z kutech krążków złota i wytłaczanej skóry. Do lewej nogi Hunnar miał starannie przypasany krótki, dwustronny miecz. Na prawym biodrze widać było groźnie wyglądający sztylet. Z karku opadał mu na płaszcz naszyjnik z groźnych, piłowatych zębów krokima. Jego kaptur bardzo był podobny do kapturów, jakie mieli przy swoich parkach ludzie, tylko że znajdowały się na nim w dwóch miejscach wycięcia na trójkątne, pokryte futrem uszy. Naokoło przedniej części kaptura biegł pasek, który można było ściągnąć pod brodą, żeby wiatr nie zwał go z głowy. Twarz, która wpatrywała się w nich, była niezaprzeczalnie kocia, z jaskrawożółtymi, skośnymi oczami. Źrenice były zaskakująco czarne niczym kosmos. Portretu dopełniał płaski nos, wysokie czoło i szerokie usta, pełne płaskich, i spiczastych zębów. Tranowie byli wszystkożerni. Futro na ich ciele było stalowoszare, u kilku żołnierzy widać było czarne plamy na pyskach lub koniuszkach uszu. Jeszcze jeden tak jak Hunnar miał brodę, broda i futro na twarzy Hunnara wyróżniały się jednak przez swój kolor, rdzawy, niemal brunatno-żółty.

– Powiedź coś do nich, mój chłopcze – szepnął September kątem ust.

Ethan pospiesznie usiłował ułożyć odpowiednie zdanie inauguracyjne, wstawiając na miejsce czasowniki, podbudowując wątpliwe fragmenty odpowiednimi zaimkami.

– Jesteśmy... mmm... karawaną, która utraciła żagle – zaczął. – Wiatr nas zdradził i podróżujemy teraz na podmuchu łaski. – Zrobił ostrożnie dwa kroki do przodu na lód... nie była to właściwa pora na wykonanie siadu płaskiego... i stanął na palcach. Potem zaczerpnął głęboko powietrza i wydmuchnął je tubylcowi prosto w twarz, modląc się przez cały czas, żeby tej gorze futra, która stała przed nim, nie zaszkodziły przypadkiem jakieś zarazki z jego ciała.

Przez moment nikt nawet nie drgnął. Potem dziko wyglądający tubylec rozluźnił mięśnie wokół ust w szerokim uśmiechu – nie pokazując zębów. Pochylił się i wdmuchnął Ethanowi w twarz mgiełką zmrożonego powietrza.

– Mój oddech jest twoim ciepłem – powiedział z niemałą ulgą.

Przynajmniej ci obcy byli cywilizowani. Może będą mieli z tego jakąś korzyść taktyczną, ale na razie zadowolony był, że nie zanoszą się chyba na walkę.

– Lance spocznij – polecił pozostałym. – Wydają się przyjaźnie nastawieni.

To ostatnie naprawdę nie było konieczne. Wszyscy słyszeli krótką przemowę Ethana i przyglądali się powitaniu.

– Bardzo coś dzisiaj jesteśmy ufni – psioczył Sauxus, ale z cicha, pod wąsem.

On jeden się nie odprężył.

Tranowie rozluźnili się i niemal kompletnie wciągnęli swoje ostrza w łapy. I w tym momencie Ethan popełnił fatalny błąd.

– Może chcielibyście wejść do naszego statku – zaproponował gładko – i schronić się przed tym piekielnym wiatrem?

Hunnar cały się sprężył, a dwóch z jego ludzi sięgnęło po miecze. Żałował, że nie potrafił nic odczytać z wyrazu twarzy obcego.

– Dlaczego? – zapytał z napięciem, a łapa aż go swędziała, żeby złapać za broń. – Czemu mielibyśmy szukać schronienia przed wiatrem? – Powtórzył, bo wyglądało na to, że obcy stracił głos widząc ich reakcję.

– Chyba rozumiem – powiedział w końcu Ethan. – My przylecieliśmy stamtąd, z góry – pokazał w kierunku nieba – i nasz świat jest dużo cieplejszy niż wasz. Trudno jest nam wytrzymać tutejszy nieustanny huragan. Nie pomyślałem, że to opacznie zrozumiesz. Słowo, nic innego na myśli nie miałem.

Żołnierze rozluźnili się nieco. Hunnar nie zadał sobie trudu, żeby skorygować sposób myślenia obcego. Gdyby zostawili za sobą wiatr i lód, pozbyliby się tej niewielkiej przewagi taktycznej, jaką mieli. Ale wyglądało na to, że ten obcy naprawdę nie miał o tym pojęcia.

– Przyjmuję twoje słowa – powiedział – ale w niektóre trudno jest mi uwierzyć. Mamy bardzo

ładny, letni dzień. Można by z przyjemnością podróżować bez płaszcza. Choć prawdą jest, że chciałbym zobaczyć wnętrze waszego pojazdu.

Brak było w tej jego wypowiedzi oglądy, zwłaszcza po wcześniejszej reakcji, ale była to jedna z rzeczy, o którą najbardziej im chodziło. Tam do diabła, nie jest przecież żadnym heroldem, tylko rycerzem.

– Bardzo by nam to ułatwiło życie – odparł Ethan. – Oczywiście, prosimy.

September wdrapał się na szalupę, wychylił się i podał Ethanowi rękę.

– Połapałem się w większości w tym, o czym mówiliście – powiedział cicho. – Dlaczego jak powiedziałaś, żeby ukryć się przed wiatrem, zaczęli w pierwszej chwili mieć się na baczności?

– Nie wiem – odpowiedział Ethan, usiłując znaleźć jakieś oparcie dla stopy. Wsiadł i odwrócił się, żeby pomóc Williamsowi. – Nie, czekaj, chyba wiem. Wyraźnie jest to jakiś lokalny oddział wojska czy patrol, czy coś takiego. Jeżeli wyjdą z wiatru, ich zdolność do manewrowania w bardzo znacznym stopniu się zmniejszy. A jak oni się ruszają na tym lodzie! Czy zauważyłeś, że żaden z nich nie wjechał na wyspę?

– To prawda – zgodził się September. – Bitwa na większą skalę na tym świecie musi stanowić kombinację piechoty i staroświeckich żaglowców. Fascynujące!

– Nie chciałbym zobaczyć nawet dwóch rozszoszczonych tranów – odparował Ethan. – Przypatrz się tym wielkoludom. Lepiej ich nie prowokować.

– Może być zupełnie inaczej, niż ci się, chłopcze, wydaje. – Ludzie znaleźli się już na pokładzie, teraz tranowie wspinali się ostrożnie na górę. – Zauważyłem coś całkiem, całkiem ciekawego.

– Co takiego? – zapytał Ethan, przypatrując się Hunnarowi, który usiłował pochłonąć wzrokiem każdy szczegół zniszczonej szalupy.

– Przy takim ciężarze te pazury powinny się dużo głębiej wbijać w lód. Może to i są najwspanialej umięśnione okazy od czasów Pitara, ale postawiłbym platynowego dublona, że kości mają lekkie. Może nawet puste w środku, jak ptaki. Jestem pewien, że są dużo lżejsi, niż wyglądają. Ty chłopcze, możesz im sięgać tylko do pasa, ale jakby doszło do przepychanki, to mógłbyś być górą.

– Nie mam najmniejszej ochoty sprawdzać tej teorii – odparł z przekonaniem Ethan. – Nawet w przyjaznym siłowaniu się na rękę.

Jeśli chodzi o szybkość myślenia Hunnar nie dorównywał klasie czarodzieja, ale nawet dziesięcioletnie kocię potrafiłoby się zorientować, że ten zdumiewający pojazd w tym stanie ni – gdzie nie polecą. Wielkie dziury zięjące w dachu i bokach, poszarpane na strzępy fotele i powykręcane zamocowania; wszystko wskazywało, że pojazd nie wylądował w sposób przewidziany przez konstruktorów. Zauważył również natychmiast łatwe do rozpoznania ślady pazurów na jednej ze ścian i na dachu szalupy i znów popatrzył na obcych z szacunkiem.

– Mieliście spotkanie z droommem.

– Obawiam się, że tak – powiedział Ethan. – Mało się nie posikaliśmy ze strachu.

Na dodatek jest szczery, zanotował sobie w pamięci Hunnar. Oczywiście żaden prawdziwy wojownik nie przyznałby się do odczuwania strachu w sytuacji bitewnej – nawet stanąwszy twarzą w pysk z droommem. Gdyby tak zaatakował ich siejący zniszczenie stavanger! Ale to był szczególny przypadek. On sam mógłby...

– Wydaje się, że wasz pojazd – zaczął niewinnie – doznał pewnych uszkodzeń. Ja sam, ponieważ nie byłem świadkiem waszego przybycia, z pewną trudnością jestem w stanie uwierzyć, żeby taka ilość metalu (uważaj, rycerzu, żeby w twoim głosie nie było słycać zazdrości!) mogła naprawdę opuścić się Z nieba. – A potem już nie mógł opanować tonu nabożnej czci. – Czy to naprawdę latająca machina?

– Naprawdę – odpowiedział Ethan. – A przylecieliśmy ze statku wiele setek razy większego niż ten. – Na to Hunnarowi nie udało się podtrzymać wzdrygnięcia. – Tamten statek przewoził nas na ten świat z innego świata, gdzie mieszka pewna ilość takich istot jak my, a stamtąd leciał na inne światy. Zatrzymaliśmy się w... nad powietrzem waszego świata i wtedy przytrafiła nam się niewielka katastrofa. Byliśmy zmuszeni uciec z naszego statku w tej maleńkiej szalupie ratunkowej. Spotkało nas drugie nieszczęście i nie udało nam się w prawidłowy sposób wylądować. Jeden z nas – dodał po namyśle – zginął przy lądowaniu.

– Boleję wraz z wami – powiedział Hunnar uprzejmie.

Oczywiście nie uwierzył w tę fantastyczną historyjkę, którą opowiadało to stworzenie. Inne światy, nie wiesz czasem! Każde dziecko, które pobierało nauki od Uczonego Męża, wiedziało, że w tym systemie gwiazdnym Tran-ky-ky była jedynym światem, który mógł być siedliskiem życia. Nie, to muszą być jacyś skarłali, niemal bezwłosi tranowie z jakiegoś odległego miejsca na ich globie. Następne słowa Ethana wydawały się potwierdzać to przypuszczenie.

– Istnieje niewielkie osiedle naszych ludzi wiele... wiele saczów na zachód stąd. To tam chcieliśmy wylądować, kiedy straciliśmy kontrolę nad naszym pojazdem. Gdybyś mógł pomóc nam się tam dostać, nasi przodkowie tańczyliby na twoją cześć przez całą wieczność.

– Ile saczów? – zapytał Hunnar, na którym pochlebstwo nie wywarło większego wrażenia.

Ethan liczył w myślach jak szalony, opierając się na ostatnich odczytach latarni lokacyjnej i domysłach Septembra.

– Osiem lub dziewięć tysięcy, tak mi się zdaje.

Jednemu z żołnierzy wyrwał się stłumiony, skomlący dźwięk.

Hunnar rzucił mu wściekle spojrzenie, ale sam z trudem powstrzymał uśmiech. Osiem czy dziewięć tysięcy saczów. Taki spacer na szifach naokoło prowincji w jedną stronę, a potem z powrotem.

– Te sprawy najlepiej omówić z Landgrafem – odpowiedział gładko.

– Landgrafem?

– Tak. W wielkim zamku Wannome. Poznacie i jego, i Radę, kiedy tam się znajdziemy.

– To nam odpowiada – powiedział September, odzywając się po raz pierwszy. – I myślę, chłopcze, że już czas, żebyśmy się nawzajem sobie przedstawili.

– Zgoda – powiedział Hunnar. – Zwę się Sir Hunnar Rudobrody, syn syna Stomsbruka Rudobrodego, prawnuk Dugai Dzikiego. Moi giermkowie, Suaxus-dal-Jagger – wysoki, smuklejszy żołnierz wystąpił sztywno o krok do przodu – i Budjir Hotahg. Zbrojni jego wysokości, Landgrafa, wierni i oddani. – Następnie kolejno przedstawiał żołnierzy – Yasen Tersund, Smjor To, Aveyhlet Otkamo i Hivell Yuonislathi.

– Zwę się Ethan Fortune. Ten oto zwie się Skua September, Milliken Williams... – wyliczał kolejno nazwiska ich grupki.

– Tylko jedno imię? – powiedział Hunnar, wskazując na Walthera.

– To przestępca... uch, powierzony naszej pieczy – improwizował pospiesznie Ethan. – Jako taki ma prawo tylko do jednego imienia.

Kiedy doszli do du Kane'ów, Hunnar był nieco zawiedziony, dowiedziawszy się, że są ojcem i córką. Popełnił poważny błąd przy ocenie wieku i stosunku. Niewielka sprawa, ale dotknęło go to. A więc rodzic i kocię, a nie para. Ciekawe.

– Pomimo twojego pozdrowienia, przyjacielu Ethanie, muszę upewnić się, że jesteście istotami prawdziwie gorącej krwi, a nie dewiantami, jak skoczki. Zanim możemy myśleć o udzieleniu wam pomocy z dobrej woli, musimy rozstrzygnąć tę żywotną kwestię.

Budjir podszifował do swojego przywódcy i szepnął:

– Skąd ta konieczność, panie? Wyraźnie wyglądają na...

– Zamilknij, giermku. Stjorva wygląda jak krzak, a gryzie.

Zaskoczony Budjir zawarczał coś pod nosem i odstąpił.

– I co teraz? – pytał September Ethana.

– Wydaje mi się, że chcą mieć pewność, że pochodzimy w zasadzie z tego samego gatunku, co oni. Oczywiście nie pochodzimy, ale sądzę, że chodzi mu o znalezienie uspokajającego podobieństwa. – Zwrócił się do rycerza. – Jak możemy dowieść tego drobiazgu, Sir Hunnarze?

Olbrzymi tran minął Ethana i stanął przed Colette. Nie ustąpiła mu pola, ale wpatrywała się w

jego drapieżną twarz z niepokojem.

– Czego chce to coś? – zapytała w terangielszczyźnie.

Ethan wymienił kilka słów z Hunnarem. September uśmiechnął się.

– Tu chodzi o nasze życie – powiedział chrapliwym głosem. – Lepiej się nie sprzeciwiaj. – Po trańsku zwrócił się do Hunnara. – Bądź ostrożny, ta Ona jest ociupinę płochliwa.

Rycerz skinął głową. Ethan zauważył, że miejscowy płaszcz zamocowany jest na ramionach skórzanymi wiązadłami. Odezwał się do Colette po terangielsku.

– Chyba będziesz musiała rozpiąć kurtkę, Colette. Będziesz marzyła tylko przez moment.

– Rozpiąć moją... czyś ty zwariował? Wymyśliłeś sobie, że pozwolę temu obleśnemu, słoniowatemu kocurowi gapić się na siebie?

– On chciałby mieć gwarancję, że w zasadzie jesteśmy ssakami – powiedział gładko Ethan. – Ty jesteś naszym najlepszym i jedynym przekonującym dowodem. A może wolisz pójść na rożen?

– Słuchaj, Colette – zaczął du Kane. – Nie jestem pewien...

– Bardzo dobrze – powiedziała Colette spokojnie.

Zaczęła rozpinąć zatrzaski parki. Ethan zauważył, że reszta trańskich żołnierzy przypatruje się temu z zainteresowaniem nieco większym niż czysto kliniczne.

Colette przeszedł lekki dreszcz, kiedy Hunnar dotknął jej swymi wielkimi, uzbrojonymi w pazury łapami, ale poza tym z flegmą przetrwała krótką inspekcję.

– Zadowolony? – zapytał Hunnara September, jak tylko ten skończył.

Colette odwróciła się do nich tyłem i zaczęła na nowo zapinać kurtkę.

– Jak najbardziej.

W głębi ducha uważał, że badanie przydało jedynie mocy twierdzeniu, że ludzie to tylko chudsza odmiana jego własnego gatunku, mająca dużo bardziej zaawansowaną technologię.

– W porządku, Colette? – zapytał Ethan w troskliwej terangielszczyźnie.

– Tak sędzę. – Trzęsły nią trochę dreszcze i nie upierała się, żeby nazwał ją panną du Kane. – Mam tylko nadzieję, że na tych tubylcach nie ma pcheł ani wszy.

– Co mówi ta Ona? – zapytał Hunnar.

– Że pochlebia jej twoja uwaga – odparł gładko Ethan.

– Hmm. No cóż, przyjacielu Ethanie, to Landgraf i Rada muszą podjąć decyzję, czy da się coś zrobić w sprawie waszej prośby o pomoc w dostaniu się do domu.

– To nie jest nasz dom – powiedział Ethan, podświadomie unikając zastawionej przez tamtego zręcznej pułapki. – To tylko pojedyncza placówka, którą nasi ludzie założyli na waszym świecie.

– Oczywiście – zamruczał Hunnar. – W każdym razie powinna nad tym debatować Rada w pełnym składzie. – W obecnej chwili, kiedy Horda oddalona była tylko o malet czy dwa, prawdopodobnie każda prośba nawet o jedno ostrze miecza czy strzęp żagla spotka się w najlepszym wypadku z życzliwym brakiem zainteresowania. Oczywiście nie powiedział tego. Możliwe, że ci ludzie na coś będą się mogli przydać. Nie ma co zbyt wcześnie ich zniechęcać. Gdyby tak sami z siebie zgodzili się ofiarować im wrak swojej łodzi, niewątpliwie przechyliłoby to szalę na ich stronę. Może powinien teraz o tym napomknąć.

– Czy wasz pojazd naprawdę nie jest już w stanie latać?

– Tak jest – powiedział smutno Ethan.

– Czy nie da się go naprawić?

– Obawiam się, że nie – wtrącił September. – Potrzebny byłby dobrze wyposażony dok typu OG. Najbliższy o ładnych parę parseków stąd.

Hunnar zwrócił na niego spojrzenie. Czuł się już swobodnie w towarzystwie Ethana, ale nie całkiem pewnie przy tym obcym, który był niemal tak potężny jak on sam, a mówił z akcentem jeszcze bardziej odrażającym niż Ethan. Potężnego człowieka zdawało się wyłącznie bawić baczne spojrzenie, jakim obdarzył go rycerz.

– A więc – ciągnął dalej niedbale – czy mielibyście coś przeciwko, gdybyśmy go jakoś wykorzystali?

Czekał w napięciu. Nie miał ochoty na przelew krwi, ale dla takiej ilości metalu... Już nawet nie zwrócił im uwagi, że w ich położeniu nie bardzo mogli odmówić. Mimo to pełna gotowości Odpowiedź Ethana zaskoczyła go.

– Oczywiście, proszę bardzo.

Nawet Suaxus się wzdrygnął.

– Muszę wam jednak powiedzieć – dodał September – że chyba wasi ludzie nie będą w stanie go obrabiać.

– Nasi kowale – odparł Suaxus wyciągając się na całą swoją wysokość – potrafią obrabiać brąz, miedź, srebro, złoto, junit, żelazo, vial i dobrą stal.

– Imponujące. Wiercie mi, że życzę im tylko wszelkiej pomyślności. Jeżeli uda im się formować duramiks w waszej lokalnej wersji kuźni, pierwszy będę bił im brawo. Gdyby na przykład udało



wam się wyszkolić jakiegoś drooma, żeby się tym zajął...

Na to jeden z żołnierzy nie wytrzymał i roześmiał się. Nastrój się poprawił, zmalało napięcie zrodzone z żądzy posiadania.

– Gdybyśmy to potrafili zrobić – uśmiechnął się Hunnar – nie byłby nam potrzebny metal.

– Mamy tu skrawki i kawałki już poodrywane, które jakoś moglibyście wykorzystać – ciągnął dalej September. – Na przykład ramy foteli, podgrzewacze i różne takie. Z chęcią ofiarowałbym wam kilka kilometrów przewodów, ale obawiam się, że na szalupie nie ma ich za wiele. – Nie miał zamiaru wdawać się w wyjaśnianie mechaniki stanu stałego i ciekłego. Jak się wojownik sfrustruje, może zacząć się złościć, a jak się zacznie złościć, może zechcieć wyładować swoją złość przez wykonywanie ruchów tnących jakimś ostrym przedmiotem.

– Zobaczymy – powiedział Hunnar. Popatrzył na Ethana. – A więc naprawdę nie masz żadnych obiekcji, przyjacielu Ethanie?

– Żadnych. Szalupa należy do ciebie, yyy... przyjacielu Hunnarze.

– Wspaniale. A teraz myślę, że nadszedł czas na spotkanie z Jego Wysokością.

Rozpierała go radość. Taka zdobycz bez kropli przelanej krwi! I może do tego sprzymierzeńcy. Co prawda bardzo niewielkiego wzrostu.

– Jesteśmy równie gotowi, jak ty – powiedział Ethan.

Zrobił krok do przodu i zatrzymał się. Na jego twarzy pojawił się wyraz konsternacji.

– Ale... jak wy zamierzacie dostać się do tego waszego zaniku?

Hunnar zmienił zdanie. Może jednak pomylił się. Może to rzeczywiście są dzieci albo przynajmniej młodziki.

– Po prostu tam poszifujemy – powiedział cierpliwie. – To tylko krótki ślizg. Piętnaście minut na dojazd, może trzy razy tyle z powrotem, pod wiatr.

– Mówiąc „szifować” masz na myśli jazdę na łyżwach?

Hunnar nic nie odpowiedział, zakłopotany.

– Obawiam się, że nie damy rady.

– A czemu nie? – wybuchnął Suaxus, a jego ręka powoli zaczęła się przesuwać w kierunku miecza.

– Ponieważ – ciągnął dalej Ethan, rozpinając płaszcz i podnosząc ręce do góry – nie mamy skrzydeł i – tu zapiął płaszcz, podniósł stopę i zdjął but – nie mamy pazurów ani łyżew. –

Pospiesznie wdział z powrotem but, zimno kasało go w piętę.

Hunnar wpatrywał się w teraz już okrytą stopę i w myśli pospiesznie na nowo dokonywał oszacowania sytuacji. Po pierwsze, jego ukochana teoria, że ci ludzie to tylko chudsza odmiana jego własnego gatunku, zniknęła jak słodkuszka w gardzieli kocięcia. I ta cała ich obcość – sposób poruszania się, mówienia, ten niemożliwy statek podniebny – wszystko to naraz zważyło się na niego z solidnym, metalicznym chrzęstem. I chociaż był z niego niezwykły rycerz Sofoldu, doznał wstrząsu.

– Jeżeli... jeżeli nie macie ani danów, ani szifów – powiedział bezradnie – to jak się poruszacie? Przecież chyba nie chodziecie przez cały czas?

– Dużo chodzimy – przyznał Ethan. – Mamy także niewielkie pojazdy, które przenoszą nas z miejsca na miejsce. – Z uczuciem, że jest śmieszny, pokazał jak chodzą. – I jeszcze biegamy. – Powstrzymał się przed pokazem tej czynności.

– My też „chodzimy”, z wciągniętymi szifami – wymamrotał Hunnar z pewnym oszołomieniem. – Ale żeby być zmuszonym chodzić, jak się ma do przejścia jakąś większą odległość... ależ to straszne!

– Jest bardzo wielu ludzi, którzy odczuwają to w taki sam sposób. I robią to jak najrzadziej – wyznał Ethan. – A na naszym świecie i tak nie ma zbyt wielu miejsc do szifowania. Nasze oceany nie są stałe, jak ten, tylko ciekłe.

– Masz na myśli jak wewnątrz świata? – Hunnarowi szczęka opadła.

– To ciekawe. – Williams odezwał się po raz pierwszy. – Niewątpliwie albo musieli kiedyś widzieć popękana skorupę lodową, albo zachowały się wśród nich wspomnienia tego rzadkiego wydarzenia. Ponieważ ta pokrywa jest dla nich w tym samym stopniu powierzchnią świata co wyspy, łatwo zrozumieć, jak ich mędrcy doszli do wniosku, że świat jest wydrążony i wypełniony wodą.

– Wasz dom to musi być strasznie smutne miejsce – litował się nad nimi Hunnar ze szczerym współczuciem. – Chyba bym nie miał ochoty go odwiedzić.

– Och, są na moim świecie takie miejsca, nawet na Ziemi, gdzie czułbyś się jak w domu – zapewnił go Ethan.

– Czy wy wcale nie potraficie szifować? – naciskał ich rycerz.

Trudno było pogodzić się z takim potwornym wybrykiem natury.

– Ani trochę. Gdybym miał spróbować i zaczął szifować... To prawda, że na niektórych światach mamy coś w rodzaju sztucznych szifów z metalu, ale nie zabraliśmy ze sobą ani jednej pary. Nie należą do standardowego wyposażenia na szalupach ratunkowych. A ja i tak nie umiałbym ich użyć. Myślę, że przejechałbym kilka metrów pod wiatr, a potem wyłożył się jak drugi na twarz.

– Może by ci to dobrze zrobiło – powiedziała Colette.

Zignorował ją.

– Wezwę sanie – powiedział Hunnar zdecydowanie. – Budjir i Hivell, zajmijcie się tym! – Giermek gestem potwierdził rozkaz i ruszył na łód, a za nim żołnierz.

Ludzie przypatrywali się ich odjazdowi zafascynowani. Zwłaszcza Williams był zachwycony bez granic. Kiedy tranowie znaleźli się już na łodzi, giermek poszperał w plecaku żołnierza i wyciągnął wypolerowane do połysku lustro wielkości mniej więcej jednej trzeciej jego torsu. Oprawione było w ciemną, drewnianą ramę; w podstawie tkwiło coś na kształt metalowej śruby.

Żołnierz wcisnął podstawę w łód i zaczął nią obracać, aż mocno ją przyśrubował. Tymczasem giermek ustawił lustro pod słońce i wyważył je. Skierowane było na te same wyspy na zachodzie, które Ethan wypatrzył ze swojego punktu obserwacyjnego na drzewie. Przy lustrze znajdowało się coś w rodzaju nieskomplikowanej przesłony, którą można było na jego taflę nasunąć. Żołnierz pilnował, żeby lustro nie chwiało się na wietrze, a Budjir zaczął podnosić i opuszczać przesłonę w charakterystycznym rytmie. Niemal natychmiast gdzieś od horyzontu przyplłynęła w odpowiedzi seria jaskrawych błysków, na co giermek zaczął szybciej poruszać przesłoną i robił to przez jakiś czas.

– Wyraźnie system komunikacji słuchowej – zadumał się September – taki jak bębny czy rogi do niczego tu się nie nadaje. Wiatr zagłuszałby dobry bęben tak, że na pół kilometra nikt by go nie usłyszał.

Williams zwrócił się do Hunnara.

– A co robicie w nocy?

– Równie dobrze działa światło pochodni odbite przez lustro – odparł rycerz. – Na wielkie odległości wykorzystujemy układ stacji przekaźnikowych o większych zwierciadłach. Chyba że je ktoś zniszczy.

– Zniszczy? – zapytał Ethan.

To nie samo słowo, a modulacja głosu Hunnara pobudziła jego ciekawość.

– Tak. Horda pali lustra, żeby nie rozchodziły się żadne wieści o ich trasie. Prawdę powiedziawszy, zabrania nawet je konstruować. Ale wielu udaje, że nic o tym nie wie i odbudowuje je.

– Horda? – dociekał September bez większego zainteresowania. – Jaka Horda?

– Obawiam się, że będziecie mieli okazję się o tym przekonać – odparł Hunnar. – Jeszcze trochę musimy zaczekać. Tymczasem chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o was i waszej zdumiewającej, podniebnej tratwie.

– Niewiele z tego by pan zro... by pana zainteresowało, Sir Hunnarze – powiedział Ethan. – Ale z przyjemnością wszystko panu pokażę. Gdybym tak miał tę moją cholerną torbę z próbkami przy sobie...

Podczas dyskusji, która poprzedziła przybycie sań-tratwy, Hunnar ujawnił sporą dozę wiedzy z zakresu podstawowej astronomii. Na Tran-ky-ky rzadko kiedy pochmurna pogoda panowała przez dłuższy czas, zadumał się Ethan. Kiedy Williams odpowiedział na kilka sondujących pytań dotyczących jego do-mu i statku, Hunnar zapytał, czy nauczyciel jest czarodziejem, poinformowany, że jest nauczycielem, wzruszył ramionami na to rozróżnienie. Nie było wątpliwości, że Williams i Eer-Meesach, czarodziej samego Landgrafa, będą mieli o czym rozmawiać. Co do Williamsa, absolutnie nie próbował ukryć swojego entuzjazmu mając w perspektywie takie spotkanie. Usiłował opowiedzieć rycerzowi o pełnowymiarowym statku z napędem KK, ale Hunnar nawet słuchać nie chciał. Z metalu po prostu nie można było zrobić czegoś tak wielkiego.

– Czemu on nie wylądował i was nie zabierze? – zapytał.

– Pomijając różne drobne powody – odpowiedział Williams – nie może. Żaden statek o napędzie KK nie może lądować. Potwornie by wam zniszczył tę część świata.

– Ha! – mruknął Hunnar.

Statek z metalu, takiej wielkości. Czy oni go brali za kompletnego głupca?

Podobnie nie mógł uporać się z koncepcją nieważkości, chociaż ciężenie rozumiał; w końcu jak się człowiekowi utnie głowę, zawsze spada ona w dół. Kiedy September uczynnie przetłumaczył Colette tę informację, wyglądała, jakby jej się zrobiło trochę niedobrze. Hunnar znał także gutorrbyny i krokimy, i inne latające stwory, które były dziwaczne, ale swoje ważyły. Wystarczająco wiele ich zabił, żeby to wiedzieć.

Tran z zainteresowaniem przyjrzał się bezwładnemu ciału Kotabita. W tym lodowatym klimacie wcale się nie rozkładało, za co Ethan był wdzięczny. Doświadczony wojownik mógłby się zorientować, że Kotabit wcale nie skręcił sobie karku, kiedy rzuciło go na konsolę. Ale trupy, nawet nieznanego gatunku, nie wzbudzały najwyższego zainteresowania. Spojrzenia przyciągała raczej tablica rozdzielcza z oszronionymi teraz gałkami i zegarami. W tym samym czasie Hunnar opowiadał Ethanowi i Septembrowi o Tran-ky-ky.

Wannome, jak wynikało z opowiadania, była stolicą i jedynym prawie-miastem na obszernej wyspie o nazwie Sofold. Sofold leżał wiele, wiele kijatów na zachód. Rościł sobie również prawa do zwierzchnictwa nad szeregiem mniejszych wysp leżących w pobliżu. Ta mała wyspa, o którą się roztrząskali, była jedną z nich. Na kilku większych, zamieszkałych, stacjonowały oddziały wojska.

Zatoka Wannomska stanowiła doskonały naturalny port i była kwitającym ośrodkiem handlu. Na grani wyspy czynne były gorące źródła. Przy tych źródłach w naturalny sposób rozmieszczono odlewnie i kuźnie. Na wyspie znajdowały się też bogate pokłady niektórych metali, ale inne trzeba było kupować.

Szeroko rozpowszechniona była także uprawa ziemi. Podobnie jak większość zamieszkałych wysp, Sofold praktycznie był samowystarczalny jeśli chodzi o żywność. Jednym z głównych zajęć było zbieranie pika-piny, która odrastała równie szybko, jak ją zbierano. Gdy Ethan zapytał, czy

zbierali również pika-pedan, Sir Hunnar rzucił mu dziwne spojrzenie. Suaxus zaskamlał ze śmiechu.

– Tylko głupi śmiałkowie albo ignoranci usiłują utrzymać się ze zbiorów pika-pedanu – wytłumaczył. – To na pika-pedanie pasą się stavanzery.

– Stavanzery? A co to jest? – zapytał z zaciekawieniem September.

I znowu w wiadomościach Ethana na temat fauny ziała dziura.

– Nie pamiętam. Mam takie wrażenie, że powinienem, ale czarna dziura... Mam to na czubku języka... jakaś blokada umysłowa. A co? Chcesz założyć ranczo?

– Hodowla nie należy do moich wielu talentów. – September uśmiechnął się.

– Czekaj no chwilkę. Pamiętam za to, co znaczy ta nazwa.

– No?

– Grzmotożerca.

September wyduł wargi.

– Brzmi całkiem niegroźnie. No dobrze, to nie będziemy się zgłaszali na ochotnika do pielienia pika-pedanu, co? Zapytaj go o tutejszych złodziei... o rząd.

Wielokroć już wspomniana Rada, jak się zdawało, składała się z miejscowych dygnitarzy i szlachetnie urodzonych, którzy służyli jako administratorzy, burmistrzowie i sędziowie na prowincji. Radzie przewodniczył Landgraf, stanowisko to było dziedziczne, on też rozstrzygał wszelkie kwestie sporne. Jedyne Rada mogła odwołać jego decyzje. Wielka część jego osobistego majątku i zawartość skarbcza pochodziły z opłat celnych i podatków handlowych.

– A co to za ptaszek z tego waszego Landgrafa? – zapytał September.

– Jest nieulekły, błyskotliwy, geniusz administracji i prawdziwy czarodziej w podejmowaniu decyzji – odparł Hunnar. Pochylił się i szepnął konfidencjonalnie: – Uparty i żyłasty jak kawałek suszonego rok temu vola, ale jeżeli od początku będziecie z nim otwarcie mówić, możecie być spokojni.

– Brzmi imponująco... prawdziwy przywódca – odparł Ethan głośno. Potem on z kolei zniżył głos:

– Rozumiem. Nasz też jest taki... czasami. Hunnar skinął głową, potem zrobił niepewną minę.

– Czasami?

– Ja sam nie w pełni to rozumiem, Sir Hunnarze. Może kiedyś, wkrótce... Jest chory na starość... i myślę, że coś jeszcze. – Podniósł wzrok, zaczął się uśmiechać, ale przestał, kiedy zobaczył, że Hunnar się odsuwa.

– Przepraszam. Zapomniałem, że pokazywanie zębów nie jest oznaką przyjaźni wśród mięsożerców.

– Zaprawdę dziwaczny jest ten wasz zwyczaj – zgodził się rycerz.

– A to jest następna sprawa, którą musimy się zająć. – Popatrzył z całym spokojem na Hunnara. – Nie wątpię, że wasi kucharze należą do najszlachetniejszych praktyków tej sztuki na planecie, ale mamy pewną ilość naszego własnego jedzenia, które chcielibyśmy ze sobą zabrać.

– Jeżeli ta ilość nie jest zbyt wielka, spokojnie zmieści się na tratwie.

– I czas już, żeby wyjść na zewnątrz – powiedział September.

– Obawiałem się, że to właśnie możesz powiedzieć – westchnął Ethan.

\* \* \*

Sanie-tratwa były niezbyt zgrabne, ale solidne. Długie na dwadzieścia metrów, szerokie na dziesięć, wyglądały jak tępy trójkąt z ciężkiego drewna, bez żadnych ozdóbek. Podłogę wyścielała mata z jakiegoś roślinnego włókna, a dookoła, na wysokości pasa, biegła drewniana poręcz. Oczywiście na wysokości pasa tranów.

Załoga składała się z czterech osób. Właściciel, kupiec o nazwisku Ta-hoding, wpatrywał się w zrujnowaną szalupę z tak otwartą i bezwstydną chciwością, że Ethan poczuł się zupełnie jak w domu. Pojedynczy maszt osadzony był w odległości jednej trzeciej długości od spiczastego dziobu. Wisiał na nim jeden kwadratowy, duży żagiel, rozpięty pomiędzy dwoma mocnymi belkami poprzecznymi na górze i na dole. Tratwa spoczywała na trzech zaostrzonych płozach z szarego kamienia, dwie z nich znajdowały się z tyłu przy narożach, a jedna, nieco mniejsza, z przodu. Dwie tylne płozy połączone były z podwójnym kołem, które musiało obracać dwóch żeglarzy.

– Piękny statek – powiedział Ethan do kapitana.

– Wieczysty splendor spłynął na moich przodków, że będę miał was na pokładzie mojego żalostnego statku, o wielcy goście z gwiazd! Okryliście czią mojego ojca. Moja rodzina na zawsze będzie pławić się w łunie waszego blasku. Moje kocięta i towarzyszka...

Ta-hoding nie przestawał zasypywać swoich pasażerów duszącymi pochlebstwami, aż September szepnął coś do Hunnara. Niestety Ethan nie dosłyszał jego słów.

– Nie, wcale nie miało się to rozejść – odparł rycerz. – Prawdę mówiąc, Landgraf pragnął, żeby, na ile się da, utrzymać to w tajemnicy. Jednak gdy chodzi o pieniądze... – wzruszył ramionami, bardzo to był ludzki gest.

Ethanowi zaczynało świtać, jak wielkie bogactwo w tych stronach przedstawia ich zniszczona szalupa.

– Rozumiem – powiedział September.

Chwycił następną skrzynkę racji awaryjnych, które żołnierze podawali na górę i władował ją na drewniany pokład. Dwóch żołnierzy ze znacznym wysiłkiem podało mu pudło do góry. Hunnar przyglądał się temu w milczeniu. September nie był pewien, czy rycerz zorientował się, z jaką łatwością poradził sobie z pierwszą skrzynką. Cholerny świat! Potężny mężczyzna borykał się niemal teatralnie z pozostałymi kartonami.

– Latarnia, która opromieni swoim blaskiem.. – Ta-hoding chodził za ludźmi i nie przestawał tryskać peanami na ich cześć.

– Przepraszam na chwilę – zaczął Williams i Ethan z wdzięcznością ulotnił się; nauczyciel uratował go od chyba nie kończącego się ostrzału mrożonymi banałami. – Dlaczego płozy twojego statku zrobione są z kamienia? – zapytał Williams.

– Niestety – odpowiedział kapitan – drewno zużywa się zbyt prędko, a na metal nawet bogaci nie mogą sobie pozwolić, a ja z pewnością do bogatych nie należę... Istnieje taka olbrzymia tratwa, która jest własnością ludu z Vad Ozero, sześć razy taka jak mój biedny statek. Jej żaglami można by nakryć dużą gospodę, a płozy ma zrobione z kręgosłupa stavanzera. – Potrząsnął z żalnością głową. – Ach, ta łatwość, z jaką ona skręca, nawet pod wiatr. Ta zdolność manewru, ten zmysłowy ślizg pod pełnymi żaglami, ta szybkość, te zyski... ach, te zyski!

Tak, może to i jest przedstawiciel innego gatunku, ale pod tym względem są tacy sami jak my, pomyślał Ethan. Może w galaktyce istnieje gdzieś rasa długobrodech filozofów, pogardzających dobrami materialnymi, natomiast jak dotąd nikt jej jeszcze nie odkrył.

– Sądzę, że to by było na tyle – powiedział September z satysfakcją.

Ethan pomyślał, że ma już ogromną ochotę zobaczyć dom Hunnara, który właśnie przyglądał się, jak na pokład wchodzi ostatni z ludzi.

– Jesteśmy więc gotowi?

Odwrócił się do kapitana.

– Odbijamy, Ta-hoding! Wszyscy na pokładzie!

– Jak wam dyktuje wasza śmiałość – wylewnie zaczął kapitan. – Pławię się w blasku tego...

– Nie jestem jednym z twoich klientów, Hodingu – warknął w odpowiedzi Hunnar. – Płaci ci Landgraf, więc nie trać swoich pochlebstw na mnie. – Odwrócił się do swojego giermka. – Suaxusie, zabierz Smjora i złóż raport o nas. Jeżeli wiatr nas nie zawiedzie, powinniśmy być na miejscu w dziesięć tuwitów po tobie. Złóż również raport Longaxowi i dopilnuj, żeby obudzono czarodzieja. Jeżeli nie czeka już na ciebie z wywieszonym językiem. I uważaj no, opowiedz wszystko, jak było, bez żadnych swoich krwiożerczych upiększeń.

– Będzie, jak każesz, panie – potwierdził Suaxus, jak się Ethanowi zdawało nieco chłodno. – Możesz na mnie polegać.

Hunnar odpowiedział mu uśmiechem zaciśniętych ust. Wymienili ze sobą oddechy. Chociaż nie było między nimi żadnej wyraźnej różnicy wieku, Hunnar o całe lata wydawał się Ethanowi starszy.

– Wiem, że mogę, Suaxusie. Niech cię wiatr prowadzi.

Suaxus klepnął swojego rycerza po ramieniu, potem wrzasnął na Smjora i zniknął za burtą tratwy. Ethan przechylił się przez poręcz i zobaczył, jak mkną z szybkością błyskawicy pod kątem do wiatru na południowy zachód. Niedługo pewnie zaczną halsować z powrotem pod wiatr, pozerając odległość dzielącą ich od domu.

Ethan wcale nie czuł się zaskoczony tym, że pojedynczy tubylec może poruszać się szybciej niż masywna tratwa. Odwrócił się tyłem do wiatru i otarł kryształki lodu, które osiadły mu na górnej wardze.

Tratwa mogła poszczycić się jedną drewnianą kabiną, która przycupnęła tuż za jedynym grubym masztem. Może i dla tubylców był to letni dzień, ale jemu było po prostu zimno. Wewnątrz du Kane’owie wtulali się w leżące na stosie resztki towarów, z dala od maleńkich okienek. Z czegoś, co wyglądało na niewielki piecyk, wychodziła prosto na dach rura, ale w piecyku się nie paliło. Williams siedział przy drzwiach. Walther wcisnął się jak zwykle w najdalszy, najciemniejszy kąt.

– No cóż, daleko temu do klasy pierwszej – Ethanowi zebrało się na kiepskie żarty – ale skoro tak bez uprzedzenia...

Colette tylko spiorunowała go wzrokiem. Williams też nic nie powiedział. Całkowicie był pochłonięty badaniem wnętrza kabiny.

– Widzisz? – powiedział, wskazując połączenie na jednej ze ścian. – Oni stosują łączenie na wręby i drewniane kołki, a newralgiczne miejsca wzmacniają żelazem i gwoździami z brązu. Większość sprzętu stojącego na piecu, zrobiona jest z brązu, ale kilka rzeczy z kutej miedzi, a sam piec z żelaza. W szafce tam z tyłu widziałem jedną czy dwie włócznie z ostrzami ze stali, a rękojeści są przepięknie zdobione ślimacznicą.

– Musi to być duma i radość serca Ta-hodinga – skomentował Ethan, w myśli usiłując oszacować wartość tego artefaktu jako lokalnej ciekawostki.

– Wcale mnie to nie dziwi – zgodził się nauczyciel – nie znalazłem natomiast niczego w rodzaju ceramiki. Na kole garncarskim woda by zamarzła.

Tratwa nagle się zachwiała. Colette zapiszczała.

– A teraz co? – jęknęła.

– Pójdę – powiedział Ethan wykazując godną pochwały inicjatywę – i się dowiem.

– Myślę, że to kapitan skierował statek nieco bardziej pod wiatr – poinformował Williams. – Niedługo powinniśmy...



Dalszych słów nauczyciela już Ethan nie słyszał, bo wyszedł zza ścianki i znalazł się na wietrze. Jeszcze się do niego nie przyzwyczaił, ale na tyle już się z nim oswoił, że nie odczuwał potrzeby, by za każdym podmuchem raczyć go przekleństwem. September stał w pobliżu spiczastego dziobu, pogrążony w rozmowie z Hunnarem.

Żagiel załopotał. Wzięli ten sam kurs, co wcześniej Suaxus i Smjor, którzy teraz już całkiem zniknęli z pola widzenia.

September i Hunnar odwrócili się, kiedy Ethan do nich podszedł.

– Czy twoi towarzysze mają dogodne schronienie? – zapytał troskliwie rycerz.

– Tak dogodne, jak tylko to możliwe, Hunnarze. – Podniósł wzrok na Septembra. – Walther siedzi w swoim kącie i patrzy spode łba. Colette na przemian jest cyniczna i wystraszona, jej ojciec nie mówi nic, dopóki nie musi, a Williams za bardzo jest zajęty zapisywaniem w pamięci wszystkiego, co tylko się da, żeby coś więcej zauważyć.

– A ty, mój chłopcze? – Wiatr zwał Septembrowi pojedyncze pasmo siwych włosów na czoło.

– Ja? Ja... – Właściwie to był tak zajęty, że nie miał czasu zastanawiać się nad swoimi własnymi uczuciami. – Jest mi zimno.

– Zwięzłe podsumowanie, chłopcze. – Podsunął się, żeby klepnąć Ethana znowu w plecy. Tym razem Ethan uchylił się z szerokim uśmiechem, a wiatr w tej chwili z pazurami skoczył mu do twarzy.

– Naprawdę nabieramy szybkości.

Żagiel trzepotał i grzechotał pomiędzy reją a bomem. Przy każdym końcu dolnej rei stał jeden żeglarz. A Ta-hoding i jeszcze ktoś zmagali się z podwójnym kołem. Kapitan starannie usiłował dopasować do siebie szybkość wiatru i pożądaną kierunek jazdy. Jego wzrok wędrował nieustannie pomiędzy niebem, żaglem i lodem.

– Do zwrotu! – ryknął przekrzykując wyjące powietrze. A potem: – Ostro! – I wściekle napiął mięśnie, siłą obracając koło w prawo.

Tratwa powoli skręciła na prawo. Przez ułamek sekundy ustawiła się prosto pod wiatr i główny żagiel uderzył w maszt z trzaskiem, jakby pękło poszycie. Dwóch ludzi na rejach ciągnęło i pchało jak jeden, żagiel ustawił się w nowej konfiguracji i oto pędzili z zawrotną szybkością na północny zachód.

– Dobra robota! – wrzasnął September z podziwem.

Zapierając się o poręcz, ręka za ręką przesuwał się w kierunku rufy. Zaciekawiony Ethan szedł za nim. Chciał przyjrzeć się z bliska żaglowi. Jeżeli jakiś materiał potrafi wytrzymać taki nieustanny łomot, na jaki narażony był ten żagiel, może mieć ogromną wartość handlową.

Materiał był grubszy niż płótno żaglowe, czegoś takiego jeszcze Ethan nie znał, a mimo to

wydawał się za cienki, żeby okiełznać tak potężne wiatry, jakie musiał wytrzymać na tym świecie. Był jaskrawożółty, ale nie był to chyba kolor naturalny. Hunnar podszedł do niego od tyłu i potwierdził to.

– Wnętrze pika-piny jest miękkie, ale warstwa zewnętrzna jest łykowata i cienka. Kiedy się ją wysuszy, podda obróbce i przeciągnie przez warsztat tkacki, robi się z niej bardzo silne włókno. Na żagle, liny i dziesiątki innych użytecznych rzeczy.

– Co ty nie powiesz? – odezwał się September, który wrócił po dokonaniu krótkiej inspekcji mechanizmu sterującego tratwą.

A potem zrobił coś takiego, że Ethan o mało co nie wrzasnął. Chwycił dolny brzeg żagla w obydwie dłonie i nagle szarpnął go gwałtownie w dwóch przeciwnych kierunkach. Ethan spodziewał się, że lada chwila powali go rój czterech rozwścieczonych żeglarzy. Nikt nie zwrócił jednak na niego najmniejszej uwagi. Ta-hoding nawet nie podniósł wzroku od swojego stanowiska przy kole. Podobnie jak pozostali żeglarze. Budjir i inni żołnierze nadal raczyli się opowieściami. W końcu September głęboko odetchnął i puścił żagiel. Na ile Ethan się orientował, materiału nawet nie naddał.

– Mocny to odpowiednie słowo. – Septembrowi oddech świstał w krtani. – Domyślam się, że z kilku warstw tego materiału, ściśle utkanego i nałożonego jedna na drugą można by zrobić solidną tarczę, co?

Hunnar spojrział na niego z nowym szacunkiem.

– Jesteś więc wojskowym, przyjacielu September?

– Powiedzmy, że miałem okazję parę razy brać się z innymi za łby.

– Można by – przyznał rycerz – tylko że obrobione skóry hessavara nałożone na drewno, brąz lub żelazo są lepsze. Chociażby dlatego, że trudniej się palą.

– Hm. Nie pomyślałem o tym.

– Czy chciałbyś wypróbować mój miecz? – zaproponował Hunnar, pochylając się pod szczególnie gwałtownym podmuchem.

Septembra wyraźnie to kusilo, ale nie chcąc narażać się na to, że zwróci na siebie uwagę i zdradzi własne ukryte zdolności lub brak takowych, uprzejmie odmówił.

– Nie dziś, przyjacielu Hunnarze. W przyszłości, w bardziej sprzyjających okolicznościach, jeżeli nadarzy się jeszcze okazja.

– Kiedy nadejdzie Horda, nie będziesz się musiał skarżyć na brak okazji – powiedział posepnie rycerz. Stracił nagle humor i poszedł porozmawiać z kapitanem.

– Co to jest ta Horda, o której ciągle wspomina? – zapytał September Ethana.

– Nie wiem. – Ethan patrzył w ślad za rycerzem. – Ale mam takie przeczucie, że dopóki się tego nie dowiemy, nie uda nam się zbliżyć do Asurdunu.

## ROZDZIAŁ V

Prawdę mówiąc przyjechali nawet nieco szybciej, niż spodziewał się Hunnar. Wiatr wzrósł, aż osiągnął miarowe sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, ale pod zręcznymi łapami Ta-hodinga i jego mikroskopijnej załogi niezdarna tratwa po prostu frunęła po lodzie. Kupiec był może komicznie wylewny, ale był także mistrzem lodowej żeglugi.

Ethana przepełniała radość, kiedy tak stał na ostrym dziobie tratwy i pozwalał, by wiatr z wrzaskiem opływał mu twarz, bił w gogle i szarpał zbyt obszernym kapturem, który spowijał te-raz całą jego głowę i twarz. Gniewne powietrze miało w sobie tyle samo delikatności, co świeżo zaostrzony skalpel. Radość, tak. Ale o ileż bardziej radośnie by mu było, gdyby znowu zrobiło się ciepło... czy w ogóle jeszcze kiedyś będzie mu ciepło? Nagle uświadomił sobie, że obok niego stoi Hunnar.

– Wannome – zamruczał rycerz – i wyspa Sofold. Mój dom. I twój na jakiś czas, przyjacielu Ethanie.

Jeszcze przez chwilę wyspa majaczyła tylko niewyraźną plamą na horyzoncie, miał jednak wrażenie, że w miarę jak mała tratwa podjeżdża coraz bliżej, sceneria wyskakuje z lodu prosto na niego. Zanim się połapał, tratwa już sunęła pod wyniosłymi kamienistymi murami wśród roju podobnych do niej pojazdów. Wszystkie zbudowane były na bazie trójkąta. Większość była tej samej wielkości, co ich własny statek. Było też kilka dwa czy trzy razy dłuższych, a jedna wielka tratwa musiała mieć z dziewięćdziesiąt metrów. Dostrzegł na niej piętrową kabinę centralną i mniejsze kabinki z przodu i z tyłu. Pokłady zawałone były skrzyniami i pudłami, starannie poprzywiązywanymi, żeby ich wiatr nie zwał. Dużą ich część chroniły pokrowce z tego samego materiału, co żagle. Oprzyrządowanie wielkiej tratwy było bardziej kolorowe, a tu i tam pobłyskiwały dekoracje z metalu i kości. Żagle robiły wrażenie rozprysków tęczy na lodzie. Ethan uświadomił sobie, że tutaj każdy kolor poza białym i zielonym był widoczny na wiele kilometrów.

Kilka statków, którym w żagle dał zachodni wiatr, śmignęło obok nich z zawrotną prędkością. Wszystkie kierowały się do tego samego miejsca, do przerwy w murach, lub stamtąd wyjeżdżały. Wjazd oskrzydlały dwie masywne wieże z szarego kamienia, a ogromne mury ciągnęły się na prawo i lewo, zakręcały i znikały w dali.

Ethan z trudem podszedł do wejścia do kabiny i wrzasnął do środka:

– Panie du Kane, Colette, Millikenie, chodźcie popatrzeć. Jesteśmy na miejscu.

– Tylko ciekawe, gdzie jest to miejsce – narzekła Colette. W chwilę później zgromadzili się

wszyscy na dziobie tratwy.

Ta-hoding kierujący tratwą za pomocą delikatnych manewrów i wyszukanych przekleństw prowadził ich zręcznie przez rojowisko w porcie.

U góry, na wieżach oskrzydających wjazd, widać było patrole tranów. Tratwa zgrabnie prześliznęła się pomiędzy murami i przybliżyła do kierującego się ku wyjściu statku handlowego o pomarańczowych żaglach i bogato rzeźbionej poręczy. W pewnym momencie bom tego statku niemal przeciął żagiel ich tratwy. Ta-hoding bluznął strumieniem inwektyw, z których Ethanowi udało się zrozumieć może połowę. Pierwszy oficer tamtego statku z łukiem w ręce podszedł do poręczy. Nic wcześniej nie wskazywało, że tubylcy znają łucznictwo. Wygrażał im, dopóki Hunnar nie podszedł i nie powiedział do niego po cichu kilku słów – na tyle cicho, na ile to było możliwe przy tym wietrze. Zaczny oficer pospiesznie się zamknął i zniknął.

– W jaki sposób zamykacie port? – zapytał Ethan. – Nie widzę tu niczego w rodzaju bramy.

– Sieciami tkanymi z pika-piny – odparł rycerz. – Brama musiałyby spoczywać na lodzie.

– A co w tym złego?

– Porządny ogień, nawet rozpalony na lodzie z łatwością by ją osłabił. Same mury są głęboko wkopane w lód, ale z bramą nie można tak zrobić. Poza tym mamy Wielki Łańcuch. Przeciąga się go od jednej wieży bramnej do drugiej i wtedy nie mogą wjechać żadne statki poza najmniejszymi. A sieci bronią dostępu pieszym.

Mury, jak zauważył Ethan, miały po kilka metrów grubości, na ich szczycie było mnóstwo miejsca na manewry oddziałów. Miały około dwunastu metrów wysokości, a blanki były jeszcze nieco wyższe. Kiedy znaleźli się już za bramą, zobaczyli, że mury zamkniętym kręgiem otaczają port. Spory szacunek wzbudzały takie dokonania na polu inżynierii podstawowej.

Wannome miała idealne warunki na port lodowy. Sama wyspa leżała na osi wschód – zachód, a port i miasto znajdowały się na wschodnim cyplu. Kiedy lodowi żeglarze zawijali do portu, wyspa osłaniała ich przed stałym, zachodnim wiatrem, kiedy wychodzili z portu, żagle natychmiast wydymała wichura. Podróżni przybywający ze wschodu nie mieli tak łatwo, ale i na nich czekało spokojne lądowanie i osłona murów.

Ethan przyjrzał się jeszcze raz tej imponującej konstrukcji i zastanowił się, jakiego też zagrożenia mogą się obawiać mieszkańcy i dlaczego martwi się ktoś taki ja Hunnar.

Po rozłożystym porcie kursowały dziesiątki tratw i niewielkich łodzi spacerowych. Statki handlowe cumowały przy długich, wąskich pomostach, wbudowanych prosto w lód. Ponieważ nie dryfowały i nie podskakiwały na nie istniejących falach, pomosty ledwie że wystawały nad „wodę”. Drewniane żurawie i wyciągi wielokrążkowe jeszcze powiększały zamieszanie w porcie.

W miejscu wieczyście niezmiennej linii brzegowej, gdzie lód spotykał się z ziemią, zaczynała się płatanina niewielkich budynków. Po wybrzeżu roili się tranowie wszelkich rozmiarów i kształtów.

Na widok ludzi na niejednej tratwie odwracały się teraz głowy, ale Ethan zbyt był pochłonięty obserwacją, żeby to zauważyć. Od pomostów ziemia stromo wznosiła się w górę i znikła pod pogmatwaną, kolorową szachownicą piętrowych i dwupiętrowych kamiennych zabudowań i domów. W pobliżu domów widać było brukowane gładkimi, płaskimi kamieniami, wąskie ulice. Wzdłuż każdej z nich przez sam środek prowadził szeroki pas gładkiego lodu. Na wszystkich budynkach dawały się zauważyć kominy z kamienia lub czarnego metalu i wysokie, dwuspadowe dachy. Gdyby Ethan spędzał więcej czasu na przeglądaniu taśm historycznych, a nie ograniczał się do taśm dotyczących handlu, uświadomiłby sobie może, jak podobne jest to miasto do miast średniowiecznej Europy.

Centralne pasy były sztucznie wykonane, lód stopiono, zalano potem wodą odpowiednio poprowadzony układ rowów i zostawiono, żeby znowu zamrzła. Nawet z tej odległości Ethan widział, jak kryte futrem kropki opadają z wielką szybkością w stronę portu. Równie jasne było, że te lodowe rampy służą tylko do zjazdów. Trzeba by potężnego huraganu ze wschodu, żeby poszifować po nich w górę. W Wannome nie było więc problemu z szybkim przenoszeniem się z miejsca na miejsce – przynajmniej dopóki jechało się w dół.

Nad miastem po prawej i lewej stronie wznosiły się urwiska, a pomiędzy nimi widać było niskie siodło. Wielki zamek Wannome tulił się do skał po lewej stronie i wyglądał niemal jak część góry. Dalej schodził kamiennymi poziomami w dół, by złąć się z otaczającym port murem.

Zamek, jak poinformował ich Sir Hunnar, został założony przez rycerza-wędrownika, pewnego Krigsvirda-ty-Kalstunda, w roku 3262 SNC. Ethan posiadał zerową wiedzę na temat kalendarza tranów, ale zamek sprawiał wrażenie bardzo starego.

Wyspa miała kształt klina, przy czym port i miasto Wannome znajdowały się przy jego węższym końcu. Od miasta ziemia stromo wznosiła się do najwyższego punktu na wyspie, a stamtąd opadała długim, łagodnym zboczem w kierunku lodu i wielkich pól pika-piny. Z gór unosił się nieprzerwanie słup czarnego dymu.

– Pika-pina – wyjaśnił im Hunnar – chroni nas przed atakiem od zachodu, od strony podwietrznej. Wielki mur i zamek odgrywają tę samą rolę wobec miasta i wschodniej części wyspy.

– A co z południem i północą? – zapytał September.

– Większa część wyspy otoczona jest murem, ale dużo niższym i słabszym niż ten. Ale spichlerze, statki i odlewnia znajdują się po tej stronie, na wysokim brzegu wyspy Sofold i chronione są przez mur i urwisko. Gdyby zaatakowano od północy lub południa być może udałoby się wrogom wylądować. Wtedy mogliby zniszczyć pola i stada, i leżące niżej wsie. Nic by im to jednak nie dało, poza przyjemnością. Pola można przecież ponownie obsiać, domy odbudować, zwłaszcza jeżeli bogactwo prowincji pozostanie nienaruszone. Wannome jest w stanie dać wyżywienie i schronienie całej ludności Sofoldu, gdyby zaszła potrzeba.

– A gdyby tak zaatakowali miasto od strony lądu? – indagował September.

Hunnar popatrzył na niego protekcjonalnie.

– Widzę, że nas nie rozumiesz. Żaden tran nie zdecyduje się podjąć walk na ziemi, skoro może cztery razy wydajniej manewrować na lodzie. Wy to widzicie inaczej, bo nie macie ani szifów, ani danów. To dlatego statki i karawany najbardziej są zagrożone, kiedy zjadą z lodu. Poruszać się szybciej niż wojownik mający za sobą dobry, zachodni wiatr – to się niewielu udaje. Gdyby ktoś próbował zaatakować z wysoka, od lądu... nie, taki atak nigdy by się nie powiódł.

Można by dokonać lądowania z myślą o oblężeniu, żeby odciąć mieszkańcom drogę po zapasy z pozostałej części wyspy. Ale nigdy z myślą o tym, żeby wziąć z tamtej strony miasto. Nikt nie potrafiłby się wystarczająco szybko poruszać. Na przykład wszędzie, na całej wyspie, poprowadzone są lodowe ścieżki, które pozwalają nam poruszać się szybko na lądzie. Takie ścieżki zostałyby zniszczone, zanim najeźdźca mógłby zrobić z nich użytek. A my utrzymalibyśmy ścieżki na wyżynie i w mieście. Tak więc my zachowalibyśmy wielką ruchliwość, podczas gdy najeźdźca musiałby niezdarnie brnąć po ziemi. – Pokazał na mur, okrążając port, kiedy podjeżdżali do pustego pomostu.

Na końcu pomostu trzepotał na wietrze duży, szary proporzec. Podzielony był na cztery kwadraty. W górnym prawym rogu widniał kiel skrzyżowany z mieczem, dolny lewy róg ozdabiała kowadło i młot, a z przeciwległych kwadratów jeden był cały czerwony, a jeden żółty. Przy pobliskim pomoście przycumowana była fantastycznie rzeźbiona i wyposażona tratwa o niezwykle wysokim maszcie.

– Jacht Landgrafa – wyjaśnił Hunnar.

– A co z tym murem – odpowiedział mu Ethan.

– No więc lodowa ścieżka biegnie również wzdłuż jego szczytu. Stąd ludzie na górze mają możliwość szybkiego poruszania się nie mniejszą niż ci, którzy są na dole, na lodzie. A poza całkiem wyjątkowymi dniami wrogom wiatr wieje w twarz, a już w najlepszym razie w bok, a słońce wieczorem świeci prosto w oczy. To nie najlepsze warunki do prowadzenia ataku.

Dwóch ludzi z rei zrefowało pojedynczy żagiel. Trójkątna tratwa uderzyła o pomost z leciutkim wstrząsem. Natychmiast pojawili się pod tratwą jacyś młodzi tranowie i umieścili wielkie kamienie przed i za kamiennymi płozami.

Suaxus już czekał, żeby ich powitać.

– Przekazałem twoje wiadomości i mój raport naszemu Opiekunowi – raportował, kiedy już wymienili z Hunnarem oddechy i uścisnęli się za ramiona. – Masz natychmiast przyprzeprzeć ich przed jego oblicze.

– Czy Rada została poinformowana? – zapytał Hunnar.

Ethanowi wydawało się, że w głosie rycerza słyhać było coś więcej niż zwykłą ciekawość, ale nie był tego zupełnie pewien. Intonacja nie była mocną stroną infotaśm. Czuł jednak, że działo się tu coś, co przed nimi ukrywano. Uśmiech Suaxusa był napięty.

– Landgraf w mądrości swojej uważał, że audiencja przy drzwiach zamkniętych może lepiej

posłużyć bieżącym potrzebom prowincji... na początek. Mijałoby się z celem narażanie szlachetnych panów na wstrząs związany z widokiem tych obcych.

– Chodźcie moi przyjaciele – powiedział Hunnar. – To solidny kawałek drogi, chociaż może nie dla was.

Ethan bez żadnego wysiłku uznał wybrzeże za coś swojskiego. W końcu pracował w dziesiątkach takich miejsc na pół setce światów. Niektóre z tych światów były bardziej, inne mniej cywilizowane, a wszędzie troszczono się o pozyskanie dóbr materialnych.

Dokoła pulsowało życie. Handel, targi, ładowanie tratw, rozładowywanie, bijatyki, kieszonkowcy i całe masy dzieci, które jakoś znajdowały sobie miejsce do zabawy. Kipiący tłum chciwości obdarzonej rozumem. No cóż. Pod względem fizycznym wszechświat też nie był ideałem. Setki futrzastych tranów napełniały wybrzeże ciepłym zapachem piżma. Nie był to przy – kry zapach, chociaż w gorącym czy wilgotnym powietrzu mogłby zwalić człowieka z nóg.

Wielu miejscowych przerywało interesy i paplaninę, żeby przyjrzeć się defiladzie obcych, ale nikt nie ośmielił się patrzeć zbyt długo ani robić żadnych uwag, które mogłyby dojść do ich uszu. Powoduje to pewnie obecność Hunnara i jego żołnierzy, pomyślał Ethan. Ale dzieci nie były takie onieśmiałe. Wyglądały jak miniaturki dorosłych, małe, zwarte kulki jasnoszarego futerka, w tym łagodnym wietrze miały na sobie tylko kurtki albo krótkie płaszcze. Zatrzymywały się i patrzyły na nich szeroko otwartymi, kocimi oczami. Musiał się siłą powstrzymać, żeby ich nie przytulać, zadowolając się poklepaniem od czasu do czasu któregoś po łebku.

– Mieszkańcy miasta nie wydają się nadmiernie przyjaźni – zauważył w końcu September.

– Jesteście pod moją opieką – odparł Hunnar – więc jest jasne dla wszystkich, że królewscy z was goście. Nie przystoi wam mieszać się z pospólstwem.

– Obawiam się, że na chwilę będę się musiał mieszać, mimo całego szacunku dla tradycji.

I zanim Hunnar czy ktokolwiek inny mógł coś zrobić, żeby go zatrzymać, September wyłamał się ze ścisłej grupki, nie spiesząc się podszedł do niewielkiego, otwartego sklepiku i tam się zatrzymał.

Stał Pommer, starszawy właściciel sklepu, popatrzył na gładkoskórego obcego, a potem bezradnie na lewo i na prawo. Jego zwykle wielomówni sąsiedzi pozornie nie zwracali na niego uwagi.

– Ile? – zapytał September, pokazując palcem.

– Ja... właściwie... szlachetny panie, milordzie, ja nie wiem...

– Nie wiesz? – przerwał mu September, niby to osłupiawszy z oburzenia. – Sklepikarz, który nie zna ceny swojego własnego towaru? Jakim cudem jeszcze nie straciłeś sklepu? – Szarpnął swoją podwójnie złożoną koszulę. – Jak widać wyraźnie, rozpaczliwie potrzeba mi dobrego, ciepłego płaszcza. Chciałbym ten tutaj kupić.

– Tak, panie – wyjąkał Pommer, nieco wracając do równowagi. Na próżno szukał wzrokiem



skrzydeł Septembra, a potem, kiedy zdał sobie sprawę, że między nadgarstkami tego potężnego obcego a jego pasem nie ma nic oprócz pustego powietrza, poddał się z niedowierzaniem.

– Przestań na mnie wytrzeszczać oczy – popędział go September niecierpliwie. – Zdejmijże ten płaszcz z wieszaka i pozwól mi przymierzyć.

– Oczywiście, panie, oczywiście! – Pommer podszedł do obrotowego, drewnianego wieszaka i ściągnął wskazany płaszcz. Podał go Septembrowi, ten „wszedł” do płaszcza i naciągnął tylną część na plecy. Potem pochylił się i podciągnął płaszcz z przodu. Przytrzymał go na ramieniu, żeby się nie rozchodził i zawiązał najpierw lewą, potem prawą stronę na skórzane wiązadła. Długość pasowała, chociaż płaszcz był nieco za szeroki. Ethan mógłby w nim pływać.

– Trochę za luźny po bokach. Ponieważ nie potrzebuję rozcięć na skrzydła, może byś je po prostu zaszył? To go powinno wystarczająco zwęzić. Zostaw mi tylko tyle miejsca, żebym mógł przełożyć ręce, dobra? Te dziury na nogi są w porządku.

– Tak... tak, panie.

Żołnierze; przechodnie i chyba połowa dzieci z Wannome przypatrywali się bacznie, kiedy Stał Pommer zabierał się do sprzecznego z naturą zadania, jakim było zaszywanie po bokach płaszcza z hessavarów.

– O panie, nie będziesz teraz w stanie tego rozchylić, nawet przy ubieraniu.

– I o to chodzi, krawcze. Będę się ubierał tak, jakbym wpełzał do skorupy żółwia, ale zgodziłbym się nawet na nity, gdybym musiał. Co za luksus, po raz pierwszy odkąd wylądowaliśmy, jest mi niemal przyjemnie.

Pommer zignorował nieodpartą pokusę poznania natury tych żółwi i nitów i skupił się na szyciu. Igła, której używał, mogła w razie konieczności zastąpić niewielki miecz.

Pommer cofnął się o krok. September powymachiwał rękami, kilka razy głęboko ugiął kolana.

– Wcale nieźle. Żałuję tylko, że nie ma rękawów. Ile?

– Hmm... osiemdziesiąt fosów – zaproponował Pommer z wahaniem, wyglądając zza potężnej postaci obcego.

Sir Hunnar cicho zawarczał i położył dłoń na rękojeści miecza.

– Ale dla ciebie, o szlachetny panie – kwiknął pospiesznie Pommer – sześćdziesiąt, tylko sześćdziesiąt! – Hunnar chrząknął i zaczął przyglądać się chodnikowi.

– No, forsy lokalnej to ja nie mam, ani grosika – zadumał się potężny mężczyzna, pocierając lodowy osad na brodzie.

Na to się stary krawiec obudził. Niech sobie tu stoją zbrojni Landgrafa, ale jego zdaniem ten

człowiek wygląda na cwaniaka, którego typ przekracza bariery rasowe. Tymczasem September wyjął coś zza pazuchy, zasłaniając Hunnarowi widok własnym ciałem.

– To – wyjaśnił – jest połączenie widelca i noża. Bardzo prosty przyrząd. Zrobiony z duramixu. Standardowe wyposażenie awaryjne. Mamy jeszcze inne.

– Gdzie ten nóż? – zapytał starzec zaintrygowany. – Widzę tylko mały kwadrat z metalu.

– Naciśnij to wgłębienie, tu, na środku kwadratu.

Pommer z wahaniem wykonał polecenie i podskoczył, kiedy z przeciwnych końców kwadratu wyskoczyły nóż i widelec.

– Za skarby świata nie potrafię sobie wyobrazić, co będziesz robił tym widelcem – toczył z nim uprzejmą pogawędkę September. – Ale to ostrze powinno ci się w pracy przydać. Jest od cholery lepsze niż wasza najlepsza stal. I nigdy się nie stępi ani nie złamie. Powinno długo służyć tobie i dzieciakom, co? To awaryjne wyposażenie jest tak zrobione, żeby wiele wytrzymało.

Krawiec nie całkiem rozumiał tego dziwnego stwora, ale umiał się poznać na interesie stulecia.

– Uch... to z pewnością wydaje się godziwa zamiana, o panie. – Był tak podniecony i zdenerwowany, że za pierwszym razem nie udało mu się pochwycić kwadraciku. Szybko schował go, żeby Hunnar albo inni żołnierze nie mogli zobaczyć, co to było. – Dzięki ci, o panie, dzięki ci! – mamrotał, kłaniając się usłużnie. – Proszę, odwiedź znowu mój skromny sklep.

Hunnar wiercił się niespokojnie.

– Czy już całkiem skończyłeś?

– Tak, dziękuję – odpowiedział September.

Z ciasno zbitej grupki ludzi zapiszczał znany głos.

– Hej, a ja? – zapytał Walther.

– Co ty? – odparł zimno September. Odwrócił się znowu do Hunnara. – Pierwszy raz odkąd wylądowaliśmy na twoim świecie jest mi ciepło. Już dłużej nie mogłem czekać. Przepraszam, że narobiłem bałaganu w waszym protokole dyplomatycznym. Słuchaj – zakończył niewinnie – czy nie spóźnimy się na to spotkanie?

– Wcale bym się nie zdziwił – warknął Hunnar, odwracając się. Ethan zauważył, że przez całą drogę na górę September zarzucał go pytaniami. Pewnie po to, żeby rycerz nie zaczął się przypadkiem zastanawiać, czym to zapłacił krawcowi. Może przyjdzie mu to na myśl później, ale będzie wtedy już nieco za późno, żeby unieważnić tę transakcję wymienną.

\* \* \*

Mury zamku Wannome otaczała głęboka, wąska fosa. Pusta, oczywiście. Przerzucono przez nią krótki, zwodzony most. Mury wznosiły się na piętnaście metrów, a może i więcej. Lita obrobiona skała, szara i czarna. W Wannome nie brakuje rzemieślników, pomyślał Ethan, i to nie tylko kowali.

Za mostem po obu stronach wejścia stali włócznicy. Mieli na sobie płaszcze z głęboko tłoczonych skóry i tarcze również pokryte skórą, bogato zdobioną brązem. Każdy trzymał w ręce smukłą włócznię, okutą na końcu stalą. Hełmy miały wycięte otwory na uszy, z przodu nosale, z tyłu rozszerzały się wachlarzowa-to, żeby chronić kark. Młody tran, który czekał na nich tuż przy wysokiej bramie, był odziany w podobny sposób, tyle tylko, że jego skóry zdobione były srebrem, ostro odcinającym się od tła, a do nogi przypasany miał miecz bardzo podobny do tego, który nosił Hunnar. Także i hełm miał skórzany, wybijany srebrem; zwieńczenie hełmu zdobione było imitacją srebrnych płomieni. Na lewej piersi miał przszyty czworokątny, szary kawałek materiału, miniaturową kopię proporca na pomoście. Podszedł do nich zadyszany.

– Landgraf prosi do siebie szybko.

Sir Hunnar zmarszczył brwi i na wpół odwrócił się do Ethana.

– Niedobrze. Mam nadzieję, że nie popsuliśmy waszych szans.

Spojrzał spode łba na Septembra, jak gdyby ten zacy człowiek osobiście ponosił odpowiedzialność za wszelkie grożące im straszne konsekwencje. September wesoło zaczął pogwizdywać i uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Muszę teraz wymyślić jakąś piękną wymówkę – wymamrotał Hunnar.

– A czemu nie powiedzieć mu prawdy? – zapytał September, kiedy szli za krzykliwie ubranym heroldem przez podwórzec. – Że zatrzymałem się, żeby kupić sobie płaszcz, bo groziło mi, że zamarnę na śmierć?

– W taki dzień jak dziś, w taką przyjemnie ciepłą pogodę? Nie, nawet ja sam nie jestem w stanie uwierzyć, że przyzwyczajony jesteś do żywego ognia. Ale żeby przyznać się, że rozmawiałeś z krawcem, zanim porozmawiałeś z samym Landgrafem...? – Wyglądało na to, że Hunnar jest przerażony. – Nie, nie! Kazałby was wszystkich od ręki nadziać na rożen.

– Łatwiej to powiedzieć, niż zrobić – odparł September nieporuszony. – Poza tym, gdybym zamarnę na kołek, to przy towarzyskich pogawędkach niewiele byłoby ze mnie pożytku, czyż nie?

– Coś w tym jest – przyznał poważnie Hunnar. – Jego Wysokość ceni sobie szczerość. Zobaczmy. Może będzie taki wami zainteresowany, że zapomni się obrazić.

Przeszli przez następny niewielki, otwarty teren. W rozjarzonym pomieszczeniu po lewej stronie Ethan zauważył kowala, który wyklepywał wgłębienia na brązowej tarczy. Jego uwagę przyciągnął ogień. Obok innych drzwi leniwie opierało się o ścianę kilku uzbrojonych żołnierzy; w niczym nie przypominali wyprężonych jak struna oddziałów, na które natknęli się przy wejściu za zwodzonym mostem. Następna gromadka rozsiadła się w cieniu, grając w coś, co wyglądało na jakąś odmianę

uniwersalnej gry – gry w kości.

Weszli do wewnętrznej wieży, przeszli przez długą salę i doszli do szerokich schodów. Szli w górę, skręcili, właśnie wchodzili na następny bieg schodów, kiedy z tyłu rozległ się pełen zaskoczenia pisk. Przez sekundę Ethan myślał, że chyba stracili Colette, ale okazało się, że tylko podeszła za blisko środka schodów i stanęła na lśniącej, lodowej ścieżce. I odbyła krótki ale szybki zjazd z powrotem na sam dół. Ucierpiała jej godność osobista i jeszcze jedna część ciała, ogólnie jednak nie poniosła jednak żadnej trwałej szkody.

Kiedy znowu weszli na schody, ich przewodnik ostro skręcił w lewo. Minęli następną grupę wszechobecnych straży, potem zakręcił w prawo, w następny korytarz i jeszcze jeden, aż dotarli do długiej, sklepionej sali. Na jej drugim końcu oczekiwało na nich troje tranów. Z boku, w olbrzymim kominku huczał wielki ogień. Temperatura w tym pomieszczeniu może nawet nieco przekraczać zero, pomyślał Ethan.

– Ja was zaanonsuję – uprzedził herold. Ruszył po długim, bardzo kolorowo farbowanym dywanie, który pokrywał gołą, kamienną podłogę. Po obu stronach ciągnęły się pozornie nie kończące się stoły, z krzesłami i dziwnymi, pokręconymi świecznikami.

– Pamiętaj – szepnął Hunnar do Ethana, kiedy powoli szli za heroldem – on jest uparty, żylasty, ale nie jest zły. A przynajmniej nie z rozmysłem. Powiadają, że mieszałyśmy gorszych władców. Przynajmniej nie jest idiotą, jak jego przyrodni brat.

– Czy będzie nam dane spotkać jego brata? – zapytał Williams z kliniczną ciekawością.

– Tylko wtedy, jeżeli dysponujecie jeszcze dziwniejszym środkiem transportu niż wasz metalowy statek. Kiedy jego ułomność stała się oczywista, został uśmiercony.

– Och – powiedział zaskoczony nauczyciel. – To wydaje się dość krańcowa metoda postępowania.

– Taki mamy zwyczaj – powiedział po prostu Hunnar.

– To jest krańcowy świat – dodał September. – Inni cię tu nie będą utrzymywać, co? – Potem zwrócił się do Ethana: – Nie śpiesz się młody człowieku i mów, co uznasz za najstosowniejsze.

Herold zatrzymał się przed nimi. Teraz odwrócił się i zagrzmiął:

– Sir Hunnar Rudobrody, giermek Suaxus-dal-Jagger i giermek Budjir Hotahg z grupą obcoziemców!

– Obcoziemców? – September spojrzął na rycerza spode łba.

– Tak was nazywają – odparł Hunnar. – Z braku lepszego określenia. Teraz powoli; róbcie to co ja.

Przeszli za rycerzem ostatnie dwanaście metrów, mieli więc okazję rzucić okiem na oczekujących.

A potem Sir Hunnar nisko się uklonił, krzyżując ręce nad głową i zakrywając się skrzydłami. Wszyscy naśladowali ten ruch, jak mogli najlepiej i nie podnieśli się, dopóki nie podniósł się rycerz.

– Wasza Wysokość – zaczął – ci oto zdają się na twoją łaskę i niełaskę, bowiem wtargnęli na terytorium ludu twojego. Błagają cię o opiekę i może o przysługę. Wyruszyli na... – tu na sekundę zawahał się – na pielgrzymkę w odległe części świata. Ich metalowy statek podniebny został uszkodzony, jak pod ciosem Ojca Rifsów i wyzwolenie swoje składają w nasze ręce.

Stary, wysoki tran o jednolicie szarym futrze oparł obie ręce na poręczach tronu. Stał wyprostowany. Ethan zauważył, że oparcie tronu zostało wyrzeźbione z czegoś, co przypominało pojedynczą, nie łączoną nigdzie kolumnę z kości słoniowej, która wznosiła się aż do sufitu. Jak wysoko sięgał wzrokiem, pokrywały ją napisy i złobienia. Była wielka, jak porządnych rozmiarów drzewo.

Landgraf ubrany był w powłóczyście skóry i jedwabie. Jego piękny, odbijający światło napierśnik wykuty został z metalowej płyty i ozdobiony srebrem. Pojedynczą, skórzaną opaskę z osadzonym na czole jaskrawym prostokątem złota można było uznać za koronę. W łapie dzierżył drewnianą cienką laskę, rzeźbioną w zawile wzory, długą na dwa i pół metra, koloru wypolerowanego mahoni i wysadzaną czerwonymi i jaskrawoniebieskimi kaboszonami. Gałkę na szczycie laski zdobiło kilka wielofasetowych klejnotów.

– Sir Ethanie Frome Fortune – recytował Hunnar, pokazując na Ethana, zanim ten zdążył zaprotestować na nie przynależny mu tytuł. – Oto prawy, wierny i sprawiedliwy Torsk Kurdagh-Vlata, Landgraf Sofoldu i Prawy Opiekun Wannome.

– O synu wiatru, ze czcią stajemy przed ojcem twego ojca i tobą samym – zaintonował Ethan, wygłaszając wyćwiczoną przemowę z maksymalnie przekonującą modulacją swojego kupieckiego głosu.

– Witam was, obcoziemcy – odparł Landgraf. Miał zaskakująco, wysoki jak na trana głos, przynajmniej w porównaniu z tym, co dotąd słyszeli. Wskazał na prawo, na niewiarygodnie skurczonego, ale bystrookiego starca od stóp do głów ubranego w czarne jedwabie. Starzec miał na głowie czarną opaskę.

– Mój osobisty doradca, Malmeevyn Eer-Meesach.

– Czuję się zaszczycony, szlachetni panowie – zareagował czarodziej gładko. Spoglądał na nich z tak wyraźną, nie ukrywa – na zachłannością, że Ethan poczuł się odrobinę zdenerwowany. Takim samym spojrzeniem obdarzone są laboratoryjne szczury o mocno niepewnej przyszłości. Jak się później okazało, był dla starego trana niesprawiedliwy.

– A to – ciągnął dalej Kurdagh-Vlata, odwracając się w lewo – moja córka i moje jedyne kocię, Elfa Kurdagh-Vlata.

Jego gest skierowany był na zaskakująco smukłą i niemal nagą tranę. Wpatrywała się w Ethana, a jej spojrzenie wytrąciło go z równowagi dużo bardziej niż spojrzenie czarodzieja. Biorąc pod uwagę

panującą w sali temperaturę, w takim ubraniu narażała się chyba na natychmiastowe zapalenie płuc. Coś ostro stuknęło go w goleń, odwrócił się na pięcie. September uśmiechnął się do niego.

– Przyjdzie później czas na podziwianie widoków, chłopcze – zamruczał po terangielsku. – Nic dziwnego, że przyjaciel Hunnar nie wątpi w nasze podobieństwo.

– Hę? – zapytał Ethan inteligentnie.

Skierował znowu spojrzenie na tron i przekonał się, że Landgraf z niecierpliwością mu się przygląda.

– Twoi towarzysze – przynaglił go szeptem Hunnar.

– Och, tak. – Przesunął się nieco w bok i zatoczył ręką szeroki łuk. – Hmm, Sir Skua September...

September wykonał ukłon z towarzyszeniem mnóstwa zawiłych gestów dłonią. Ethan trochę się stropił, ale Landgraf wydawał się zachwycony.

– Hellespont du Kane... aaa... kupiec, zażywający wielkiej sławy na swoim świecie. Jego córka, Colette du Kane...

Du Kane skłonił się z cudowną giętkością, czym zaskoczył i Ethana, i Septembra. Collette zawahała się i przykucnęła w niezgrabnym dygu.

– I Walther... hmmm...

– Nie dowiesz się, koleś, jak się nazywam, aż będzie dużo za późno, żeby ci się to mogło do czegoś przydać – zamruczał porywacz po terangielsku.

– Tak? – Landgraf wyraźnie oczekiwał dalszego ciągu.

Ethan popatrzył niepewnie na Septembra.

– To przestępca, mamy go pod strażą – powiedział swobodnie potężny mężczyzna. – Jemu nie można ufać i nie można spuszczać z niego oka. Ukrył się na naszym statku i...

– To kłamstwo! – zawołał gwałtownie Walther. – To oni są zbrodniarzami, a nie ja! Wiozłem ich wszystkich przed sąd, kiedy...

September ostro mu przerwał.

– Cicho, gnojku – powiedział po terangielsku. – Mogę ci łeb ukręcić w tej chwili. A później możemy podyskutować z Landgrafem, który to z nas mówił prawdę. Ale nie martw się, przekażę twojemu duchowi informację, jak się cała sprawa skończyła.

Mały porywacz zamilkł.

– Sir Hunnarze? – zapytał Landgraf. – Co ma oznaczać ten wybuch?

– Wierzę, że to, co mówią Sir Ethan i Sir Skua, to właściwa prawda, Wasza Wysokość. Ten histeryk jest niegodziwy i sprytny.

– Czyż więc nie możemy przysłużyć się naszym nowo powitanym gościom? Każ go bezzwłocznie wyprawić na tamten świat!

– Wasza Wysokość, nasi ludzie mają odmienną metodę postępowania – wtrącił pospiesznie Ethan. – Musimy przedstawić jego i jego zbrodnie specjalnej maszynie. Ta maszyna, bezstronna i niewrażliwa, osądzi go sprawiedliwie.

– Gdzież jest sprawiedliwość, jeżeli w grę nie wchodzi uczucia? – odparował Landgraf. – Ale mniejsza. Dopiero co spotkaliśmy się, a okazuje się, że już z wami omawiam subtelne aspekty jurysprudencji. Inne sprawy czekają. Witam was jako przyjaciół i sprzymierzeńców. Będą wam dane pokoje i wszystko, czego trzeba dla osobistej wygody. Wieczorny posiłek zjecie ze mną i moimi rycerzami. Wasz dom jest teraz tu. – Po czym usiadł z wielką godnością i wyraźną satysfakcją.

Ethan zawahał się.

– Jest jeszcze jedna sprawa, którą powinniśmy omówić teraz, Wasza Wysokość. Problem pomocy w naszej dalszej podróży na zachód.

– Podróż? Podróż? Co to ma znaczyć, Sir Hunnarze? – zapytał szorstko Landgraf. – Giermku Suaxusie, nic mi nie mówiłeś o żadnej podróży.

– Nie miałem kiedy, Wasza Wysokość, bo...

Tu wtrącił się Sir Hunnar.

– Oni nie rozumieją, Panie. Racz pamiętać, że naprawdę są z innego świata.

– Może i tak – powiedział sztywno Kurdagh-Vlata – my nie wiemy nic o przenoszeniu się z jednego świata na drugi.

– Tak jest, Wasza Wysokość – ciągnął dalej Hunnar. – A jednak twierdzą, że ich ludzie mają miasto z dala od Wannome. To tam pragną się udać. Z osiem czy dziesięć tysięcy saczów.

– Taki popołudniowy spacer

– Ale gdyby udało im się dotrzeć do swoich przyjaciół, Panie, mogliby przywieźć więcej metalu i innych...

– Dosyć! – parsknął Landgraf. – Pewnie na tę podróż potrzebna by im była tratwa, może nawet kilka?

– Prawdopodobnie więcej niż jedna, Panie.

– Z pełną załogą i zapasami, i żołnierzami do ochrony przed piratami?

– Prawda, Panie, lecz...

– Nie ma mowy!

– Ale, Wasza Wysokość – zaczął Ethan.

– Obdarowują nas swoim pojazdem, Panie – powiedział Hunnar. – A to istna góra metalu. Bez żadnych zobowiązań z naszej strony. Pokryłyby koszty takiej podróży w wielokroć.

– Pokryłyby. To szczerze z ich strony, obdarowywać tym, czego już wykorzystać nie mogą. Ani uchronić.

Ethan już zabierał się do wyrażenia protestu, ale słusznie domyślił się, że Landgraf tylko na to czeka. Milczał.

– Absolutnie wykluczone... w tej chwili. Może za malet czy dwa. Po pertraktacjach z paskudławcami.

– O tak, panie mój! – zagrzemiał donośny głos na tyłach sali. – Ale jak będziemy sobie radzić z tymi paskudławcami?

Wszyscy odwrócili się w stronę, z której dobiegał stentorowy głos.

Wielkimi krokami zmierzał w ich stronę tran, którego jeszcze nie widzieli. Aż łuna biła od jego szafirowych i szmaragdowych jedwabii, pokrytych lamowaniem i naszywkami ze wspaniałych skór. Brodę miał dłuższą niż Hunnar, w jej stalowej szarości była domieszka bieli. Oczy były głęboko osadzone pod krzaczastymi brwiami. Kiedy się zbliżył, dostrzegli jeszcze coś. Oto mieli przed sobą pierwszego naprawdę opasłego trana.

– Darmuka Brownok – zapowiedź herolda była trochę jak musztarda po obiedzie. – Prefekt Wannome.

– Co to wszystko znaczy? – September szeptem zapytał Hunnara.

– Darmuka jest prefektem miasta i prócz tego bardzo potężnym członkiem Rady – odparł rycerz. – Bardzo władczy i uparty osobnik. A także ambitny i chciwy. I bardzo bogaty, co na dłuższą metę jest jeszcze ważniejsze niż cała reszta. Niewielu jest bogatszych od niego. Jednym z nich jest oczywiście Landgraf. Wśród pozostałych część popiera Landgrafa, część Darmukę.

– Hmm. Konflikt polityczny – wymamrotał Ethan sam do siebie. – Zdawało mi się, że Landgraf ma władze absolutną?

– Przy wszystkich decyzjach Landgraf ma ostateczny głos – powiedział Hunnar. – Nie oznacza to, żeby miał działać nierozważnie wbrew życzeniom większości wpływowych obywateli.



Rycerz ucichł, kiedy prefekt znalazł się w zasięgu słuchu. Darmuka postawił jedną stopę na podium i przyglądał się zgromadzonym z zainteresowaniem i niezawołowaną pogardą.

– A więc to są ci obcy, którzy przybyli na tratwie z latającego metalu? – powiedział niemal wyzywająco. – Bez wątplenia, dziwaczne to stwory.

– Z ciebie też przecież żaden międzygwiazdny bóg seksu, grubasie – odparował September.

Ethan wzdrygnął się, ale prefekt tylko chrząknął z satysfakcją.

– W mojej obecności nikt nie będzie obrażał gości – oznajmił Kurdagh-Vlata dosyć nieprzekonywująco.

– obrażać? – Prefekt położył delikatnie obie łapy na piersi i wyciągnął się na całą swoją wysokość. – Ja, obrazić gościa zaproszonego do Sali Rady? Ja?!

Odwrócił się i bacznie przyglądał się całej sali tak uporczywie, że ani herold, ani Landgraf nie mogli się powstrzymać i też się zaczęli rozglądać. Prefekt przez chwilę wpatrywał się w sufit, a nawet podniósł róg dywanika z futra i zajrzał pod spód.

– Nawiasem mówiąc – ciągnął niby to zaskoczony – gdzie jest Rada? Tak mi się coś wydaje, że nie mamy kworum. Oto stoi przed nami sześć obcych istot o nieznanym umiejętnościach i zamiarach. Przynoszą ze sobą w postaci statku więcej kutego metalu, niż widziano w Wannome od czasów Wielkiego Plądrowania i nie jest przy tym obecny ani jeden członek Rady, oczywiście poza moją nieszczęsną, pospiesznie przybyłą osobą. – Popatrzył niewinnie na Landgrafa. – Czy to zgodne z Kartą Rady? A może należałoby zwołać posiedzenie Rady, żeby omówić jej nieobecność? Ponieważ nie ma ich tutaj, nie można tego przedyskutować. No, no, cóż za paradoks.

– Sądziłem, że nie ma konieczności, żeby zaprzętać całej Radzie głowę taką dziwną sprawą – odparł Kurdagh-Vlata.

Słabiutko to brzmiało dla uszu Ethana.

– Rozumiem – powiedział Brownoak. – Jak powszechnie wiadomo, mądrość Pana naszego przewyższa mądrość naszych połączonych umysłów. Schylam głowę przed jego decyzją. – Darmuka obdarzył ich niechlujnym półukłonem. – Kiedy jednak tu wchodziłem, doszły do mnie zdaje się słowa o „pertraktacjach z Hordą”. Czy nie powiedziałbyś, Panie, że wszystko, co odnosi się do tej sprawy, jest czymś więcej niż tylko dziwactwem? Czymś może nawet godnym omówienia przez Radę, jako że dotyczy może każdego dorosłego i każdego kocięcia w So-foldzie?

– Tak, niewątpliwie – przyznał Kurdagh-Vlata.

– Czy więc nie byłoby roztropnie odłożyć wszelkie dyskusje o sprawach tego się tyczących, aż zbierze się Rada w pełnym składzie? – Kurdagh-Vlata nie odpowiedział, więc Darmuka go ponaglił. – Czy zgadzasz się, panie?

– Ja... och, bardzo dobrze, Darmuko! Niech cię diabli z tą twoją bezczelnością!

Gwałtownie się podniósł i uderzył w podłogę dwa razy stopką okrytej klejnotami laski. Obydwaj, Sir Hunnar i Darmuka, ukłonili się, pozostali poszli za ich przykładem. Landgraf wyszedł, zabierając ze sobą córkę i doradcę.

– Radują się moje oczy widząc, że wróciłeś cały i zdrowy, Sir Hunnarze – powiedział Darmuka Brownok. – Czy w swoją wyprawę włączyłeś jakąś udaną masakrę?

– I kto o to pyta, taki ostrożny urzędas, jak ty? Nikogo nie napotkaliśmy, więc z nikim nie walczyliśmy – odparł sztywno rycerz. Uśmiechnął się kącikiem ust do Darmuki, ale tym razem między jego wargami dostrzegli błysk bieli. Wyraźnie z trudem się opanowywał.

– Jakżeż to wielkie szczęście. Pograżyłbym się w rozpacz, widząc, że jeden z naszych najwspanialszych rycerzy doznał uszczerbku w tak dziwacznej sprawie. Zwłaszcza, że zbliża się kryzys. Dobrego dnia wam życzę, obcoziemcy. – Ukłonił się Ethanowi. – Niewątpliwie się jeszcze zobaczymy.

W trzepocie zielono-niebieskich jedwabów i pysznych, brązowych skór prefekt sztywno wyszedł z sali.

– Być może – powiedział Hellespont du Kane – moja znajomość lokalnego języka nie dorównuje waszej, panowie, ale nie trzeba nic więcej, żeby rozpoznać faceta tego typu.

– Ma charakterek, szkoda słów – skomentował September po trańsku, kiwając głową. Popatrzył na Hunnara i wyszczerzył zęby. – Jak sądzę, przyjaciółmi od serca to wy nie jesteście.

– Brownok mniej ma w sobie krwi bitewnej niż meduzo-mech – lekceważąco powiedział rycerz, patrząc w ślad za prefektem. – Że też ktoś tak pozbawiony serca sprawuje taką władzę... Gorzej jeszcze, jest to istny rzeźnik, który by całą prowincję wydał na gwałt, rad z prawości swego postępowania! – Westchnął. – Chodźcie. Zaprowadzę was do waszych pokoi. I jest jeszcze jedna sprawa o wielkim znaczeniu, o której musicie zostać poinformowani, zanim będziemy mogli podjąć dalszą dyskusję o waszej podróży. Albo zanim zostanieie postawieni przed Radą... Dopilnuję, by wasze jedzenie przeniesiono do waszych pokoi, ale Rada będzie oczekiwać, że posiłek spożyjecie razem z nią. Czy możecie jeść nasze jedzenie?

– Nie bardzo mi to przypomina Salę Miodopłynną w hotelu Grand na Hivehomie, ale sądzę, że jakoś sobie damy radę – odparł September.

– Ten tam – powiedział Ethan przypominając Hunnarowi o obecności Walthera – powinien jeść sam, w swoim pokoju, pod dozorem strażnika. Takiego, który nie będzie podatny na próby przekupstwa.

Walther potrząsnął głową, ale nie oponował.

– Jestem mniejszy nawet od panny du Kane, a wszyscy się mnie boicie.

September tylko się roześmiał.

– Dopilnuję tego – obiecał Hunnar.

## ROZDZIAŁ VI

Pokój Ethana był starannie umeblowany, prawdopodobnie jak na tutejsze standardy było to pomieszczenie luksusowe. Jeżeli Wannome jest typową stolicą prowincji, to perspektywy handlu przedstawiają się dużo lepiej, niż można było pomyśleć. Same te drogocenne wyroby metalowe... i te cudowne płaszcze...

Gdyby tylko mógł wymyślić jakiś sposób, żeby złożyć raport!...

Zasłony i kapy na wielkim łożu z baldachimem zrobione były z tkaniny przypominającej adamaszek. Zastanawiał się, w jaki sposób oni taki materiał produkują. Wszyscy bogaci tranowie, jakich dotąd napotkał, ubierali się w podobne materiały. I jaka piękna robota. Niemożliwe, by materiał pochodził od jedwabników. Jeżeli na tym świecie w ogóle były jakieś owady, rzadko się je spotykało. Każdy mający choć trochę szacunku dla siebie jedwabnik zmieniłby się w przeciągu krótkiego dnia w małe, mrożone truchełko. A nie wyglądali na tak zaawansowanych, żeby mieć sztuczne tkaniny. Jeszcze jedna tajemnica do wyświeatlenia.

Łoże, prawdopodobnie przewidziane na jedną osobę, było trzy razy szersze niż jakiegokolwiek inne pojedyncze łóżko, w którym zdarzyło mu się spać. Skrzynia w nogach łóżka była rzeźbiona w zawiłe wzory. Dużą część jednej ze ścian zajmowało olbrzymie lustro, o wymiarach niewątpliwie odpowiednich dla dorosłego trana. Prawdziwe dwuosobowe łoże musi zaiste przypominać ocean morfejskiej wygody.

Drzwi zamykały się wprawdzie na solidny rygiel – tylko po wewnętrznej stronie, jak zauważył – ale wykonano go z twardego drewna, a nie z metalu. Kiedy wannomscy projektanci tworzyli apartamenty gościnne, o niczym nie decydował przypadek. Drzwi były na tyle wytrzymałe, że nie dopuściłyby przypadkowego złodzieja, ale nie na tyle, by oprzeć się wspólnemu atakowi potężnie umięśnionych strażników.

Uwagę jego zwróciło coś w rodzaju szlifierki, osadzonej na bogato zdobionym postumencie. Umieszczono ją w pobliżu łóżka, w nogach, i można było ją uruchomić jedną stopą. Przez chwilę nie mógł się połapać, po co ją tam ustawiono. Była zbyt nisko, żeby na przykład wygodnie naostrzyć nóż. A potem zdał sobie sprawę, że musi służyć do ostrzenia szifów. Pewnie takie jest rutynowe postępowanie o poranku, dumął. Wstań wcześniej, umyj się, ubierz i zaostrz sobie pazury.

Coś jeszcze nie dawało mu spokoju, dopóki przypadkiem nie otworzył ciężkiej skrzyni. Wypełniały ją grube, szerokie futra. Nie były tak gładkie jak te dziwne, jedwabiste płaszcze, które tu wszyscy nosili, ale puszyste i ciepłe. W pokoju nie było kominka, a jedyne okno otwarte na całą szerokość. Bez tych futer żadną miarą nie dałby rady przespać nocnego spadku temperatury. Podszedł

do okna, które było wąskie i wysokie. Dostrzegł jakieś skomplikowane urządzenie przypominające okiennicę, dzięki któremu po pokoju nie szalał wiatr, ale zimno wchodziło bez przeszkód. Niby jakieś zabezpieczenie, ale zdecydowanego na wszystko wroga by to nie powstrzymało. Potem wychylił się i popatrzył w dół. Zapomniał, na jak wiele stopni się wspięli.

Od tej strony południowa część wyspy była urwista, a zamek Wannome rozbudowano aż na skraj przepaści. Upadku na lód poniżej nie dałoby się przeżyć. Odrobinę wysilił wyobraźnię i niemal usłyszał, jak fale rozbijają się o skały. I może kiedyś, miliony lat temu, tak było. Przynajmniej od tej strony zamek był nie do zdobycia. Wychylił się na przenikliwy wiatr, przymrużył oczy i zobaczył, że wysoki klif ciągnie się jeszcze spory kawałek na zachód, a potem opada w kierunku lodu. Wszechobecną biel przerywały jedynie sporadyczne plamy zieleni. Rzut oka na niebo. Zaraz, zaraz, pomyślał. Tranowie spożywają swój wieczorny posiłek o zachodzie słońca. Powinno to mu dać ze dwie lokalne godziny, zanim będą się go spodziewali. Gdyby miał trochę więcej czasu, nie byłoby źle wpaść z wizytą do krawca. Może umie szyć nie tylko płaszcze, ale i bieliznę. To, co miał na sobie na *Antaresie*, kiedy go uprowadzono – czy to było jeden czy dwa tysiące lat temu? – nie sprzyjało intensywnemu trybowi życia. Awaryjna parka, którą miał na sobie, trzymała się ślicznie, ale w głębi, o ile można się tak wyrazić, sprawy zaczynały nabierać burzliwie nieokrzesanego charakteru. Ktoś zastukał do drzwi.

– Otwarte – powiedział, nie patrząc. Jednak na dźwięk głosu, który mu odpowiedział, odwrócił się.

– To pomyślny wiatr. – Głos był z pewnością nie ludzki.

Elfa Kurdagh-Vlata, dziedziczka tronu Wannome zamknęła delikatnie drzwi za sobą. Ta jej ostrożność była niepokojąca. Zaryglowała je. A to już zaczynało być niebezpieczne.

– Przepraszam za te pokoje. – Głos miała matowy. – Niczego lepszego tak bez uprzedzenia ojciec nie był w stanie zorganizować. I niewiele wiemy o tym, czego wam potrzeba.

Ethan odsunął się od okna i wcale nie przypadkiem odgrodził się od niej łóżkiem. Jeżeli ją to zaniepokoiło, wcale tego po sobie nie pokazała. Podeszła i usiadła na skraju łoża. Podobieństwa między konturami jej postaci i figury kobiecej były zdumiewające. Rysowała palcem spiralki na jedwabnej kapie.

– Czy naprawdę pochodzisz z innego świata? – zapytała bez tchu.

Ubranie, które narzuciła na siebie, przypominało trochę tłumok rzeczy wakacyjnych zapakowany przez niezdarne sześciolatka. A chociaż widoczną pod spodem skórę pokrywało jasnoszare futerko, wcale się nie wydawała przez to mniej naga. Wyłączając kocią główkę, szerokie stopy i te przeszywające, pionowe źrenice, można by ją wziąć za jakąś gwiazdkę trójwymiarowego kina ubraną w bardzo obcisłe futro z norek.

– My naprawdę przyłeciliśmy z innego świata – odpowiedział w końcu Ethan, kładąc lekki nacisk na „my”.

Jeżeli spodziewa się, że będzie podtrzymywał tę rozmowę, gorzko się zawiedzie. Nawet na chwilę nie potrafił zapomnieć, że jej ojciec nie tylko był zrzędą i do tego, jak powszechnie wiadomo, poryw-czym zrzędą, ale władny był również jednym skinieniem dłoni zdjąć mu głowę z ramion. Dopóki nie dowie się dużo więcej na temat obowiązującej tutaj moralności, będzie cichy jak mnich. Gdzie jak gdzie, ale tu nie można się było opierać na wiadomościach z infotaśmy.

– To zaskakujące. Wcale tak strasznie się od nas nie różnicie, jak się zdaje – powiedziała, utkwivszy w nim swoje połyskujące, żółte oczy.

A niech to, żeby przynajmniej nie była tak diabelsko atrakcyjna! Uważaj no, powiedział sobie. Ona nie należy nawet do tego samego gatunku. Istnieli, oczywiście, tacy zboczeńcy, których ciągnęło do innych gatunków. Sam znał faceta, który... Dosyć!

– To wszystko wydaje mi się bardzo podniecające – odezwała się w końcu Elfa. Palec zawisł bez ruchu w jedwabistym wirze. – Nie macie nigdzie na ciele futra, tylko na czubku.

– Prawdę mówiąc – odpowiedział Ethan, usiłując podejść do sprawy z naukowym chłodem – to nie całkiem jest tak. Mamy jeszcze trochę futra w innych miejscach.

Już miał coś wspomnieć o „torsie”, kiedy mu przerwała.

– Naprawdę? Pokaż. – I jednym susem przeniosła się niemal na drugą stronę łóża.

Kiedy człowiek wyobraża sobie różne podbramkowe sytuacje, marzy mu się, że sam jest kwintesencją wytrawnej rycerskości połączonej z wyszukany obyciem. Ethan nie stanowił tu wyjątku. Rzeczywistość, chłodna rzeczywistość, żeby nie powiedzieć więcej – za wiele improwizowała.

Po pierwsze, nie mógł się tak do końca zdecydować, czy ona chce go pocałować, czy zabić. Wyraźnie flirt na tym świecie był równie agresywny jak klimat. Będzie jej musiał powiedzieć, żeby przestała, ale usta ciągle miał pełne szarego futerka. Nie było już chyba żadnych wątpliwości, że ona chce go ugryźć. A przynajmniej takie wrażenie robiły na nim cztery wyraziste kły. A gdyby tak nawiedził go teraz ten cały Darmuka, czy jej ojciec, niezależnie od rygla... Podwoił wysiłki. Kiedy wyciągnął ręce, żeby ją odepchnąć, trafił na coś miękkiego i ciepłego. Gatunek nie miał tu nic do rzeczy, to nie było ramię. Elfa zaczęła poruszać się jeszcze szybciej. Przesunął ręce i pchnął z zapamiętaniem. Wynik był tyleż zadowalający, co pouczający. Wyglądało to tak, jak gdyby Elfa sfrunęła z łóża, wylądowała na stopach i grzmotnęła o ścianę, po czym powoli osunęła się na podłogę. Przez jeden pełen zgrozy moment myślał, że uderzyła w tę ścianę za mocno. Jeżeli zabił jedyne kocie Landgraфа, to usunął w ten sposób wszelkie niejasności co do ich najbliższej przyszłości.

Na szczęście Elfa była tylko mocno wstrząśnięta i nie straciła przytomności.

– No... no, ależ ty jesteś silny!

Czuł się rozdarty, z jednej strony chciał jej podać rękę i pomóc wstać, a z drugiej uniknąć

wszelkiego dalszego kontaktu fizycznego.

– Czy wszystko z tobą w porządku?

– Tt... tak, tak sędzę, mój zacny rycerzu.

Podniosła się powoli i obmacała sobie tył głowy i kark. Potem poprawiła trochę ubranie, które się rozkosznie rozchełstało, oparła się ramieniem o ścianę i dziwnie na niego popatrzyła.

– Nie spodziewałam się aż tak... druzgocącej odmowy – zamruczała.

– Przepraszam cię – odparł Ethan, nie będąc w stanie obyć się bez jakiejś formy przeprosin. – Nasza sytuacja jest bardzo poważna i nie potrafię teraz niczego traktować lekko. Obawiam się, że, uch, sam nie znam własnej siły.

– Za to jaja bez wątpienia znam. – Zamrugęła oczami. – Pójdę teraz i jeszcze się nad tym zastanowię – powiedziała tajemniczo. – Zobaczmy się później, Sir Ethanie. Do widzenia.

Ethan podniósł dłoń do czoła, żeby otrzeć zamarzający pot i uświadomił sobie, że ta dłoń dygoce. Poczł się tym dotknięty i przytrzymał ją drugą dłonią. Na to rozdygotała się cała ręka. Jej towarzyska też wcale nie była za spokojna. Odetchnął gęboko, potem wsunął obydwie dłonie za plecy i usiadł na nich. Powstrzymało to dygoty i na dodatek zrobiło mu się cieplej, ale teraz nic nie mógł zrobić w sprawie potu.

Miał nadzieję, że postąpił właściwie w tej sytuacji. Teraz pozostanie zmartwienie, jaka będzie reakcja Elfy i jej przyszłe uczucia w stosunku do nich. Że też coś takiego musiało się przydarzyć. Wciąż jeszcze rozważał tę sprawę, pozostając w pozycji siedzącej, kiedy do pokoju wszedł September.

– No, mój chłopcze – zaczął spoglądając w kierunku z którego przyszedł – minąłem się właśnie w korytarzu z jej wysokością. Tak mi się coś wydaje, że udało ci się kogoś poderwać, co?

– Albo zrobić sobie z tego kogoś śmiertelnego wroga. Nie jestem pewien. Zaklasyfikowałbym to raczej jak wstępną potyczkę. Hej, a skąd ty niby masz pewność, że ona wyszła z mojego pokoju?

– Właśnie to potwierdziłeś.

– Wiesz co, mogła to być również próba morderstwa.

– Jak rozumiem, karą za igraszki z potomstwem szlachetnie urodzonych jest...

– Do cholery, Skuo, z nikim nie igrałem! – powiedział Ethan z oburzeniem. – To ona igrała ze mną. To znaczy...

– ...śmierć na torturach, powolnych, z wszelkiego typu intrygującymi wariantami tego uświęconego tradycją tematu. Gdy ty byłeś zajęty, Hunnar uzupełniał pewne braki w moim wykształceniu.

– Na Boga. On też wie?

– Nie sędę. Wysłali po ciebie kogoś, kto nacisnął klamkę i stwierdził, że drzwi są zaryglowane. Doszli więc do wniosku, że pewnie chcesz być sam. No i dobrze.

– Fiu! Słuchaj, ja też dokonałem pewnego interesującego odkrycia. Mieliśmy rację co do budowy ich ciała. Niemal na pewno ich układ szkieletowy jest mniej lity niż nasz, czy jaki tam jest właściwy termin medyczny na określenie tego. Wydawało mi się, że tylko ją trochę mocniej pchnąłem, a w rezultacie przerzuciłem ją przez pół pokoju. Przeraziłem się jak wszyscy diabli.

– Naprawdę? – September wyszczerzył zęby, a złoty kolczyk w jego uchu zabłysnął. – Opowiedz mi coś więcej. Czy one są całe porośnięte futerkiem? A może mają takie miejsca, gdzie...

– Na miłość harmonii, Skuo! – powiedział zde gustowany Ethan. – Nic się nie wydarzyło.

– No to czemu uznałeś za konieczne przerzucić ją na drugą stronę pokoju? – naciskał szczerząc się obleśnie Skua.

– Wcale nie uznałem tego za konieczne – ciągnął dalej Ethan cierpliwie. – Właśnie to usiłuję ci powiedzieć. Była dużo lżejsza, niż się spodziewałem.

– To powinno być ciekawe.

– Przystaniesz wreszcie?

– Dobrze, mój chłopcze. Odpręż się. Nabijałem się tylko z ciebie. – September porzucił zarty. – A więc chociaż roz – miarem są więksi, w rzeczywistości ważą mniej. No, to mocno zbudowany człowiek taki jak ty jest prawdopodobnie równie silny jak większość z nich.

– Niekoniecznie – powiedział Ethan. – To, że są lżejsi, nie musi oznaczać, że nie są silniejsi. Na tym szkielecie mają niesłychaną ilość mięśni. Ja ją po prostu zaskoczyłem.

– Mimo to – rozważał September – gdyby doszło do mocowania, miałbyś ogromną przewagę. Pożyteczne.

– Co ci mówił Hunnar? – Ethan rozparł się na łóżku i założył ręce pod głowę. – Nawiasem mówiąc, czy wszyscy dostali jednoosobowe pokoje?

– Tak. Poza du Kane'ami. Colette nie zgodziła się być sama, więc ustawili jej łóżko przy łożu ojca. Ten grzyb Walther jest w równie wystawnym pomieszczeniu, tylko że na jego drzwiach rygiel jest po zewnętrznej stronie, a w oknach są kraty. Chociaż mało prawdopodobne, by zechciał tamtędy gdzieś wychodzić. Czy wyglądałeś na zewnątrz? Nie miałbym najmniejszej ochoty schodzić tędy bez dobrej, mocnej liny i raków.

– Przy tym wietrze? – powiedział Ethan. – Ja nawet wtedy nie próbowałbym.

– Hmmm. Według Hunnara większość ludzi na tym świecie, przynajmniej w tej okolicy,



nastawiona jest pokojowo. Nie licząc takich drobiazgów jak to, że od czasu do czasu zwiną komuś córkę i rozwalą parę łbów. Wspaniały, silny, otwarty lud.

– A mnie by się przydał jakiś bar albo pole golfowe, moje stare kije i paru kolegów – rozmarzył się Ethan. Ostry podmuch lodowatego wiatru wyciął mu policzek. – No dobrze, to pełni uroku ludzie. I co dalej?

– Powiedziałem: większość – ciągnął September, przyglądając się bacznie drewnianej skrzyni w nogach łoża. – Istnieją także, jak się okazuje, bandy wędrownych barbarzyńców. Zwykle nie dopuszczają się niczego gorszego jak sporadyczny atak na jakąś tratwę, czasem skuteczny, czasem nie.

– Musiał być jakiś powód, że jest tu ten zamek i żołnierze – powiedział Ethan.

– Oprócz ochrony przed sąsiadami, mówisz? Pewnie. W każdym razie z biegiem lat kilka z tych band tak się rozrosło, że zyskały sobie status narodów. Krążą po dosyć przewidywalnej trasie, żyją z haraczu płaconego przez ludy, które mieszkają na tym terenie. Hunnar powiedział mi, jak to jest, kiedy się gdzieś pojawiają. Nie jest to opowieść miła dla uszu.

Oprócz standardowego haraczu, na który składają się pieniądze, jedzenie, ubrania i różne takie, zajmują na dodatek miasto, czy tratwę, czy cokolwiek na mniej więcej tydzień miejscowego czasu. Zabierają, co im się żywnie podoba ze sklepów i skłonni są od czasu do czasu upiec jakiegoś sklepikarza, który by ośmielił się wyrazić sprzeciw. Zgwałcą albo porwą jakieś lokalne dziewczęta, których w porę nie ukryto w bezpiecznym miejscu, zabiją kilka dzieciaków dla zabawy – och, zwykle niewiniątka, szczęśliwe i prymitywne, wolne od korumpującego przekleństwa cywilizacji!

Jeżeli miasto okaże chociaż cień sprzeciwu czy oporu, podkładają ogień, a całą ludność do najmłodszego kocięcia masakrują. Nie licząc kilku kobiet, nie biorą nawet niewolników, nie mają więc żadnych skrupułów przy zabijaniu. Nic dziwnego, że Wszyscy wolą płacić haracz.

– Na pierwszy rzut oka całkiem jak ludzie – mruknął Ethan.

– Prawda? Przenoszą się z miejsca na miejsce długimi kolumnami ustawianymi prostopadle do wiatru i głębokimi niekiedy na trzy lub cztery statki. Mają dziesiątki sań, na których spędzają całe życie. Wożą ze sobą nawet bydło i paszę dla niego... mężczyźni kolejno wyjeżdżają na zwiady, ale tratwy nigdy się nie zatrzymują, chyba że się gdzieś na jakiś czas wprowadzą.

– Jak mrówki-wojownicy na Ziemi – powiedział Ethan.

– Tak, albo jak Turabisi Delphius z tego nowego świata thranxów, Draxa V. Hunnar porównuje ich do innych żywołów, jakie muszą znosić, jak wiatr czy pioruny. Pod względem fizycznym koczownicy się od nich nie różnią, ale pod względem kulturowym, a może nawet umysłowym, mają pewne cechy pierwotne, takie z dawniejszych, mniej cywilizowanych czasów.

– Jak często muszą przeżywać taki najazd? – zapytał Ethan wyglądając przez okno. Słyszał jak na zewnątrz pełną piersią wyje wiatr. Okno stanowiło ramę dla nieskałanego prostokąta lodowcowego

błękitu.

– Mniej więcej co drugi, trzeci rok. Ethan odwrócił wzrok od nieba.

– To Horda, o której ciągle ktoś wspomina.

– No właśnie – skinął głową September. – Ta grupa pobierała haracz od ludzi z Sofoldu przez ostatnie sto lat czy coś koło tego. A także od większości sąsiadujących z Sofoldem prowincji. Zdaje się, że przybyliśmy w interesujących czasach. Hunnarowi i wielu młodym rycerzom obrzydło już płacenie haraczu. Chcą walczyć.

– Tak jak bym już kiedyś coś takiego słyszał – powiedział Ethan. – Czy mają jakąś szansę, żeby im pozwolono?

– Jak możesz się sam domyślić, taka propozycja musi uzyskać aprobatę tej tak zwanej Rady. Gdyby Hunnar i jego byczki byli sami, to najwyżej rozbawiliby krezusów, ale jest taki jeden facet, nazywa się Balavere Longax i jest czymś w rodzaju generała numer jeden w tej dziurze; mają go po swojej stronie. Hunnar jest przekonany, że Wannome ma szansę jak jeden do jednego, żeby przetrwać atak i oblężenie.

– Nie najlepsze widoki na przyszłość, jeżeli stawką jest życie całego twojego narodu – gwizdnął Ethan.

– Może i nie. Ale ten stary przeżył coś koło dwudziestu kilku okresów haraczu i ma go już po dziurki w nosie. Jak możesz się domyślić, przeciwnikami tych, którzy chcą walczyć, są ci, którzy mają najmniej do stracenia. Burmistrzowie wiejscy i plantatorzy, ten cały Darmuka i inni. Balavere’ a i Hunnara popiera wielu lokalnych kupców i handlarzy. W czasach haraczu wieśniakom w dużej mierze udaje się uniknąć pożarów i rozpasania, ponieważ barbarzyńcy w naturalny sposób ciągną tam, gdzie jest najwięcej ludzi i dóbr, czyli do Wannome.

– Lepszy jestem przy targowaniu się o ceny – powiedział Ethan. – Jakie szansę dałbyś naszym gospodarzom?

– No cóż – powiedział September, przysiadając na skraju łoża. – Jak zwykle w kulturach tego rodzaju większość zdolnych do służby mężczyzn na tej wyspie przeszła jakiś trening bojowy, nawet jeżeli tylko nieformalny. Hunnar twierdzi, że mogą wystawić w pole około ośmiu tysięcy zbrojnych. Z tego może dwa tysiące przeszło jakieś zaawansowane szkolenie wojskowe. Mają stały garnizon, około pięciuset ludzi pod kierownictwem jakichś pięćdziesięciu rycerzy, wspomaganych przez około setkę giermków i drugą setkę giermków-uczników.

– Trzy tysiące żołnierzy i pięć tysięcy z zaciągu – szybko policzył Ethan.

September przytaknął.

– A ta Horda?

– Co najmniej cztery razy tyle.

Ethan nie powiedział nic.

– Według Hunnara – ciągnął dalej September – temu plemieniu przewodzi wyjątkowo niesympatyczny sukinsyn o pełnym wdzięku przezwisku Sagyanak Nagła Śmierć, Bicz na Vragan. Ten Vragan to była niewielka osada myśliwska, którą zrównali z ziemią około dziesięciu lat temu. Ten Nagła Śmierć ma takie ciekawe hobby, że kiedy ktoś mu się nie podoba, bierze go i przybija do lodu. Mają takie krótkie włócznie osadzone na malutkich, podwójnych, kamiennych płozach, z żagielkami. Nagła Śmierć i różne wybrane grube ryby jadą pod wiatr, dopóki niemal nie przestaną widzieć tego rozpiętego na lodzie nieszczęśnika. Potem ustawiają włócznie i puszczają je z wiatrem.

Zanim te napędzane żaglami włócznie dojadą do skazańców, osiągają taką prędkość, że są w stanie wjechać do połowy długości w ciało. Ofierze zawsze podpira się głowę, żeby widział czy widziała, jak włócznie nadjeżdżają. Urocze, prawda?

– Żałuję, że nie zachowałeś tej anegdotki na po obiedzie – wymamrotał Ethan.

Zawsze był przekonany, że w rozsądnych granicach ma mocny żołądek, ale ten świat... – No dobrze, przekonałeś mnie, to niezbyt miły facet. Czego Hunnar chce od nas? Bo czegoś chce, to pewne, inaczej nie poświęciłby tyle czasu na opowiadanie ci o tym wszystkim. Ani nie opisywałby ci, co za gnojek z tego Sagyanaka. Technika sprzedaży. I mówił, że jest coś ważnego, o czym chce, żebyśmy dowiedzieli się przed dzisiejszym obiadem.

– Mądry chłopak – powiedział z aprobatą September. – A więc chodzi o to: jak można się spodziewać Hunnar i ten jego generał Balavere podchodzą do całego pomysłu z dużą ostrożnością. Woleliby przekonać Radę, że haracz nie jest opcją opłacalną i że logiczniejsza jest walka. Ale jeżeli ma im w tym pomóc stworzenie atmosfery tak naładowanej emocjonalnie, że nikt przeciw nim słowa nie powie, to na Czarną Dziurę, zrobią to w ten sposób.

– A to znaczy? – zapytał Ethan, wbijając palce nóg w ciepło futrzanego koca.

– Że kiedy wysuną tę propozycję, powinniśmy się zerwać na równe nogi, jak na porządnym gości przystało, i poprzysiąc, że będziemy u ich boku walczyć do ostatniego strumyczka krwi. Zyskałoby to w ich oczach duże uznanie.

– Hmm. Czy ty przez to rozumiesz, że chcą, byśmy poparli ich idę? walki?

– Nie – powiedział bez ogródek September. – Mamy złapać za miecze i włócznie i jak należy siekać, kłuć i rąbać u boku naszych sofoldzkich braci, a przynajmniej markować.

Ethana aż podniosło na łożu. Wszelkie myśli o drzemce pozostały przyklepione do kapy.

– Oni chcą żebyśmy walczyli? Ale dlaczego? Nie jesteśmy obywatelami Sofoldu i z pewnością nie jesteśmy wojownikami... a przynajmniej ja nie jestem.

– To się zmieni – poinformował go September pogodnie. – Chociaż miejscowa ludność wydawała się reagować bardzo spokojnie na nasz widok, Hunnar zapewnia mnie, że staliśmy się nie

lada sensacją. Gdyby nie to, można by pomyśleć, że odwiedziny obcych z kosmosu mają codziennie. Hunnar chciałby, żeby inni uwierzyli, że nasze pojawienie się jest czymś w rodzaju dobrej wróżby, wiesz? Pomyślne znaki przed walką i takie różne... Ale jeżeli będziemy tchórzliwie ukrywali się w zamku, kiedy się zacznie prawdziwa bitwa, cały efekt psychologiczny popłynie rurami w dal. Tak więc będą się spodziewali, że radośnie wkroczymy do akcji, rozlewając na prawo i lewo krew wrogów za pomocą naszych tajemniczych kosmicznych przyrządów. Co ty na to chłopcze?

Ethan utknął w umysłowej ślepej uliczce już kilka zdań wcześniej.

– Bić się? – mamrotał sam do siebie zamyślony. – Mogę sobie poradzić z nieważką maczugą albo rakieta tenisową. I jestem wcale niezły w golfa z rykoszetem, nawet jeżeli to sam mówię. Ale stanąć naprzeciw jednego z tych superumięśnionych kotków i zacząć się z nim bić na siekiery...

– W zamian za to drobne pod względem fizycznym, ale wielkie pod względem moralnym poparcie – ciągnął dalej September gładko – Hunnar przyrzeka nam całą pomoc, jakiej będziemy potrzebowali, żeby się dostać do Asurdunu.

Ethan wyrzucił ręce w górę.

– Wspaniale! Zakładając, że ktoś z nas zostanie przy życiu i będzie mógł skorzystać z jego szczodroblewości. Nie wątpię, że jeżeli nie, to osobiście dopilnuje, byśmy mieli wspaniałą orszak pogrzebowy. Zalani łzami rycerze złożą nas u stóp opierającego się Landgrafa wśród wydzierających się im z piersi pełnych rozpaczyny westchnień. Jedno wiem. Mój trup się uśmiechał nie będzie. A jeżeli się nie zgodzimy?

Spodziewał się, że September powie coś w rodzaju „nie możemy odmówić” albo „będą nam po plasterku obcinać palce, aż się zgodzimy”. Odpowiedź go zaskoczyła.

– Nic. – Powoli potrząsnął głową. – Zrobiją, co będą mogli, żeby przekonać pozostałych, nawet jeżeli się nie zaangażujemy. A jak będziemy chcieli, możemy do Dętej Małpy wyruszyć nawet jutro i radzić sobie w drodze, jak będziemy potrafili.

– Och. – Znowu pomyślał o twarzy Hunnara, kiedy Wreszcie ktoś wspomniał, że istnieje szansa walki. – Kiedy zapytasz pozostałych?

– Już to zrobiłem. Colette du Kane przemyślała to sobie naprawdę dogłębnie, potem powiedziała, że nie ma innego wyjścia. Zaczynam uważać, że może ona cierpieć na rozmiękczenie biustu, ale na pewno nie cierpi na rozmiękczenie umysłu. Jaki jest ten stary człowiek, to sam wiesz. Dziwny facet. Próbował mi powiedzieć, jak to musi dbać o siebie, żeby wrócić do tych swoich cholernych kwiatków i nagle bez żadnego uprzedzenia wznosił Okrzyk: „bić tchórzliwych najeźdźców, niech żyje Sofold!” Pójdzie z nami... Walther powiedział „nie” i nic w tym dziw... Ethan był zaskoczony.

– Zapytałeś go?

– Pewno, że go zapytałem. Zaczął od nie, ale potem zmienił zdanie. Wołałem, żebyśmy byli jednomyślni. – September uśmiechnął się.

– A Williams? – Ethan próbował wyobrazić sobie nauczyciela w hełmie i zbroi, z toporem bitewnym w ręce. Ten obraz nieco poprawił mu humor.

– Zaszły się razem z tym naczelnym czarodziejem... jak on się nazywa?... Eer-Meesachem. Ledwie że podniósł oczy i oderwał się na moment od dysputy, żeby mi kiwnąć głową i zaraz pogrzył się znowu w strumieniu paplaniny, z której nic nie mogłem pojąć. Nie wiem, czy on w ogóle jest świadom, o co go pytałem. Przynajmniej jeden z nas znalazł sobie wśród miejscowych prawdziwego kumpla od serca.

– I nic w tym dziwnego – powiedział Ethan z namysłem.

– Pomyśl tylko, ile ktoś taki jak ten Eer-Meesach może się nauczyć od zwykłego obywatela Wspólnoty, a co dopiero od nauczyciela. Zawsze przyda nam się jeden tubylec z otwartą głową, czy nawet dwóch. Naukowiec sam w pojedynkę jest bezradny, ale jeżeli jest ich dwóch, to powstaje twór zdolny nie zważać na głód, mróz i perspektywę zagrażającej mu śmierci, jeżeli tylko będą mogli na tematy obu ich interesujące rozmawiać – zakończył.

– Czyżby? – pokpiwał sobie September, a jego gąsienicowate brwi wygięły się w łuk. – A ty też do tej kategorii należysz, mój chłopcze?

– Kto, ja? – Ethan zachichotał. – W tej chwili moim najgorętszym pragnieniem naukowym jest doprowadzić do unicestwienia największego steku w tej części galaktyki. Z dodatkiem sosu pieczeniowego Hammouda, podsmażonej na chrupko reszki i z butelką Lafitte Calm Nursery Blend rocznik 96 albo może 97. A jak już o tym mowa – ciągnął dalej, odwracając się na bok – co robimy dziś wieczór w sprawie jedzenia?

– Pytanie o prawdziwie wielkim znaczeniu – zgodził się September, kiwając głową. – Zaproponowałem Hunnarowi, że wykorzystamy nasze własne jedzenie z szalupy, ale był zaskoczony, naprawdę. Ani słyszeć o tym nie chciał. Twierdził, że od naszych, obcych im zapachów i woni mogłoby zemdląć jakiegoś ważnego członka Rady. Przekonywałem go, że jeżeli któreś z nas puści po obiadku pawia na wyżej wzmiankowanego radnego, niewiele to przyniesie pożytku jego grupie. Nic z tego. Powiedział, że stawiałoby to naszą solidarność w złym świetle, gdybyśmy nie chcieli rozdierać z nimi mięsa... a przynajmniej tak przekręciłem metaforę, której on użył... No więc nie pozostaje nam nic oprócz tego, co wymyśli tutejszy mistrz patelni. Nie trafiła mi się okazja, żeby wyciągnąć od nich kopię menu. Mówiłeś, że nie powinniśmy mieć kłopotów z ich jedzeniem, prawda?

– Mam nadzieję, że nie – odpowiedział z namysłem Ethan.

– Z tego, co pamiętam, nie przewiduję żadnych kłopotów. Nie wyklucza to możliwości, że na bankiecie znajdzie się jakiś jeden niezdrowy przysmak, a może dwa. Radziłbym trzymać się jakiegoś nieskomplikowanego dania albo dwóch i nie próbować ba – więc się w międzygwiazdowego smakosza. Czy udało ci się dowiedzieć czegoś na temat miejscowej etykiety?

September uśmiechnął się.

– Je się palcami. Poza tym trzeba improwizować. Zbroje są obowiązkowe.

– Sam pytałem Hunnara o obowiązujące przepisy savoir-vivre’u – dorzucił Ethan. Nerwowo usiłował ułożyć jakoś jaskrawozłotą szarfę na ukos przecinającą jego brązowo nakrapianą, futrzaną marynarkę wieczorową. Krawiec królewski, usiłujący dobrać dla nich stosowne na tę okazję ubrania, raz po raz popadał w panikę najwyższego gatunku. Ponieważ wszyscy goście, z wyjątkiem Septembra, byli niżsi od dorosłych tranów, a do tego ani w przybliżeniu nie byli tak barczyści, każdy strój wieczorowy okazywał się zbyt obszerny i mogliby się w nim utopić. Krawiec fastrygował więc i przycinał dziecinne ubranka z szybkością zbliżoną do prędkości światła i jakoś udało mu się ich wszystkich przystroić.

\* \* \*

– Nie martw się etykietą – powiedział September szeptem i mrugnął do Ethana jakoś tak, że tamtemu niezbyt się spodobało. – Patrz na swoich sąsiadów i rób to, co oni. Mówiono mi, że wolno bić się o lepszy kawałek combra, byle tylko nie zalać sąsiada krwią albo Landgrafa sosem.

Du Kane niespokojnie skubał swoją przerobioną kurtkę, ale Colette zdawała się w pełni nad nim panować. Jej suknia, co Ethan zdążył dostrzec, wyraźnie krawcowi się udała, wyszczuplając obfite kształty – chociaż wśród rozłożystych tranów i tak nie rzucałyby się one w oczy. A co do tkaniny, Colette potrafiła tylko powiedzieć, że gryzie.

Gdzieś przed nimi wrzawa trańskich głosów mieszała się z ochryplymi porykami śmiechu, wyzwania, gniewu, oburzenia, radości. Od czasu do czasu ponad wszystko wybijało się dźwięczne beknięcie. Słyszać było muzykę, grały instrumenty smyczkowe, bębny i coś w rodzaju poważnie chorego oboju. Woń piezonego mięsiwa i gotowanych jarzyn łechtła zmysł powonienia. Podziw i niepewność wynikające z obecności niecodziennych gości najwyraźniej nie miały wpływu na rozpoczęcie obiadu bez nich.

Hunnar oczekiwał ich przed wejściem do Wielkiej Sali. Wydaje się bardziej zdenerwowany niż kiedykolwiek dotąd, pomyślał Ethan.

– Jesteście nareszcie! Na wielkie szalone Rifsy, co wam zajęło tyle czasu? Zaczynało mi już przychodzić do głowy, że może postanowiliście... ruszyć do celu swoją własną ścieżką.

– Ani nam to przez myśl nie przeszło, człowieku, czy raczej tranie – powiedział September, klepnąwszy rycerza po ramionach. Hunnar nawet się nie zachwiał, jak zauważył z przebłyskiem zazdrości Ethan.

– A gdzie jest ten mały milczek? – Hunnar szukał wzrokiem za plecami Septembra.

– Och, Walther też tutaj jest – odparł September i machnął ręką gdzieś do tyłu.

Nawet we wspaniałych jedwabiach i futrach porywacz udatnie przypominał szczura.

– Hunnar chyba nie jego ma na myśli – dodał Ethan, rozglądając się. – Gdzie jest Williams?

– Rzeczywiście, gdzie jest... – Skua popatrzył dokoła.

– Nie niepokójcie się panowie, tutaj jestem. – Swojski głos dobiegał z drugiego końca korytarza. Nauczyciel pojawił się w towarzystwie czarodzieja, Eer-Meesacha. Podchodząc do nich, przepaszająco uśmiechał się.

– Wybaczcie, że się spóźniłem przyjaciele. Mam nadzieję, że nie popsulem niczego.

– Nie, nie – powiedział September. – Niech to diabli, czy musisz za wszystko przepaszająć?

– Przepraszam – powiedział automatycznie nauczyciel. – Malmeevyn przekazał mi pewne informacje, które mogą mieć pierwszorzędną znaczenie.

Czarodziej lekko się skłonił.

– Taa – powiedział September, na którym nie zrobiło to większego wrażenia.

– Już czas – przerwał im Hunnar, zanim nauczyciel zdołał powiedzieć coś więcej. – Chodźcie ze mną i nie denerwujcie się. I tak nie sądzę, żeby wielu miało się na was gapić. Pod tym względem wasze spóźnienie jest korzystne. Ale ci, których oczy pełne są ciekawości, zauważą, z kim wchodzicie.

Malmeevyn w oczywisty sposób miał własne kryteria postępowania, ponieważ już ich opuścił. Kiedy ruszyli, Ethan chyłkiem przysunął się do Williamsa.

– Czego się dowiedziałeś?

– Co wiesz o Rex Plutonicus? – szeptem odpowiedział nauczyciel.

– Rex Plutonicus? – Czoło Ethana zmarszczyło się. Popatrzył na Williamsa ze zrozumieniem. – Ten monstrualny wulkan, który dostrzeżono w czasie pierwszego przelotu? Czynny, wysoki na około jedenaście kilometrów? Nie wiedziałem, że zapoznałeś się z taśmą topograficzną.

– Wcale się nie zapoznałem – odparł Williams. – Nadawano to w ramach ogólnej orientacji dla pasażerów, jak sądzę po to, żeby lepiej sprzedawały się bilety na lecący na dół wahadłowiec. To jedyna bardziej wyróżniająca się cecha topograficzna na tej planecie.

– Pewnie akurat przysnąłem – odpowiedział Ethan. -

Pamiętam to tylko z taśm.

– Czy pamiętasz, gdzie on leży?

– Nie. Czekaj... tak. Położony jest około czterystu kilometrów na wschód od Dętej Małpy.

– Dokładnie. Na placówce organizuje się nawet wycieczki do tego wulkanu.

– Może jestem tępy, ale wciąż nie rozumiem, dlaczego to miałyby być ważne.

– Wiatry wieją tutaj nieprzerwanie z zachodu – powiedział Williams, starając się opanować podniecenie. – Malmeevyn twierdzi, że w bardzo wietrzne dni na ziemię spadają wielkie chmury czarnego dymu i popiołu. Ziemia robi się od nich ciemna, a plony gorzkie. Dym i popiół nadlatują zawsze z południowego zachodu. Nikt z Sofoldu nigdy tam nie był, ale sporadycznie dociera tu jakiś statek handlowy, który przejeżdżał w pobliżu. To wielka, płonąca góra. Jej trańska nazwa oznacza Miejsce-Gdzie-Krew-Ziemi-Płonie.

– Cholera! Rozumiem, co masz na myśli. Byle dojechać do wulkanu, a stamtąd do Dętej Małpy nie będziemy mieli kłopotów. Na południowy zachód i znowu będzie nam ciepło!

– Układy dymów mogą podlegać pewnym wahaniom – ostrzegł Williams. – Ale czarodziej uparcie obstawał przy tym, że zawsze przychodzi z tej samej strony. Przez większość czasu wiatr wieje na wschód, więc dym i sadze z wielu wybuchów muszą przelatywać daleko na południe stąd. Ethan zacierał w myśli ręce.

– Przynajmniej mamy już wytyczony kierunek dla naszej tratwy... jeżeli uda nam się zdobyć jakąś tratwę. – Nagle znalazł się tuż przy jakimś krześle. September coś szeptał mu do ucha.

– Na miłość O’Moriona, chłopcze, siadajże wreszcie! – pociągnął Ethana za kurtkę. – Siadaj! Chcesz, żeby się wszyscy na ciebie gapili?

Ethan usiadł i dopiero po chwili uświadomił sobie, w jakiej to boschowskiej scenerii się znalazł.

Usadzono ich po zewnętrznej stronie wielkiego stołu w kształcie wydłużonej litery „U”. Po obu stronach skrzydeł stołu siedzieli tranowie wszelkich rozmiarów i rodzajów. Landgraf, jego córka i Eer-Meesach siedzieli u podstawy U, po stronie zewnętrznej, twarzą do trzech pustych krzeseł.

– To dla przodków Landgrafa – wyjaśnił September.

Hunnar siedział naprzeciw nich, po drugiej stronie stołu, od wewnątrz i o kilka siedzeń bliżej środka. Ethan zauważył, że ich grupkę umieszczono dość blisko środka, w pobliżu Landgrafa. Pewnie to dosyć zaszczytne miejsce.

Bogactwo jedwabi i futer było oszałamiające. Ethan nie widział ani kroju, ani fasonu, przed oczami miał tylko liczbę kredytów, za którą prześliczne zera sunęły rządkiem jak nowo narodzone szczeniaki. W strojach szlachetnie urodzonych Sofoldian nie pominięto żadnego koloru, ale dominowały złoto, głęboki błękit i szkarłat.

Stoły aż ugięły się pod wielkimi półmichami z metalu i polerowanego drewna, na które nałożono stosy dymiącego mięsiwa, pod koszami z pieczywem i owocami i kotłami z ostro pachnącą zupą. Światła dostarczały wielkie, grube świece poustawiane na postumentach naokoło stołu. Zauważył, że zamiast podawać sobie półmiski, biesiadnicy prowadzą kontrolowane działania bojowe i pomyślał z ironią, że słusznie nie stawiano świec na stole, bo groziłoby to totalnym pożarem przy byle sporze o oliwkę, czy jak się tam te małe, zielone kulki nazywały. Dodatkowe światło rzucały osadzone na



ścianach kosze z kutymi naczyniami, w których płonął olej. A ogień rozpalony na olbrzymim kominku pogwałciłby wszelkie przepisy przeciwpożarowe, jakie mógłby sobie wyobrazić thranxludzki kierownik jakiegoś hotelu. Z kolei talerz, który przed nim postawiono, był ogromny i sporządzony z czegoś podobnego do miedzi. Wyposażono go również w płócienną serwetkę, odrobinę mniejszą od dwuosobowego namiotu, i nóż, który bardziej nadawałby się do szarży kawaleryjskiej niż do obiadu. Chociaż kołatały się w nim resztki niepewności co do tej obcej kuchni, ślinka zaczynała mu napływać do ust. Przynajmniej nie zamarznie mając i futra, i ogień.

Tuż obok niego September z subtelnością i manierami wygłodzonej hieny wesoło obgryzał grubo obrośniętą mięsem kość. Dał Ethanowi sójkę w bok, tym razem delikatnie.

– Wcinaj, mój chłopcze. Na agonię zdechłego rudzielca, ci ludzie znają się na kuchni.

– Wybacz, jeżeli nie podzielam twego entuzjazmu. Powstrzymuje mnie otrzymane za młodu wytworne wychowanie i mój poważny rachunek bankowy. – Odwrócił się w drugą stronę.

Williams z roztargnieniem pogryzał coś, co wyglądało jak skrzyżowanie marchewki z awaryjnym białkowym batonem kosmicznym. Siedzący obok niego Walther wykazywał chyba tę samą ilość entuzjazmu do napychania sobie żołądka. Po drugiej stronie stołu Hellespont du Kane starał się jak mógł za pomocą dwóch noży odciąć kawałek mięsa dla siebie i dla Colette. Ani odrobina mięsa nie spadła mu na ubranie. Na talerz zresztą też nie.

Ethan rozejrzał się dookoła, potem sięgnął po coś, co przypominało soloną wołowinę, ale równie dobrze mogło być marynowaną wątróbką ciężarnej krokimicy, tym niemniej wyglądało zachęcająco, a pachniało jeszcze lepiej. Jakiś nóż opadł w dół i niemal odciął mu palec. Władał nim smukły tran siedzący o kilka krzeseł od nich. Tubylec dobroduszenie się do niego uśmiechnął nie odsłaniając zębów i odciął sobie solidną porcję. Ethan zaciął zęby, na wpół przymknął oczy i na odległość dziabnął swoim nożem. Kiedy wejdiesz między wrony... Zdziwiałe, ale na jego nożu znalazła się reszta tej pieczeni, czy co to tam było, natomiast nie było tam niczyjej ręki. Mięso, jak się przekonał, miało smak pieczonej wieprzowiny, chociaż było silniej przyprawione, niż się spodziewał. Na pewno nie było mdłe. Sięgnął po jeden z dwu stojących przed nim kufli, upił trochę z większego i okazało się, że zawiera on napój przypominający gęstą czekoladę z delikatnym posmakiem pieprzu.

Niemalże zadławił się, kiedy September wydał nagle dziki okrzyk radości i z rozmachem walnął go łokciem. Wsunął swój mały kufel w kierunku Ethana, oczy mu lśniły.

– Mamy tu, mój chłopcze, coś, o co warto walczyć, żeby to tylko zachować. Wlej no sobie w gardziel łyczek tego światła gwiazd w płynie. Sami Thranxowie nigdy nie uwarzyli czegoś tak wspaniałego! – Odwrócił się i ryknął coś do Hunnara.

Ethan wpatrywał się w swój mały kufel z mieszaniną pożądania i grozy, przeżuując powoli jakąś nie dającą się zidentyfikować jarzynę. Zawartość kufla była ciemna, z zaskakującym, srebrzystym połyskiem.

– To się nazywa ridil – poinformował go September. – Ridil, didil, di... – zaśpiewał, kiedy Ethan z wahaniem podnosił kufel do ust.

Zawartość bez oporów spłynęła przez przełyk do jego żołądka. A tam musiała natrafić na coś łatwopalnego, ponieważ wybuchła jak nadmiernie rozciągnięty balon i na wszystkie strony posypały się drobiny żaru. Jedna z nich popęzła prosto w górę do gardła i wypaliła się między jego oczami na miniaturową grudkę popiołu. Ethan wypuścił z siebie potężny haust powietrza.

– Taki ridil, taki didil, co?

September nie odpowiedział. Gdzieś w głębi swego jestestwa zaangażował się bez reszty w jakieś ważne sprawy. Wkrótce w te same sprawy zaangażował się i Ethan.

Po upływie krótkiego czasu jego uwagę zwrócił słodkawy, mdły zapach unoszący się w powietrzu. Nie był to produkt uboczny jego obiadu. Po chwili odkrył, że emanuje on od kilku dosyć prowokacyjnie ubranych dam, które usadowiły się w pobliżu. A więc tranowie używali perfum. Ciekawe. Jak na standardy ziemskie były one ciężkawe, jak na standardy thranxów nie nadawały się do niczego. Oto otwiera się następna szansa na handel, skoro pragnienia węchowe są do siebie zbliżone.

Po raz setny – a może i tysięczny – opłakiwał utratę swoich towarów, niedosiężnych na pokładzie *Antaresa*. Pociągnął jeszcze łyk ridilu i skupił się na co bardziej interesujących typach, siedzących przy wielkim stole. W końcu jego spojrzenie zawędrowało w odległy zakątek litery U, do Darmuki Brownoka. Prefekt na dobre już zaangażował się w posiłek. Jadł ze smakiem, ale ani nie robił się nadmiernie wylewny, ani podchmielony. Prawie cały czas uśmiechał się i przytakiwał okrzykom i komentarzom swoich sąsiadów. Chłodny z niego gość, bystry i niebezpieczny, pomyślał Ethan. Jego wzrok wędrował dalej wokół stołu, by niespodziewanie napotkać parę jarzących się żółtych oczu, które wpatrywały się prosto w niego. Oczy te należały do pięknej, przytłaczającej, włochatej walkirii o imieniu Elfa.

Na wielki kredyt! Nieomal udało mu się usunąć z pamięci to utrapione, no, powiedzmy niezręczne, spotkanie z córką Landgraфа. Pospiesznie odwrócił wzrok i z pełnym skupieniem zaczął przeprowadzać sekcję drugiego steku. Hunnar twierdził, że to „vol”.

Pracował właśnie nad trzecią dokładką i drugim kuflem ridilu, kiedy Sir Hunnar podniósł się gwałtownie i wskoczył na swoje siedzenie. Ethan stuknął pod żebra Septembra, który wchłonął taką ilość ridilu, że słoń mógłby w nim pływać, i szeptem powiedział do du Kane'ów:

– Teraz. Nic nie róbcie ani nie mówcie, nawet gdyby was prowokowali. Brownok i jego serdeczni przyjaciele tylko czekają na jakąś okazję.

Hunnar podniósł obie łapy do góry. Stopniowo ryki i wycie przycichły do równomiernego pomruku, zgrzytliwego jak przyływ morza na kamieniach. Kiedy i ten pomruk przycichł tak, że bez trudności można było usłyszeć pojedynczy głos, zaczął.

– A więc tak. Siedzicie tu sobie. Wy, duma Sofoldu. Bogactwo jego umysłów, decyzji jego losów, sędziowie przeznaczenia. Faj! – Splunął. – Wy kupy nawozu! Wy potomstwo volów! Wy skoczki. Wy śmieciarze!

Naokoło niego narastały gniewne pomrukiwania. Rozległo się kilka trańskich okrzyków w rodzaju „odebrać mu głos!”

– A, twierdzicie, że jest inaczej? – ciągnął dalej Hunnar. – Siedzimy tutaj napychając sobie nasze tłuste kałduny, a tymczasem Horda sunie po swojej obślizgłej i krwawej ścieżce, żeby nawiedzić nasze domy. Tak, nadciąga Horda. Czy wam się to podoba czy nie, nadciąga Horda. Prosto jak ścieżką grzmotożercy, nadciąga Horda... Co się stanie, kiedy do nas dotrze? Czy będziecie wtedy siedzieli i wesoło się śmiali? Kiedy opróżnią wasze mieszki, a napełnią wasze córki? Co wtedy?

Po drugiej stronie jakiś stary tran uniósł się ze swojego miejsca.

– Zapłacimy wyznaczony nam haracz, jak to zawsze czyniliśmy, Sir Hunnarze, znieśliśmy kilka tygodni nieszczęść i ciężarów, jak zawsze znosiliśmy, i przetrwamy, jak to zawsze robiliśmy!

Hunnar gwałtownie się odwrócił i stawiał staremu czoło.

– Nie przetrwa ten, który żyje z łaski, zdany na kaprys drugiego. A jeżeli tym razem nasze daniny nie zadowolą Nagłej Śmierci, to co? A jeżeli Bicza najdzie zły humor w nocy i każe mu zrównać Wannome z lodową ziemią? Może dla przyjemności, dla zabawy spalić pola i miasta Sofoldu? Co wtedy z twoim przetrwaniem, stary człowieku?

– No, no! – przerwał mu znany, przenikliwy głos z drugiej strony stołu. – Nie krzycz na biednego Nalhagena. – Prefekt Darmuka mówił pobłaźliwie. Przerwał, pociągnął łyceczek ze swojego kufla z ridilem.

W wielkiej sali zrobiło się wystarczająco cicho, by Ethan usłyszał jak kufel łagodnie stuknął w stół, kiedy prefekt go odstawił. Są rzeczy, zastanowił się Ethan, które są takie same na każdej planecie. Pozornie był to konflikt sposobów myślenia, w rzeczywistości sprowadzało się to do konfliktu woli pomiędzy starymi a młodymi, pomiędzy bogatymi i zadowolonymi, a utalentowanymi i niecierpliwymi. Każdy w wielkiej sali to wiedział. Czekali, żeby zobaczyć, jak się sprawa rozwinie.

– On tylko chce żyć, jak i reszta z nas. A przynajmniej jak większość z nas. – Darmuka Brown oak rozejrzał się wokół stołu; z tłumu dobiegał pomruk potakiwań. – A czemuż coś takiego – ciągnął dalej prefekt – nie wydarzyło się przez setki lat historii Sofoldu? Czemu Nagła Śmierć miałaby teraz znaleźć powód, żeby coś takiego zrobić? – W jego spojrzeniu malowało się głębokie zdumienie. – Zniszczenie Wannome i zniszczenie Sofoldu na zawsze przekreśliłoby haracz, jaki Horda otrzymuje od nas w regularnych odstępach czasu. Czemu Bicz miałby rozcinać dno swego własnego mieszka?

– Robili to z innymi miastami – powiedział Hunnar.

– Ale nigdy z Wannome.

– Tak więc dalej będziemy ryli nosami w ziemi, rok po roku, żeby zadowolić tego potwora? – parsknął rycerz. – A ja wam powiem, dość tego. Tym razem stoczmy z nimi bój! – Wysunął pazury i zrobił łapą w kierunku tamtego taki ruch, jakby coś rozdzierał. – Raz stoczmy z nimi bój i skończmy z tą hańbą i cierpieniem na zawsze!

– Sądzę, że powinienem się tutaj z tobą zgodzić – powiedział Brown oak.

– Co? – Hunnar wyraźnie był zaskoczony.

– Gdyby nie to – ciągnął dalej prefekt, subtelnie ocierając sobie usta jedną ze ścierek-serwetek – że nie podoba mi się samobójstwo. To prawda, że „skończylibyśmy z tym raz na zawsze”. Ciebie i mnie już by nie było. Prawda, że śmierć oznaczałaby koniec hańby i cierpienia, ale przynajmniej na razie nie palę się, żeby takie rozwiązanie zastosować. Mam tyleż odwagi co inni – tu spiorunował Hunnara wzrokiem – ale jestem również istotą myślącą i pragmatykiem. Wróg miałby nad nami wielokrotną przewagę liczebną, a nie jest to wróg, który całe swoje życie spędza na handlu, rolnictwie i rzemiośle; spędza je na zabijaniu i walce. Mielibyśmy tyle szans na wygraną, co skoczek, którego na ścieżce zaskoczyło stado pędzących w panice grzmotożerców.

Hunnar bezzwłocznie odparował:

– Wbrew temu, co ty zdajesz się sądzić, prefekcie, ja również jestem osobą myślącą i powiadam, że wygramy. Mury Wannome wyrosły zbyt wysoko, żeby się Horda na nie mogła wdrzeć. W ciągu minionych lat stały się zbyt grube, żeby się Horda mogła przez nie przebić. Nie uda im się też przerwać sieci i nowego łańcucha, którzy strzeże wejścia do portu.

– A jeżeli będą nas oblegać? – zapytał Brown oak, sącząc ridil.

– Zakładając, że się do tego trochę przygotujemy, będziemy je w stanie dużo dłużej wytrzymać niż oni. Nie ma takiego barbarzyńcy, który potrafiłby usiąść w kucki i spokojnie przyglądać się swemu przeciwnikowi. Nie jest on do tego przystosowany umysłowo. Właśni współplemieńcy Sagyanak wyrzuciliby każdego wodza, który wydałby taki rozkaz. Bicz wie o tym równie dobrze jak ty, czy ja.

– Tak wiele mówisz – rozległ się jakiś kategoryczny głos u szczytu stołu, jakiś tran w średnim wieku z krótką brodą przypominającą stalową watę, podniósł wzrok na Hunnara – a w porównaniu z większością z nas jesteś jeszcze jak kocię, które szybko awansowało w szeregach starszyny. Jeżeli jesteś, jak twierdzisz, myślącą istotą, zrozumiesz, o co mi chodzi. Czemu mielibyśmy zgadzać się z tobą, takim młodzikiem? W jakiej części twoje deklaracje rozpala ambicja i młodzieńcza niecierpliwość, a w jakiej rozwaga?

– To, że ja... – zaczął Hunnar, ale ktoś go wyręczył.

– Dosyć tego, Hellorcie – huknął jakby z bezdennej głębi jakiś głos gdzieś z drugiego końca stołu.

Tran, który się podniósł, był krępy a nawet niski, jak na Irańskie standardy, zbudowany jednak tak masywnie, że wydawał się niemal kwadratowy. Jego potężny tors był przygięty i sękaty ze starości, ale głos przypominał skalpel na wystawie nożyków do masła. Spod krzaczastych brwi wyglądały szparki czarnych źrenic osadzonych w kościstych zapadliskach.

– Nie miałem na myśli żadnej obelgi – spokojnie przeprosił Hellort. – Nie kwestionuję żadnej twojej wypowiedzi, Balaverze.

Ethan zaczął się baczniej przyglądać staremu tranowi, nie przejmując się tym, że się na niego gapi.

A więc to był ten sławny Balavere Longax, najbardziej szanowany wojskowy w Wannome. Hunnar opisał mu go pospiesznie i Ethan spodziewał się jakiegoś olbrzyma, a nie przysadkowego karła, ale wprost biło w oczy, że trański generał jest olbrzymem pod innymi niż fizyczne względami.

– A właśnie, że tak, Hellorcie. Ponieważ, widzisz, ja również poświęciłem temu problemowi wiele bolesnych myśli. I przekonuje się, że jestem w zgodzie z zacnym Rudobrodym – mimo jego młodości. Może i robi on wrażenie porywczego, ale nie traktuj tego jako przejawu ambicji. Ma łeb do spraw wojskowych i gładko porusza się po trudnym lodzie.

Sofold jest najsilniejszą prowincją w tej okolicy – ciągnął dalej z dumą. – Jeżeli ktoś może zdecydowanie oprzeć się Hordzie, to tylko my. To powinien być Sofold, ale musimy to zrobić sami. Nikt – ani Phulos-tervo z Ayhusu, ani Veg-Tuteva z Mecklevenu – nie przyśle nam ani jednego żołnierza ze swojego kraju na pomoc ze strachu, że zostaliby rozpoznani, a to ściągnęłoby na nich gniew Sagyanak.

– A więc tak jesteś pewien zwycięstwa? – wtrącił Brownok.

– Oczywiście, że nie jestem pewien – odpowiedział miękko generał. – Nie będę wam kłamał, panowie. Bitwa na taką skalę niesie zbyt wiele niewiadomych. Żaden inteligentny żołnierz nie ośmieli się przepowiedzieć, jak się ona skończy. Ale jedno wam powiem – ciągnął dalej, kiedy prefekt gotów był dodać coś jeszcze – patrzyłem, jak Wannome rośnie w siłę przez ostatnich kilka lat. Rośnie aż niebezpiecznie i Bicz powinien sobie z tego zdawać sprawę. Oto macie powód, dla którego może chcieć nas powalić, a przynajmniej nieco ukrócić. Ale Horda zrobiła się leniwa i upasła się na haraczu. Już przez dłuższy czas nie walczyli w żadnej prawdziwej bitwie.

– Otrzymamy także pomoc od tych obcych, którzy przybyli z gwiazd – dodał Hunnar – bo kto mógłby uwierzyć, że ich przybycie akurat w tym czasie to zupełny przypadek?

Ze sto par skośnych kocich oczu patrzyło na Ethana, a wszystkie zdawały się wpatrywać w jakiś punkt tuż pod jego włosami. Ethana korciło, żeby się w to miejsce podrapać, ale nie śmiał. Nie mógł jednak usiedzieć spokojnie. Przez tłum jakby przeszła fala.

– Odmiennej są może postaci – powiedział niewzruszony, po trzykroć przeklęty Brownok – ale czy odmiennych zdolności? Może nawet mniejszych niż nasze. A nam potrzeba wyjątkowych umiejętności, a nie wykrzykiwania o zesłanych przez gwiazdy znakach.

– Ha! – powiedział September.

Ethan spojrział na niego równie zaskoczony jak wielu innych. I o to chodziło. Potężny mężczyzna postawił jedną stopę na stole, wydzwignął się i przeszedł na drugą stronę. O włos mijał tu jakiś pasztet, tam jakiś kufel ridilu. Kiedy zeskoczył na podłogę po drugiej stronie, wszystkie oczy na sali i ludzkie, i trańskie, utkwione były w niego. Schylił się, złapał za tylne nogi krzesła Hunnara, jednym płynnym ruchem podniósł krzesło i rycerza na wysokość piersi. Tłum aż sapnął z zaskoczenia, potem rozległo się kilka wiwatów i podniosła się wrzawa pełnych podniecenia rozmów.

September postawił krzesło z Hunnarem na podłodze, przeszedł znowu po stole i wrócił na swoje

miejsce.

– Co za pokaz – pochwalił go Ethan.

– Prawdopodobnie sam byś tego potrafił dokonać, mój chłopcze. Tak sobie pomyślałem, że warto dać im taki pokaz. Chociaż nie mieliśmy z Hunnarem czasu, żeby to wypróbować na osobności. Teoria była dobra, cieszę się, że nie zawiodło wykonanie. Okropnie by było śmiesznie, gdyby mi tak zjechał z krzesła. – Pociągnął potężny łyk ridilu i mlasnął. – Chociaż jechał w górę dużo łatwiej niż różni tacy, których już podnosiłem. Ale gdybym go upuścił...

Ethan nie skomentował, że prawdopodobnie September byłby sobie z tym poradził nawet wtedy, gdyby trański rycerz ważył tyle co człowiek podobnego wzrostu. Ktoś siedzący w pobliżu Landgrafa wymachiwał rękami, chcąc zwrócić na siebie uwagę. Był to Eer-Meesach.

– Mogę powiedzieć – rozpoczął czarodziej mocnym głosem – że wśród tych obcych znajduje się również istota o wielkiej wiedzy. Czarodziej dorównujący... no, niemal dorównujący... mojej osobistej potędze intelektualnej. – Teatralnym gestem wskazał w ich stronę.

– Williams, do diabła, podnieś się – wymamrotał September znad swojego kufla.

Nauczyciel pospiesznie wstał i wbił oczy w stół. Wyglądał całkiem jak smarkacz, którego przyłapano na podkradaniu ciasteczek z puszki. I niemal natychmiast usiadł.

– A są wśród nich i inni o jeszcze bardziej zdumiewających umiejętnościach – ciągnął dalej Hunnar z podnieceniem – i wszyscy zobowiązali się pomóc nam w tej świętej próbie!

– O czym on mówi? – dopytywał się du Kane z drugiej strony stołu. – Złapałem już nieco tego języka, ale nie dość, żeby przetłumaczyć, co on tam bredzi.

– Opowiada wszystkim, jacy jesteśmy wspaniali – powiedział z roztargnieniem Ethan, próbując skupić się na przemowie Hunnara.

– Aha – skomentował przemysłowiec. Rozparł się i zrobił zadowoloną minę. Ethan doszedł do wniosku, że tranowie mogą to uznać za nieprzepartą pewność siebie.

– Nie jestem przekonany – zaczął Darmuka Brown oak, ile Hunnar go przegadał.

– Rozlew, rozlew, robimy rozlew! – Okrzyki niosły się wokół stołu, tranowie wrywali je sobie jakby to był sorbet.

– Tak... już czas... walka... ale jeżeli przegramy?... broń?... ile czasu?... rodzina... rozlew!

W końcu podniósł się Landgraf. W wielkiej sali natychmiast zapadła pełna szacunku cisza.

– Niniejszemu zgromadzeniu przedłożono sugestię o wielkiej wadze. Radni i rycerze Sofoldu, podniosło się wołanie o rozlew. Jakiego byśmy nie byli zdania, większość tego się domaga. A więc wzywani do rozlewu.

– Czy ten rozlew to coś jak głosowanie? – zapytał Etan Septembra.

– Otóż to, mój chłopcze. Poręczenie wódą, tak właśnie. – Wyszczerył zęby. – To poważna sprawa. Podobają mi się ci tranowie.

Landgraf podniósł swój kielich. Trzymał go w wyprostowanej ręce, sztywno jak kij wyciągniętej do przodu. Wszyscy, łącznie z damami wstali i zrobili tak samo. Goście nieco z opóźnieniem powtórzyli ten gest, ale nikt chyba nawet tego nie zauważył.

– Oczywiście w tej sprawie nasz głos się nie liczy – powiedział September – ale możemy się dołączyć. Zrobi lepsze wrażenie.

W zapadłej ciszy rozległ się głos Landgrafa:

– Aby każdy poznał swego sąsiada...

Wielu zebranych dygnitarzy, a razem z nimi September odwróciło kufle do góry dnem, zalewając wspaniałym ridilem stół, jedzenie, podłogę, buty i siebie. W sekundę później ich śladem poszli pozostali goście.

Herold podtoczył Landgrafowi wysoki fotel, a potem zaczął powoli liczyć odwrócone kufle, ale Hunnar go ubiegł. Nim herold skończył, rycerz ryknął z radości i podrzucił swój kufel aż pod belkowanie na sklepieniu.

– Będziemy walczyć!

Okrzyk podchwyciło z dziesięć gardeł.

– Walczymy, walczymy!

Hunnar podbiegł i objął Balavere'a. A potem wszystko rozpadło się w chaotyczną, kłębiącą się masę włochatych ciał, ostrych pytań i nie kończących się toastów. Muzycy przyczynili się do tej erupcji hulatyki zwawą, na wpół marszową melodią. Kilku tranów zaczęło tańczyć, inni wydawali się mieć tylko jeden cel w życiu – wbić swoich towarzyszy w podłogę, waląc ich z rozmachem po ramionach.

W całym tym hałasie i zamieszaniu Brownok podniósł się i powiedział coś do Landgrafa, potem z lodowatym uśmiechem na twarzy oddalił się. Tranowie, którzy siedzieli blisko prefekta, ruszyli razem z nim do wyjścia. W gwarze i podnieceniu niemal nikt nie zauważył ich odejścia. Ethanowi w końcu udało się dotrzeć do Hunnara i zwrócić mu uwagę na nagłe wycofanie się prefekta.

– Będziesz miał z tym facetem kłopoty – ostrzegł go, ale rycerz aż kipiał z radości, że wreszcie zdoła zrealizować swoje plany i nie przejął się ostrzeżeniami Ethana.

– Głosowanie Rady obróciło się przeciw niemu – powiedział z roztargnieniem. – Co on może na to poradzić? Nic! Jest bardziej bezradny niż kocię, a do tego spotkała go konfuzja. Zapomnij o nim. Nie rozumiesz? Będziemy walczyć!

Ethan odwrócił się i zobaczył generała Balavere'a stojącego w kręgu starszych tranów. Jego uwagę zwróciły uroczyste, delikatne dotknięcia ramion, cicha rozmowa najpierw z jednym, potem z innym. Kiedy przyjrzał się dokładniej, odkrył jeszcze jeden ciekawy fakt dotyczący ich gospodarzy, a mianowicie, że potrafili także płakać. Ethan odwrócił głowę.

Tymczasem Landgraf od wyjścia prefekta rozpaczliwie usiłował przywrócić jakieś pozory porządku. Walił w podłogę swoją laską i zaprzął do pracy struny głosowe herolda, aż wreszcie najwyraźniej doszedłszy do wniosku, że sytuacja jest beznadziejna, dał jakiś znak muzykantom na balkonie.

Pseudomarsz zastąpiła dzika, silnie zrytmizowana melodia. Z głośnym okrzykiem członkowie rady i rycerze rozsunęli dwa długie ramiona wielkiego stołu, zmieniając jego kształt w literę V. I natychmiast trójkątny parkiet zaroił się od wirujących par. To ciekawe, ale taniec, chociaż niesłychanie energiczny, wcale nie trwał długo jak na standardy ziemskie. Tancerze sprawiali wrażenie niesłychanie krzepkich, a jednak zdawali się szybko tracić oddech. Najwyraźniej w związku z tym, że poru – szali się najczęściej wykorzystując siłę wiatru, nie rozwinęły się u nich mocne płuca. Ale z tego samego powodu akrobacje, jakie uprawiali ci lżejsi, niż wskazywał ich wygląd, tancerze, graniczyły z pokazami grozy. Ich wyczucie rytmu i równowagi było – nawet całkiem logicznie – nieludzkie. Będzie o tym pamiętał, jakby kiedyś miał wymykać się miejscowej policji. Takie rzeczy się już zdarzały. Na łodzi mogłoby dookoła niego kółka zataczać.

Świadectwem radości były też głośny śmiech i klaskanie. W tej chwili wszyscy byli w świetnym humorze. Później, kiedy na serio dojdzie do nich ogrom decyzji, jaką podjęli, nadejdzie czas na ciche rozmyślanie i zastanowienie. Ethan z wielkim ukontentowaniem przyglądał się temu, co się działo, kiedy ktoś stuknął go w ramię. Odwrócił się i tuż przed oczami zobaczył bujne łono Elfy Kurdagh-Vlata. Pospiesznie podniósł wzrok; spojrzenie, które napotkał, wcale go nie uspokoiło.

– Jak widzisz, zacny Sir Ethanie – zamruczała – nikt mnie nie poprosił do tańca.

Nie była to całkiem prawda, o czym mogło zaświadczyć kilku młodych tranów z posiniaczonymi łydkami.

– Może Sir Hunnar?... – zaproponował rozpaczliwie Ethan.

– Phi! Zbyt jest zajęty przyjmowaniem gratulacji z powodu wymanewrowania prefekta. A poza tym ja chcę tańczyć z tobą. – Ściszyła głos. – Nie zapomniałam, jakim mistrzem jesteś w... walce wręcz. Czy może równie biegły jesteś w tańcu?

– Och, nie – powiedział Ethan. Cofnął się i przekonał, że dalszy odwrót blokuje mu stół. – Nic nie wiem o tutejszych tańcach. Mam dwie lewe nogi. A oprócz tego urodzony ze mnie niezgrabiasz.

– W to już uwierzyć zupełnie nie mogę – powiedziała niskim głosem. Wyciągnęła łapę i chwyciła go za rękę. Jej łapa była może lżejsza niż jego ręka, ale mięśnie miała jakby ze stali. Nie chcąc, żeby poderwała go z krzesła siłą, pojednawczo podniósł się sam.

– Chodź więc i zabawimy się z innymi.



Zanim zdążył zaprotestować, znalazł się na środku parkietu, w pułapce z futer i olbrzymich barów. Muzyka była obca, ale nie tak egzotyczna, żeby nie był w stanie jej wyczuć. Kroki sofoldiańskiego tańca były stosunkowo proste, nie minęła więc chwila, a naprawdę zaczął się dobrze bawić. Mniejsza o to, że przypominało to nieco flirt z klęską żywiołową.

Wybawił go Sir Hunnar i to w dość osobliwy sposób. Rycerz podszedł do niego od tyłu, położył mu łapę na ramieniu i powiedział jak najweselszym głosem:

– Sir Ethanie, wyzywam cię.

– Słucham? – Ethan z wrażenia potknął się o własne stopy.

– Wyzwanie! Tak, wyzwanie! – rozległy się okrzyki z tłumu.

Jeszcze nie zdążył odzyskać równowagi, a już podłoga wokół nich opustoszała. Wszyscy wyczekująco spoglądali na niego i na Sir Hunnara. Tymczasem rycerz zdejmował z siebie opończę, ozdoby i wieczorową marynarę.

– Zaczekaj no chwilkę – zaczął Ethan stropiony. – Właśnie zaczynałem się rozeznawać w tym tańcu. O co chodzi z tym wyzwaniem?

– Tak prawdę mówiąc, to o nic szczególnego, przyjacielu Ethanie – odparł Hunnar, zginając masywne ramiona i rozpościerając skrzydła. – Taki prosty zwyczaj. Dobre maniery nakazują gościom i gospodarzom walczyć. Przypomniano mi, że ta zabawa jeszcze się nie odbyła. To równie dogodny moment na takie żarty, jak inny.

– Jestem przeciwnego zdania – odparował Ethan ostrożnie. – A w ogóle – ciągnął dalej cofając się o kilka kroków – czemu się mnie czepiasz? Może byście sobie powymieniali zapewnienia o głębokiej przyjaźni z Sir Septembrem?

– Oczywiście – Hunnar się szeroko uśmiechnął. – Ale spójrz.

Ethan odwrócił się; September po prostu leżał na stole. Jego rozwiane białe włosy nurzały się w misce z zimną zupą, w jednej dłoni trzymał bezwładnie kufel. I chrapał na melodyjną nutę pękniętego łożyska.

– Obudzę tego zacnego rycerza – grał na zwłokę Ethan. – Naprawdę, Sir Hunnarze, nie nadają się do takiej zabawy. Gdybyś na przykład miał ochotę na partyjkę na polu golfowym... czy jest tu gdzieś może pole?

– Ach, twoja skromność naprawdę jest ciębie godna, Sir Ethanie – powiedział z podziwem Hunnar. Był już obnażony do pasa. Na widok jego klaty piersiowej każdy fryzjer stanąłby jak wryty.

– A więc do walki! – Hunnar ruszył pędem przez salę, jego ramiona tworzyły olbrzymie, włochate półkole.

No, przynajmniej nie ma to być walka na śmierć i życie, tłumaczył sobie Ethan. Tyle chyba może

zrobić w ramach przy-jaźni, prawda? Poza tym widział, z jaką łatwością September podniósł rycerza w powietrze i to razem z krzesłem.

Usiłował nie zwracać uwagi na ryk tłumu – zdecydował, że brzmi to całkiem jak wrzask bandy podpitych wyborców – i spróbował uniknąć zamasztygo ciosu, jaki wycelował w niego Hunnar. Wszedł w zwarcie i usiłował rycerza chwycić w pasie. Nie udało się, ale za to otrzymał solidne uderzenie w bok głowy. Chwilowo jego wrażenie wzrokowe ograniczyły się do widoków czysto galaktycznych – czarne tło i kolorowe gwiazdy. Usiadł i pozbierał rozproszone zmysły. Hunnar stał o kilka metrów od niego, sapał i uśmiechał się szeroko. Wyraźnie konieczna była jakaś bardziej wyszukana taktyka. Z tłumu dochodziły pochwalne okrzyki: „Dobra robota!” i „Ale mu przyłożyłeś”. Jego przeciwnik może mieć mniejszą wagę niż on, ale nie przeszkodzi mu to urwać Ethanowi głowy, kiedy ten będzie zastanawiał się nad rozbieżnościami w proporcjach. W porządku, spróbuje czegoś innego – jeżeli uda mu się to sobie przypomnieć.

Hunnar znowu ruszył. Zrobił zwód lewą łapą i zamachnął się prawą. Ethan uskoczył w bok, zablokował cios lewą ręką i lekko uderzył tamtego w żebra, tuż za błoną skrzydła, a potem w szczękę. Następnie okręcił się i uderzył go piętą w krzyże, niemalże sam wywracając się w trakcie tego manewru. Jego waga w połączeniu z ciosem spowodowały, że rycerz rozłożył się jak długi. Przez jedną okropną chwilę Ethanowi zdawało się, że coś mu złamał, ale widać tranowie sporo byli w stanie wytrzymać. Hunnar przeturlał się i stęknął.

– Jak to zrobiłeś, Sir Ethariie?

– Chodź i się przekonaj – zaproponował Ethan, sapiąc ciężko.

Hunnar podniósł się na nogi i znowu ruszył do przodu, tym razem ostrożniej. Ethan pozwolił się złapać za lewe ramię. Po-tem okręcił się, wyprzedził atak Hunnara i wbił łokieć prosto do góry i w głąb szerokiej piersi rycerza. Hunnar, zaskoczony, wypuścił z siebie potężne *ufff*. Ethan pochylił się i złapał uzbrojoną w ostrza stopę w kostce, szarpnął i wyprostował się, kładąc rycerza na plecy. Odwrócił się i wbił tamtemu piętę w przeponę – ale łagodnie, a potem odsunął się. Hunnar usiłował złapać oddech.

Wrzask tłumu niemal go ogłuszył. Na Ziemi jego ruchy zdawałyby się powolne i niezręczne, ale tutaj były czymś niezwykłym. Hunnar usiadł trzymając się za brzuch. Uśmiechnął się.

– Chyba wiem, jak to zrobiłeś, tak mi się zdaje. Czy nauczysz mnie tej ostatniej sztuczki, Sir Ethanie?

– Oczywiście. Patrz, zaczyna się tak...

Ale nie miał szansy, żeby coś więcej powiedzieć, ponieważ w chwilę później masywne dłonie dosłownie wbijały w niego gratulacje. Jeżeli to jeszcze chwilę potrwa, będzie prosił o łaskę, żeby tylko przestali go tak napastliwie podziwiać. Co gorsza zauważył, że Elfa wpatruje się w niego lśnącymi, pełnymi czci oczami. Ktoś z tłumu wcisnął mu do ręki kufel ridilu. Bolała go noga, coś gdzieś sobie naciągnął. Wypił kilka łyków. Nie zwrócił uwagi na Colette du Kane, która wpatrywała się w niego z bardzo osobliwym wyrazem twarzy.



## ROZDZIAŁ VII

Obudził się w środku nocy, chociaż nie z powodu zimna, powietrze było jednak tak dojmująco lodowate, że nie mógł z powrotem zasnąć. Podjął kilka nieudanych prób, a potem podłożył ręce pod głowę i wbił wzrok w baldachim nakrywający łożo.

Koniecznienie musi coś zrobić z tymi zalotami córki Landgrafa, zanim nastąpi jakieś katastrofalne nieporozumienie. Nie wiedział zupełnie, jakie są miejscowe zwyczaje w takich sprawach, ale jeżeli komuś wpadłby do głowy jakiś głupi pomysł, albo gdyby ktoś otworzył drzwi akurat w takim momencie, jak ten wczorajszy, sytuacja doprawdy mogłaby się zrobić wysoce nie-zręczna. Szybko by im przypomniano, jak bardzo są tu obcy. Nawet przyjaźń Hunnara mogłaby wyparować w zadziwiającym tempie.

W końcu przekręcił się na bok i zaczął macać pod przykryciami w poszukiwaniu parki. Trudno ją było znaleźć przy świetle jednej, jedynej świeczki. Temperatura spadła w takie rejony, że żaden człowiek nie powinien się nawet ruszyć z łóżka, ale od dziko kłębiących się myśli miał w głowie taki zamęt, że niemal tego nie zauważał.

Załóżył parkę, odryglował drzwi i wyslizgnął się na korytarz. Dostyc dobrze orientował się, gdzie znajduje się pokój Landgrafa, jednak trafić tam nie gubiąc się na schodach i mroźnych, wietrznych korytarzach, to zupełnie inna sprawa. Ciemności rozpraszały tylko nieliczne świece i lampki oliwne.

Nocą, kiedy wiatr jęczał na korytarzach i wszyscy oprócz kilku nierozmownych strażników spali, zamek wydawał się tak opuszczony i chłodny, jak górskie pustkowia na księżycu.

Cała ta sprawa była po prostu śmieszna. Co on właściwie ma zamiar zrobić, obudzić Landgrafa w środku nocy? Z drugiej strony może to być najlepszy moment. W tajemnicy, bez krążących naokoło wścibskich dworaków. Taka rozmowa bez straży i świadków. Może w ten sposób mniej będzie zażenowany. Tak czy inaczej, trzeba się z tym uporać i to jak najszybciej. Tak, pokoje Landgrafa powinny być tuż za tym zakrętem. Powie strażnikom, że...

Popatrzył przed siebie, rozejrzał się dokładniej... W migotliwym, mdłym świetle trudno było mieć pewność, ale chyba nie było żadnych strażników. To dziwne. Podchodząc do drzwi prowadzących do wewnętrznych komnat zwolnił kroku. Okazało się, że strażnicy jednak tam byli. Obydwaj. Nieskazitelnie ubrani w ozdobne zbroje i wytłaczane skóry. Jednego ktoś starannie przyszpilił do ściany dwoma długimi dzidami; jego twarz zastygła w grymasie szoku i zaskoczenia. Głowa drugiego spoczywała na podłodze pod nienaturalnym kątem, a po gładkich kamieniach płynęła jego krew.

Z miejsca nasunęło mu się kilka wyjaśnień, tylko że żadne nie miało sensu. Chwilowo był tak

wstrząśnięty, że nie wpadło mu do głowy, że tam, gdzie akuratnie załatwiono dwóch sprawnych, uzbrojonych strażników, on sam może okazać się wyjątkowo mało skuteczny. Bez namysłu wetknął głowę w otwarte drzwi i zajrzał do pokoju. Scena, która przedstawiła się jego oczom, mogła spokojnie pochodzić z jakiejś terrusjańskiej opery. Brało w niej udział wystarczająco wielu aktorów.

Na wielkim, rzeźbionym łożu z baldachimem leżał Landgraf; przytrzymało go dwóch krzepkich tranów ze zwykłymi maskami na twarzach. Trzeci stał nad nimi, w łapie trzymał przygotowany do ciosu standardowy, wydawany na statku wraz z wyposażeniem awaryjnym, nóż. Hellespont i Colette du Kane siedzieli z boku, należycie zakneblowani. Byli przywiązani do dużo dla nich za obszernych krzeseł. Czwarty tran, z zakrwawioną szablą w ręce, przyglądał się im.

Ethan odwrócił się, sięgnął w dół i podniósł dzidę martwego strażnika. Miał do wyboru dwie możliwości – mógł zaatakować, wpaść do środka i załatwić czterech zabójców, uwolnić du Kane'ów i zdobyć sobie dożgonny podziw wszystkich, albo mógł odwrócić się na pięcie i popędzić korytarzem, wrzeszcząc Jak giełdziarz, którego kredyt poszedł na dno, aż obudził tylu pomocników, żeby to było skuteczne.

Do wybrania tego drugiego sposobu działania skłaniały go zarówno logika, jak i fakt, że dużo lepiej władał ogrodową motyką niż dzidą. Może to mniej chwalebny sposób, ale bardziej praktyczny. Odwrócił się i wysunął się na korytarz.

– Alarm, mordercy najpodlejszego gatunku, zbójce, bandyci! Pobudka! Pomocy, ratunku, mordują Landgrafa! Straże, rycerze, księża, depresja, dewaluacja, rywalizacja!

Zimne ściany odbijały krzyki Ethana po korytarzach, wokół zakrętów, w dół lodowych ścieżek; jak zamek długi i szeroki podniosły się chaotyczne pomruki. Cała ta góra kamieni zaczęła się roić jak mrowisko, w które ktoś wetknął kij.

Z wnętrza też dobiegła go odpowiedź w postaci steku przekleństw. Jeden z morderców, wielki, barczysty facet, który miał jedną rękę rozciętą mieczem i futro zbite, jak stary chodnik, wyszedł z nastawioną bronią. Popatrzył w lewo i to była jego fatalna pomyłka, bo Ethan stał z prawej.

Nie trzeba było wielkiej zręczności, żeby zabójcę nadziać na szpikulec.

Tran kwiknął całkiem jak dziewczyna, przez co narastające pandemonium zyskało jeszcze jedną, brakującą dotąd nutę. Na końcu korytarza było już widać jakieś biegnące w ich kierunku postacie. Ethan ruszył w ich stronę.

I potknął się w przyćmionym świetle o leżącego na twarzy strażnika.

Ogłuszony przetoczył się na plecy. Jakaś wysoka, spowita w cienie postać podniosła nad jego głowę zakrwawioną szablę. W świetle lampki oliwnej zalśniły wielkie kły. Szabla opadła. Usłyszał, jak rozcina powietrze. Ten, który ją trzymał, stęknął pytająco i Ethan usłyszał, jak stal uderza w kamienną podłogę tuż przy jego boku, tak blisko, że szabla rozcięła mu koszulę, a ze skały poleciały iskry. Coś tępego uderzyło go w żołądek.

Był to pierzasty koniec strzały, która pogrzyżyła się w brzuchu tamtego. Jeszcze ułamek sekundy i pogrzebała go lawina krwi i futra.

Może on i był lżejszy, niż by wypadało, ale był kompletnie bezwładny. Nie minęła jednak minuta, a już jakieś ręce go wyciągały. Wpatrzył się w półmrok. W tłumie dostrzegł Hunnara. Jakieś nogi przebiegły obok niego. Ściany korytarza aż dzwoniły od krzyku.

– Niewiele brakowało, Sir Ethanie – powiedział rycerz podając mu muskularne ramię. – Dzięki.

– I ja ci dziękuję – odpowiedział bez tchu. Pomacał się gdzieś w okolicach środka, gdzie go uderzyła strzała, zanim się złamała na pół.

– Nie mnie dziękuj – Hunnar pokazał palcem na drugą postać, która stała w półmroku obok nich.

Suaxus-dal-Jagger trzymał łuk półtora raza taki jak on sam, na cięciwę z jelita nałożona była strzała. Bez słów skinął głową, odwrócił się i ruszył korytarzem.

Hunnar ukląkł i odwrócił ciało właściciela szabli. Przyglądał się zamilkłej twarzy, podczas gdy Ethan usiłował zetrzeć chociaż trochę krwi ze swojej parki.

– Poznajesz go? – zapytał z ciekawością.

– Nie, ale to nie jest nic zaskakującego. Tacy jak on dbają o anonimowość. Ale co się stało?

Zamiast odpowiedzieć, Ethan odwrócił się i poprowadził go do pokoju, na który tylko przelotnie zdążył rzucić okiem. W środku tłoczyło się co najmniej dwudziestu tranów, wszyscy mieli niezbyt sympatyczny wyraz twarzy. Akurat w tej chwili sumiennie przeszukiwali pokój, a nawet sprawdzali, czy ściany nie są gdzieś wydrążone.

Rozwiązano du Kane'ów. Colette rozcierała sobie przeguby rąk. Ethan potrafił sobie wyobrazić, jak bolesne musiały być te więzy w lodowatym powietrzu. Kiedy zobaczyła Ethana, zrobiła krok w jego kierunku, ugryzła się w język i wbiła wzrok w podłogę.

Zwariowana dzierlatka, pomyślał z niepokojem.

– Pojawił się pan w ostatniej chwili – powiedział du Kane. – Ci szubrawcy brutalnie zaatakowali nas, kiedy byliśmy pogrążeni w głębokim śnie. Zanim się zorientowaliśmy, byliśmy skrupowani gorzej niż wydawca dobrym prawem autorskim. My...

Landgraf szorstko wkroczył między nich. Łagodnie ale stanowczo położył łapy na ramionach Ethana.

– Oto, co przyrzekam ci teraz, Sir Ethanie. Zobowiązaliśmy się stanąć do walki, która jest coraz bliżej i na to nie ma ratunku. Ale jeżeli Wannome zatriumfuje, przysięgam ci na cześć moich przodków, że wszystkie nasze zdolności i całe nasze bogactwo skieruję na to, żeby dowieźć was tam, gdzie sobie zażyczycie, nawet gdyby miała to być podróż na drugą stronę Świata. Zawdzięczam ci życie. Niewielu w Sofoldzie ma taki curam.

Odwrócił się, żeby powitać córkę, która się w tej chwili pojawiła. Rzuciła mu się w ramiona, twarz jej skrzywiła się w niezrozumiałym, obcym grymasie.

Ethan odwrócił się. Powinno dać im to dobrą pozycję przetargową przy koncesjach handlowych, pomyślał, starając się zapomnieć o tej sentymentalnej scenie.

– Nie jestem pewien, czy rozumiem, Sir Ethanie – powiedział Hunnar rozcierając sobie ramię. Niewykluczone, że dosłownie wypadł z łóżka. Ethan dopiero teraz zauważył, że poza mieczem rycerz nie ma nic na sobie. – Po co im byli twoi przyjaciele?

– To wydaje się dość oczywiste – tłumaczył zmęczony Ethan. – Mieli zamiar zamordować Landgrafa i upozorować to tak, jakby zrobili to du Kane'owie. Nie tylko położyłoby to kres wszystkim twoim planom walki z Hordą, ale my też wpadlibyśmy jak śliwka w kompot. Daj spokój, Hunnarze, wiesz równie dobrze jak ja, kto za tym stoi.

Hunnar zawahał się, potem doznał wstrząsu.

– Prefekt? Nie ośmieliłby się!

– A jednak ktoś się ośmielił. Czemu nie on?

– Po pierwsze, mój przyjacielu, popełniasz błąd w rozumowaniu. Nawet gdyby Landgraf zginął, nie miałyby to żadnego wpływu na decyzję dotyczącą walki z Hordą. Tron odziedziczyłaby córka Landgrafa i wybrano by nowego Landgrafa, żeby służył u jej boku. Rada powzięła decyzję w sposób należyty i ta deklaracja nie zostałaby podważona.

– Rozumiem – powiedział z namysłem Ethan. – Powiedz mi. Czy Elfa może sobie sama wybrać swojego Landgrafa?

– Oczywiście, że nie! Gdyby Landgraf nie zostawił innego potomstwa niż żeńskie, najstarszej córce przedstawiono by konkurenta wybranego przez Radę. Kogoś, kto zachowałby silną linię.

– Rozumiem. – Ethan intensywnie myślał. – A kogo Rada mogłaby wybrać jako dobrą partię?

– W ogóle się nad tym nie zastanawiałem – odparł Hunnar. – Wątpię, czy ktokolwiek o tym myślał. Landgraf rna przed sobą jeszcze wiele lat. Chociaż w takim przypadku mógłbym mieć nadzieję, że będę to ja sam. – Odwrócił wzrok. – Tak, to prawdopodobnie byłbym ja.

Podniósł głowę i oczy mu się rozszerzyły. Jego twarz przybrała wyraz pełen namysłu.

– Rozumiem cię teraz, Sir Ethanie. Tak, w imię tego, żeby zobaczyć na tronie siebie albo swoje potomstwo, on mógłby to zrobić.

Stał przez chwilę w milczeniu. W drzwiach pojawił się jakiś żołnierz, zbroja mu się przekrzywiła z pośpiechu.

– Nie znaleziono ani śladu po tych niegodnych wzmianki wyrzutkach – wysapał. – Istnieje obawa,

że uszli pogoni i opuścili zamek.

– Nie przestawajcie szukać – odparł gniewnie Hunnar. – Mogą ukrywać się gdzieś w jakiejś skrzyni albo w kuchniach. Przeszukajcie każdy kątek, nawet katakumby. Znajdźcie ich! – Odwrócił się znowu do Ethana.

– Czy widziałeś ich twarze?

– Obawiam się, że w ogóle niewiele widziałem po tym, jak przebiłem tego tam. – Nagle poraziło go zrozumienie tego, co zrobił. – Ja... przepraszam, Hunnarze, trochę mi niedobrze.

– Ja... ja jednego widziałam – powiedziała Colette.

Ethan zwrócił na nią pełne zdziwienia spojrzenie.

– Wydawało mi się, że nie rozumiesz ich języka. Popatrzyła na niego z politowaniem.

– Czy sądziłeś, że będę marnowała czas na przyglądanie się wzorom na kocach? Uczyłam się tego języka z naszymi służącymi. Ojciec też. On czasami... błędzi myślami, ale kiedy się pozbiera, jest szokująco kompetentny. Poza tym ma fotograficzną pamięć, powinnam dodać... Wydaje mi się, że rozumiem, czego chce ten Hunnar. Chciał wiedzieć, czy uda ci się rozpoznać tych, którzy uciekli, tak?

– Tak. I myślisz, że potrafiłabyś?

Colette skinęła głową.

– Co mówi ta Ona? – zapytał z zaciekawieniem Hunnar.

– Sądzi, że uda jej się rozpoznać dwóch zabójców, kiedy ich znowu zobaczy.

– To byłoby wspaniale! – Oczy rycerza roziskrzyły się. Pokazał zęby. – Przynajmniej coś.

– Słuchaj, a może by wziąć prefekta na przesłuchanie? Bez wątpienia powinieneś stawiać na niego.

– Stawiać? Och, rozumiem. Zaaresztować prefekta? – Na twarzy Hunnara malowało się oburzenie. – Tylko na podstawie osobistych podejrzeń? Tak nie można!... Nie, sam Landgraf nie zgodziłby się na to, chociaż nie kochają się z Brownakiem.

– Czy nie macie aresztu tymczasowego?

– Czego?

– Wszystko jedno. No, to by było na tyle – powiedział Ethan zde gustowany.

– Przepraszam, przyjacielu Ethanie, ale nie rozumiem.



– Zapomnij, Hunnarze. – Poklepał rycerza po masywnym, włochatym ramieniu, – Mam nadzieję, że znajdziesz tych swoich zabójców. Niedoszłych zabójców.

Na Ziemi, dumął, on sam byłby pierwszym podejrzanym. Kompletnie wyleciało mu z głowy, z jakiego powodu chciał złożyć Landgrafowi tę nocną wizytę, poza tym teraz nie była odpowiednia pora na takie dyskusje. Obejrzał się słysząc jakiś odgłos przy drzwiach. Stał tam September, chwiejąc się lekko, z nieco błędnym wyrazem twarzy. Jakoś w tym momencie jego opilstwo ani odrobinę nie bawiło Ethana.

– Co to za hałasy?

– Banda lokalnych oprychów porwała du Kane’ów. Chcieli zamordować Landgrafa i zrobić ich w to. – Popatrzył z napięciem na Septembra. – Nie dopuściłem do tego.

– Brawo, mój chłopcze, brawo! – Beknął głośno, – Ciekawe, czym oni tu leczą kaca. Przez te wrzaski łeb mi prawie pęka... niemal wyleciałem z łóżka przez ten hałas.

– No to może wróc tam. – Ethan odwrócił się na pięcie zde gustowany.

September ostro na niego popatrzył, potem się przygarbił.

– Widzisz, chłopcze, tak mi się zdaje, że dokładnie to właśnie zrobię. – Odwrócił się i chwiejnie poszedł korytarzem.

\* \* \*

Dużo, dużo za szybko służący uprzejmie obudził Ethana i przyniósł mu śniadanie. Karton z ich własnymi awaryjnymi racjami, dzięki Ramie! Nie żeby lokalne dania poprzedniego wieczoru były niejadalne, chwilami mu nawet smakowały, ale dobrze było znowu poczuć zapach ziemskiego jedzenia, nawet jeżeli były to mrożonki.

Przeszukał pojemnik i znalazł autopuszkę z jajkami i bekonem, mały cylinderek kawy i płaską, dwustronną płytkę; kiedy włączył przycisk na środku, rozpadła się na dwie gorące kromki posmarowanej masłem grzanki.

Pochłonał to wszystko, równocześnie usiłując zrobić porządek z najbardziej uporczywymi swędzidłami wewnątrz parki. Kiedy przygotowywał się, żeby naciągnąć buty, odkrył obok nich parę wykładanych futrem botów. Były troszkę za duże, ale bez wątpienia królewski krawiec musiał mieć diabelne kłopoty z kształtem ich stóp. Nie mówiąc już o tym, że samo zamówienie musiało mu się zdawać dziwaczne, bo tranowie butów nie nosili. Prawdopodobnie to September udzielił mu instrukcji, czy podsunął jakiś odręczny szkic. Buty nie były dopasowane i niezręcznie je zszyto, ale były ciepłe, a tylko to się liczyło. Podeszwy nabijane były nawet drobnymi kawałkami metalu, żeby można się było jakoś utrzymać na śliskim lodzie. Na nieszczęście wciąż jeszcze miał tylko ten za duży kombinezon awaryjny. Lepiej by mu było w takim miejscowym płaszczu, jak miał September.

Tego ranka na zamku huczało i kipiało od plotek. Usiłowanie zabójstwa i rola, jaką odegrali goście z nieba, były jądrem wszystkich rozmów. September poszedł gdzieś razem z Balaverem i

Hunnarem, żeby przyjrzeć się fortyfikacjom miasta i portu i być może coś im zasugerować. Po raz kolejny Ethan zastanawiał się, kim jest naprawdę ten facet, ale ostatecznie się poddał. Jak się sam przyznał, był przestępcą...

Chociaż nie, ostrzegł sam siebie. To, że na kilku światach ściga go prawo, nic jeszcze nie znaczy. Pomimo Kościoła i Wspólnoty podstawy prawa planetarnego różniły się ogromnie między sobą w różnych systemach. I musiały się różnić. Monolityczne prawo spowodowałoby, że gigantyczna Wspólnota thranxludzka nie mogłaby funkcjonować. Tak więc za ten sam czyn na jednym świecie człowiek mógł zostać skazany na karę śmierci, a na innym zyskać tytuł bohatera.

Służący poinformował Ethana, że kiedy obudzono Williamsa, odwiedziła go wielka osobistość, a mianowicie sam wielki czarodziej. A więc ci dwaj znowu gdzieś zaszyli się i wymieniają anegdotki i informacje. Du Kane'owie nie wychodzili z pokoju, a jeśli chodzi o Walthera wolno mu było wyjść na spacer, ale tylko pod strażą. Tak więc zostało mu zwiedzanie miasta i zamku w swoim własnym towarzystwie.

Kilka dni stosunkowo wolnych od oficjalnych posiłków i różnych takich uroczystości pozwoliło mu dokładniej zapoznać się z Wannome. Pod wieloma względami przypominała małe, starożytne, ziemskie, ufortyfikowane miasteczka. Zwłaszcza te nieliczne, które zachowano jako zabytki historyczne. Ethan kilka z nich znał ze szkoły i z filmów podróżniczych. Osobiście nigdy nie było go stać na podróż na rodzinną planetę. Jego kompania również nie uważała tego ani za właściwe, ani za konieczne, żeby go tam wysłać. Może kiedyś...

Ale pod bardzo wieloma względami różniła się od nich. Na przykład nie było tutaj ani jednej fontanny, które ozdabiały tak wiele miast ludzi i thranxów. To oczywiste, że nie było. Przecież trzeba by je bezustannie podgrzewać, żeby woda płynęła. Z drugiej strony wiele domów mogło poszczycić się fantastycznymi dekoracjami dachów, rzeźbionymi w lodzie często przez bardzo młode kocięta. Mieszkańcy byli gburowaci, ale przyjaźni. Nim minął dzień, pozbyli się lęku i stali się aż nazbyt wylewni. Widać rozeszła się wieść, że ludzie nie tylko są gośćmi Landgrafa, ale że darzy on ich szczególnymi względami. A ten, kto darzy względami osobę, którą darzy względami Landgraf, ten darzy względami siebie samego – zasada uniwersalna, nawet jeżeli nieco inaczej wyrażona, dumał.

Za to ogromną i niespodziewaną radość przyniosły mu kocięta, takie turlające się, podskakujące, szifujące kulki futra, które otaczały go wszędzie, gdzie tylko szedł, tak że ciągle obawiał się, że zaplączą mu się między niezgrabnymi nogami. Brak szifów i danów, rażąco widoczny na pierwszy rzut oka, zdumiewał je i zachwycał. Bez wątplenia patrzyły na niego jak na jakiś nowy rodzaj przyjaznego potworka, takiego niemądrego goblina, sprowadzonego po to, żeby miały się czym cieszyć i zachwycać.

Oczami duszy widział je, leżące na śniegu ociekające krwią, ponabijane na dzidy; na miejscu Hunnara też by się domagał chociaż próby przeciwstawienia się Hordzie i to natychmiast, jak tylko by się nauczył mówić.

Czy aby, mój zacny kupcze? Jesteś pewien, że nie uznałbyś za bardziej rozropne kupienie sobie jeszcze dwóch czy trzech lat bezpieczeństwa, dobrych interesów? Co? Taki jesteś pewien swojego sumienia?

Była to dręcząca myśl; otrząsnął się z niej, nie znalazłszy odpowiedzi. Oczywiście, że trudno pozbyć się nawyku kupowania pokoju, ale taki nawyk mógł stać się za bardzo wygodny, zbyt poniżający. Był zdeklarowanym pacyfistą, a teraz patrzył zszokowany, co kilka dni pobytu na tym zacofanym świecie zrobiło z jego wygodnym wyobrażeniem o wszechświecie. Czy aby praktyki handlowe niektórych wielkich kompanii nie były równie krwiożercze i bezlitosne, chociaż bardziej dyskretne? Czy Sa-gyanak nie znalazłby swojego duchowego sobowtóra w eleganckich salach posiedzeń albo przy wielkich manipulacjach giełdowych?

\* \* \*

Pod koniec pierwszego tygodnia Wannome zaczęła go już trochę nudzić. Nawet port ze swoją wiecznie zmienną panoramą tratw i ładunków wydawał mu się czymś banalnym. Sercem i duszą był chłopakiem z wielkiego miasta. Chociaż umiał handlować, i to dobrze, na większości prymitywnych światów zawsze podtrzymywała go myśl o zmechanizowanym komforcie i cywilizacji sybarytów, która czekała na niego po powrocie. Stanowczo nie było w nim duszy trapera.

Żaden z kapitanów, z którymi rozmawiał, ani też żaden z członków ich załóg nigdy nie słyszał o Wyspie Asurdun, czy o Dętej Małpie. Nigdy też żaden z nich nie odwiedził Miejsca-Gdzie-Krew-Ziemi-Płonie.

Był piękny, słoneczny dzień – co znaczy, że temperatura rozkosznie zbliżała się do zera i wielu tranów chodziło bez płaszczy. I nie trzeba było pochylać się pod wiatr, żeby utrzymać się na nogach. Spotkał właśnie na korytarzu Colette. Kiedy w końcu przyznała, że nudzi się jeszcze bardziej niż on, zaproponował, by razem rozejrzeli się po wyspie. Hunnar na kilka minut oderwał się od swoich szaleńczych przygotowań i poinstruował ich, którędy mają pójść. Niektóre partie wyspy łatwiej będzie im oglądać niż tranom, a niektóre wręcz przeciwnie. Wzięli sobie po racji ze swoich zapasów i ruszyli.

Podejście na siodło pomiędzy górami było strome, ale widok stamtąd, jak to określiła Colette jednym z niewielu pochlebnych przymiotników, jakie Ethan z jej ust usłyszał, był „wspaniały”. Z siodła widać było po obu stronach ostre turnie, będące najwyższymi punktami na Wyspie Sofold. Na wschód wzrok zbiegał po stromych dachach ciasno jeden obok drugiego wzniesionych domów, potem biegł przez rojny port, gdzie nieustannie kipiał handel, a dziesiątki tratw połyskiwało malowanymi żaglami, a potem w stronę wielkich murów i bezkresnego lodu za nimi. Tego oczekiwali. Ale to, co ich zaskoczyło i napełniło radością, to był widok w przeciwnym kierunku.

Kiedy wynurzyli się zza ostatniego wzniesienia, uderzył w nich silny wiatr, wiejący stale z zachodu. Pod nimi rozpościerała się długa, rozległa równina, upstrzona tu i tam farmami i grupkami kamiennych budyneków. Na odległych polach widać było stada volów i podobnych do małpek skoczków. Kwadraty szkarłatnego laisvalu, miejscowej namiastki pszenicy, przypominały plamy falujących w jaskrawym świetle słońca płomieni. Jeszcze dalej widać było pole zieleni rozciągające się, jak okiem sięgnąć, wielkim wachlarzem aż po horyzont, niby ogon jakiegoś monstrualnego rajskiego ptaka. Ethan miał wrażenie, że na lewo, o całe kilometry dalej, wypatrzył następną taką plamę.

Ich przewodnik, wesoły młodzik imieniem Kierlo, wytłumaczył im, co to jest.

– Tam, szlachetny panie i damo, rośnie wielka pika-pedan na polu kilkakroć większym niż Sofold. Tam przychodzi się paść grzmotożerca.

– Tyle już słyszałem o tych grzmotożercach – powiedział Ethan, kiedy szli szeroką ścieżką biegnącą wzdłuż grani – że bardzo chciałbym zobaczyć jakiegoś z bliska.

Młodziak roześmiał się.

– Nikt, szlachetny panie, nie chodzi przypatrywać się grzmotożercom z bliska.

– Czy są takie dzikie?

– Nie, panie. Nie dzikie. Ale łatwo je rozdrażnić, jak k'nithy.

Ethan wiedział, co to są k'nithy. Takie małe zwierzątka jak włochate szczury. Dla niego były one odrażające, ale kocięta Wannome najwyraźniej bardzo je lubiły hodować. Mimo przerażającego wyglądu przywiązywały się bardzo do właścicieli, a z byle powodu zaczynały się drzeć jak szalone. Kocięta bawiły te ich wybuchy. Wyraźnie wykazywały dla swoich zwierzków więcej zrozumienia niż dzieci ludzkie, które takiego k'nitha miałyby dość po jednym czy dwóch dniach. W tym klimacie nawet domowe zwierzaczki są bardziej odporne, dumął.

– Chciałbym zobaczyć odlewnię – powiedział nagle. Zaświtało mu, że musi być chyba całkiem blisko tego głównego źródła bogactwa i potęgi Wannome.

– Tak, panie.

Młodziak skręcił w wąską ścieżkę, którą Ethan byłby minął bez zastanowienia. Kiedy minęli zakręt na szczytach gór znowu pokazały się dymy. Sama odlewnia znajdowała się w niewielkiej dolince. Na oko wydawała się mała, a nawet maleńka, ale kiedy podeszli bliżej, zobaczył, że duża jej część wcięta była w nagą skałę albo wbudowana w jaskinie, żeby wykorzystać ciepło płynące z głębi skorupy planety. Z tego miejsca na grani dostrzegł, że kilka rozpadlin to stare stożki wulkaniczne. Większość z nich była nieczynna czy uspiona, ale z kilku unosiły się w niebo kłęby czarnego dymu. Wszystkie kratery nachylały się w kierunku zachodnim i od strony miasta nie było ich widać.

Wannomska technologia wytopu i obróbki metali była dziwaczną mieszaniną prymitywnej technologii i zaskakująco rozwiniętych metod, jak na przykład kucie i hartowanie ostrzy mieczy i grotów włóczni. Starszy odlewni przebywał w Wannome na naradzie z wojskowymi członkami Rady, na spotkanie im wyszedł jego zastępca Jaes Mulyakken.

– Wielki to dla nas zaszczyt, szlachetny panie i damo, że znaleźliście czas, by nawiedzić naszą skromną...

– Daj sobie spokój z pochlebstwami i oficjalnym brakiem wartości wszystkiego, co twoje – uśmiechnął się Ethan. Doprowadził już niemal do perfekcji metodę uśmiechania się bez pokazywania zębów. – Chcemy się tylko trochę tu rozejrzeć.

Kiedy przyszło do tłumaczenia, jak działa odlewnia, Mulyakken był bardzo rzeczowy. Udało mu

się nawet zainteresować Colette. Ethanowi zaimponowała sprawność i wiedza trana. Byłby z niego wspaniały kierownik okręgowy dla jakiejś wielkiej kopalni. Chociaż wołał rozmawiać o gotowych produktach, musiał przyznać, że odlewnia była fascynująca.

Robotników trańskich najpierw polewano lodowatą wodą, żeby mogli bliżej podejść do kanałów cieplnych i gejzerów. Poruszali oni przy tym rękami i nogami, żeby zachować ruchomość w stawach i wkrótce na ich piersiach, rękach i nogach tworzyły się przejrzyste pancerze. Ethan aż dreszczy dostał, kiedy to zobaczył. To było niesamowite, patrzeć, jak oni się przygotowują specjalnie po to, żeby się nie zgrzać. Wszystko na odwrót.

– A gdzie są wasze kopalnie? – zapytał Mulvakkena.

– Na zachodnim krańcu wyspy, panie. Niektóre z naszych szybów i tuneli wchodzą aż pod lód.

– Czy nie macie kłopotów z wkopywaniem się w tę wieczną zmarzlinę?

– O nie, panie. Im bardziej się zagłębiamy, tym staje się miększa. A górnicy są osłonięci przed wiatrem. Ale na tym skraju wyspy ma swoje korzenie pika-pina. Przedzieranie się przez nie jest gorsze niż przedzieranie się przez skały. Zwykle po prostu usuwamy ziemię i drążymy naokoło korzeni. Lód łatwo stopić, a wodę usunąć... Niekiedy musimy przeciąć jakiś słabszy korzeń, czy obumierające połączenie, ale te korzenie przeważnie lak są ze sobą splątane i poprzerastane, że niemal nie można jednego oddzielić od drugiego. Nie chcielibyśmy też jej zabić. Pika-pina daje nam pożywienie, ale metal daje nam bogactwo.

– A więc atakujący od tej strony wróg opanowałby kopalnie – powiedział niepotrzebnie Ethan.

– O tak! Ale gruda rudy nie jest najlepszą bronią, szlachetny panie. Nawet gdyby wróg potrafił obsługiwać kopalnię, a wiedza jego pozwalała mu na to i tak nic by z tego nie wyszło z powodu nieustannych ataków z naszej strony. Jesteśmy dobrze chronieni tu w górach, panie, nawet lepiej niż ludność w mieście.

– Och, nie wiem, ten zachodni stok nie wygląda na taki trudny.

– Może dla ciebie, panie. Ale słyszałem, że wy jesteście inaczej zbudowani niż my i że wspinanie się pod górę bez pomocy wiatru nie sprawia wam takich trudności.

I to pewnie jest prawda, pomyślał Ethan. Przyglądał się właśnie ogromnym wiatrakom, które napędzały tokarki i szlifierki i doprowadzały powietrze do kuźni, kiedy poczuł na swoim ramieniu rękę Colette.

– Popatrz tylko. Tam jest profesor Williams. – Zaczęła go teraz tytułować „profesorem”, chociaż nie wiedzieli dokładnie, czy uczy w szkole niższego, czy wyższego stopnia, a on nic na ten temat nie mówił. Kiedyś Ethan będzie go musiał zapytać.

Nauczyciel siedział przy długim stole razem z nieodmiennie towarzyszącym mu Eer-Meesachem. Obydwaj tak byli pochłonięci stosem jakichś diagramów, że nie zauważyli nowo przybyłych jeszcze przez kilka minut po tym, jak ci stanęli im za plecami.

– Zostawię was, szlachetny panie i damo, w towarzystwie czarodziejów. Mam wiele pracy. To pewne, że w dzisiejszych czasach nikt nie umie przyzwoicie naostrzyć miecza. – Mulvakken uśmiechnął się do nich krwiożerczo i uprzejmie się skłonił.

Innymi słowy, pomyślał z ironią Ethan, już dość czasu straciłem oprowadzając was, VIP-ów z dalekich stron, i pora, żebym wziął się znowu do jakiejś poważnej roboty. Mulvakken poczłapał w kierunku dymu, gorąca i dźwięcznych hałasów.

– Witamy, Millikenie, Eer-Meesachu.

– Pozdrowienia, panie i damo – powiedział czarodziej, którego przepełniał radosny entuzjazm. Oczy mu błyszczały. – Wasz przyjaciel pokazywał mi wiele rzeczy. Nie zdarzyło mi się być tak podnieconym od czasów, kiedy byłem uczniem czarodzieja!

– W co ty się wdałeś, Millikenie?

– Malmeevyn pomógł mi zorientować się w mechanicznych odpowiednikach i lokalnej terminologii. Żaden ze mnie wojownik i pomyślałem, że może będę mógł pomóc w jakiś inny sposób.

– Ze mnie też żaden wojownik – powiedział szczerze Ethan.

– Ale wszyscy widzieliśmy, jak tego pierwszego wieczoru uporałeś się z Sir Hunnarem. – W głosie Williamsa słychać było podziw, którego nie potrafił ukryć. – Nawet z pana du Kane’a lepszy będzie wojownik niż ze mnie... Ale wpadłem na pomysł, że mogę być użyteczny w inny sposób. Bardzo dużo czytałem. Usiłowałem pomóc wannomskim zbrojmistrzom podsuwając jeden czy dwa pomysły zaczerpnięte z historii Ziemi i Centaura. Najpierw pomyślałem o katapultach, ale obydwie strony znają je już i wykorzystują. I mają bardzo potężne urządzenia tego typu.

– Muszą być potężne – skomentował Ethan – jeżeli cokolwiek mają zdziałać przy takim wietrze.

– No właśnie. A także miecze, topory, lance, halabardy – przeróżne rzeczy do cięcia i dźgania. A na odległość włócznie i łuki. Ale pracowaliśmy razem z Malmeevynem i odlewnikami i zdaje mi się, że udało nam się wymyślić kilka korzystnych udogodnień.

Sięgnął pod stół i wyciągnął jakiś przedmiot. Ethan nigdy dotąd czegoś takiego nie widział. Zbudowana była ta rzecz z prostego kawałka drewna, a na jednym końcu miała krótki łuk. Wyraźnie widać tam także było cyngiel, a na drugim końcu jakiś mechanizm z krążkiem i korbą.

– Bardzo ciekawe – powiedział Ethan świadom, że jeśli chodzi o historię, jest kompletnym kretynem. – Ale co to jest?

– To starożytna broń ziemską. Nazywa się kusza.

– Cudowny wynalazek! – wykrzyknął czarodziej nie mogąc się powstrzymać. – Pokazałem ją Leuvie, synowi Sukonina, rycerzowi łuczników. Kiedy przy strzelaniu na odległość prześcignąłem jego najlepszych łuczników, padł na lodową ścieżkę i zjechał na dół niemal aż do samego miasta! –

Czarodziej zachichotał na to wspomnienie.

– Kusza strzela na dwadzieścia do czterdziestu zuzitów dalej niż najlepszy łucznik – powiedział Williams – i poza tym jest celniejsza i ma większą moc. To prawda, że nie da się jej tak szybko ładować, ale z bliska przebija najgrubszą tarczę ze skóry i brązu. Poleciałem im, żeby te łuki były niesłychanie mocne. Sądzę, że te egzemplarze mają większą moc niż jakakolwiek kusza używana kiedyś na starej Ziemi. Ręce i ramiona tranów są naprawdę przerażająco umięśnione... przypuszczam, że dzięki napinaniu danów pod wiatr.

Ethan niepewnie wziął broń do ręki, próbował zakręcić korbą, ale nawet nie drgnęła.

– Imponujące. Ale nie przypuszczam, żeby udało się wam wymyślić coś w rodzaju kieszonkowego lasera albo jakiegoś urządzenia termonuklearnego, co? To tak bardzo by uprościło sytuację.

– Obawiam się, że nie. – Williams lekko się uśmiechnął. – Ale wciąż jeszcze pracujemy nad innymi udogodnieniami. Mam nadzieję, że jedno czy dwa z nich będą gotowe na czas.

– No tak – zamruczał Ethan – czas.

– Mnie też nikt nic nie mówi o terminach – zaprotestowała Colette. – Kiedy ta Horda, czy ten potwór, czy co to jest, powinna się tu zjawić?

– Nikt tego nie wie, Colette. Może upłynąć jeszcze kilka maletów. A może wypatrzą ją jutro rano. Hunnar mówi, że Horda może na przykład postanowić w tym roku ominąć Sofold. Nie potrafię powiedzieć, czy jest taką perspektywą uradowany, czy rozczarowany; no cóż, rzućmy jeszcze okiem na tego gościa, który na rękojeściach mieczy wykonuje te interesujące zdobienia ślimacznicami. Można by za to wziąć niezły grosz...

\* \* \*

Minęło kilka tygodni; Ethan zapoznał się z mieszkańcami Wannome równie dobrze, jaki kiedyś z mieszkańcami Nowego Paryża, Drallaru czy Samsteadu. Przygotowania do walki posuwały się żwawo naprzód, ale przepływ towarów przez port ani na chwilę nie tracił na intensywności. Wciąż jeszcze nie doszły do nich żadne wieści o Hordzie.

Pewnego wieczoru zastanawiał się, czy wszystkie te opowieści o Hordzie nie są może jednym wielkim oszustwem – sprytnie wymyśloną historyjką, mającą zatrzymać użytecznych i interesujących przybyszy z nieba, ale szybko porzucił tę myśl nie tylko jako niegodną tranów takich jak Hunnar, Balavere i Malmeevyn, ale i pozbawioną logiki. Chociaż Landgraf mógłby coś takiego wymyślić. Nie, zbyt wiele pasji było widać tamtego wieczoru, kiedy mieszkańcy Sofoldu zdecydowali się walczyć ze swoimi dręczycielami, zamiast się przed nimi płaszczyć. Ich zachowanie było zbyt spontaniczne, zbyt autentyczne, żeby miało być tylko głupim pokazem zorganizowanym w tak niegodziwym celu.

Tego dnia siedział wraz z Hunnarem i Septembrem za stołem w ogólnej jadalni zamku w pobliżu zmywalni. To w tej sali większość zamkowych jadała posiłki. Hunnar zaproponował następnie

spacer po podniebnym balkonie.

Podniebny balkon była to najwyżej położona otwarta ścieżka w Zamku Wannome, poza drogą straży na Wysokiej Wieży. Z jej smaganego wichrem parapetu można było wpatrywać się w urwisko opadające pionowo aż na lity lód, albo wybiegać wzrokiem przez wielkie zamarzniete morze na południe. Pobyt na balkonie przerwało im przybycie jednego z uczniów-giermków; młodzieniec wpadł na górę zupełnie bez tchu. Zatrzymał się ze zgrzytem, połykając lodowate powietrze i niemal zapomniał ukłonić się Hunnarowi. Miał przerażająco dziką minę.

– Sz...szlachetni p...panowie!

– Uspokój się, kociaku – zbeształ go Hunnar – i złap oddech. Twoje słowa za bardzo oddaliły się z wiatrem od ciebie.

– Niecałe trzydzieści albo czterdzieści kijatów na południowy wschód, szlachetni panowie, nadchodzi grzmotożerca.

– Ile? – zapytał ostro Hunnar.

– Je...jeden tylko, panie. Ogromny Staruch! Karawana... trzy statki... niespodziewanie natknęły się na niego. Mieli nadzieję, że znajdą schronienie w pika-pedanie, a potem złapią wiatr z ukosa, ale tylko jednemu udało się uciec. Jego kapitan jeszcze w tej chwili siedzi na audiencji u Jego Wysokości.

– Chodźcie – powiedział krótko Hunnar do obydwu mężczyzn.

Ruszył w kierunku schodów nawet nie spojrzawszy, czy za nim idą.

– No więc nareszcie pokazał się jeden z tych grzmotożerców – powiedział September. – Wspaniale! Tak długo już tu siedziałem na tyłku, że zaczęło mnie kłaść na prawą burzę.

Przynajmniej będziemy mieli okazję jednego z tych zwierzaków zobaczyć, co?

– No nie wiem – zauważył ostrożnie Ethan. – Sądząc po reakcji Sir Hunnara, wątpię czy organizują tu jednodniowe wypadki wycieczkowe. A ten uczeń wspomniał coś, że stracili dwa statki.

– Ach, temu mogła być winna burza – odparował September. – Słuchaj no, Hunnarze! – Przyspieszyli, żeby dotrzymać kroku rycerzowi. Hunnar okazywał im uprzejmość, nie korzystając z lodowych ścieżek, gdyby nie to, stracili by go z oczu już po kilku sekundach. – Czy uda nam się zobaczyć tego zwierzaka?

Jak na Hunnara odpowiedź była niezwykle lakoniczna.

– Musicie zrozumieć, przyjaciele, że nie ma w tym nic zabawnego. Taki stawaner na swój bezmyślny sposób potrafi być równie niebezpieczny jak Horda.

– Och, dajże spokój – odparł September z niedowierzaniem. – Taki wielki nie może chyba być.



Żadne zwierzę lądowe na planecie typu ziemskiego nie może. Nie ma nawet wody, w której mógłby się unosić. W tych warunkach naprawdę wielkie zwierzę nie mogłoby chodzić.

Hunnar zatrzymał się tak gwałtownie, że Ethan wpadł na niego i odbił się od twardych jak stal pleców skrytych pod futrem.

– Nigdy dotąd nie widziałeś grzmotożercy, o przybyszu z nieba – odpowiedział rycerz spokojnie. Po raz pierwszy od ich pierwszego spotkania nie odezwał się do nich po imieniu. – Nie wydawaj sądu, dopóki go nie zobaczysz.

Ruszył równie nagle jak przedtem się zatrzymał. Zaskoczony Ethan poszedł za nim. Rycerz naprawdę wydawał się zmartwiony.

– Stavanzer – ciągnął dalej Hunnar, kiedy schodzili następnymi schodami – potrafiłby zniszczyć wielki port skuteczniej niż jakaś Horda, nie myśląc o niczym innym ani nikomu nie współczując. Barbarzyńca może pragnąłby zachować coś, żeby się wzbogacić. Grzmotożerca nie ma żadnych takich pragnień.

– Rozumiem – powiedział speszony September. – Słuchaj, przepraszam Hunnarze. Wystrzeliłem, ale nie nabiłem, z tej mojej wielkiej gęby. Odłóżmy to, dopóki nie zobaczę tej bestii, dobrze?

– Nie wiedziałeś, więc naturalnie nie potrafisz sobie wyobrazić – powiedział Hunnar ułagodzony. – Nie ma potrzeby za to przepraszać. – Nie powiedział nic o wielkiej gębie Septembra. – Ale okazji do patrzenia nie będzie... będzie tylko Polowanie.

– Masz na myśli, że będziecie chcieli to coś zabić? – zapytał Ethan. – Przecież sam mówiłeś, że to zwierzę jest chyba niewyciężone?

– Nie mówiłem, że niewyciężone, przyjacielu Ethanie. Tylko bardzo wielkie. Ale nikt nie zabija stavanzera. Przynajmniej za naszej pamięci to się nie zdarzyło. Musimy go odpędzić. Gdyby to było całe stado, nie martwiłbym się tak.

– A dlaczego? Sądziłbym, że stado byłoby sto razy gorsze – zauważył Ethan.

– Nie. Stado znajdowałoby się w drodze na pastwiska, na wielkie pola pika-pedanu na południu. One przenoszą się wzdłuż osi północ-południe, przeważnie po pustych terenach na zachodzie. Jako grupa wykazują niewiele ciekawości. Trzeba czegoś nadzwyczajnego, żeby stado się podnieciło. Ale samotnik, i to Ogromny Staruch do tego, może z czystej przekory zainteresować się Sofoldem. Musimy go jakoś zawrócić z drogi.

– Mówisz, że nie możecie go zabić, ale twierdzisz, że musicie go zawrócić – dopytywał się September. – Jak? Dżidami?

W jego głosie nie było jednak śladu kpiny.

– Nie. Jest tylko jeden sposób, żeby walczyć z grzmotożercą. Jeżeli duch wasz jest mocny, możecie mieć okazję ten sposób wypróbować. Wielu z tych, którzy przeszli przez tę próbę, twierdzi,

że była to najwspanialsza chwila w ich życiu. Dla wielu jest to również chwila ostatnia. Ale musimy spróbować – zakończył wchodząc na szczyt schodów.

– A jaki właściwie wielki jest ten bubołek – zapytał w końcu wyprowadzony z równowagi Ethan.

– Grzmotożercy bogowie darowali jedynie dwa zęby. Czy widzieliście tron Landgrafa?

– Tak.

Ethan przypomniał sobie ten fotel, wykładany klejnotami i polerowanym metalem, osadzony w wieży z kości pseudosłoniowej. Niezły grosz dałby za to pewien dekorator wnętrz na...

– Ten tył tronu, ta kolumna, jak myślicie, co to jest?

– Jakiś kamień – odparł Ethan. Potem zamilkł. – Nie chcesz chyba powiedzieć, że...?

Nie przestawał o tym myśleć, kiedy wychodzili z zamku, i prawie nie dostrzegł, że przyłączyli się do nich inni rycerze i zbrojni. Minęli du Kane'ów. September ledwo że zdążył krzyknąć do nich – Jedziemy na polowanie!

Colette wrzasnęła coś w odpowiedzi, ale Ethan nie dosłyszał co.

Na dole, na nadbrzeżu, kotły brzęczały jak tłuste chrabąszcze. Wokół Hunnara skupiła się grupa ruchliwych, rzeczowych tranów. Ethan od czasu do czasu rozpoznawał poważne twarze mieszczan. Kiedy schodzili w dół, nie uszło ich uwagi, że żołnierze i rycerze starannie unikają ścieżek lodowych, chcąc okazać szacunek swoim ułomnym gościom. Ciekaw był, czy jeszcze ktoś będzie miał szansę zobaczyć, co się będzie działo. Czarodziej miał w swoich pokojach teleskop, ale nie było pewności, czy teren, na który się udawali, znajdował się w polu jego widzenia. Ale będzie tam Milliken, i może także Landgraf. Tyle zamieszania z powodu jednego zwierzaka, a nie jest to nawet mięsożerca jak droom. Doszli do portu. Tłum rozstał się i oczom ich ukazały się trzy najbardziej dziwaczne pojazdy, jakie widział od czasu lądowania.

W dokach stały przygotowane trzy niewielkie tratwy o wielkich żaglach. I żagle, i kadłuby miały pomalowane na śnieżnobiały kolor. Wąskie jak strzały i wydłużone, wyraźnie były tak zaprojektowane, żeby nie było ich łatwo zauważyć na lodzie. Z tyłu do każdej tratwy przywiązany był jeszcze dziwniejszy pojazd. Składał się z jednego pnia drzewa, długiego średnio na dwadzieścia metrów, o średnicy jednego do dwóch metrów. Na każdym takim pniu osadzony był pojedynczy, niewielki żagielek. Z przodu drzewo było przycięte tak, że czubek był ostry jak igła. Na dole żagla bom po każdej stronie kończył się małym stateczkiem albo dużą łyżwą, jak kto woli. Każda taka łyżwa wyposażona była po zewnętrznej stronie w jedną jeszcze mniejszą płożę – przysadzistą, jednostronową łódką. Bom połączony był z łódką-łyżwą za pomocą drąga. Dwie drewniane płoży umieszczono pod pniem, pojedynczą, solidną płożę w pobliżu dzioba i trzecią łyżwołódkę z tyłu. Żagle na każdej z tych masywnych włóczni – bo w oczywisty sposób były to włócznie – były zwinięte. Trzy napędzane wiatrem włócznie, przystosowane do walki z goliatem.

Ethanowi cisnęło się na usta z tysiąc pytań. Hunnar stojąc już na pokładzie pierwszej tratwy

wydawał polecenia i sprawdzał olinowanie. Ethan wszedł za Septembrem na pokład. Niemal niezwłocznie mały, dziwny konwój ruszył w kierunku bramy portu. Wszystkie statki z szacunkiem ustępowały im z drogi, a kilku marynarzy podeszło do poręczy, żeby im się w ciszy przypatrywać. W chwilę później przejechali pomiędzy wielkimi wieżami bramnymi. Kiedy wyjechali spoza osłony Wannome i gór, zaczęli nabierać prędkości. Żagle załopotwały, a sternik ustawił się lekko pod wiatr, na południowy zachód.

– Musimy zatoczyć koło, żeby zejść bestię od tyłu – wyjaśnił Hunnar – i żeby błyskawice nabrały prędkości. Kiedy się rozpędzą, holująca je tratwa odczepi się i usunie z drogi.

– A więc tymi włóczyniami da się kierować? – zapytał September przekrzykując wycie wiatru. Marynarze borykali się z takielunkiem.

– W niewielkim stopniu – powiedział ponuro Hunnar. – kiedy ustawią się na kursie, można skręcać tylko w lewo lub prawo, i tylko z wiatrem. Nie da się zawrócić.

– Co się dzieje – zapytał w końcu September – jak wejdziecie w kontakt z tym stworzeniem?

– Jaipor, przejmij linę!

Jakiś tran pospiesznie wziął linę od rycerza. Hunnar, zrobiwszy co trzeba, poprowadził ich na rufę rozpędzonej tratwy. Ethan czuł, jak rośnie napięcie wśród załogi. Stanęli za sternikiem i Hunnar pokazał na jadącą za nimi tratwę.

– Te trzy łyżwołodzie przymocowane są do błyskawicy silnymi, chociaż prostymi zaczepami. Każda z nich to mała tratwa, ale bez żagli. Widzicie to wysokie, wyściełane oparcie? Ma chronić jeźdźca i łapać trochę wiatru.

– Wyglądają jak duże, drewniane buty – zrobił uwagę Ethan.

Przypomniał sobie, jak Ta-hoding tłumaczył, że drewniane łyżwy łatwo tępią się na lodzie. No, ale te nie były przeznaczone do długich podróży.

– Trzej sternicy powinni rozpędem przejechać za grzmotożercą – ciągnął dalej Hunnar – w bezpieczne miejsce.

Ethan przyjrzał się bacznie małym łodziom.

– Jak się tym steruje po odczepieniu od głównej włóczni?

– Za pomocą ciężaru ciała. Łyżwy są dobrze wyważone. Powinny zostać uwolnione w takim momencie, żeby jeździ a swobodnie mógł skręcić daleko poza cel.

– Oczywiście im bliżej podjedziesz, zanim zrezygnujesz ze sterowania – powiedział September – tym celniejsze uderzenie

– Oczywiście – zgodził się Hunnar.

– No to jeżeli nie masz nic przeciw temu, zgłaszam się na jednego z tych na bomie.

– To zaszczyt, Sir September.

Uścisnęli się za ramiona

– Cóż – powiedział Ethan. – Myślę, że ja muszę zasiać na drugim końcu.

– Słuchaj, mój chłopcze, to nie jest zabawa. Jeżeli tak mi prawdę nie masz ochoty, to...

– Och, zamknij się, Skuo. Zajmę miejsce po przeciwnej stronie. – Czuł się jak kompletny głupek, ale niech go diabli, jeżeli się wycofa, kiedy September zgłosił się na ochotnika.

– No to załatwione. – Hunnar odwrócił się i pokazał na towarzyszące im tratwy, które mknęły tuż obok. – Sir Stafaed będzie dowodził pierwszym piorunem, a Sir Lujnor drugim. My weźmiemy trzeci.

– Czy ten stwór ma jakiś słaby punkt? – zapytał September przekrzykując ryk wiatru.

– Może ma. Jeżeli tak, ja jak dotąd na niego nie trafiłem. Ale przynajmniej oczu nie chroni mu skóra, no i tam znajdują się sploty nerwowe... najlepiej więc tam uderzać. Oczy są niewielkie i nisko osadzone. Gdyby udało nam się go oślepić, to byłoby nawet lepiej, niż gdybyśmy go odpędzili od miasta.

– Jeżeli ma dobry wzrok, oznacza to, że będzie widział, jak nadjeżdżamy – zaniepokoił się September.

Nadal zataczali szeroki łuk, aż Ethan nagle zdał sobie sprawę, że jadą już z wiatrem. Popatrzył ponad ostrym dziobem tratwy. Gdzieś daleko przed nimi widoczna była falista, zielona plama, olbrzymie pole pika-pedanu. Zajechali daleko i szybko. Żeglarze zwinęli żagle. Zaostrzone kotwice lodowe ukłuły lód. Trzy tratwy wlokące za sobą śmierć ślizgały się coraz wolniej, aż się zatrzymały, dygocąc i prężąc na wietrze.

– Teraz pojedziemy na błyskawicy – powiedział uroczyście Hunnar. – Przełazi się przez burtę tratwy...

Zgodnie z raportem tego kupca, który przeżył, stawanzer posuwał się na północny wschód. Będą się starali zawrócić go znowu na południe.

– Idź na lewą burtę chłopcze, a ja wezmę prawą – zawołał September do Ethana.

– Co?

– Na lewo, idź na lewo! I nie zwalniasz zaczepu, dopóki Sir Hunnar nie da sygnału.

– Myślisz, że w niewłaściwym momencie krew mi skrzepnie w żyłach i za wcześnie się puszcze?

Ethan podniósł oczy na Septembra i dostrzegł w jego wzroku lekką kpinę.

– Nikt nie może wykluczyć takiej możliwości, chłopcze.

– No cóż, mogłoby się tak stać – odparł Ethan niemal wyzywająco. – Ale nie ze strachu. Tylko z powodu tego rozkosznego klimatu.

Wiatr wiał silniej niż zwykle w południe, w efekcie dwa razy musiał przytrzymać się drewnianej poręczy tratwy, żeby go nie zwiało jak pusty worek za burtę. Tutaj, z dala od osłony murów zamkowych, zimno było dojmujące. Ulgę przyniosło mu już sarno wgramolenie się do względnego schronienia, jakim była łyżwołodź. Szerokie, drewniane oparcie było grubo wyściełane. Wibrowało rytmicznie w nieustannym huraganie, ale najgorsze poddmuchy nieszkodliwie przelatowały z wyciem obok. Kiedy pochylił się nieco w przód, mógł wyjrzeć tuż nad centralnie położonym pnem. September pomachał do niego. Ethan kiwnął ręką w odpowiedzi. Wychylił się, wytknął znowu twarz na wiatr i pomachał Hunnarowi. Rycerz miał sterować, a oni z Septembrem mieli się zająć żaglem.

Łyżwołodź przymocowana była do dolnej rei za pomocą zwykłego, drewnianego haka, wmontowanego w drąg i osadzonego w podłodze łyżwy i u dołu rei. Ethan uspokoił się zobaczywszy, że został on dobrze natłuszczony. Nie będzie żadnej szalonej szarpaniny w ostatniej chwili. Żaglem trudniej było operować, kiedy do utrzymania go w zadanym położeniu miało się tylko jedną linę.

Dwóch żeglarzy z dużej tratwy znajdowało się na samym drzewie-włócznie. Zaczęli podnosić żagiel na błyskawicy równo z żaglem na tratwie. Błyskawica i tratwa razem ruszyły z miejsca. Jakimś cudem obydwaj żeglarze utrzymywali na tym wietrze równowagę, aż postawili śnieżnobiały żagiel. Ostrożnie przeszli na zaostrzoną część kłody, zeskoczyli i poszifowali do tratwy, gdzie czekali, żeby ich wciągnąć do środka. Ponieważ i tratwa, i holowany pień poruszały się już teraz ze znaczną szybkością, była to precyzyjna robota.

Marynarze i żołnierze na tratwie mieli ze sobą włócznie i łuki, bardziej z powodów psychologicznych niż w nadziei, że się one do czegoś przydadzą. Trudno byłoby sobie wyobrazić trana ruszającego do walki bez broni. Nawet jeżeli jego zadanie polegało wyłącznie na przyglądaniu się i odmawianiu pacierzy.

Z drugiej strony Ethan nie odczuwał potrzeby posiadania nawet niewielkiego sztyletu. Pomimo wszystkich objaśnień Hunnara nie potrafił sobie wyobrazić, czego należy się spodziewać. Mieli uderzyć w stawanera z boku, a Hunnar miał celować w głowę. Na jego znak, głośny ostry gwizd, każdy z nich powinien zwolnić łyżwołodź z zaczepu i zjechać na bok, po czym miały ich zabrać trzymające się z tyłu, czekające na nich tratwy. Taka była teoria.

Chociaż niebezpieczeństwo było oczywiste, Ethan nie mógł powściągnąć pewnej perwersyjnej ciekawości. Bardzo chciał zobaczyć, jakie zwierzę lądowe jest w stanie wytrzymać uderzenie gnanej wiatrem, dwudziestometrowej, zaostrej, ważącej może z pół tony kłody, i nie zginąć na miejscu. Był taki kolekcjoner rzadkich zwierząt na Plutarchu, który kto wie, pewnie chętnie by... Ale, uświadomił sobie, przecież oni zjadą w bok dużo wcześniej. Prawdopodobnie zdoła więc tylko przelotnie rzucić okiem na to coś i to z daleka.

Stawanery nie były wieczne, jak ich poinformował Hunnar. Na co jednak umierały? Ze starości? Jak długo żyli ci pozornie niezniszczalni grzmotożercy?

Poczuł wstrząs i podniósł oczy. Tratwa zwolniła zaczep i już skręcała na południe, żeby usunąć się im z drogi. Dwie pozostałe włócznie zwolniły zaczepy o kilka sekund wcześniej i pędziły po sztywnym morzu przed nimi. Przymrużył oczy w goglach, samotny i zagubiony w tym świecie z lodu, wiatru i drewna. Przed nim zielona plama powoli nabierała kształtu i treści, robiła się większa. Ich szybkość ciągle wzrastała, pędzili z wiatrem jak szaleni. Teraz mógł zobaczyć, jakie wymiary ma pika-pedan w porównaniu ze swoją kuzynką-pigmejką. I wtedy dosłownie go zatkało. Chociaż nie z zimna.

Po zewnętrznym skraju zieleni coś się poruszało. Ujrzał grzmotożercę i zaczął się bać.

Wielki Staruch miał ponad sto metrów długości – przypominał gigantyczną, szarą jak łupek górę, która falowała i pulsowała na czystym lodzie niczym wielki, nagi ślimak. Jego grzbiet i boki usiane były groteskowymi zgrubieniami i kolcami, jak jakaś niesamowita, ożywiona plansza topograficzna. Nie miał ani rąk, ani nóg, ani jakichkolwiek widocznych członków. Brzuch tej przerażającej masy skrywała rogowa wyściółka, grubsza niż powłoka statku gwiazdowego, równie mocna i do tego wypolerowana do gładkości szkła. Paszcza, szeroka jak dok dla statków, zasysała powietrze, które wydychane było przez dwie dysze wielkości szalup ratunkowych usytuowane w pobliżu ogona. Całość poruszała się za pomocą odrzutu, jak kałamarnica.

Stwór przemieszczał się powoli, ale Hunnar opowiadał im o przypadkach panicznych ucieczek tych zwierząt, które przypominały wtedy stalowoszare burze. Jeżeli zdarzyło się, że stado Wpadło na jakąś małą wysepkę, nie zostawało z niej nic poza brązowo-zieloną plamą na lodzie.

Ethan bezwiednie skurczył się. Był jak pies, nie, jak mrówka atakująca wieloryba. Tylko, że to przed nim było większe od jakiegokolwiek kiedykolwiek istniejącego wieloryba. Ciągnęło się we wszystkich kierunkach, we wszystkich wymiarach, jak projekcja trójwymiarowa. Z boku tego biblijnego Behemota wystawała maleńka drzazga, po której ciekło coś czerwonego. A więc jedna z błyskawic trafiła. Nie dostrzegł jednak śladu drugiej i uznał, że widocznie chybiła. Nie miał racji. Później Wyprawiona na poszukiwania tratwa znalazła kawałek masztu. Tyle zostało z tratwy i jej załogi.

Gdzieś daleko rozległ się okrzyk i gwizd. Potem przed nim pojawiła się rosnąca plama czerni. Coś ciemnego, jak sam kosmos na Obrzeżu, rozdziawionego jak jaskinia. Monstrualna, hebanowa grota, z której sklepienia zwisały dwa kolosalne stalaktyty bieli. W tej ziejącej otchłani znikwały codziennie całe tony roślinności. I to coś zwracało się ku nim, ku północy. W złą stronę. I nie trafią w to.

Jeszcze jeden jeszcze bardziej odległy gwizd. Gorliwy wiatr wgrzył się w niego i porwał ze sobą. Ethan trzymał teraz hak mocno w obu rękach, zapomniawszy o żaglu. Hunnar i September odczepili się. Ale jeżeli zaczeka jeszcze chwilkę, jeszcze troszkę przesunie ciężar na zewnętrzną łyżwę...

Wstał. Wyteżył wszystkie siły, naparł na bok łyżwy i wychylił się nad lodem w lewo. Olbrzymia włóchnia zaczęła skręcać w lewo, powoli, niemal boleśnie, po centymetrze. Ethan ze wszystkich sił napierał na burtę, starając się, żeby zniosło ją jeszcze choć o milimetr. Pień opornie, ale zmienił swój początkowy kurs.

Przepaść rosła, aż zasłoniła lód, pika-pedan, niebo. Czarna dziura pochłaniająca wszechświat. Otwierała się i zamykała mechanicznie jak ociężyły miech cyklopa. Miał wrażenie, że ogląda film w zwolnionym tempie. Ponad wiatr wybił się głuchy ryk, jak zamierający napęd gwiazdny. Stavanzer poruszał się zjadając powietrze i wydając grzmot.

Hak... wyciągnąć... gwizd... naokoło... w lewo... w lewo... nie, lewa burta... burta lewa?...!

Krew na jego dolnej wardze zaczynała zamarzać. Nagle coś, czy ktoś – wcale nie był pewien, czy to on – szarpnął konwulsyjnie za hak. Maleńka łyżwołodź położyła się na bok, niemal dotykając lodu. Musiał szybko na czworakach przeleźć na środek, żeby nie wypaść. Z niemal stoickim spokojem uświadomił sobie, że zwlekał za długo. Nawet się nie przestraszył. Nie uda mu się ominąć tego stworzenia.

Nie uda mu się ominąć paszczy.

Kiedy się do niej zbliży, paszcza się otworzy, to wiedział instynktownie. Na miejscu byłaby teraz jakaś modlitwa, ale zamiast tego wymamrotał:

– Posuń no się, Jonaszu. Będziesz miał towarzystwo.

A potem niespodziewanie nie trafił, ominął ją. Przelotnie zobaczył oko większe niż cała łyżwołodź, które tylko mignęło z zawrotną szybkością, a w czarnej źrenicy jak w onyksowym lustrze odbiło się jego zamarte spojrzenie. Mknął wzdłuż nie kończącego się, falującego, wznoszącego się i opadającego szarego ciała.

Paszcza stavanzera była przeogromna. Ale sama gardziel nie. Pędząc z szybkością niemal dwustu kilometrów na godzinę półtonowa włócznia uderzyła w tył rozdziawionego pyska.

Minęło kilka sekund, podczas których impuls podróżował po milach neuronów. Przez gargantuiczną masę przeszedł dreszcz. Grzmotożerca podniósł ciężko z lodu przednią połowę ciała, istny Everest niejasno odczuwanego bólu. Potem opadł na lód z siłą, od której rozpędzona łyżwołodź podskoczyła w górę jak moneta na naprężonym kocu.

I Ethan pofrunął przez obcy, szary krajobraz, w chaotycznym bezmiarze lodu i zimnego nieba. Ciemność zapadła jak uderzenie obuchem.

## ROZDZIAŁ VIII

Pierwsze, o czym pomyślał, to były waniliowe wafelki. Potem otworzył oczy i zobaczył swojską, obramowaną futrem twarz, z jedynym w swoim rodzaju nosem. September wpatrywał się w niego z niepokojem. Szeroką falą napłynęły inne wspomnienia i Ethan westchnął. Jakiś waniliowy wafelek znalazłby się pewnie nie dalej jak o pół tuzina parseków od miejsca gdzie leżał. A on leżał właśnie w swoim łóżu w Zamku Wannome. Spróbował usiąść i natychmiast objawiło mu się fascynujące zjawisko: każdy centymetr kwadratowy jego ciała w mało uprzejmy sposób domagał się uwagi.

– Wszystko mnie boli – oznajmił powoli, opadając z powrotem na futrzane przykrycie, które ktoś mu zwinął pod głowę. – Od góry do dołu.

– Nic w tym dziwnego, mój chłopcze – powiedział September, a z jego twarzy zniknęło zatroskanie. – A poza tym jak się czujesz?

Ethan zachichotał. Przyniosło mu to duchowe zadowolenie, ale zmusiło też pewne części jego jestestwa do gwałtownych protestów. Na chwilę zapadła cisza, po czym zadał następne pytanie z charakterystycznym dla siebie dowcipem i błyskotliwością.

– Co się stało?

– Dlaczego nie zwolniłeś swojego zaczepu, kiedy Hunnar dał znak? – zapytał September zamiast odpowiedzieć na pytanie.

Ethan zastanowił się i przypomniał sobie.

– Bylibyśmy nie trafili. To zwierzę skręcało w złą stronę i bylibyśmy nie trafili. Przelecielibyśmy tuż obok...

Znowu próbował się podnieść. September położył mu rękę na piersi i delikatnie zmusił do położenia się na płask, – Ten szczególny zwierzaczek nie sprawia już kłopotów, Panie, co to był za widok! Dużo widziałem wielkich, a nawet jeszcze większych, ale ten ochłap szpetnego mięsa zasługuje na medal. Nie mogłem wprost oczom uwierzyć, jak szybko coś tak dużego może się poruszać. – Hunnar opowiadał o tym wcześniej, – Byłem pewien, że już po tobie, kiedy nie odczepiłeś się razem z nami – ciągnął dalej September. – Że na zawsze zniknąłeś w tej niesamowitej gardzieli. Nawiasem mówiąc, zawróciłeś go porządnie i stanowczo. Ruszył na południe z takim rykiem, że aż trudno uwierzyć. Można było prawie ze skóry wyskoczyć, co? Chociaż pojęcia nie mam, jak on się w ogóle mógł ruszać z tą kłodą w gardle. Wytrzymały? Wprost niewiarygodnie wytrzymały!



– Nie chodzi mi o to, co się z nim stało. Tylko co ze mną?

– A, z tobą? No cóż, niewiele sam widziałem, bo zmiatałem W przeciwnym kierunku, ale na tratwie z przodu siedział na dobrej pozycji obserwator. Mówił, że kiedy ten stwór podniósł się z lodu... o czymś takim nikt nigdy nie słyszał... i plasnął z powrotem, wyrzuciło cię w powietrze jak pająka-baloniarza. Wylądowałeś po drugiej stronie bestii, w wysokiej pika-pedan. To prawdopodobnie cię uratowało, no i naturalnie wyściółka łódki. Ale po lądowaniu łódź rozleciała się na drobne kawałki. Gdybyś wylądował na gołym lodzie, myślę, że jeszcze teraz byśmy zeskrobywali resztki. A w zaistniałej sytuacji szkoda, że nie widziałeś, ile drzazg ci powyciągali ze skóry. Dobrze, że te parki ratunkowe są mocne. Jakim cudem wykaraskałeś się z tego, niczego sobie nie łamiąc, tego do końca moich dni nie zrozumieję. Ale porządnie oberwałeś po głowie.

– Już się nie najgorzej czuję – skłamał Ethan. – Jak długo byłem nieprzytomny?

September wyszczerzył zęby. – Z małymi przerwami około tygodnia.

– Tygo...!

– Niewiele brakowało, tyle ci powiem, mój chłopcze – powiedział September uroczyście. A potem dodał nieco weselej:

– Ale z pewnością nie zaszkodziło to naszej opinii u tych ludzi. Tak sobie myślę, że od ostatniej fali upałów nic tak wspaniałego jak ty ich nie nawiedziło. – Podrapał się po spodniach. – Ale dobrze, że się już podnosisz... chociaż z chodzeniem jeszcze trochę gorzej. Chyba już czas.

Gdyby tylko zdjęli mu to kowadło z głowy, czułby się niemal idealnie.

– Czas? Na co?

September klepnął się w czoło z taką siłą, że normalnemu człowiekowi głowa by odpadła.

– Idiota ze mnie! Zapomniałem, że nic do ciebie nie dochodziło, kiedy majaczyłeś. A różne dziwaczne rzeczy mamrotałeś, naprawdę. Oczywiście nadciąga Horda. Kapitan z jakiegoś miejsca o nazwie Yermin-Yin zawinął wczoraj do portu po drodze do czegoś niewymawialnego. Zatrzymał się tylko po to, żeby przekazać Landgrafowi wiadomość i natychmiast popruł dalej. Biedaczysko, biały był jak lód. Kierował się na południe i nie wydawał się skłonny do zmiany kursu, nawet kiedy powiedzieliśmy mu, że może trafić na rozwścieczonego stawanera. Czy on obcy, czy swój, każdy by widział, że bardzo był przerażony.

Ethan z determinacją dźwignął się na łokciach i okazało się, że bez żadnego ostrzeżenia pokój się rozmnożył – były już dwa.

– No, to muszę... się przygotować. Będziemy walczyć i...

I znowu September łagodnie położył go na materacu.

– Ty sobie tu leż... obawiam się, że sam... i odpoczywaj, chłopcze. Oni są oddaleni od nas co

najmniej o tydzień szybkiej żeglugi. Nie ma żadnej potrzeby, żeby biegać w kółko i skrzeczeć, jak oskubane poonu. Hunnar i Balavere zajęli się organizowaniem zaciężnych. Ludność jak szalona gromadzi ziarno, pika-pinę, vole i różne takie na oblężenie. Wszyscy robią, co do nich należy. A do ciebie należy odpoczywanie.

– Czy oni naprawdę są w stanie przetrzymać oblężenie, Skuo?

September zamyślił się.

– Hunnar chyba uważa, że tak. Mówi, że wrogowie na pewno się załamią, zanim Sofoldianom zabraknie czegokolwiek istotnego. Generał zgadza się z nim, chociaż pary z gęby nie puszcza. Stary, chytry lis... Robią nawet zapasy drewna... ale skoro natura dała im futra, mogliby się pewnie i bez tego obejść. Kiedy ktoś zaczyna gromadzić zapasy przedmiotów luksusowych, to moim zdaniem świadczy to o odrobinie pewności siebie... Nie, nie sądzę, żeby miało dojść do jakiegoś długotrwałego oblężenia. Jedna bitwa, za to wielka jak dubeltowa cholera.

– Hunnar wydawał się pewien, że mogą ich pobić.

– Zgodnie z tym, co mówił ten kapitan – dumał September – Horda pokrywa lód od horyzontu do horyzontu. Omawiałem z ludźmi ogólną taktykę. Jak sądzę, trafiłem im do przekonania. Szczerze mówiąc, każda zmiana w normalnym sposobie postępowania powinna wywołać zamieszanie w tej bandzie. Jeżeli ten Sagyanak jest równie uparty, jak niektórzy co lepsi z Sofoldu, to nie powinniśmy się wiele nowego po Hordzie spodziewać. Ale to jest też nowa sytuacja i dla Sofoldian. Chętnie wypróbowałiby różne nowe pomysły. Potrzeba tylko nieco subtelnej perswazji, kilku racjonalnych argumentów. Poza tym Balavere zagroził, że rozwali parę łbów... Gdybym się znalazł w takim kłopotliwym położeniu jak oni, też z chęcią bym wypróbował coś nowego. A ty nie, chłopcze?

– My jesteśmy w dokładnie takim samym położeniu jak oni – odparł cicho Ethan.

\* \* \*

Zbroja bojowa była za duża, ale Hunnar uparł się że Ethan ma ją założyć. Skórzane ochraniacze obijały mu się o nogi i piły przy każdym kroku, a napierśnik z brązu nieubłaganie ciążył. Absolutnie jednak nie zgodził się włożyć jednego z rozszerzających się wachlarzowato, ozdobnych hełmów. Nie mógł sobie dopasować nawet dziecinnego rozmiaru. Głowa by mu latała w środku, jak ziarnko grochu w grzechotce. A parka, chociaż nie została zaprojektowana z myślą o walce, przynajmniej mu nie ciążyła.

Przeszedł z powrotem na skraj Wysokiej Wieży, gdzie stali Hunnar z Septembrem. September pokazywał na coś w oddali. Naokoło gwizdał wiatr.

Być może widzieliby lepiej i wyraźniej przez teleskop czarodzieja, ale wtedy mogliby patrzeć tylko na jedną rzecz na raz. Poza tym człowiekowi mogły po jakimś czasie obmierznąć unoszące się w pokojach czarodzieja miazmaty uczoności pospołu z bardzo realnymi miazmatami wydzielanymi przez aromatyczne chemikalia i na wpół pokrojone zwierzęta.

Zgodnie z informacją, jakiej udzielił im dawno już będący w drodze kapitan, Horda miała pojawić się z północnego wschodu. Na razie jednak była tam tylko ta niewidzialna linia, która oddzielała zimnolodowaty ląd od lodowatozimnego nieba.

– Nie dają znaku życia, Hunnarze?

Rycerz przerwał rozmowę z Septembrem i popatrzył na Ethana.

– Sir Ethanie, masz równie dobre oczy jak ja. Ale nie dostrzegam ani śladu tej gromady świń.

– Może zataczają koło, żeby was zająć od tyłu? – zapytał September. Podrapał jakieś uporczywie swędzące miejsce skrajem dużego, dwustronnego miecza.

Hunnar lekceważąco kiwnął ręką.

– Nie. Mogą próbować wykonać taki manewr później, chociażby po to, żeby nas podrażnić, ale Sagyanak nie przypomina innych barbarzyńców. Niczego nie robi bez przyczyny... a przynajmniej tak powiadają. Nie da się jednak przewidzieć, co zrobi jakiś koczownik.

– Co ty zrobisz też nie – podsunął Ethan.

– Może i tak – odparł rycerz, wcale nie zdenerwowany tym porównaniem. – Jak powiedziałem, jedyne co by osiągnęli, to rozzłoszczenie nas; a to niezbyt roztropny sposób działania. Nie, podjadą paradnie pod samą bramę i będą się popisywać. Nie mają żadnego powodu przypuszczać, że będziemy tak niemądrzy, by im stawić opór. – Na jego twarzy pojawił się wilczy uśmiech. – Ależ Nagła Śmierć się zdziwi! Może Bicz będzie tak wściekać się i szaleć, że pęknie mu jakaś żyłka we łbie. Zaoszczędziłoby nam to konieczności wyprawienia oficjalnego pogrzebu.

– Patrzcie, tam – przerwał mu September. – Czy to nie żagiel? A może znowu łyknałem trochę za wiele ridilu?

Nie, daleko, daleko na lodzie rzeczywiście pojawił się niebieski punkcik. Punkcik rósł, dołączyły do niego inne, odmiennego kształtu i koloru. W tym zbiorowisku żagli widać było wszystkie Odcienie, jakie tylko można sobie wyobrazić. Wkrótce odległy lód mienił się tęczą barbarzyńskich kolorów: karmazynem, brunatną czerwienią, smolistą czernią, szkarłatem – bardzo wiele szkarłatu i innych odcieni czerwonego – lazurem, ostrą czerwienią krwawnika, rdzawym odcieniem sardu.

Niektóre żagle malowane były w ukośne pasy przypadkowo dobranych kolorów, inne chełpiły się zawile rozplanowanymi motywami i mozaikami. Niektóre z nich były tkane, inne namalowane, a wszystkie krwiożercze. Na niektórych tratwach znajdowały się poręcze zdobione matowobiałymi czaszkami tranów.

Nie pokrywali całego lodu, jak to mówił kapitan, ale wypełniali niepokojąco dużą jego część.

– Musi tam być z tysiąc tratw – gwizdnął September, ale jego nonszalancja nikogo jednak nie oszukwała. Nawet on poczuł zimno strachu.

– Więcej niż się spodziewaliśmy – przyznał Hunnar. – Ale tym bardziej się cieszę, bo będziemy mieli więcej robactwa do wytłuczenia.

Torując sobie drogę pod wiatr flotylla podjeżdżała coraz bliżej. Tratwy jedna za drugą stawały w szeregach po cztery. Jeden za drugim opadały żagle i kotwice lodowe.

– Rozsiedli się i mają zamiar sobie odsapnąć – powiedział September.

Nawet z tej odległości Ethan dostrzegł tratwy zatłoczone bydłem i inne, załadowane skrzyniami i zapasami. Było to istne ruchome miasto. Wkrótce wszystkie żagle zostały zwinięte z wyjątkiem jednego, który należał do niewielkiej, zawadiackiej i smukłej tratwy. Stała ona u boku olbrzymiego statku z piętrową, krzykliwie pomalowaną kabiną centralną. Mała tratwa odbiła i powoli zaczęła sunąć w stronę bramy portowej.

Ethan widział małe jak zabawki postacie, które borykały się z mechanizmem podnoszącym zagradzające drogę sieci i barierę Wielkiego Łańcucha.

– Tratwa z parlamentariuszami – powiedział z satysfakcją Hunnar. – Landgraf i członkowie Rady pewnie się przygotowują na ich przyjęcie. Chodźmy.

Zeszli za nim po kręconych schodach do zamku.

– Będzie co opowiadać wnuczętom – rzucił rycerz przez ramie.

Ludzie nie należeli do oficjalnego komitetu powitalnego, a poza tym zdecydowano, że będzie lepiej, jeżeli Horda nie zobaczy ich aż do momentu, kiedy ją to będzie mogło najbardziej wytrącić z równowagi. Niech sobie myślą, podobnie jak wciąż uważała część Sofoldian, że obcy to bogowie albo demony, a nie tylko chudzi, niemal do gołej skóry ostrzyżeni tranowie.

Na balkoniku muzyków nie było nikogo i mieli stąd wspaniały widok na Wielką Salę. Na dole Landgraf czekał siedząc na tronie, tym razem jednak nie miał na sobie wygodnych jedwabi, ale zbroję ze skóry i brązu, stalowy hełm i napierśnik. Widok był imponujący, chociaż Ethan musiał przyznać, że Balavere, Hunnar czy nawet Brownok wyglądałoby w tej zbroi dużo bardziej efektownie. Elfa, jak zauważył, także wspaniale prezentowała się w zbroi. Tym razem nie było mowy o dekolcie.

Wokół tronu zgrupowali się członkowie Rady, przedstawiciele miasta i większość starszych rangą rycerzy i ich giermków. Promienie słoneczne odbijające się w hełmach, dzidach i toporach sprawiały, że sala rozmigotała się jak wnętrze jakiegoś klejnotu. Kiedy tranowie poruszali się i obracali, wędrujące krążki światła padały na nagie, kamienne ściany i sklepienie. Imponujący widok.

Ethan z ciekawością raz jeszcze przyjrzał się olbrzymiej, wygiętej kolumnie, która stanowiła oparcie tronu Landgrafa. Mimo wszystko drobiazg i tyle. Popatrzył w dół i powędrował wzrokiem poprzez czekający tłum. Du Kane'ów oczywiście nie było. Nie mieli też zamiaru brać udziału w samej walce. Hellespont usprawiedliwiał się wiekiem, a Colette, że to nie dla wytwornej damy. Żałował, że nie może jej teraz pokazać Elfy Kurdagh-Vlata. Dobrze chociaż, że September zdołał ich przekonać, by założyli zbroje. Walther zaś siedział bezpiecznie zamknięty w swojej złoczonej klatce,

gdzie nie mógł nic głupiego zrobić ani sobie, ani nikomu innemu. A Williams był gdzieś razem z Eer-Meesachem i pewnie zajmowali się jakimiś tajemniczymi doświadczeniami. Kiedy już Ethan zobaczył, jak działa kusza, oczekiwał następnych rewelacji z radością i niemałym pożądaniem.

Nagle przy wejściu do Sali nastąpiło jakieś zamieszanie.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się w tamtą stronę. W tym momencie Ethan uświadomił sobie, co nie dawało mu spokoju, kiedy patrzył na zebranych. Odwrócił się do Hunnara.

– Czy nie powinien być przy tym obecny prefekt Wan – nome?

Rycerz odpowiedział nie odwracając się:

– Prefekt wyraził swoje głębokie niezadowolenie z całego obrotu sprawy. Zamknął się w swoim dworze na niesprecyzowany czas. Mnie przynajmniej go nie brakuje.

Wciąż jakaś myśl niepokoiła Ethana, ale odepchnął ją na bok rytmiczny łomot bębnow, dobiegający sprzed Sali. Zadźwięczał głos herolda:

– Oto nadchodzą przedstawiciele Sagyanak Nagłej Śmierci.

Bicza na Vragan...

– ...i Wszechpotężnego Burzyciela Ra-Vilogas – dokończył jakiś potężny głos. Głos ten dudnił i grzmotem odbijał się od ścian. – I Władcy Świata!

Pojawiła się grupa trzech tranów, krocących po leżącym na środku dywanie. Przywódca tej trójcy był największym tranem, jakiego Ethan dotąd widział – zwalista, oszalamiająco wspaniała postać w opończy i płaszczu koloru płomienia. Pod lewym ramieniem niósł wtulony w dan hełm w kształcie gutorrbyna, latającego smoka. Zbroję miał niemal równie czerwoną jak sama opończa. Na wypolerowanym brązie krzyżowały się pasy ze skóry vola i złoto-srebrne sprzączki. Długi, szeroki miecz był starannie przymocowany do lewej nogi. Kiedy tran wymachiwał rękami, Ethan zobaczył, że mocne błony skrzydeł ozdobione są wzorami wykonanymi z drobin złota. Krok miał wydłużony i pospieszny, jak gdyby przybywał w napełniającej go niesmakiem sprawie, którą najlepiej zakończyć jak najszybciej. Z niecierpliwością wyglądał już grabieży i bez wątpienia wytręcało go z równowagi to oczekiwanie. Jego towarzysze szli krok za nim. Byli niemal równie jaskrawo ubrani, jeden na błękitno, a drugi na żółto i czarno, żaden jednak nie miał takiej postury jak ich dowódca.

Ethan pochylił się i szepnął do Hunnara:

– Czy to Sagyanak?

Hunnar obrzucił go dziwnym spojrzeniem.

– Oczywiście, że nie, Sir Ethanie. Co za dziwaczne pytanie.

– Dlaczego...? – zaczął Ethan, ale September uciszył go. Przywódca koczowników zaczął mówić.

– Jestem Olox, prawa ręka i pierwszy sługa Burzyciela. Zbyt wiele upłynęło już czasu, odkąd ostatni raz nawiedziliśmy naszych łaskawych przyjaciół w Wannome. Zbyt wiele. A kiedy w końcu chcieliśmy skorygować to fatalne przeoczenie, czy zostaliśmy odpowiednio powitani? – Głos jego wyrażał oburzenie i zaskoczenie; jego towarzysze zrobili żalodne miny. – Nie! – popatrzył na Landgrafa. – Nie zostaliśmy. Czym nas przywitano? Zbrojni ludzie na murach! Wielu zbrojnych ludzi. Sieci i łańcuch bronią wolnego dostępu, przejścia do otwartego portu. Burzyciel jednak zdecydował się w swej łaskawości założyć, że popełniono tu błąd, może nawet my jesteśmy winni, że nie daliśmy się wam wystarczająco poznać. A może – i tu jego ton zmienił się i stał się brutalnie zimny – nasi przyjaciele w Wannome cierpią na jakąś osobliwą chorobę zapomnienia. Bicz zna wiele sposobów na pobudzanie odpornej pamięci, nie brak mu też środków, by poszturchać zgnuśniałe wspomnienia.

– Ale przecież to na pewno jest tylko omyłka, to nie naumyślnie! – ciągnął dalej wesoło. – A teraz, kiedy już przypomnieliście sobie, kim jesteśmy, Śmierć oczekuje na niezwłoczne zapłacenie standardowego haraczu... z dodatkiem może kilku tysięcy dodatkowych fosów jako rekompensaty za przykrości spowodowane waszym niemiłym powitaniem.

W ciszy, jaka nastąpiła, Landgraf pochylił się i potrząsnął pięścią w kierunku wszystkich trzech.

– Słuchaj mnie teraz dobrze, ty rzeźniku Oloxie. Tak, wiemy, kim jesteście. Ci zbrojni ludzie na murach, którzy tak cię denerwują, mogą zrobić coś więcej, jeśli sobie tego życzysz. Łańcuch i sieci wrócą na miejsce, jak tylko zabierzesz stąd swoją obrzydliwą osobę. Wtedy będę mógł zarządzić dokładne wysprzątanie tej Sali, żeby usunąć z niej resztki smrodu. Idź i powiedz temu swojemu władcy robaków, że lud Sofoldu i miasto Wannome nie płacą już więcej haraczu, chyba że chcecie zebrać fortunę w cięciach mieczy i ukłuciu włóczni!

Ten, którego zwali Oloxem, zeszywniał już przy pierwszych słowach Landgrafa. Ethanowi zdawało się, że może policzyć wszystkie włosy na głowie parlamentariusza. Ale co dziwne, nie powiedział nic i czekał, aż Landgraf skończy swoją przemowę.

– Rozważyłem – powiedział Olox z wolna, kiedy Landgraf umilkł – i odpowiem, że smakuję każde twoje słowo, każdą sylabę.

– Cieszę się – wyszczerzył zęby Kurdagh-Vlata. – Może chciałbyś je usłyszeć jeszcze raz?

– Nie będzie to konieczne – odparł Olox Rzeźnik – bo każde z twoich słów wyryte jest w mojej pamięci na zawsze. Zostaną przekazane Nagłej Śmierci wraz z całą intonacją i rytmią, nienaruszone i dokładne.

– Dobrze – powiedział Landgraf. – Gdyby ci potrzebna była jakaś pomoc, wystarczy, żebyś się o nią do nas zwrócił. Jeżeli tylko zawiedzie cię pamięć, przekażę wszystkie szczegóły na piśmie, ze wszelkimi odpowiednimi ozdobnikami, jakie zdołają powymyślać moi dworzanie.

– A więc, Torsku Kurdagh-Vlato, Landgrafie Sofoldu, Władco Wannome, zakończę tak: mocno trzymaj w łapie miecz i nie spuszczaaj oka ze swoich niewiast, bo kiedy zobaczą cię następnym razem, nie sądzę, żebyś był tak wymowny.

Z rozwianą opończę generał koczowników odwrócił się i wielkimi krokami wyszedł z Sali. Jego dwaj podwładni z trudem dotrzymywali mu kroku, a nie chcieli puszczać się za nim biegiem.

Nikt się nie poruszył. A potem ciszę jaka zapadła w sali przerwał głos Balavere'a i wstrząsnął nimi wszystkimi.

– Czy macie zamiar siedzieć tu i kontemplować swoje tłuste brzuchy do dnia ostatecznego? Na stanowiska! Dopilnować swoich ludzi!

W sali zakotłowało się od nagłego ruchu i podnieconych głosów.

– Spodziewałem się większego przeskoku nastroju – skomentował Ethan. – A ty, Hunnarze? Hunnarze? – Ale rycerz już się cicho wyśliznął.

September wyraźnie podenerwowany potarł twarz.

– Poszedł na swoje stanowisko, jak podejrzewam. Pewnie chciał skorzystać ze ścieżek lodowych, żeby się tam prędko dostać. Podlega mu południowo-wschodnia, trzecia część murów wokół portu, od wieży bramnej do zamku. Nie chciał czekać na nas. Przez nas musiałby iść powoli, a ma teraz na głowie rzeczy ważniejsze niż uprzejmość.

Ethan odwrócił się i niemal potknął o miecz przymocowany do lewej nogi.

– Pewnie powinniśmy do niego dołączyć.

– Nic nie stoi na przeszkodzie.

Mijali oddziały wojska, które przebiegały przez korytarze lub szifowały z jak się zdawało z brawurową szybkością w dół po lodowych ścieżkach. Większość żołnierzy i zaciężnych znajdowała się już na murach. Kiedy wychodzili z wewnętrznej warowni i szli wzdłuż blanków zewnętrznych wielkiego zamku, mogli zajrzeć w dół, na podwórce. Stopniowo wypełniały się one grupami dobrze ubranych cywili, wielu dam i kociąt.

Byli to co bogatsi gospodarze ze wsi, ewakuowani z nie przygotowanych do obrony domów na wyspie. Nadchodzące burzliwe dni mieli spędzić stosunkowo wygodnie i bezpiecznie w samym zamku. Ogromna jednak większość uciekinierów ze wsi będzie musiała zadowolić się tym, co się dla nich znajdzie w mieście. Pomieszczenia będą strasznie zatłoczone, ale dopóki starczy jedzenia i opału, nie będzie problemów. Według Hunnara takie niebezpieczeństwo jednak im nie groziło. Wszystkim będzie niewygodnie, ale sobie poradzą.

Przeszli przez następny, długi, ciemny korytarz, minęli zakręt i niemal wpadli na oddział łuczników, którzy przechodzili na wyżej położone stanowiska w zamku. Jeszcze jeden zakręt i znaleźli się w jaskrawym świetle słońca i na swojskim już, nieustannym wietrze.

Pobiegli bez trudu po szerokim szczycie muru, który chronił port i osłaniał miasto. Przy każdej chyba strzelnicy stał łucznik lub oszczepnik. W regularnych odstępach na murach wznosiły się wieżyczki, przez które przebiegali. Na szczycie każdej z nich Ethan, sapiący zimnymi obłoczkami,

dostrzegał jednego a niekiedy dwóch łuczników. Wydawało mu się, że jest ich żałość mała.

Zbliżali się teraz do wielkiej bramy. Wielki Łańcuch był na swoim miejscu, wpleciony w broniące ludziom dostępu sieci, co razem tworzyło płataninę jak z koszmarnego snu jakiegoś pająka. Tą częścią muru powinien dowodzić Hunnar.

W pół drogi po murze September odchrząknął z zadowoleniem i postukał Ethana po ramieniu.

– Popatrz no, chłopcze, tam na lewo.

Ethan wyrzwał spoza muru i przez moment nie dostrzegał nic poza samym portem. A potem zrozumiał, co Skua miał na myśli.

Po drugiej stronie portu, na wpół ściągnięta z lodu, leżała pogięta skorupa ich szalupy ratunkowej.

– Jak...? – zaczął Ethan.

September się uśmiechnął.

– Balavere obiecał przecież, że tego dopilnuje. Ostrożności nigdy nie za wiele. Powiedziałem, że inaczej mogą to stracić, więc polecił, by dwanaście kupieckich tratw pojechało i przy-wlokło szalupę. Musieli się cholernie namęczyć, zanim wyrwali ją z lodu, ale kiedy już skorupa ruszyła, sądzę, że jechała gładko jak po lodzie, co? I dzięki wszelkim Podprzestrzeniom za ten lód! Gdyby ją musieli ciągnąć po nierównym terenie, nie ruszyliby jej ani na pół kilometra.

– Ciekaw jestem – dumiał Ethan, omijając długi drąg, który służył do odpychania drabin obłęzniczych – czy Sagyanak w ogóle o tym wie.

– Wcale bym się nie zdziwił – odparł September. – Szkoda, że Sofoldianie jakoś jej nie zamaskowali, żeby poseł jej nie zobaczył. Przypuszczam jednak, że po zastanowieniu uznali tę rzecz za coś nieistotnego.

– Więc myślisz, że ten Olox to widział?

– Niech cię nie zwodzą pozory, chłopcze. Ten osobnik może być zbudowany jak dziecienniały na starość grizzly, ale oczy ma bystre jak szczur. Dobrze mu się przypatrywałem. Kiedy Landgraf obsypywał go obelgami, on sam rejestrował w pamięci, jakie zbroje i nastawienie ma każdy rycerz i szlachcic na sali. Prawdopodobnie zdążył też zorientować się, jaki procent broni jest z metalu. W tym Sofoldianie górują, mają przyzwoity zapas broni z brązu i żelaza. Jeżeli uda nam się to przeżyć... – przerwał. – Słyszałem, że rzuciłeś okiem na ich odlewnię.

Ethan skinął tylko głową; on sam biegnąc zasapał się, natomiast September nawet szybciej nie oddychał. Jako młodszy poczuł się swym stanem bezsensownie zażenowany.

– Więc wiesz, że mają dostęp do wielkich ilości ciepła. Dużo większych, niż bym się domyślał. Łatwo dostępne kominy wulkaniczne i jeszcze te wszystkie wiatraki. Na Wielką Kontuzję, powinno mi się udać jakoś zmontować elektrodynamiczną kuźnię. Przerobić parę skrawków szalupy na złom...



Tak, jeżeli przeżyjemy, może mimo wszystko zostawimy po sobie Sofoldianom jakąś metodę obrabiania duramixsu. O, tam jest Hunnar. Mogli wreszcie zwolnić. Hunnar opierał się o szczelinę strzelniczą i wypatrywał czegoś na lodzie. Ostrożnie przeszli na drugą stronę lodowej ścieżki; rycerz odwrócił się kiedy podeszli.

– No, moi przyjaciele, już niedługo się czegoś dowiemy.

– Nie miej takiej ponurej miny. Co oni robią? – zapytał September.

Hunnar odwrócił się.

– Zobaczcie sami. – Odsunął się i obu mężczyznom nic już nie zasłaniało widoku na pole lodowe.

Pomiędzy tratwami barbarzyńców niewiele było widać bieli; lód pokrywały przesuwane się, połyskujące, różnobarwne, kudłate ciała. W silnym blasku słońca miecze, tarcze, pawęże i hełmy połyskiwały jak nocne niebo. Horda wysiadała z tratw.

– Wieje lekki boczny wiatr z południa – poinformował ich Hunnar, rzucając okiem na niebo. – Spodziewam się, że główne siły uderzą właśnie z tej strony. Ustawią się ukośnie od zachodu i ruszą na nas. Ta linia przyjmie na siebie główne uderzenie.

I rzeczywiście, grupki koczowników zaczęły odrywać się od głównego zgromadzenia i halsować pod wiatr, żeby zająć pozycje dalej na zachód.

Ethan zobaczył, że stoją niemal na końcu muru. Zaraz na lewo od siebie mieli Wielką Wieżę Bramną, a drugą wieżę na prawo. Obejrzał się do tyłu, na drogę, którą przyszli. Wzdłuż muru skręcającego jak szary wąż w kierunku zamku widać było ruch. Rycerze dokładali starań, żeby poustawiać swoich ludzi zgodnie z ruchami nieprzyjaciół, dokonywali ostatnich zmian, z nadzieją przygotowywali wszystko na atak.

– Czyżby mieli zaatakować tylko tę część murów? – zapytał Ethan z pewnym niepokojem.

– To by było niemądre. Ponieważ mają tak ogromną przewagę liczebną, przypuszczają szturm na całej długości portu pełnymi siłami licząc na znalezienie jakiegoś punktu, który przeoczyliśmy lub który jest słabszy od innych. Wiedzą, że gdyby tego nie zrobili, skupilibyśmy swoje siły w tym jednym miejscu i mielibyśmy większą szansę odparcia ataku. Ale oni mogą rozsypać się szeroko i wciąż jeszcze będą mieli przewagę czterech czy pięciu na jednego naszego na każdy kijak. Chodzi tylko o to, że od tej strony będą mieli troszeczkę lepszy wiatr, a więc będą szybsi i bardziej zwrotni... Musimy też trzymać oddziały na przełęczach w górach, bo mogą próbować wziąć nas na sztych z tamtej strony, chociaż wątpię, by Bicz snuł tak precyzyjne plany. A jednak część naszych sił musi tam pozostać. Będą się do nas zbliżać z wielką pewnością siebie. – Przerwał i popatrzył na Septembra. – Przyjacielu Skuo, nie masz żadnej broni.

– Na moją duszę, rzeczywiście nie mam! Zapomniałem o tym przeklętym mieczu. – Odwrócił się i pospieszył do wieży po prawej.

– Widzę, że ty nosisz miecz, przyjacielu Ethanie. Czy potrafisz go użyć?

– Tak mi się coś zdaje, że prędko się tego nauczę. Dużo lepiej czułbym się mając śliczny, nowiutki laser z szeroką szczeliną.

– Ja również czułbym się lepiej, gdybyś miał którąś z waszych magicznych broni – odparł rycerz i udało mu się lekko uśmiechnąć. Znowu zapatrzył się na lód. Z czoła armii tratw Wysuwały się na południe i północny zachód olbrzymie rogi. Na wprost do siebie zamruczał: – Pomimo wiatru będziemy musieli zabezpieczyć się przed strzelaniną z łuków. Czy będą próbowali podjechać bliżej i strzelać na wprost, czy też zostaną powyżej nas i zaczną strzelać z wiatrem? Odległość czy celność? – Potrząsnął niepewnie swoją okrytą hełmem, rudogrzywą głową.

Pojawił się September. W rękę trzymał największy topór bojowy, jaki Ethanowi zdarzyło się widzieć. Oczywiście jego praktyczna znajomość takich narzędzi walki bliska była zeru, ale topór wydawał mu się nieprzyzwoicie wielki. Miał podwójne ostrze i zrobiony był z czarnego żelaza. September wymachiwał nim tam i z powrotem nad głową i do tyłu, naśladując dawno zarzucony ziemski sport.

Kilku zbrojnych zaczęło wiwatować, kiedy zobaczyli, z jaką łatwością ich obcy sprzymierzeniec posługuje się tym monstrualnym tasakiem.

– Podrzucasz ten topór, jakby to była zabawka kocięcia, przyjacielu September – powiedział z podziwem Hunnar.

– Wiesz – powiedział September i zamachnął się po przyjacielsku na Ethana, niemal przyprawiając go o atak serca – dźganie to niekoniecznie dla mnie, ale cenie sobie elegancję. Tak więc próbowałem sobie znaleźć coś, co by odpowiadało mojej delikatności uczuć.

Hunnar wpatrywał się w niego przez chwilę nic nie rozumiejąc, a potem roześmiał się urywanym, Irańskim śmiechem.

– Rozumiem. Żartujesz. Przekażesz to w bardziej bezpośredni sposób naszym robaczywym przyjaciołom, kiedy wleżą na mur.

– Postaram się ich zabawić najlepiej, jak umiem – obiecał September. Głęboko zaczerpnął powietrza. – Kiedy oni się do tego zabiorą? Czy też mamy czekać, aż minie pora obiadku?

Odpowiedź przyszła w kilka minut później w postaci niskiego, basowego dudnienia dobiegającego z oddali. Brzmiało to trochę jak grzmoty. Ethanowi wydawało się, że w pobliżu wielkiej tratwy widzi jakieś osobliwe zawirowanie, ale było za daleko, żeby coś dokładnie zobaczyć. Niesamowite było to głębokie buczenie. Sięgało gdzieś w głąb człowieka i pieściło mu kości.

– Margyudan – wytłumaczył im cicho Hunnar. – To rozkaz, by nikogo nie oszczędzać i nie brać żadnych jeńców. No cóż, niczego innego się nie spodziewaliśmy.

Ludzie Hunnara stali na murze jak zamarli. Ethan potrafił zrozumieć, co czują. Nagła Śmierć sama

sobie przygrywała do tańca. Zaskakujące, ale to Septembrowi, a nie napchanemu wiadomościami Ethanowi, udało się zidentyfikować ten dźwięk. – Słyszałem kiedyś coś takiego na Ziemi i kilku innych światach – powiedział – tylko na dużo mniejszą skalę. Na Ziemi nazywają to warkotka, a tubylcy na G'Dimie na północnym kontynencie rane. Ale ta wersja musi być dużo, dużo większa, żeby dźwięk niósł się tak daleko pod wiatr. Właściwie urządzenie to może być napędzane wiatrem.

Nagle warkot zamilkł i Ethan usłyszał swój własny oddech. Poruszał się tylko wiatr. I tylko wiatr coś mówił. Ethan wyciągnął miecz, zgrzyt metalu o pochwę był drażniąco głośny. Ciszę przerwało potworne wycie ze wszystkich stron. Czegoś takiego Ethan nigdy dotąd nie słyszał. Wycie dochodziło zewsząd, nie miało jednego źródła, a wroga ledwo że było widać, bo nadciągał z zachodu, z daleka, żeby nabrać wiatru w dany.

– Ale się wprowadzają w furję, co? – szepnął September. – Tak sobie myślę, że jak już ogarnie ich taki wspaniały, staroświecki szal bitewny, to ruszą na nas.

Wycie i jęki trwały może dziesięć minut, a im wydawało się, że przynajmniej godzinę. Potem rozległ się jeden ryk unisono, od którego zatrzęsły się kamienie w murze. Jak żywy, szary koc, nie mająca granic masa ruszyła w ich kierunku. Nadciągali z południowego zachodu szerokim, łagodnym łukiem, ukosem wjeżdżając w wiatr.

Wkrótce Ethan był już w stanie rozróżnić poszczególne postacie w Hordzie. Nie było dwóch jednakowych zbroi, w przeciwieństwie do ujednoliconego umundurowania sofoldiańskich żołnierzy. Wyglądało na to, że im bardziej strój krzykliwy, tym lepszy. Wielu z jadących na samym przodzie niosło drabiny obłęznicze. Inni trzymali długie, powiązane w węzły liny, z kościanymi albo metalowymi bosakami na końcach.

– Padnij! – ryknął niespodziewanie Hunnar.

Obrońcy rozstawieni wzdłuż muru skulili się tuż przy kamieniach, starając się niemal zagrzebać we własnych zbrojach. Nadleciał grad strzał, jak rój miliona pszczoł i zastukotał po kamieniach. Gdzieś na murze odezwały się krzyki. Jedna ze strzał świsnęła przez szczelinę o kilka centymetrów od stłamszonej twarzy Ethana, uderzyła w parapet po drugiej stronie, odbiła się, padła na ziemię przy jego obcasie i spokojnie leżała przy skórzanym bucie. Kościany grot był roztrzaskany.

Następny gniewny rój zabrzęczał im nad głowami. Ethanowi przyszło na myśl, że chociaż ma za sobą cztery lata uniwersytetu, rok zaawansowanego szkolenia kupieckiego i doświadczenie w pracy, w obliczu bandy rozhisteryzowanych dzikusów jest kompletnie bezradny. Miał bardzo niewiele czasu na rozmyślanie. Hunnar wrzasnął: Wstawać! Ethan poderwał się i odwrócił. I niemal natychmiast pojawiła się tuż przed nim warcząca twarz obramowana futrem i metalem, z parą żółtych oczu, które hipnotycznym spojrzeniem wpatrywały się w niego. Wstrząsnęło to nim tak, że stał jak wryty, miecz zwisał mu w osłabłej dłoni. Koczownik pozornie zwolnionym ruchem podniósł do góry nad jego głowę ciężką maczugę, a Ethan bez ruchu się temu przypatrywał. Niespodziewanie jakaś długa dzida pojawiła się nie wiadomo skąd i przebiła tamtemu pierś. Napastnik zagulgotał, za – krztusił się krwią i zniknął z pola widzenia. Wytrąciło to Ethana z letargu, w którym się pogrążył. Jeszcze chwila i rytmicznie wymachiwał mieczem, kłując, tnąc i siekając, jeżeli tylko coś pojawiło się nad czystym, szarym kamieniem. Nie miał nawet okazji podziękować włócznikowi, który uratował mu życie.

Wrzaski i krzyki, porykiwania i sieknięcia zagłuszały wszelkie zrozumiałe słowa. W pewnej przerażającej chwili przelotnie zobaczył Septembra. Rycząc jak byk-przywódcą stada siwowłosa olbrzym wywijał swoim potwornym toporem, zataczał wielkie kręgi, odrabując dłonie, ręce, głowy, jakby młócił pszenicę. Hunnar wydawał się być wszędzie, to przez moment stał obok Ethana, żeby szybko kogoś dźgnąć mieczem, to cofał się i biegł po murze, żeby przegrupować linię włóczników, to udzielał walczącym zachęty a rannym pociechy. Zawsze pojawiał się tam, gdzie walka była najcięższa. Jego ruda broda podskakiwała w grzęzawisku krwi i futer, odbierał wiadomości gdzieś na murze i przekazywał własne.

Wzdłuż całego muru portowego natarczywie mrugały światła, kiedy odbłyśnicy i Sofoldian, i koczowników zasypywali się bezgłośnymi tyradami gniewu i cierpienia. Relację z tej rzezi zdawało spokojne słońce.

Ethan znowu pchnął mieczem i poczuł coś twardego i zimnego po swojej prawej stronie. September dostrzegł jednak w porę, że Ethan się chwieje i znalazł się natychmiast u jego boku.

– Czy cię trafili, chłopcze? – zapytał niespokojnie. Musiał krzyczeć, żeby go było słychać w tym hałasie.

– Ja... nie wiem.

I naprawdę nie wiedział. Czuł, że coś go uderzyło, ale nie czuł się ani słaby, ani nie tracił przytomności. Popatrzył na swoje nogi, obmacał się. Nic. September kazał mu się powoli obrócić i przyjrzał mu się od tyłu. I Ethan po raz drugi tego dnia usłyszał:

– Na moją duszę!

– Nie trzymaj mnie w niepewności – powiedział z napięciem. – Co tam jest?

Poczuł, że September go szarpie, usłyszał stęknienie. A potem Skua wyszczerzył zęby i pokazał Ethanowi długą strzałę barbarzyńców.

– Sterczało to z twojej tuniki, wbite do trzech czwartych długości. Musiało trafić prosto w rękaw. Sukinsyn.

Ethan chciał powiedzieć coś odpowiednio dowcipnego, ale nie zdążył. W następnej chwili wydawało się, że mur zaroił się od skrzeczących, wyjących koczowników. Miejscami wyglądało nawet na to, że wrogowie wdarli się na szczyt muru i że walka toczy się już wewnątrz, ale wzdłuż muru po lodowych ścieżkach szybko nadjeżdżały posiłki, szifowały w górę i w dół, żeby załatać wyrwy w linii obrońców.

A potem nagle wrzaski i wyzywające porykiwania zmieniły się w pełne frustracji wycie. Wielka masa wroga zaczęła odsuwać się w tył i w dół, cofała się po lodzie. Towarzyszyły im drwiące okrzyki oraz strzały i bełty z kusz.

September podszedł do Ethana, ściągnął hełm i przerzucił go przez mur. Hełm odbił się z metalicznym brzękiem od jakiegoś kamienia. Twarz Septembra była czerwona, ociekała potem. Po

jednym policzku spływał cienki strumyczek krwi, leniwie kapiąc na brodę. Wielki topór był szkarłatnego koloru.

– Krwawisz – powiedział Ethan.

– Co? – September zatrzymał się, podniósł dłoń do twarzy, opuścił ją znowu. – Rzeczywiście. Ale to tylko zadrapanie. Akurat teraz, mój chłopcze, jestem za bardzo zmęczony, żeby się tym przejmować. – I głęboko westchnął.

– W moim bagażu miałem tuzin kieszonkowych apteczek, nowiutkich jak z igły – zaczął Ethan, ale September przerwał mu machnięciem ręki i zmarszczył się.

– Mam już dość słuchania o tym, jakie to miałeś cudowne rzeczy, których nam tu brak.

– Przepraszam – powiedział Ethan skruszony.

– Robię się za stary na taką zabawę... co? – wymamrotał niewyraźnie Skua.

Wzdłuż całych murów i w porcie sofoldyjscy żołnierze i zaciężni śpiewali i świętowali zwycięstwo z ferworem dorównującym intensywności walki. W miarę jak rozchodziły się wieści, kiedy zapoznawali się z nimi stopniowo mieszczanie i ich goście ze wsi, podobna wrzawa podnosiła się w samym mieście.

Hunnar dołączył do nich. Oczy rycerza jarzyły się, jego nic gdyś nieskalany mundur pochłapany był ciemnymi plamami.

– Na Biegunkową Zarazę Deimhorstu! Pobiliśmy ich!

– Ale wiesz co, oni wrócą – wysapał September.

Hunnar rzucił na niego okiem.

– Tak, wiem. Ale pomyśl przez chwilę, co się tutaj stało. Ach, nie, ty nie jesteś w stanie sobie tego wyobrazić. Nie możesz czuć tego samego. Przez setki lat nikt nie ośmielił się rzucić wyzwania potędze Hordy czy podobnym jej pijawkom. Co by się teraz nie stało, nawet gdyby Wannome została zrównana z lodem, wieść o tym się rozejdzie. Czy to od naszych, czy od jakiegoś gadatliwego pijaczyny wśród nieprzyjaciół, ale wszyscy dowiedzą się, że tych barbarzyńców można pobić!

– Dokładnie rzecz biorąc nie było to jakieś druzgocące zwycięstwo – dodał sucho September. – Ten ostatni atak niemal się po nas przetoczył.

Hunnar głęboko zaczerpnął powietrza.

– Wiem, przyjacielu September. Niewiele brakowało. – Rozejrzał się dookoła, podszedł do ciała jednego z wrogów. – Gdyby nie to, obawiam się, że byliby nas złamali. Patrz.

Wsunął stopę pod ciało i popchnął. Ciało przekręciło się na plecy. Ethan zobaczył wystający z

piersi żołnierza krótki, gruby koniec jednego z bełtów Williamsa. Przebił on na wylot cienką warstwę brązu i podwójne, skórzane pokrycie.

– Nie tyle chodzi o większy zasięg broni waszego czarodzieja, chociaż i to ważne, ale o fakt, że ma ona taką siłę uderzenia. I to nawet pod wiatr!

– Ale teraz już ich tym nie zaskoczysz – skomentował uszczypliwie September. – Następnym razem będą wiedzieli, czego się spodziewać.

– Ale to ich spodziewanie się nie opóźni ani jednego bełtu w locie – słusznie zauważył rycerz. Tracił wystającą część strzały, z piersi nieżywego trana pociekło troszkę krwi.

– A Mulvakken i jego rzemieślnicy nieustannie wyrabiają nowe łuki i wiele tuzinów bełtów. Chociaż wciąż jeszcze na każdą wykończoną kuszę przypada czterech naszych wyćwiczonych ludzi. To nasza największa słabość.

– Czy zaatakują dziś jeszcze raz? – zapytał z ciekawością Ethan.

Hunnar rzucił okiem na słońce.

– Nie, przyjacielu Ethanie, nie sędzę. Horda – wyjaśniał z przyjemnością – nie nawykła do odwrotów. Zajmie to jej przywódcom trochę czasu, zanim połapią się, co się stało. Jest to dla nich zupełnie obce doznanie. Po raz pierwszy będą musieli zastanowić się nad prawdziwą strategią. Nie potrafię zgadnąć, co to może być, poza tym że nie będzie to następny atak frontalny! – Uśmiechnął się okrutnie. – Ten lód jest chory od ich ciał.

– No to cieszę się, że będziemy mogli trochę odpocząć – powiedział Ethan – bo jestem kompletnie i całkowicie wykończony. Zmordowany. Zmęczony.

Tam, gdzie się opierał, pod prawą ręką, czuł kałużę lodowatej wody. Podniósł rękę, poklepał się delikatnie pod oczami i otarł twarz wierzchem rękawicy, zanim woda zdąży... zaraz, zaraz. Lodowata woda? W tej temperaturze?

Popatrzył w dół. Jego ręka spoczywała w szerokiej kałuży intensywnie czerwonej krwi, która właśnie zaczynała krzepnąć i gęstnieć w mroźnym powietrzu. Rękawica i rękaw kurtki były przesiąknięte do połowy przedramienia. Wyglądały jak jakieś szmaty z rzeźni.

– Diabli nadali! Teraz będę musiał sobie poszukać ognia, żeby to wytopić.

Po czym zemdlał i upadł jak długi.

## ROZDZIAŁ IX

Następny ranek wstał jasny, śliczny... i wietrzny. Było tak pięknie, że niemal niewyobrażalna stawała się groza dnia poprzedniego. Wcale jednak nie trzeba jej było jakoś specjalnie przywoływać na myśl, wystarczyło rzucić okiem za mury portu. We wszystkich kierunkach lód usiany był na przestrzeni setek metrów maleńkimi kępkami futra i szeroko rozlanymi, zamrożniętymi sadzawkami ciemnej czerwieni.

Wojownikom tego świata, myślał Ethan, los oszczędził przynajmniej jednej z wielkich okropności wojny. Ponieważ wszystkie starcia odbywały się na nieustannym, ostrym mrozie, nie będzie ich prześladował smród rozkładających się ciał.

– Jak się czujesz, mój chłopcze? – zapytał September. – Tak wczoraj padłeś, że aż się przez chwilę o ciebie martwiłem.

– Przykro mi, że się martwiłeś – odparł Ethan.

– Nie ma za co przepraszać... – zaczął ostrożnie September, ale Ethan go powstrzymał.

– Nie, ja już wcześniej widziałem, jak giną ludzie, a to przecież nie są ludzie, ani nawet thranxowie. Byłem pewien, że dużo już widziałem, że dużo zniosę, ale to... – Gestem wskazał upiorny śmietnik na lodzie przed nimi.

September położył mu na ramieniu wielką dłoń.

– W tym naszym wszechświecie, mój młody przyjacielu, zazwyczaj najbardziej szokują nas znane widoki. Zawsze spodziewamy się czegoś nieznanego.

Dołączył do nich Hunnar, ale nie odrywał wzroku od lodu. Prawdę powiedziawszy w lód wpatrywała się większość zbrojnych rozstawionych na murach.

– Co oni dziś wymyślą? – zapytał Ethan, uświadamiając sobie, że chyba coś mu umknęło.

– Nie słyszysz? – odparł rycerz.

– Czego?

– Słyszać to już od kilku minut. Słuchaj.

Ethan czekał nateżając słuch, żeby uchwycić jakiś odgłos dochodzący gdzieś z daleka, z lodu. Jak

zwykle słyszał tylko ten wieczysty, piekielny wiatr. A potem jakby coś jeszcze.

– Słyszę – warknął September. – Brzmi to jak jakiś śpiew.

– Tak – zgodził się Hunnar. – Śpiew... Aa. – Pokazał łapą. – Tam.

Z daleka, po zestalonym morzu, sunął w ich stronę jakiś przedmiot o naprawdę monstrualnych rozmiarach. Cztery długie szeregi wojowników-koczowników zaprzęły się do czterech grubych lin uprzedzonych z pika-piny. Teraz Ethan rozróżniał już poszczególne słowa. Śpiewom towarzyszyło gardłowe bębienie mniejszej wersji wielkiego Margyudana.

– Eej, uff... eej, uff! – Raz po raz intonowali mozolący się barbarzyńcy. – Haryen abet eej, uff... hoo, hoo, uff!...

Chwiali się w rytm pieśni, ciągnęli wpierw na lewo, potem w prawo, w lewo, znów w prawo. Kiedy podeszli jeszcze o jakieś dziesięć metrów bliżej, przeznaczenie maszyny, którą wlokli za sobą, stało się oczywiste nawet dla niewprawnego oka Etha-na. Hunnar powiedział cicho:

– To największa moydra... katapulta... jaką kiedykolwiek widziałem.

I maszyna, i śpiewy zatrzymały się w kilka minut później. Długie szeregi wojowników pozwijały zielone liny. Zespół ruchliwych koczowników rozpoczął pracę u podstawy wielkiej maszyny wojennej.

– Zarzucają lodowe kotwice – powiedział September wpatrując się w dal – i blokują płozy. I nic dziwnego. Ta maszyna przy strzelaniu musi niesamowicie szarpać.

Śpiewy znowu się zaczęły, tym razem trochę cichsze. Ethan widział jak olbrzymie, gigantyczne ramię stopniowo opada w kierunku podstawy. Z tej odległości trudno było zorientować się w proporcjach, ale belka poprzeczna katapulty była wielokrotnie większa niż człowiek. Potem jakby nic się nie działo.

– Co oni teraz robią? – zapytał niespokojnie Ethan.

W tej chwili Hunnar ryknął:

– Padnij!

Jego okrzykowi zawtórowały dziesiątki głosów wzdłuż murów. Ethan podobnie jak wczoraj wykonał pad płaski. Nic się nie działo. Uniósł lekko głowę. Na niebie coś głośno zagwizdało, a nie były to strzały i nie był to wiatr. Coś łomotnęło gdzieś daleko za nimi. Nie czekając na odwołanie alarmu zerwał się na nogi, już był po drugiej stronie ścieżki lodowej i zaglądał do portu. Niemal się potknął o lód.

Po drugiej stronie portu w pobliżu drugiej wieży i bramy brakowało części muru, dziura była szeroka na co najmniej pięć metrów i głęboka na trzy. Wyglądało to zupełnie tak, jak gdyby została zrobiona jakąś gigantyczną łopata. Gromadziły się w tym miejscu oddziały z obydwu murów. Kilku



żołnierzy zaczęło gramolić się w dół po zwałiskach na otwarty lód. Na lodzie trzy kolejne wyrwy, odległe od siebie o około dwudziestu metrów tworzyły linię prostą. Biegła ona przez rumowisko z wyszczerbionego muru. Dwadzieścia metrów za ostatnią jamą leżał przeogromny kawał litego bazaltu. Tkwił tam pogodnie i niewinnie w niewielkim dołku własnej roboty.

Hunnarowi wyrwało się coś bardzo zjadliwego, czego Ethan nie umiał przetłumaczyć. Rycerz biegiem ruszył do zamku. Z kilku wież sofoldiańskie katapulty zaczęły pobrzękiwać w odpowiedzi. Brakowało bardzo dużo, żeby ich mniejsze pociski doleciały do wielkiej wojennej maszyny barbarzyńców.

Obok katapulty szerokim półkolem zebrali się koczownicy. Kiedy stało się jasne, że ich własnej maszynie nic nie grozi, zaczęli wiwatować i drzeć się, i nie przestali, aż wypuszczono następny kamień. Tym razem nie doleciał on do murów, odbił się raz i wałnął w budowlę niecałe dziesięć metrów od miejsca, gdzie stał Ethan. Wstrząs zwałił z nóg wszystkich żołnierzy rozstawionych na tej części murów. Ethan bezzwłocznie podniósł się i wychylił przez parapet, żeby obejrzeć szkodę. Rozkruszony został całkiem pokaźny kawałek skały. Odłamki leżały teraz rozsypane jak żwir, a gładkim kolos spoczywał pośród nich.

– Mamy diabelne szczęście, że nakręcanie tej maszyny zajmuje im tak długo – powiedział September. – Ale mimo to Hunnar będzie coś musiał z tą ich zabawką zrobić, i to szybko. Bo w przeciwnym przypadku Sagyanak może sobie tam siedzieć i dobrze się bawić, a ta jedna sztuka przerośniętej artylerii powoli będzie obracała mury w perzynę.

\* \* \*

Na rozłożoną przed nimi mapę padało migotliwe światło świec, ale nastrój się wcale od tego nie robił mniej mroczny. Balavere, Hunnar, Ethan i September siedzieli przy stole. Dołączył do nich Landgraf i kilku innych najważniejszych sofoldiańskich szlachciców; ci ostatni tworzyli sztab Balavere'a. Jeden ze szlachetnie urodzonych za pomocą długiego, wypolerowanego, drewnianego kija pokazywał krzyżyki i kółka na mapie i dotykał to tu, to tam linii przedstawiającej mur wokół portu.

– Mur został niemal przerwany tutaj, tu i tu. Tu, tu i tu poważnie uszkodzono blanki. Wszędzie, gdzie widzicie znak żądła, znajdują się pomniejsze uszkodzenia rozmaitego stopnia. Nie wspominam już o stratach osobowych, ani o upadku ducha wśród ludzi. Zaczynają coś przebąkiwać o poddaniu się i zdaniu miasta na łaskę Sagyanak. Niewielu jeszcze o tym mówi, ale będzie ich więcej, jeżeli się czegoś nie zrobi.

– Lepiej zdać się na łaskę własnego miecza – powiedział Balavere. – Ale rozumiem, że tak mówią. To nie do zniesienia, siedzieć sobie, patrzeć jak towarzysze są rozplaszczani na placek i nie móc zareagować. – Potrząsnął swoją wielką, okrytą grzywą głową.

– Nie wytrzymamy tego bombardowania dłużej niż jakieś dwa, a może trzy dni, a wtedy osłabią nas w tak wielu punktach, że nie uda nam się powstrzymać ich przed wtargnięciem do portu. A wtedy będzie po wszystkim.

– No to jakoś musimy ich powstrzymać – zareagował z napięciem Hunnar. – Nigdy nie uda nam się przetrwać walki z nimi na otwartym lodzie. Dzisiaj zabiliśmy ich tysiące, ale wciąż jeszcze mają paskudną przewagę liczebną. Czy może jesteście innego zdania? – zakończył na wpół z nadzieją.

Nikt nie uznał za stosowne zakwestionować tej przygnębiającej prawdy.

Ostatecznie Balavere westchnął i podniósł wzrok.

– Niedobry to przywódca, który nie szuka rady, kiedy sam nie ma nic do zaproponowania. Panowie?

Natychmiast odezwał się jeden ze szlachciców.

– Przecież z pewnością nasza technologia przewyższa technologie tych barbarzyńskich dzikusów! Czy nie możemy sobie zbudować broni dorównującej, a nawet przewyższającej mocą ich broń?

– W kilka maletów bez najmniejszych wątpliwości moglibyśmy, Kellivarze – odparł Balavere. – Ale my potrzebujemy jej za dwa dni.

– A czy nie moglibyśmy – zaproponował jeden ze starszych – ustawić kilku naszych mniejszych moydr tak, żeby machina znalazła się w ich zasięgu? Moglibyśmy stamtąd miotać na nią skóry zwierząt z palącym się olejem.

– Czy nie widziałeś, jak oni ją otaczają? – zapytał ze zmęczeniem Hunnar. – Nie udałoby nam się w tajemnicy przed nimi zrealizować takiego planu. Nie udałoby nam się zebrać sił zdolnych do odparcia ataku na taką wysuniętą pozycję.

– Nawet gdyby chronili ją wszyscy nasi nowi kusznicy, którzy musieliby bronić tylko niewielkiego kawałka lodu?

– Nie... – zawahał się Hunnar.

Popatrzył pytająco na Balavere'a.

– Ten pomysł ma swoje dobre strony – odparł generał. – Ale gdyby nic udało nam się szybko podpalić maszyny barbarzyńców, wtedy nawet kusze nie wystarczą, żeby nie dopuścić do okrzyżenia. Nie mogę podjąć ryzyka, że stracimy ich w podobnym przedsięwzięciu. To oni wczoraj przechylili szale na murach na naszą stronę.

– Na ogon krokima, czy jeszcze nie wszyscy zrozumieli, że za kilka dni żadnych murów nie będzie! – zawołał jeden ze szlachciców.

– Tak jak ja to widzę – powiedział spokojnie September – to sprawa jest całkiem prosta, jeżeli pozwolicie że wtrącę słówko, szlachetni panowie?

– Dowiodłeś, że jesteś równy lub lepszy od każdego przy tym stole – powiedział Landgraf, odzywając się po raz pierwszy. – Baczną zwrócimy uwagę, jaka by nie była twoja rada.

– No to w porządku. – September rozparł się na krześle, oparł jedną nogę na stole i zaczął kołysać się tam i z powrotem. – Na ile mogę się w tym rozeznąć, zostało nam tylko jedno wyjście. Trzeba założyć ciepłe gacie, przyjaciele, wymknąć się tylnymi drzwiami i podpalić ten cały szych ręcznie i to jeszcze dziś w nocy.

– Walka w nocy nie przystoi mężczyznom – powiedział jeden ze szlachty pogardliwie.

– Nie przystoi też kończyć życia pod opasłym kawałkiem brukowca – odparł September.

– To niegodne dżentelmena! – narzekał inny, aczkolwiek już z mniejszą pewnością. – W nocy?!

Ethan rozejrzał się i zobaczył, że na pozostałych twarzach maluje się podobne niezdecydowanie.

– Słuchajcie – powiedział September, zdejmując nogę ze stołu i z napięciem pochylając się w przód. – Poinformowano mnie ze szczegółami, co ten Sagyanak robi, kiedy jego Horda dostanie się między wasze kobiety i dzieci. Nie będziecie musieli się martwić, że tych okropności będą oni dokonywali w niemęski i niewytworny sposób, ponieważ żadnego z was w okolicy nie będzie, żeby ich potępić. To znaczy, jeżeli będziecie mieli szczęście... Możecie więc podjąć ze mną tę niepewną próbę, ponieważ ja mam zamiar ją podjąć, czy pójdziecie ze mną, czy nie. Albo możecie ominąć problem etykiety wysyłając na swoje miejsce kilka waszych żon i kochanek. Nie sądzę, żeby miały one przejmować się nadmiernie problemami moralności.

– Stawką jest wszystko, co dla nas drogie i co nam wierne – przerwał nagle Landgraf – a wśród was wciąż można znaleźć takich, którzy by chętnie zasiedli do rozpatrywania subtelnych szczegółów bliżej nieokreślonej etykiety... Niech to wszyscy diabli! – Wstał, nagle postarzały i rozdygotany. – Przywództwo wyprawy obejmą Sir September i Sir Hunnar. Wyprawa ruszy na wroga jeszcze tej nocy. Nikogo jednak nie zmuszam do wzięcia w niej udziału, jeżeli uzna, że choć w najmniejszym stopniu skala to jego honor. Jeśli wyprawa zostanie uwieńczona sukcesem – i tu popatrzył twardo na Hunnara – a musi zostać uwieńczona sukcesem... nie będzie wątpliwości co do honoru tych, którzy poszli... Generale Balavere – ciągnął dalej, zwracając spojrzenie na krępa osobistość – dopilnujesz wszystkich koniecznych szczegółów. Ja muszę się udać na spoczynek.

Wstali. Trzymając w ręce swoją laskę Landgraf oddalił się w mrok, a w jego ślady poszło dwóch strażników osobistych. Pozostali usiedli i coś pomrukiwali. I stopniowo zaczęli z wyczekiwaniem zwracać oczy na tę obcą istotę, która jak jeden z nich zasiadała na ich radzie.

– Ilu? – zapytał stanowczo Hunnar. – Ilu będziesz potrzebował, Sir Skuo? Niewątpliwie jest to przedsięwzięcie śmiałe, tylko dla najwspanialszych rycerzy.

– Myślę, że nie więcej niż dwudziestu – odpowiedział September z namysłem. – Dziesięciu do ciągnięcia tej tratwy z olejem i dziesięciu jako eskorta. Dopilnuj także, żeby wszyscy przebrali się w zbroje i zwierzchnią odzież ze zdobycznych materiałów. W nocy nawet niewielkie przebranie może mieć znaczenie. Jak chodzi o mnie, no cóż, będziemy musieli wymyślić coś innego.

– I o mnie – powiedział nieugięcie Ethan.

– Zorganizujcie mi jakiś hełm, nisko zabudowany z przodu – zakończył potężny mężczyzna. Odwrócił się do Ethana, kiedy wokół stołu zaszumiało od rozmów.

– Słuchaj no, mój chłopcze. Nie ma żadnej potrzeby, żebyś brał w tym udział. To będzie sam środek nocy. Temperatura spadnie w iście otchłanne rejony, a mróz będzie taki, że człowiekowi skórę na twarzy wypali, jeżeli tylko mu się zepsuje ogrzewacz. Jeżeli kogoś zwałoby w taką noc, nigdy byśmy go nie znaleźli.

Ethan zastanowił się. Ostatnia nocna wyprawa, w jakiej brał udział, odbyła się w towarzystwie uroczej, młodej damy na świeciece kolonijnym Gestalt. Dama spędziła tę balsamiczną noc wprowadzając go w pewne wyszukane warianty teologii Kościoła. Nawrócenie było krótkotrwałe, chociaż ekstatyczne. Teraz mieli przed sobą nagą, czystą powierzchnię innego świata. Bez specjalnego ochronnego wyposażenia człowiek zamarłby tu w kilka sekund. Mróz w gryzał się w zęby, jak stare wiertło dentystyczne.

– Idę z wami.

– Niech to spadnie na twoją głowę, chłopcze.

– Ja też idę – doszedł do nich głos z tyłu sali. Wszyscy odwrócili się w milczeniu. Ethan podniósł się i zobaczył szerokie bary jednego ze szlachetnie urodzonych.

Darmuka Brownoak, prefekt Wannome, szedł powoli w ich stronę, z zimną krwią zapinając swoją wykładaną srebrem zbroję.

\* \* \*

W nocy otwarte pole lodowe bardziej niż kiedykolwiek przypominało białą pustynię. Przeszli przez górską przełęcz i przybyli do małego, opuszczonego miasteczka na lodowym wybrzeżu na południowej części Sofoldu. Mieli nadzieję, że żaden z wartowników nieprzyjaciela nie wypatrzył, jak odbijali od maleńkiego pomostu.

Ethan leżał na brzuchu, dziwacznie ukształtowana zbroja wpijała mu się w żebra. Wczepił się palcami w rękawicach w szorstkie drewno sań. Przepyszny, barbarzyński hełm podskakiwał mu niezgrabnie na głowie, przytrzymały go na miejscu maska i rzemyki. Gogle nie pozwalały gałkom ocznym zmienić się w gałki lodowe.

Sofoldyjscy żołnierze zaprzęgli się do sań po pięciu z każdej strony; uprząż mieli przełożoną przez piersi. Wiatr wiał im niemal prosto w plecy; mknęli z prędkością, która zdawała się dosłownie wydierać Ethanowi oddech z płuc. Nawet wiatr tej nocy wydawał się silniejszy niż zwykle. Przynajmniej ten wachlarzowaty hełm nieco go chronił. Gdyby tak jeszcze przestał ocierać.

Z trudem odwrócił głowę, wykładany futrem metal zaskrzypiał o drewno; udało mu się przelotnie zobaczyć światła w czarodziejskim zamku Wannome, który jak sen unosił się na pionowym, południowym urwisku wyspy. Oni tymczasem pędzili do innych światła, do tysięcy razy większej ilości światła rozsypanych po bezkresnym obszarze obozu barbarzyńców. Maszerowały one nie

kończącym się, migotliwym pochodem na południe i wschód.

– Pamiętaj no, chłopcze – tłumaczył mu September – jeżeli ktoś się do ciebie odezwie, udawaj, że jesteś głuchoniemy. Niech Hunnar i jego dwaj rycerze całe gadanie wezmą na siebie.

Ethan z trudem zdobył się na na wpół zamrożoną skórę głowy. Gdyby na kogoś natrafili po drodze, mieli mówić, że są jednym z małych patroli, które plądrowały opuszczone miasta i wioski w nadziei, że znajdą jakiś zapomniany schowek z jedzeniem, wyposażeniem czy czymkolwiek, co warto by ukraść. Włamali się do podziemnego magazynu pełnego zapasów – baryłek z olejem wołowym, na przykład – i trochę za dużo czasu zajęło im wyłapanie niewielkiej porcji trunków, jakie tam odkryli. Zanim się zorientowali, lód, który zjada słońce, dokonał swego szpetnego czynu. Teraz próbowali wśliznąć się z powrotem do obozu, zanim ten ich kapitan-rzeźnik, Slattunved, zdoła odkryć ich nieobecność.

Ethan, który niemal zawodowo nieraz brał pod lupę różne śliskie historyjki, wybrał tę opowieść i oświadczył, że jest ona dość prawdopodobna. Umiał ludziom kit wciskać i miał na to ucho. Mimo to wystarczy jeden gest nie na miejscu, jedno słowo i zaleje ich dziesięć tysięcy rozbudzonych koczowników.

– Tam, tak mi się zdaje, widać ją, chłopcze.

Ethan podniósł wzrok, przymrużył oczy. I rzeczywiście, na tle cętkowanego nieba rysował się czarny kontur. Nie było wątpliwości co do sylwetki wielkiej katapulty. I nagle zaczęli zwalniać. Jeden z rycerzy bez upręży opuścił troszkę prawe skrzydło i podjechał w pobliże sań.

– Ostrożnie teraz. Patrol nadchodzi.

W wyjąłym wietrze, co najmniej sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, pomyślał Ethan dygocąc, rysowały się sylwetki Hunnara i innych rycerzy, którzy wryli się w lód, usiłując zahamować i stanąć. Opuścił hełm na maskę, przycisnął mocno ręce do boków, wcisnął dłonie pod pierś i rozpląszczył się na zimnym drewnie.

Gdzieś od przodu dobiegały słowa Hunnara, który ochryple przemawiał do kogoś, kogo nie było widać i tłumaczył, jakie to niesłychane szczęście miała grupa zaopatrzeniowa, że odkryła wielkie zapasy oleju dla namiotu Bicza, niestety nie było tam żadnego jedzenia. Potem usłyszał, jak jeden z barbarzyńców pyta w dziwnym dialekcie: „A ci dwaj?” Już sobie wyobrażał, jak kroki zbliżają się, jakaś ręka podnosi hełm. Potem okrzyk zdumienia i przerażenia na widok jego obcej twarzy... a przecież po wczorajszej bitwie na murach na pewno wrogowie wiedzieli o ich obecności. Nagłe uderzenie ostrej klingi, krzyk, tryskająca krew...

– Och, oni? – odparł Hunnar gładko. – Ten karzeł tam tak wstydzi się swojego wzrostu, że usiłował wlać w siebie dwa razy tyle ridilu, co inni. Nawet jak go zanurzyliśmy w świeżo stopiony lód, nic nie pomogło. Ten drugi wypił akurat tyle, że zaczęło mu się wydawać, że jest gutorrbynem. Usiłował polatać sobie, startując z dachu stodoły jakiegoś chłopka. No i poleciał, pewnie że poleciał – prosto w dół.

Nastąpiła pełna napięcia przerwa. Potem dowódca patrolu zaczął porykiwać ochryplym, urywanym śmiechem.

Koniec końców udało mu się opanować.

– No, to lepiej zawieź ich prosto do obozu – prychnął w końcu – zanim znajdzie ich twój kapitan, bo ich żywcem ze skóry obedrze. Jeżeli Miotacz Śmierci przerwie mury tych szaleńców, jutro będziemy atakować.

– Nigdy tego nie odżałują – odparł Hunnar – jeżeli ominie ich plądrowanie.

Pożartowali jeszcze trochę, zbyt cicho, żeby Ethan mógł dosłyszeć. A potem znowu jechali do przodu, chociaż teraz dużo wolniej. Uniósł leciuteńko głowę i zobaczył, że są znowu sami na lodzie. Widocznie patrol pojechał dalej swoją drogą na zachód, halsując pod wiatr.

– Wyszliśmy na prostą? – zapytał September tak ostrym szeptem, że Ethanowi niemal wymknął się z palców zaczep, którego się trzymał.

Kompletnie zapomniał o swoim potężnym towarzyszu. Podczas tej całej wymiany zdań September leżał jak martwy.

– Nie spodziewałem się, żeby mieli mieć jakieś problemy z rozmową – odparł Ethan – ale żołądek podjechał mi w pół drogi do gardła. – Na te słowa September zachichotał. – Przez chwilę, kiedy padło pytanie o „tych dwóch”, już widziałem oczami wyobraźni siebie w postaci rozsmarowanej po lodzie papki.

– I tak masz szczęście – odparł September. – Ja byłem taki zajęty przygotowaniem do wyjazdu, że zapomniałem pójść się odlać.

Spotkanie z patrolem to musiał być jakiś dobry omen, ponieważ przez resztę drogi żywej duszy nie spotkali. Nocny atak był najwyraźniej czymś równie nie do pomyślenia dla koczowników, jak dla elity rycerzy na zamku. U stóp wielkiej maszyny oblężniczej wszyscy poza jednym strażnikiem pogrążeni byli w miłym, głębokim śnie. Namioty, z których dochodziło pochrapywanie, przybito kołkami do lodu; korzystały z osłony przed wiatrem, jakiej dostarczała katapulta.

Strażnik zauważył, jak się zbliżają i poszifował do nich, zupełnie niczego nie podejrzewając. Prawdopodobnie ciekaw był, co też grupa jego towarzyszy robi na lodzie tak późno w noc z tratwą pełną beczulek i z dwoma nieruchomymi ciałami.

Na spotkanie wyjechał mu Hunnar. Powiedział to samo co i wcześniej dowódcy patrolu, opisując ich częściowo uwieńczony sukcesem wypad. Potem poczęstował tamtego „ukradzionym” słodziakiem. Strażnik z wdzięcznością prezent przyjął.

– Miotacz Śmierci dobrze się dziś spisał – zagaił Hunnar. – Żałuję, że nie mogłem być bliżej, żeby zobaczyć strach na twarzach tych głupich mieszczuchów. – To ostatnie słowo wypowiedział pogardliwym tonem, jaki barbarzyńcy mieli dla każdego, kto był tak pozbawiony rozumu, że mieszkał stale w jednym miejscu, zamiast swobodnie wędrować z wiatrem.

– Załoga miała dziś trochę kłopotów z wyregulowaniem zasięgu – przyznał strażnik – ale jutro doprowadzą to do perfekcji. Z pewnością zrobimy wyłom w murach, może nawet w kilku miejscach. Niektórzy powiadają, że atak może nawet nie być konieczny. Kiedy runą mury, ci głupcy wreszcie sobie uświadomią, jak niemożliwa jest ich sytuacja i się poddadzą. Tak będzie nawet lepiej. – Wyszczерzył zęby w okropnym grymasie. – Będzie więcej jeńców do zabawy.

– Prawda – zgodził się Hunnar. – Ale słyszałem, że Miotacz Śmierci niemal się dziś przeforsował. – Pokazał w górę. – Spójrz, czy to przypadkiem nie jest jakieś pęknięcie w więzadłach? Tam, na ramieniu. Tak długo nie był używany, że mógł zbutwieć.

Strażnik odwrócił się, żeby popatrzeć.

– Nie widzę żadnego pęknięcia. Ale czekaj, przecież Miotacz Śmierci był używany tylko cztery kувity temu, podczas ćwiczeń w czasie normalnej konserwacji. – Zaczął się odwracać, podnosząc głos. – Kim...?

Sztylet Hunnara przebił mu gardło i rozerwał krtań. Strażnik zacharczał, zachwiał się i bez głosu opadł na lód. Hunnar wytarł ostrze o spodnie.

– Tak jest, chłopcze! – powiedział September, gramoląc się na nogi i klepiąc Ethana po ramieniu. – Chodźmy!

– Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, wolałbym tę część opuścić. Zostanę tutaj.

– Aha. – September popatrzył na niego ze zrozumieniem. – Wiem, chłopcze. Nie ma problemu.

Ethan i czterech innych zaczęli rozładowywać tratwę. Hunnar, September i pozostali rycerze i żołnierze weszli do namiotów po drugiej stronie katapulty i w milczeniu zabrali się do krwawego dzieła wyprawiania śpiących strażników na tamten lwiąt. Zanim skończyli swoje przerażające zajęcie, Ethan i jego towarzysze już wspinali się na drewno i sznury konstrukcji.

– Podaj! – wrzasnął w dół Ethan, trzymając się z całych sił konstrukcji obiema nogami. Wiatr szarpał go i bił, ze złością usiłując zrzucić go z wysokiej grzędy.

– Teraz szybko! – rozległ się głos Hunnara. Znajdowali się bardzo blisko głównego skupiska w obozie koczowników.

Wylewali gęsty, syropowaty olej volów na drewno, wzmocnienia i olinowanie, aż niebezpiecznie było się poruszać po nich. Śmierdziało tak przenikliwie, że chyba umarły mógłby się obudzić. Na szczęście wiatr unosił większość woni ze sobą. Gdzieś daleko rozległ się krzyk. Dwóch rycerzy przestało podawać olej na górę i popędziło do źródła głosu. Wrócili w kilka chwil później.

– Dwóch – powiedzieli Hunnarowi i Septembrowi. – Oficerowie. Pewnie wracali do swoich namiotów. Nie wiem, czy zdołali się zorientować, kim jesteśmy, ale na pewno nie mieli wątpliwości, że nikt nie powinien łązić po moydrze nocą. Uciekli, zanim zdołaliśmy do nich dotrzeć.

W kilka minut później potwierdziły to wrzaski, pytania i pełne niepokoju okrzyki z wnętrza obozowiska koczowników. Hałas gwałtownie się nasilał.

– Natychmiast schodźcie! – rozkazał gorączkowo September.

Ślizgając się i zjeżdżając po tłustym drewnie Ethan i pozostali żołnierze zleźli na lód. Przygotowano tuzin pochodni. Zostały porządnie namoczone w oleju, żeby wiatr nie mógł ich ugasić. Kręgiem wyciągnęli je w kierunku Septembra, który na moment przystanął.

– Nie jest najwyższym osiągnięciem naszej technologii i akurat teraz wolałbym dysponować czymś innym, ale cieszę się, że ją mam. – Wyciągnął kosztowną, pokrytą irydowymi ornamentami zapalniczkę Hellesponta du Kane. Zapłonęła jedna pochodnia, potem następna, czarne cienie zatańczyły na lodzie. Okrzyki za ich plecami przybrały na sile. Jeden z rycerzy, który nie niósł pochodni, podjechał w kierunku obozowiska. Wracał teraz krzycząc w ich stronę.

– Spieszcie się! Ktoś nadchodzi.

– Szeroko je porozrzucajcie, rozumiecie – rozkazał September.

Dwanaście ramion wzięło zamach i równocześnie wykonało rzut. Wiatr zdmuchnął tylko dwie z rozpalonych żagwi. Dał zza ich pleców, więc pozostałe poleciały głęboko w konstrukcję. Wydawało się, że ogień ledwie tam się tli, takie maleńkie samotne punkciki. Przez jedną potworną chwilę Ethan obawiał się, że drewno się nie zajmie i że całe ryzyko podjęli na darmo. A potem, niemal równocześnie, wszystkie buchnęły płomieniem.

Z rykiem, który na chwilę zagłuszył wiatr i podnoszące się w obozie krzyki, wielka drewniana konstrukcja trysnęła pomarańczowymi płomieniami, tak jaskrawymi, że przyglądający się ludzie i tranowie musieli sobie zasłonić oczy.

– Do sań teraz, chłopcze! – ryknął September, popychając Ethana i wcale nie starając się przyciszyć głosu.

Tranowie chwycili swoje uprząże i po chwili mknęli na północny zachód szerokim łukiem, który powinien zanieść ich z powrotem do Wannome i przeprowadzić przez główną bramę. Dzięki tak obranej trasie, zastanowił się Ethan, nie wjechali pełnym rozpędem w skraj obozowiska wroga.

Nawet jeśli wszyscy strażnicy w obozowisku wroga zostali teraz postawieni na nogi, nie miało to znaczenia. Wycie i wrzaski brutalnie pobudzonych żołnierzy huczały im głośno w uszach, kiedy pędzili z wiatrem, nabierając szybkości. Kurczowo trzymając się tratwy, Ethan ostrożnie przekręcił się na bok i obejrzał za siebie.

Wieża żółknącej czerwieni, trzaskająca i plująca dookoła ogniem, darła pazurami niebo jak jakieś oszalałe stworzenie, a wiatr oddzierał jej poszarpane fragmenty i niósł ze sobą na zachód. U podstaw płonącego stosu Ethan dostrzegł małe, ciemne, ostro zarysowane figurki.

– Patrz, jak się pali. Patrz, jak się pali! – wrzasnął do Septembra z niemal dziecinną radością.



– Nie ma potrzeby krzyczeć, chłopcze. Jestem tuż przy tobie. – On także leżał na boku i patrzył do tyłu. – Biedaki, wygląda na to, że sami nie wiedzą, co im się przytrafiło, nie?

Coś im gwizdnęło nad głowami.

– Łup! Wycofuję wszystkie wyrazy współczucia. Chyba jednak wiedzą. – Następna strzała wbiła się z łoskotem w podstawę tratwy. – Diabli! – wymamrotał Skua. – Żałuję, że nie pomyślałem, żeby wziąć chociaż jedną kuszę. – Odwrócił się i ryknął do Hunnara, który szifował obok nich. – Zostaw nas, jeżeli trzeba, Hunnarze! Ta tratwa was zatrzymuje.

– Mowy nie ma, przyjacielu.

September spojrział w przód, a potem za siebie, w noc.

– Nigdy się wam to nie uda z nami.

– To równie dobre miejsce i czas, żeby umrzeć, jak inne – odparł pogodnie rycerz. Potem, nie zwracając uwagi na przekleństwa Septembra, został nieco z tyłu za tratwą.

Ethan położył rękę na głównej rękojeści miecza. Z natężeniem rozpaczliwie wpatrywał się w ciemności, ale nie mógł się zdecydować, z ilu osób składa się pościg. Wydawało się, że jest ich więcej niż dwudziestu. Coś uderzyło Septembra z boku w głowę i powaliło go jak obuchem. Ethan odwrócił się w panice.

– Skua! Ciężko cię zranili?

– Bez nerwów, mój chłopcze. – September podparł się na łokciu, obmacał głowę. – Boli. Ale dobrze, że oni te hełmy robią mocne. Cholerne strzały.

Ethan popatrzył z bliska, zobaczył dołek w metalu tuż nad czołem. Gdyby September był tranem, straciłby ucho.

Ścigający byli teraz tak blisko, że Ethan odróżniał poszczególne osoby. Było coś nierealnego w tym, jak coraz bardziej się zbliżali, powoli zyskując przewagę nad niezdarnymi saniami. Kilku żołnierzy zostało w tyle, tworząc ariergardę. Wymach wali teraz do tyłu mieczami i toporami, usiłując równocześnie i uciekać, i walczyć. Jeden ze ścigających pchnął do przodu długą dzidą i trafił sofoldiańskiego żołnierza w skrzydło. Barbarzyńca szarpnął i żołnierz straciwszy równowagę, zwałił się na lód. Zakryli go wrogowie i noc, a oni pędzili dalej. Jeden z koczowników doścignął tratwę od tyłu. Chwycił za drewno i pchnął do przodu włócznią. September zamachnął się mieczem – ciężki topór zostawił w zamku. Grube drewno włóczni rozleciało się. Koczownik zaklął i zadał cios drzewcem, rękojeścią do przodu. September odparował, ciął i szpetnie rozciął rękę barbarzyńcy, który został w tyle, trzymając się za krwawiącą kończynę.

Naokoło sań zaczynał się robić tłok. Padł jeden z zaprzężonych żołnierzy i teraz jego bezwładny ciężar tylko ich hamował. Inni byli zbyt zajęci, żeby go odciąć. Równoczesne utrzymanie szybkości i walka powoli stawały się niemożliwe.

Zawracali teraz już w kierunku bramy do portu. Ethan dokonał w myśli pospiesznych obliczeń. Nie ma szans, żeby im się udało. Zanim dojadą, tamci ich pokonają. Może du Kane'om i Williamsowi uda się kiedyś bezpiecznie dotrzeć do placówki. Jeden z koczowników podsifował z zachodu i niemal sfrunął na tratwę. Ethan niezgrabnie zamachnął się mieczem, ale ostrze tylko odskoczyło od zbroi tamtego. Pieczyste, muskularne ciało uderzyło w Septembra, nóż miało w pogotowiu i tych dwóch wzięło się za bary na chwiejących się, podskakujących saniach. Obcy próbował ściągnąć potężnego mężczyznę z tratwy na lód. Ethan rozpaczliwie wyciągnął ręce. Złapał Septembra za nogę w samą porę, żeby nie dopuścić do fatalnego upadku. Kątem zalanego potem oka zobaczył niewyraźnie drugiego wroga, który podjechał blisko rufy z gotową do pchnięcia włócznią. Właśnie zastanawiał się, czy puścić Septembra, żeby odparować sztych włóczni, czy mieć nadzieję, że jego zbroja wytrzyma pierwsze pchnięcie, kiedy coś uderzyło barbarzyńcę od tyłu z taką siłą, że niemal go przecięło na pół. W ułamku sekundy zamieszanie wokół nich nasiliło się dziesięciokrotnie. Septembrowi udało się wyrwać swojemu upartemu wrogowi i zepchnąć go z sań. Wyczerpany uśmiechnął się do Ethana.

– Co się dzieje? – zapytał, nie mogąc się połapać Ethan.

– Mocny był ten facet! – sapnął September. – Musieli zorganizować wypad z miasta!

Tak, teraz już Ethan rozpoznawał zbroje oddziałów Sofoldu; żołnierze odganiaли ścigających od sań i spuszczali im potężne manto. W kilka minut później przemknęli pod łańcuchem bramnym i sieciami i znaleźli się w zimnym łonie portu. Wiatr przycichł do rozmiarów znośnego huraganu. Ethan tak się zasapał, że osunął się na dno sań i było mu już całkiem obojętne, czy wypadnie, czy nie. Szarpnięciem ściągnął z głowy niewygodny, barbarzyński hełm i wyrzucił go daleko na lód.

Leżał tak, kiedy posuwali się powoli w stronę pomostu Landgrafa i wiwatującego, nocnego tłumu. Rozhisteryzowana ludność wrzeszczała i śpiewała, a on gapił się w obce gwiazdy i zastanawiał, na której z nich jest jego dom. Kiedy w końcu przycumowali w doku i zostali powitani przez samego Landgrafa, nawet September nie był w stanie wytłumaczyć, właściwie dlaczego Ethan płacze.

\* \* \*

– Jeszcze długo niczego tą machiną nie będą rzucać, nawet ochłapów dla psów – skomentował September. Opatrzono mu rany i sińce i teraz, w kilka dni po tej rozpaczliwej wycieczce, wyglądał jak nowy.

Po zniszczeniu wielkiej moydry koczowników Horda jakby się przyczaiła. Wyglądało na to, że w przeciwieństwie do tego, co mówił Hunnar, przygotowują się jednak do oblężenia. Ale minął już niemal tydzień i Ethan nudził się tak samo, jak każdy strażnik Sofoldu, który całymi dniami wysiadywał na murach i gapił się na lód. Zabrał się więc do nauki sele, czegoś w rodzaju miejscowych szachów. Elfa podjęła się instruktazą, przy surowym zastrzeżeniu ze strony Ethana, że będzie go próbowała nauczyć sele i absolutnie niczego więcej.

Co dziwne, ich spotkania ciągle przerywała Colette, to prosząc, żeby poszli na spacer, to żeby jej pomógł uporać się z jakimś problemem przy tłumaczeniu – zaczynała już dobrze mówić w tym języku – to pod jakimś innym pretekstem. Parę razy nawet sama podjęła próbę nauczania się podstaw tej gry.

Stawała za jego plecami i pochylając się nisko nad jego ramieniem skupiała niepodzielnie całą swoją uwagę na planszy.

Nie zgodziła się jednak, żeby uszyto jej suknię z miejscowych materiałów; a tymczasem ubranie, w którym tu wylądowała było już postrzępione i wytarte i zawsze, kiedy się nad nim pochylała, Ethan czuł się osobliwie wyprowadzony z równowagi. A chociaż to jego spokój zostawał zakłócony, grę przerywała z niesmakiem Elfa i sztywno oddalała się w obłoku królewskiej urazy.

Szczerze mówiąc, miło byłoby móc powiedzieć, że kompletnie nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dzieje, ale pracował już w licznych wspaniałych miastach i zdarzało mu się działać wśród ludzi uciekających się do podstępów. Wcale nie podobał mu się ten obrót spraw, ale niewiele mógł zrobić. A poza tym niech go cholera weźmie, jeżeli mu to trochę nie pochlebiało. Siedział właśnie w bibliotece, która była fascynującym miejscem, chociaż brak ilustracji w książkach doprowadzał Ethana do wściekłości i zastanawiał się nad tym, gdy zajął tam September. Kiedy Ethan zobaczył wyraz twarzy Skuy, natychmiast przestał narzekać. Skierowali się do tej części zamku, którą Ethan rzadko odwiedzał.

– Co się dzieje, Skuo. Czemu masz taką kwaśną minę?

– Hunnar powiedział kiedyś, że nie potrafi sobie wyobrazić, żeby ci nasi mściciele rozsiedli się na tyłku na dłuższy czas i nie dostali poważnego ataku nerwowej ruchawki. No cóż, miał rację. Oni wcale się nie rozsiedli. W rzeczywistości pracowali chyba przez całą dobę na okrągło.

– To i tak niezbyt długo. Nad czym? – Minęli zakręt i ruszyli w górę rampy. – Jeszcze jedna katapulta?

– Nie. Hunnar twierdzi, że odbudowanie czegoś takiego zajęłoby im parę miesięcy. Widziałem ją, więc mu wierzę. Nie, wydaje się, że ten Sagyanak wymyślił następną niespodziankę i mamy cholerne szczęście, że dowiedzieliśmy się o tym teraz, a nie potem. Ale i tak nie mam pojęcia, co możemy na to poradzić.

Ethana bardzo wytrącił z równowagi pesymizm Skuy. Od początku walki nie zdarzyło się, żeby był taki posepny – do tej pory był jak gdyby wyspą pewności w oceanie chaosu. Jeszcze nigdy Ethan nie słyszał w jego głosie takiego zniechęcenia.

– Skąd dowiedzieliśmy się o tej „niespodziance”? – zapytał w końcu.

– Teleskop czarodzieja – brzmiała lakoniczna odpowiedź.

Kiedy znowu skręcili, Ethan zobaczył, że rzeczywiście kierują się do komnat starego uczonego-czarodzieja. Pokój wcale nie zmienił się od dnia, kiedy odwiedzili go po raz pierwszy i wciąż w nim śmierdziało. Nie byłoby grzecznie zwracać na to uwagę, ale jego wyraz twarzy powinien mówić sam za siebie.

Hunnar czekał na nich, jego mina i mina Septembra pasowały do siebie jak rzadko. Podobnie się sprawa miała z Williamsem.

Odkąd zaczęła się walka, Ethan rzadko widywał nauczyciela. Mijali się z nim na korytarzach, od czasu do czasu dołączał do nich przy posiłkach. Ale w miarę jak rosło ich obeznanie z językiem i ludźmi Wannome, nie odczuwali już tak silnej potrzeby, żeby się trzymać razem. Ethan założył, że nauczyciel jest w odlewni i pomaga trańskim rzemieślnikom w zajęciu najwyższej wagi, jakim było wytwarzanie kolejnych kusz i bełtów. Trochę więc poczuł się zaskoczony, widząc go tutaj.

– Wydaje się, że niemal skończyli, przyjacielu Skuo – powiedział Hunnar zmartwionym głosem. Sprawiał wrażenie zrezygnowanego. – Popatrz sam, Sir Ethanie.

Ethan usadowił się przy prymitywnym acz ozdobnym teleskopie i przyłożył prawe oko do okularu.

– Wyostrza się obraz tą małą gałką po prawej, chłopcze – podsunął mu usłużnie September.

– Dzięki.

Ethan lekko pokręcił gałką i obraz skokowo się wyostrzył. Wciąż jeszcze był nieco rozmyty, ale temu winne były prymitywnie oszlifowane soczewki, a nie jego wzrok. A biorąc pod uwagę, jakich materiałów wannomscy wytwórcy soczewek musieli używać zamiast piasku, teleskop był świadectwem wyjątkowych ich zdolności.

Daleko, wśród solidnie zakotwiczonych tratw barbarzyńców, przygotowywano wielki, otwarty teren. Naokoło jednej, olbrzymiej, niskiej tratwy trwał nasilony ruch. Wielkie, potężne kłody, podobnych do tych, z jakich zrobione były błyskawice do walki ze stawanerem, powiązane razem z ciężkimi, poprzecznymi palami. Powstająca tratwa tworzyła jeden olbrzymi, z grubsza ociosany pokład, osadzony na gigantycznych płozach.

– Odkryliśmy to dopiero dziś rano – powiedział September.

Z tyłu odezwał się Eer-Meesach.

– To naprawdę szczęśliwie, że zdemaskowałem zamiary tego robactwa, bo zaskoczyliby nas bez żadnego ostrzeżenia.

– Do czego to ma służyć? – zapytał Ethan odrywając oko od teleskopu.

– Wydaje mi się, że to dość oczywiste, chłopcze – odparł September. – Popatrz na lewo, na ten wielki stos głazów, który zebrali. Może będziesz musiał trochę ruszyć teleskopem.

Rzeczywiście, na lewo od tratwy cała hurma koczowników wyładowywała ogromne kamienie z ciężko obciążonych tratw i układała je porządnie na lodzie. Niekiedy dwie tratwy szepiały ze sobą, żeby przewieźć jakiś wyjątkowo duży głaz.

– Widzę je – powiedział.

– Budują tam cholernie wielką tratwę – ciągnął dalej potężny mężczyzna. – Takiej wielkiej jeszcze ani Hunnar, ani nikt inny nie widział. Jej rozmiary i konstrukcja, która pozwala te rozmiary osiągnąć, powodują, że praktycznie nie da się nią sterować, ale to nie będzie miało żadnego

znaczenia. – Zacisnął wargi, a jego wystająca broda przecięła powietrze. – Naładują na nią kamieni i głazów, ile tylko wytrzyma, całe tony, zamontują parę monstrualnych żagli, podholują pod wiatr i puszcza. Jak będzie miała za sobą wiatr, przed sobą pusty lód, to się porządnie rozpędzi, nie? To nieprzyzwoicie wielki taran, ot co.

– Czy uda mu się zrobić wyrwę w murach? – zapytał cicho Ethan.

– Obawiam się, że właśnie tak jest, przyjacielu Ethanie – odpowiedział Hunnar. – Już zgromadzili wystarczająco dużą ilość kamieni, a wciąż zwożą więcej. Sądzę, że przejdzie przez mur jak przez volowe masło.

Ethan oderwał twarz od teleskopu.

– Czy zdążycie przygotować się, żeby na czas zablokować wyrwę sieciami i łańcuchami po przejściu taranu?

– Nie mamy drugiego łańcucha takiego jak ten, który strzeże bramy do portu – odpowiedział z żalem Hunnar. – A oni będą podążali tuż za tym potworem. Oczywiście spróbujemy rzucać sieci, ale to będzie bardzo trudne. Nie wiemy, jak wielka powstanie wyrwa, nie będzie też łatwo ją zatkać i umocować sieci, zanim Horda się na nas rzuci. A ciągle musimy być przygotowani do obrony muru na całej długości, żeby się nie wspięli na górę i nie zalali nas w jakimś nadmiernie osłabionym punkcie. Jeśli wedrą się do portu, to po nas. Zaatakują miasto i będziemy zmuszeni porzucić i oddać im perymetr.

Rycerz miał potwornie przygnębioną twarz. Ethan też się zbyt wesoło nie czuł. W zapadłej ciszy odezwał się Williams.

– Myślę, że powinniśmy im to powiedzieć teraz.

– Ale robiliśmy to dotąd tylko na taką niewielką skalę – odparł czarodziej. – Niemniej muszę się z tobą zgodzić. To może pomóc.

– O czym wy dwaj papłacie? – zapytał ostro Hunnar.

– Wielki czarodziej Williams pokazał mi wiele rzeczy – powiedział Eer-Meesach, nie zwracając uwagi na brak szacunku Hunnara. – Ta kusza, w której tak rozkochali się twoi łucznicy, młodziku, jest wynikiem wielu przemyśleń. Mamy jeszcze coś, co może się przydać.

– Ale nie jestem pewien, jak to zastosować! – powiedział Williams niemal błagalnie. – Nie mamy ani odpowiednich urządzeń, ani czasu, ani w ogóle nic!

– No cóż – powiedział September – w każdym razie przypatrzmy się temu czemuś. Nigdy nic nie wiadomo.

## ROZDZIAŁ X

Wielu ludzi w mieście pracowało ostatnio na okrągło, na dwie a nawet trzy zmiany, ale tej nocy ożywienie w Wannome było jeszcze większe niż zwykle. Gdyby szpiedzy Sagyanak mogli zajrzeć za mury otaczające port, na pewno łamaliby sobie głowę, jaki właściwie może być sens tej pracy, która wrzała na linii brzegowej i na zamkniętym murami lodzie. Lampy napełnione olejem volów i pochodnie oświetlały dyskretnie całą scenę. Jeszcze bardziej zaintrygowałyby ich chyba gorączkowa działalność w niektórych górskich rozpadlinach i w pewnych częściach porzuconych przez ludzi terenów i miast oraz ogromne ogniska, od których światła aż dygotał główny rynek.

W jednej z komnat warownego zamku, wysoko na wieży, rada wojenna Sofoldu prowadziła właśnie ożywioną dyskusję.

– A ja twierdzę, że to zbyt niebezpieczne! – wykrzykiwał jeden ze szlachciców. Strzelił pięścią w potężny stół. – To zbyt nowe, zbyt obce. To nie dla nas.

– Nonsens! – odparował Malmeevyn Eer-Meesach, zajmujący miejsce w pobliżu Landgrafa.

– Kusze są równie nowe i obce – dodał Hunnar.

– Wcale nie. To tylko odmiana naszego swojskiego łuku. Ale to... to jest dzieło Złego!

– Taki zły to znowu nie jestem – powiedział Eer-Meesach.

– Nie żartuj sobie, stary człowieku – parsknął szlachcic. – Przynajmniej jeśli chodzi o mnie, nie czuję się zdruzgotany przez te twoje uczone bzdury.

– Ale poczujesz się zdruzgotany, o zacny panie – zganił go Hunnar – jeżeli nie uda nam się przygotować na tę chwilę, kiedy taran przedrze się jutro do portu!

– Czy naprawdę będzie on w stanie przerwać wielki mur? – zapytał inny rycerz z niedowierzaniem.

– Nie widziałeś go, Suletjo – powiedział generał Balavere poważnie. – Tak, przerwie mur. Jeżeli tylko nie uderzy pod zbyt ostrym kątem, a nie sądzę, żeby było wiele szans, że tak się stanie. Chociaż – tu przerwał z namysłem – jak już ten taran ruszy, trzeba by z tysiąc ludzi, żeby zmienić choć trochę jego kurs.

– Jeżeli ta wasza nowostka nie zadziała tak, jak mówicie – powiedział stary burmistrz jednego z większych miasteczek – wszyscy zapadniemy się do środka ziemi.

– Powtarzam wam – zaczął September, ale przerwał i bezradnie rozłożył ręce; omawiali ten szczególnie problem już kilkanaście razy. – Sofold jest równie bezpieczny jak tron Landgrafa, a nawet bardziej.

– Wszystko to może być prawda – odparł stary burmistrz i podrapał się po karku – ale na to mamy tylko wasze słowo. Żądacie, żebyśmy zbyt wiele przyjęli na wiarę.

– Wiem, wiem – powiedział September. – Gdybyśmy mieli więcej czasu... ale tak, moim zdaniem, mamy tylko tę jedną jedyną szansę.

– A przecież mówisz, że nie zapobiegnie to przebiciu murów przez taran.

– Nie. I nie ma sposobu, żeby go powstrzymać. Nie sędzę, żeby pozwolili nam jeszcze raz podejść tak blisko. Ale potem może to nas wszystkich ocalić.

– A jeżeli zawiedzie?

– To możecie robić, co chcecie, z tymi resztkami, które zostaną po moim trupie, kiedy skończy z nim Sagyanak.

– Co za wspaniała rekompensata, co za satysfakcja! – roześmiał się głucho inny rycerz.

– Generale? – Landgraf zwrócił się do swojego głównego doradcy wojskowego i złożył ten problem na jego ramiona.

– To najtrudniejsza decyzja, jaką kiedykolwiek musiałem podjąć – zaczął stary żołnierz. – Trudniejsza nawet niż pierwotna decyzja o podjęciu walki. A to dlatego, że są tu próbie – my, które wykraczają poza sprawy wojskowe. Musze postąpić wbrew wszystkiemu, czego nauczyłem się o tym świecie jako kocie. A przecież... a przecież... nasi obcy przyjaciele mieli rację w tak wielu sprawach. I zawsze istnieje szansa, że ustawią taran niewłaściwie albo że wiatr im zmieni kierunek i taran uderzy w mur pod kątem i go nie przerwie, a może nawet całkowicie go ominie.

– Nie uchylaj się od odpowiedzi, Balu – łagodnie zbeształ go Landgraf.

Dwaj starzy tranowie popatrzyli na siebie uważnie. A potem Balavere lekko się uśmiechnął.

– Nigdy bym tego nie zrobił, Torze. Plan Sir Septembra jest godzien polecenia. Chciałbym zobaczyć to, co obiecuje... nawet gdybyśmy mieli zapaść się do środka świata.

– A więc niech się tak stanie – oświadczył Landgraf.

Wszyscy się podnieśli.

– Za waszym pozwoleniem, panowie – powiedział September – czarodziej Williams i ja musimy zejść na przystań. Mamy mnóstwo do zrobienia, zanim lód wypluje słońce. – Odwrócił się do Ethana. – Chłopcze, dopilnujesz gromadzenia materiałów?

– Natychmiast. Jeszcze jedno, du Kane też chce pomagać.

– Niemożliwe? – powiedział September. – No to weź go ze sobą. Niech mi się ten stary błazen nie płacze pod nogami; ale cieszy mnie, że wreszcie dociera do niego rzeczywisty świat.

Ethan ruszając korytarzem zdał sobie nagle sprawę, że jego sympatia leży po stronie du Kane’a, a nie Septembra. Wiedział, że finansista może im się przydać, że padł on tylko ofiarą szoku kulturowego i wiary we własną wszechmoc. Zbyt często jego samego nachodziły podobne uczucia, od kiedy rozbili się na tej pierwszej wysepce.

\* \* \*

Następnego dnia wiatr wiał od zachodu, potężnie i równomiernie – idealnie dla potrzeb koczowników. Ethan przywarł do murów zamkowych, chroniąc się przed huraganem.

W nocy wielki taran został ukończony i odsunięty poza zasięg nawet teleskopu czarodzieja.

– Przesuwają go tak daleko na zachód, żeby miał się gdzie rozpędzić – wyjaśnił Hunnar. – Temu potworowi potrzebne będzie z tuzin kijatów, żeby nabrał takiej szybkości jak tratwa.

– Nie wiem, czemu sobie tym zwracają głowę – powiedział September. – Do zwałenia muru powinna wystarczyć nawet połowa tej odległości.

– Z całym szacunkiem, przyjacielu September, podejrzewam, że nie chodzi im tylko o zwałenie fragmentu muru; oni chcą zrobić w murze wyrwę na przestrzał na tyle szeroką, żeby mogła tamtędy przejechać sporych rozmiarów tratwa.

– Chyba nie myślisz, że będą chcieli wjechać do środka na tratwach, prawda? – dopytywał się September. – Nie, żebyśmy teraz cokolwiek mogli zmienić.

– Nie, do tego trzeba by zaiste mieć ogromne umiejętności. Wystarczyłoby kilka sporych głazów, żeby zablokować tratwę, przewrócić ją i zastawić wyrwę. A moglibyśmy podjąć takie próby. Ale poszczególni żołnierze mogą przedostać się przez wyrwę pomimo takich przeszkód i to zanim zdołalibyśmy ją czymś zablokować.

– A nie sądzisz, że mogą nabrać podejrzeń, natknąwszy się na coś takiego? – ciągnął dalej potężny mężczyzna.

– Sagyanak czy Olox, czy ktoś taki mogliby na to wpaść. Ale nie sądzę, żeby ci mordercy mieli tyle odwagi, by znaleźć się w pierwszym szeregu atakujących. A prosty wojownik będzie widział tylko tyle, że między nim a bezbronnym miastem leży otwarty lód. Dla takich zwierząt jak oni będzie to pokusa nie do odparcia.

– Wypróbujmy jeszcze raz odbłyśnik – zaproponował September.

– Bardzo dobrze.



Na ich stanowisku obserwacyjnym, wysoko na południowym przedpiersiu zamku znajdowały się dwa takie wypolerowane do połysku urządzenia, na wszelki wypadek, gdyby jedno z nich zawiodło lub się rozbiło. September wydał rozkazy dwóm operatorom.

– Powiedźcie Williamsowi, że wciąż nic nie widać. I natychmiast wyszkoleni łącznościowcy uruchomili swoje odbłyśniki. Boczne lusterka skierowały słońce na centralne zwierciadło. Jeszcze nie skończyli, a od strony portu nadleciał migot odpowiedzi.

– Potwierdzają „bardzo dobrze, czekamy”, panie.

– Wspaniale. Dzięki – odparł potężny mężczyzna.

Musieli czekać jeszcze godzinę, zanim dostrzegli wielki taran. Żołnierze koczowników ustawili się w znaną im półksiężycową formację, równoległą do murów portu. Podobnie jak kilka dni temu w ich szeregach nie było braków ani wyrw. Nic nie wskazywało na to, skąd nadejdzie taran. Koncentracja oddziałów jak zwykle była większa od strony południowej. Nikt jednak nie spodziewał się, żeby taran miał przyjechać z północy albo ze wschodu, pod wiatr. Przy tym ataku nie miało być żadnych mylących manewrów.

Chociaż tego straszliwego pierwszego dnia zebrali tak obfite żniwo wśród swoich dręczycieli, ci wciąż jeszcze mieli wielką przewagę liczebną nad obrońcami Sofoldu. A jednak było coś, co dodawało obrońcom otuchy. Szeregi barbarzyńców wciąż jeszcze wprawdzie ciągnęły się nieprzerwaną linią, ale nie sprawiały już wrażenia nieskończonych.

Jak zwykle to Hunnar pierwszy wypatrzył to, na co czekali.

– Tam! Nad ich głowami, nad tą ciemną plamą na lodzie. Ethan wychylił się za mur i przymrużył oczy. Niemal w tej samej chwili wrogowie zaczęli odsuwać się, rozdzielać. W ich szeregach pojawiła się olbrzymia wyrwa.

W pierwszej chwili taran wyglądał jak maleńka kropka, ale gwałtownie rósł. Po chwili wydawał się już tak wielki jak stawaner, chociaż nawet w przybliżeniu taki nie był. Ale mimo to był przeogromny, większy niż największa tratwa jaką Ethanowi dotąd zdarzyło się widzieć. Dziwacznie połyskiwał w świetle słońca.

– Od czego tam się tak światło odbija? Chyba nie od kamieni?

– I tak, i nie, przyjacielu Ethanie – odpowiedział spokojnie Hunnar. – Po prostu wytopili wodę i oblali nią kamienie. Kiedy zamarzła, zmieniła ten ładunek w jednolitą bryłę.

Wśród wannomskich obserwatorów zapadło milczenie, tak wśród tranów, jak i ludzi. Taran coraz to bardziej się zbliżał, nadciągał ze spokojną nieustępliwością zaćmienia. Z dali nie dobiegał żaden dźwięk, ani dudnienie silników, ani huk płomieni rakiet. Ten niszczycielski moloch był niemy.

Nie odwracając się September powiedział do operatorów odbłyśników.

– Nadać do czarodziejów sygnał „pogotowie”.

Taran robił się coraz większy, z chwili na chwilę widać go było coraz wyraźniej, przejechał przez przygotowaną w szeregach koczowników przerwę. Rozchwiany od pędu niktął w ich stronę z szybkością pewnie dwustu kilometrów na godzinę. Półksiężyc barbarzyńców z rykiem ruszył za nim.

– Trzymać się! – rozległy się krzyki z kilku miejsc na murach.

Taran uderzył.

Wstrząs pełznął w górę po murach, wywracał ludzi wewnątrz zamku na ziemię. Ethan słyszał, jak w wewnętrznych pomieszczeniach wałą się jakieś kamienne konstrukcje, chwilami dobiegał go brzęk rozbijającego się szkła. Kawał muru o dwie wieże na zachód od głównej bramy rozprysnął się w deszczu kamiennych odłamków. Potępieńczy skowyt kamieni wił się po jego mózgu i z obydwu stron grzmotem uderzał w uszy.

Spadła na nich ulewa skał i połupanego drewna, każdy chronił się, jak mógł. Wielkie odłamki przeleciały aż na drugą stronę portu i tam uderzyły w mur, wyrwijąc całe kawały od wewnątrz.

Taran przejechał na swoich pozostałych pięciu płozach przez dwie trzecie szerokości portu, wlokąc za sobą dwa połamane maszty i morze podartych żagli z pika-piny. Od czystego lodu szpetnymi skazami odbijały głązy i umęczone drewno.

W murze otwarła się wyrwa tak szeroka, że dwudziestu tranów mogło nią iść pierś w pierś. Ciasno upakowany motłoch wrzeszczących, wywijających toporami barbarzyńców w sile tysiąca ciągnął tuż za taranem. Doszli do murów i do wyrwy. Mury zaatakowano dziesiątkami bosaków i drabin obłęzniczych, zaciśnięto liny. Wyjąc krwiożerczo hurma koczowników zaczęła roić się po wyrwie, gotowa zdruzgotać każdego, kto by próbował stanąć jej na drodze.

Ci, którzy byli przy murze, wdrapali się na górę i przeszli na drugą stronę. Czekwały na nich tylko puste otwory strzelnicze, opuszczone blanki. Z całego przedmurza niosły się ogłuszające wiwaty. Dotarli od wewnątrz do wielkiej bramy. Zamknięcie Wielkiego Łańcucha zostało zatopione, ale nie dopuszczające do portu sieci podcinano i świeży strumień gniewnych wojowników wlał się przez główną bramę.

Ethan ujrzał, jak krzykliwie ubrany oficer dojeżdża do wyrwy, waha się i niepewnie rozgląda, wyraźnie zaintrygowany nieobecnością obrońców. Na przedpiersiu zamku Ethan zastygł w napięciu. Ale tego ostrożnego oficera zniosła z wyrwy i poniosła do portu ciasno upakowana rzeka atakujących koczowników.

Niektórzy z barbarzyńców zaczęli biec po szczycie murów w stronę zamku i miasta. Biegli, ponieważ ścieżki lodowe zostały stopione i porąbane tak, że stały się bezużyteczne. Doszli do miejsca, gdzie mur wchodził do samego zamku i tam zatrzymała ich lita, kamienna bariera i grad strzał z góry. Kilku zaczęło bez rezultatu walić w zamurowane wejścia. Niektórzy usiłowali się wspinać po nagich kamieniach, ale tych z łatwością jednego po drugim zestrzeliwali łucznicy z góry. Większość zawróciła i rozpościerając skrzydła na pół zjechała, a na pół opadła na zdobyty bez walki lód.

Port szybko wypełniał się wrzeszczącymi, rzucającymi się wojownikami, którzy kręcili się w kółko w poszukiwaniu kogoś, z kim można by się pobić. Zaczynali miotać się bez celu, straciwszy pewność siebie. Cała masa chwiała się niezdecydowanie, przesuwała, potem jak jeden mąż z okropnym krzykiem ruszyli w stronę nie bronionego miasta.

Na wybrzeżu w pełnej sile czekało na nich to, co zostało z sofoldiańskiej armii.

Pojawiły się zamaskowane bariery i rzędy zaostrzonych kołów, powiązanych kolczastymi powrozami z pika-piny. W te mocne, niemal nie dające się zerwać sznury, powbijano mozolnie zaostrome odłamki szkła, drewna i metalu. To September a nie Williams nauczył tubylców, jak sporządzić przyzwoitą imitację złożonego w harmonijkę drutu. Grad włóczni, bełtów z kusz i strzał powalił setki zaskoczonych wrogów podczas tego pierwszego, zaskakującego kontrataku.

To tylko ostatnia linia oporu, wyrzaskiwali oficerowie koczowników do swoich ludzi. Jeszcze jeden wysiłek i te wydelikaczone mieszcuchy muszą się załamać! Wielka fala znowu popłynęła do przodu i znowu setki zginęły w ledwie że przykrytych, głębokich dołach, wypełnionych zaostrzonymi kołami, których czubki pomazane były gnojem volów i innymi truciznami. Ukryte fosy szybko wypełniły się jęczącymi, wijącymi się ciałami.

Jeszcze raz, poganiali krzykliwie ubrani kapitanowie, pyszni oficerowie polowi! Jeszcze jeden, ostatni atak i zmiotą tych do granic wytrzymałości osłabionych obrońców. I po raz trzeci masa koczowników potoczyła się do przodu i gwałtownie uderzyła w linie Sofoldu. Rozgorzała walka wręcz w oddzielonych od siebie punktach wzdłuż nadbrzeża. Horda barbarzyńców centymetr po centymetrze posuwała się naprzód, o każdą długość miecza, o każdą długość włóczni toczyła się zażarta walka.

Wysoko na blankach September spokojnie powiedział do swoich łącznościowców:

– Przygotować się.

Potwierdzenie zamigotało z maleńkiej chatki, niebezpiecznie blisko linii frontu. Tymczasem do portu wlewało się coraz więcej wrogów i zwalniało, natrafiając na swoich towarzyszy. Z dziesięć tysięcy koczowników musiało naciskać nieubłaganie na przerzedzone szeregi sofoldiańskiej obrony, a z każdą sekundą przybywało ich więcej, a każdy tran był jak filar nienawiści i furii.

– Teraz – powiedział cicho September.

Rozkaz błysnął w kierunku oczekujących odbiorców. Operatorom odbłyśnika nie brak było odwagi. Nie rzucili się na ziemię, dopóki nie byli pewni, że rozkaz odebrano.

Przez chwilę nie działo się nic.

Przez jedną okropną chwilę wszystko jakby zamarło. Ethan powoli uniósł głowę i wyjrzał przez szczylinę strzelniczą.

Lód zwinął się w konwulsjach.

Wstrząs oderwał go od ziemi i odrzucił na nieustępliwą skałę. Poczuł lepką wilgoć na policzku, ale to było tylko zadrapanie. W ułamek sekundy później usiłował zwinąć się w małą kulkę. Spadł na niego ostry wrzask rozdieranego lodu pomieszany z kawałkami barbarzyńskich zbroi i kawałkami samych barbarzyńców.

Daleko, na leżącym na południowy zachód polu lodowym, Borda-tane-Anst, rycerz Sofoldu, poczuł, jak zatrzęsła się pod nim lodowa ziemia, zobaczył, jak w porcie jego ojczyzny wy – bucha olbrzymia kolumna płomieni i dymu. W myśli radował się, bo zadziałała magia tych obcych czarodziejów, ale w głębi duszy przerażony był niemal śmiertelnie.

Ziemia nie rozwarła się pod ich stopami. Pociągnął za skraj śnieżnobiałej opony, pod którą przeleżał cały ranek, podniósł się i machnął mieczem na prawo i na lewo. A potem razem z sześciuset wyborowymi sofoldiańskimi żołnierzami rozpostarł dany i ruszyli nieubłaganie na tyły obozowiska koczowników. Oprócz mieczy i włóczni każdy z nich niósł pochodnie.

Kiedy wiatr odwiał dym przed ich oczami ukazała się dantejska scena w porcie. Nie było kurzu, ale kłujące, oślepiające cząsteczki lodu wciąż jeszcze wisiały w powietrzu i Ethan wdzięczny był, że ma gogle. Z dołu dochodziła okropna kakofonia głosów, tym razem podnoszących się nie z wezwaniem do walki, ale świadczących o bólu, strachu i grozie. Dwóch mężczyzn patrzyło nie zwracając uwagi na to, co wyprawia Hunnar. Tego, zwykle tak pełnego godności, że aż niemal chłodnego, poważnego, młodego rycerza opuściła wszelka powściągliwość i podskakiwał naokoło jak kocię, łapiąc w objęcia każdego zbrojnego, który mu się nawinął i wydając okrzyki radości.

Nieprzeliczone mnóstwo barbarzyńskich żołnierzy, którzy przed chwilą jeszcze stali w porcie, leżało teraz martwych lub umierało od straszliwych ran. Lód popękał od setek ładunków, ale nie otworzyła się w nim otchłań w mroźne głębiny. Oszacowania Eer-Meesacha i Williamsa okazały się poprawne. Lód był w tym miejscu dużo za gruby, żeby takie starożytne materiały wybuchowe mogły go poważniej uszkodzić.

Mur okalający port nie okazał się aż tak mocny. Kilka jego partii wyglądało tak, jak gdyby za chwilę miały się zawalić. Zapalniki i detonatory nauczyciela, zrobione z potraktowanej jak złom szalupy ratunkowej, skutecznie wypełniły swoje zadanie. W odstępach kilku sekund jeden po drugim wybuchły setki ładunków.

W nocy wytopiono lejkowate dziury w lodzie, potem wypełniono je szkłem, metalem, kością, kawałkami drewna i gromadzonymi przez rok opiłkami brązu, żelaza i stali, pierwotnie przeznaczonymi do ponownego przetopienia w wulkanicznych odlewniach. Wypełniono je wszystkim, co mogło ciąć i rozdzierać. Te prymitywne szrapnele zostały zalane wodą i podczas nocy ponownie zamarzyły. Położyło to barbarzyńców jak pokos trawy.

I oto sponiewierana, osłabiona armia Sofoldu wylała się spoza barykad i prowizorycznych wałów, wyjąc i krzycząc nie gorzej od swoich podobno mniej cywilizowanych dręczycieli. Topory, miecze i włócznie spadały bez różnicy na zdrowych i rannych. Ethan podniósł się niepewnie na nogi i odwrócił wzrok od tej przyprawiającej o mdłości rzezi.

Wielu z tych, którzy przeżyli wybuch, było w stanie szoku. Musiało im się wydawać, że to ze sto

piorunów wylądowało między nimi. Absolutnie nie potrafili stawić skutecznego oporu pełnym zapału Sofoldianom, dla których wybuch nie był zaskoczeniem. Teraz łucznicy i kusznicy oderwali się od zamku i kamiennej bariery po drugiej stronie muru i zaczęli znowu zajmować stanowiska na szczycie starożytnej budowli. Tylko że teraz strzelali do portu, pojedynczo zabijając tych, którzy jeszcze walczyli albo usiłowali się wycofać. Wciąż jeszcze znaczne siły wroga miały się w oszołomieniu w tył i przód, a co minutę dziesiątki ich padały na lód. Ethan popatrzył na opustoszały teraz już lód, potem odwrócił się i odciągnął Septembra, który przypatrywał się masakrze.

Flotyła tratw nieprzyjaciela płonęła. Niektórzy stawiali żagle i usiłowali uciec, kiedy dosięgał ich ogień. Płomienie rozdmuchiwane przez obojętny, wiejący na oślep wiatr, przenosiły się gwałtownie z jednej tratwy na drugą, a stamtąd na trzy czy cztery następne. Ethan zobaczył, jak na jednej z tratw postawiono żagiel i natychmiast uderzyła go kula ognia z palącej się tratwy z zapasami. W żarłocznym wietrze pika-pina i maszt zajęły się jak papier.

Po lodzie niosły się dalekie krzyki; Ethanowi od tego aż ciarki po plecach chodziły. Zakrył twarz rękami i osunął się w milczeniu jak ogłuszony na ziemię. September położył łagodnie rękę na jego głowie i usiłował go pocieszyć.

– Wiem, co myślisz, chłopcze – zamruczał cicho. – Ale musisz wziąć pod uwagę, ile ci ludzie wycierpieli. Jedyne różnice między nimi a ich odwiecznym wrogiem to trochę wiedzy książkowej i inna filozofia życiowa. Gdzieś w środku to w wysokim stopniu to samo zwierzę... podobnie jak większość ludzi, jeśli ich się przyciśnie do ściany. Dla nich kobiety koczowników i ich kocięta są równie niebezpieczne jak mężczyźni. Nie z powodu tego, co mogłyby zrobić, ale tego, co sobą reprezentują. Czy rozumiesz to?

Ethan siedział nieruchomy jak głaz. Podniósł wzrok.

– Nie.

September mruknął coś i odszedł. Ethan nigdy w życiu nie miał zapomnieć tych dobiegających z daleka przeraźliwych krzyków.

Horda stanęła teraz w obliczu krwiożerczego wroga, za plecami miała ogień; niegdyś dumni, niezwyciężeni wojownicy Nagłej Śmierci rzucali hełmy, broń i zbroje, rozbiegali się i umykali w stronę swoich płonących domów. September usiłował powiedzieć coś Hunnarowi. Rycerz uspokoił się w końcu na tyle, że był w stanie słuchać.

– Ten twój tane-Anst dobrze wykonał swoją robotę, co? Czy starczy mu zdrowego rozsądku, żeby uważać na uciekinierów? Są przerażeni, wielu jest bez broni, ale ludzie w stanie hysterii, a pewnie i tranowie też, nie dbają nadmiernie o własne życie. Może się z tego zrobić trudna bitwa.

– Tane-Anst to dobry żołnierz – powiedział z namysłem Hunnar. – Będzie uważał, żeby jego ludzie się nie rozproszyli.

W końcu Ethan wstał i rzucił okiem na wycofujących się koczowników.

– Ten tane-Anst zabrał ze sobą tylko około sześciuset ludzi, Skuo. Czy ci tutaj nie będą mieli zbyt wielkiej przewagi liczebnej?

– Motłoch nigdy nie ma przewagi liczebnej nad dobrze zorganizowanymi, zdyscyplinowanymi żołnierzami, Ethanie. Pamiętaj o tym.

Ethan odwrócił się i znowu popatrzył w dół, do portu. Lodu dosłownie nie było widać spod przeogromnej masy pokręconych, połamanych, włochatych kształtów i niewielkiego jeziora szybko zamarzającej krwi. Podszedł do niego Hunnar. Rycerz dygotał cały i Ethan pomyślał, że widzi teraz w oczach Hunnara coś z tego, o czym mówił September. Po setkach lat bezradnego płaszczenia się przed Hordą rycerz zaczął wreszcie uświadamiać sobie, co dzisiaj osiągnęli on i jego ludzie.

– Landgraf patrzy na wszystko ze swoich komnat i dobrze widzi, co dokonało się w tej godzinie – powiedział rycerz, a głos mu trochę drżał. – Ale idę przekazać mu oficjalne wieści o jego oddziałach... i przypomnieć mu o danej wam, przyjaciele, obietnicy. Czy pójdziecie ze mną?

– Nie, ta chwila należy do ciebie, Hunnarze – powiedział September.

Rycerz wymienił oddechy i uściski ramion z obydwojma mężczyznami, a potem biegiem oddalił się do zamku. September podszedł na skraj murów i popatrzył w dół do portu. Walka przerodziła się w coś w rodzaju oczyszczania terenu, od którego krew się w żyłach ścinała; sofoldyjscy żołnierze i zaciężni sprawdzali każdego trupa i metodycznie podrzynali gardła tym, którzy jeszcze żyli.

– Może to i nie był najwyższy pod względem moralnym czyn – zaczął September – ale wprowadzając tu proch strzelniczy zapoznaliśmy tych zdecydowanie wojowniczych ludzi z całkiem nowym sposobem wojowania, na złe czy na dobre. I wiesz co? – odwrócił się i popatrzył na Ethana. – Żebyśmy nie wiem jak się starał, nie potrafię sam siebie przekonać, że postąpiliśmy źle.

– Źle czy dobrze – odpowiedział sucho Ethan, ocierając swój rozcięty policzek – taki niemal zawsze jest jeden z pierwszych darów ludzkości, prawda?

\* \* \*

Tego wieczoru na zamku odbył się bal nad balami. Miał sprawić, by choć na chwilę zapomniano o tym, że wielu z najwspanialszych młodzieńców Sofoldu odeszło tego dnia na zawsze w Ciepłe Kraje. Niestety dzielny i skrupulatny tane-Anst znalazł się wśród nich, zginął kiedy osobiście prowadził oddział w pościgu za jeszcze jedną umykającą tratwą. Spalono lub pojmano co najmniej trzy czwarte floty barbarzyńców, a razem z nią wprost bająnskie ilości zbroi, broni i skarbów. A i te statki, którym udało się uciec, nie były nadmiernie zatłoczone. Wszyscy byli wprawdzie mocno rozczarowani, że wśród uciekinierów znajdowała się Nagła Śmierć, ale potęga Bicza została na zawsze złamana. Nagła Śmierć została zdegradowana z niemal boga do zwykłego, dokuczliwego pirata, którego siły rozproszyły się na cztery wiatry. W ramach częściowej rekompensaty wystawiono przy stole na widocznym miejscu głowę Oloxa Rzeźnika, nabitą na wysadzaną klejnotami włócznię. Do towarzystwa postawiono mu czaszki wojowników w wielkim wyborze.

Mała gromadka ludzi siedzących na miejscach honorowych w pobliżu samego Landgrafa widziała

jednak tego dnia zbyt wiele krwi, żeby się tak bez reszty włączyć tej nocy do zabawy. Jedyne September potrafił chyba ze szczerą ochotą dołączyć do ogólnego nastroju.

Ethan z zaciekawieniem przyglądał się siedzącemu po drugiej stronie stołu Hellespontowi du Kane'owi, jednemu z najbogatszych ludzi w tym Ramieniu Galaktyki. A przecież staruszek wciąż miał ten sam wyraz twarzy, jak tamtego dnia na *Antaresie*. Wtedy ich losy zostały w niewytłumaczalny sposób splątane ze sobą z powodu niezdecydowania porywaczy. Apetytu też mu nic nie zepsuło. Pokroił sobie wytwornie plaster pieczeni i pochłaniał go z tą samą precyzją, z jaką bez wątpienia jadał w najwspanialszych restauracjach na Ziemi czy Hivehomie.

Nagle Ethan zapragnął rąbnąć pięścią w tę niewzruszoną twarz. Przez jeden szalony moment myślał, że może ten du Kane to naprawdę sprytnie pomyślany robot, a du Kane z krwi i kości znajduje się zupełnie gdzie indziej i nic mu nie dokucza, no, może jest lekko zdenerwowany utratą jednego cennego automatu. Tłumaczyłoby to parę co dziwniejszych cech tego przemysłowca. Ale nie. Mógł pod pewnymi względami przypominać robota, ale niewątpliwie miał ludzkie uczucia. Podobnie jak jego córka. Był po prostu miłym, nieco zwariowanym, schizofrenicznym starszym panem, posiadającym kilka milionów kredytów i córkę odznaczającą się chłodnym rozsądkiem, jaki prawdopodobnie i jego musiał cechować – kiedyś.

Ethan zajęty był właśnie badaniem, jakie interesujące efekty uboczne może wywołać u człowieka miarowa konsumpcja ridilu, kiedy podszedł Hunnar. Stojąc pomiędzy dwoma mężczyznami położył łapę na ramieniu każdego z nich i nachylił się.

– Trzeba mi się z wami dwoma zobaczyć na osobności – szepnął.

– Oj, nie psuj zabawy – nadął się September. – Siadaj sobie i... – przerwał w pół zdania, kiedy doszło do niego, jaki rycerz ma wyraz twarzy. Malowała się na niej powaga, ale nie tylko.

Opuścili wielką salę, zostawili za sobą błędne światła pochodni, wypolerowane odświeżone zbroje szlachty i rycerzy i suknie ich pań, okryte klejnotami opończe i bluzy, zostawili to wszystko, by pójść za Hunnarem po cichych, zimnych korytarzach, po schodach, na których echo przedrzeźniało ich kroki.

– Czy to droga do naszych pokoi? – zapytał Ethan.

– Tak jest – odparł Hunnar, ale nie wyjawiał nic więcej, mimo podjętej przez Ethana próby.

Z odległych komnat dobiegały do Ethana śmiechy i okrzyki. Inni mieszkańcy zamku świętowali zwycięstwo na swój sposób. Raz, kiedy akurat przechodzili przez mroźną, otwartą galerię, przelotnie otwarł się przed nimi w dole widok na miasto. Na otwartych placach płonęły ognie, paliły się wszystkie pochodnie, lampy i świece w Wannome. Miasto dosłownie przywdziało naszyjnik ze świateł. Uroczystości potrwać kilka dni, powiedział mu generał Balavere, albo do momentu, kiedy wszyscy tak się urzną, że nikt nie będzie już w stanie unieść następnego kufla czy szklanicy.

Ethan zastanawiał się, gdzie podział się Williams. Nauczyciel zniknął gdzieś tuż po tej części uroczystości, kiedy przedstawiono go jako jednego z honorowych gości. Kiedy Landgraf

zaprezentował go i następnie w kwiecistej przemowie obsypywał pochwałami i dosładzał komplementami, mały profesor wiercił się jak pięciolatek przed pierwszym solowym występem. A Eer-Meesach wprost przeciwnie, rozkwitał w świetle pochwał jak tłusty słońceznik.

– Wykorzystałem siarkę z kanałów wulkanicznych i źródeł

– tłumaczył nerwowo Williams zasłuchanej publiczności, złożonej z barwnie poubieranych szlachciców i dam – saletrę ze starych kanałów i węgiel drzewny od ludzi z miasta, którzy palili pocięte drewno, a nawet meble.

Ale na pewno nie łożka! – ryknął jakiś głos gdzieś dalej przy stole. Głos Williamsa utonął w ochryplym śmiechu. Wykorzystując zamieszanie nauczyciel cichutko się wymknął z sali.

I nagle pojawił się tuż za plecami Ethana i szepnął:

– Może później... coś sobie przyp... pokaże ci... duży... dobrze?

Ethan wymamrotał w odpowiedzi coś błyskotliwego w rodzaju „No pewno” i nie zwrócił większej uwagi na nauczyciela. Williams i Eer-Meesach opuścili komnatę. Może po to, żeby podjąć lekcje, jakie trański czarodziej pobierał z astronomii galaktycznej, albo żeby popracować nad wielkim teleskopem, który Williams obiecał mu pomóc zaprojektować.

Skręcili w korytarz, który w ciągu minionych tygodni stał się dla Ethana równie swojski, jak jego własne mieszkanie na Moth. Minęli jego pokój, potem pokój Septembra, potem du Kane’ów, schodzili dalej w dół po rampie, skręcili... Tuż przed nimi stała mała, zwarta grupka żołnierzy. Przejście było jasno oświetlone. Ciężkie drzwi prowadzące do pomieszczenia, w którym Ethan nigdy nie był, stały otworem. Żołnierze rozstąpili się, kiedy jeden z nich zauważył Hunnara i dwóch mężczyzn. Ten ruch pozwolił im zobaczyć leżącą, skuloną postać na podłodze. Wokół niej dostrzegli plamę ciemnego szkarłatu. Ich wzrok przyciągnął tkwiący w plecach żołnierza niewielki, ale śmiercionośny sztylet.

– Szukaliśmy go po całym zamku – wyjaśnił nieporadnie Hunnar. – Nie mamy pojęcia, dokąd mógł pójść, ani jak, ani dlaczego. Mógł się wysliznąć w jakimś momencie podczas walki i zostać trafiony przez strzałę, spaść ze skał. Niewiele ma sensu prowadzenie poszukiwań przed świtem

– Myślisz, że to Walther go zabił? – zapytał Ethan.

– Nie powiedziałem tego... ale wolelibyśmy go odnaleźć.

– Czy któryś z koczowników mógł się przedostać tak daleko w głąb zamku? – zapytał September.

– Uważamy, że nie. Ale parę sztuk tego robactwa usiłowało wedrzeć się do wnętrza. Mógł się znaleźć jeden czy drugi na tyle śmiały, że odpełził po kamieniach w bok i stamtąd wśliznął się przez okno do środka.

– Zastanawiam się, czy Walther poradziłby sobie sam z niewielką tratwą? – dumał głośno Ethan.



– Myślisz chłopcze, że mógł uciec, korzystając z zamieszania i ma nadzieję dotrzeć do Dętej Małpy przed nami, co? Uprzedzić nas, dostać się do swoich kumpli i może uratować cały ich pierwotny plan... to musiała być dla niego wielka pokusą – powiedział z namysłem September. – Tyle wiem, że ja bym się tego nie podjął. Parę tysięcy kilometrów po dziewiczym lodzie, a po drodze utarczki z droomami i gutorrbynami, i wicherą, i piratami, i kto wie czym jeszcze. Ale ten zwariowany gnojek mógł podjąć taką próbę. Jeżeli tak, myślę że zaoszczędził nam paru problemów. Wiedział, że w najlepszym wypadku po powrocie może się spodziewać przynajmniej częściowego skasowania pamięci. A człowiek jest skłonny dokonywać nadludzkich czynów dla takich imponderabiliów jak wspomnienia.

– Nie wyobrażam sobie, jakim cudem mógłby wymknąć się także koczownikom – zauważył Ethan, potrząsając głową.

– Ja również nie – zgodził się Hunnar. – A jednak ten nóż – gestem wskazał na wystającą rękojeść – nie należy do barbarzyńców. Był wykonany w naszej własnej kuźni.

– Co powinniśmy zrobić, Skuo? – zapytał Ethan.

– Zrobić? Ja wracam na salę i mam zamiar łać w siebie ridil, aż zacznę fruwać... cieleśnie lub inaczej. – Odwrócił się na pięcie i zawołał przez ramię: – I z całego serca proponuję, mój chłopcze, żebyś się ruszył i zrobił to samo!

Ethan spojrzał znów na nieruchome ciało. Podmuch lodowatego powietrza sprawił, że przeszedł go dreszcz. Światło pochodni falowało jak szyfonowa spódniczka jakiejś lalki. Potem wzruszył ramionami, rzucił mocniejsze słowo i odwrócił się, żeby pójść w ślady Septembra.

\* \* \*

Ethan zaczął zabijać ręce. Wcale mu się przez to nie zrobiło cieplej. Był to sposób na podnoszenie temperatury ciała niestety o zerowej skuteczności. Choć pomagał na psychikę. Świetnie! Zamarznie sobie na śmierć całkiem zdrowy na umyśle. To samobiczowanie cię rozgrzewa, powtarzał sobie nieprzekonująco, rozgrzewa cię. Ciało jednak nie przyjmowało tego do wiadomości.

Był dosyć chłodny dzień – tak z minus dziesięć czy coś koło tego. Chociaż w zamku było pewnie parę stopni cieplej, wciąż jeszcze temperatura daleka była od upału. Jego nowe futro z hessavara, przerobione tak, żeby pasowało na ludzką figurę, w znacznym stopniu chroniło go przed zimnem. Udało im się nawet przemówić królewskiemu krawcowi do rozumu i przekonać go, żeby doszył prawdziwe rękawy i nogawki. Przynajmniej teraz nieco mniej musiał się martwić, że skostnieje na mrozie. Mimo to mróz nie przestawał go podszczypywać, a to go doprowadzało do szału.

Nosił już ten płaszcz od kilku tygodni i od czasu do czasu miał takie niemiłe uczucie, że to od dawna nieżyjące futro zaczyna zapuszczać korzonki w jego pocięte, zmaltretowane ciało. Gdyby nie sporadyczne wyprawy do kuźni na naprawdę gorącą kąpiel, zaskorupiały brud i pot mogłyby same służyć za warstwę izolującą. Na szczęście jeszcze tak nisko nie upadli – jak na razie.

Minęły już z pewnością ze dwa tygodnie od epokowego zwycięstwa nad Sagyanak, od pamiętnej

bitwy, w której Sofoldianie rozbili na zawsze potęgę wielkiej Hordy. Innymi słowy wszyscy zdążyli już otrzeźwieć. A teraz szedł na górę do obrzydliwie cuchnących pokoi, które ten Eer-Meesach nazywał swoim domem. Mijał właśnie otwarty balkonik i rzucił okiem na to, co dzieje się na dole. I znowu tratwy poruszały się po lodach wielkiego portu. Większość zamarznętej krwi z tysięcy trupów została odkuta i wytopiona, nierówności wygładzono. Setki wannomskich murarzy, stolarzy i innych rzemieślników zajętych było naprawianiem rozległych uszkodzeń muru okalającego port. Nawet wielka wyrwa w miejscu, gdzie potworny taran przerwał mur, zaczynała się wypełniać w miarę jak zbierano z lodu porozrzucane kamienie, a z kamieniołomów w górach dowożono świeżą skałę.

Z balkoniku skręcił w krótki korytarz i zaczął się wspinać na spiralną rampę. Niejasno przypominał sobie, że na początku obchodów zwycięstwa Williams mamrotał coś o jeszcze jednej niespodziance. No cóż, na pewno nie zaskoczy go bardziej niż gospodarzy w chwili zademonstrowania prochu strzelniczego. Niech niebo ma w opiece ten feudalny lodowy świat, jeżeli kolejne rewelacje małego nauczyciela będą chociaż po części tak druzgocące! Dzięki wędrującym tratwom rozniesie się wieść o nie mającym precedensu zwycięstwie Sofoldian nad jedną z wielkich, wędrownych Hord, dotrze do licznych miasteczek i do odległych miast. Załogi zabiorą także ze sobą próbki prochu i przepis na tenże, żeby inne miasta mogły stawić opór bandom, będącym utrapieniem ich rodzinnych prowincji. Wyeliminowanie tych bezlitosnych, krwiożerczych grup prawdopodobnie dobrze zrobi i tworom politycznym, takim jak państwa, i tworom politycznym takim jak rządzący. A przynajmniej przysłuży się im, dopóki Tran-ky-ky nie wyjdzie z okresu barbarzyństwa. Bo wtedy przeróżni baronowie, landgrafowie i książęta będą już na dobre przywiązani do tych nowych zabawek, a bawić się będą mogli tylko ze sobą nawzajem.

Chyba, że barbarzyńcom też uda się jakoś zdobyć proch, a wtedy...

Poddał się. To wszystko było zbyt skomplikowane, a on nigdy nie miał ciągot do socjologicznych rozważań. Jeżeli już miałby coś porozwagać, to byłaby to kwestia, jak dostać się do Dętej Małpy w stanie nie uszkodzonym. A potem, pomyślał z nadzieją, odebrać pojemniki ze swoimi próbkami, pozbyć się towarów za kilka tysięcy kredytów i zdobyć trochę przyzwoitych zamówień. I wtedy z uśmiechem na ustach odleci na następny świat, zdecydowanie taki, na którym mocno świeci słońce i gdzie nie ma zakłóceń metrologicznych silniejszych niż sporadyczne, zmysłowe powiewy zefirku. A nie ciągły, nieprzerwany huragan wiejący z wrzaskiem na wschód.

Doszedł na szczyt spirali, przeszedł kilka kroków wzdłuż korytarza i znalazł się w mieszkaniu czarodzieja. Jak zwykle przy drzwiach nie było straży. Uświadomił sobie, że zaczęło to na nim robić wrażenie dopiero po zamachu na życie Landgrafa. Wszyscy szlachetnie urodzeni mieli swoich strażników, a Eer-Meesach nie. Lud Sofoldu był myślący i praktyczny, lecz wciąż na tyle przesądny, by odczuwać zdrowy respekt dla demonów, elfów i czarodziejów takich jak Eer-Meesach. Rzezimieszek, który starałby się stąd ściągnąć parę sztuk złota czy czegoś takiego, musiałby mieć nie lada jaką odwagę; czarodziej zagroził, że w smagłego robala zmieni każdego, kogo przyłapie na kradzieży.

Czarodziej stał w grupce skupionej wokół przysadzistego, nadgryzionego zębem czasu stołu. A jeżeli w takim klimacie coś wyglądało na nadgryzione zębem czasu, to naprawdę musiało być wiekowe i ucziwie sfatygowane. To nie jakiś tutejszy odpowiednik ziemskiego czy trańskiego fachowca nadał mu patynę starości. Takie kruczki stosują tylko zaawansowane rasy.

Oprócz czarodzieja obecni byli Williams i September. Ogromniasty, zakrzywiony nos, wystająca broda, złoty kolczyk – potężny mężczyzna w swoim skłębionym futrze z hessavara zajmował połowę dostępnej przestrzeni. Ethan wszedł do pokoju, Skua spojrział na niego.

– Hej, chłopcze. – Z jakiegoś powodu aż promieniał entuzjazmem. – Chodź tu i rzuć okiem na to, za co ci nasi dwaj intelektualiści się zabrali.

Ethan zatarł swoje ubrane w rękawice dłonie – miał wrażenie, że mu to dobrze robi – i wsunął się pomiędzy Septembra a nauczyciela.

Do gładkiego blatu stołu przypięty był arkusz welinowego papieru. Rysunek na nim nie był zbyt skomplikowany, a jednak Ethan musiał przyjrzeć mu się dwa razy, zanim zdołał się domyślić, co to może być.

– Wygląda jak tratwa – powiedział na koniec. – Coś w tym rodzaju.

– Coś w rodzaju, kociaku, to prawda – zauważył z podnieceniem Eer-Meesach. – To wasz przyjaciel Williams wpadł na ten pomysł, który teraz w chwale spoczywa przed wami. Ja go tylko rozrysowałem.

– Obawiam się, że niestety nie najwyższych lotów ze mnie artysta – przeprosił Williams.

Ethan przyjrzał się szkicowi jeszcze raz.

– Rzeczywiście wygląda inaczej.

– Jako nauczyciel zajmowałem się głównie wczesną historią Ziemi i dlatego znałem ten stary przepis na proch strzelniczy – wyznał Williams wierząc się z zażenowaniem, a potem pokazał palcem na rysunek. – O tym myślałem od momentu, kiedy tylko Hunnar i jego ludzie nas zabrali. Jak wicie, trzy czwarte Ziemi pokrywa woda.

– Widziałem zdjęcia – kiwnął głową Ethan.

– No więc – ciągnął dalej nauczyciel – ten szczególny rodzaj statku został skonstruowany i wyniesiony niemal na poetyckie wyżyny przez młodego Ziemianina nazwiskiem Donald McKay, który żył i mieszkał na wschodnim wybrzeżu kontynentu północnoamerykańskiego. Nazywano je klipami.

– Śmieszna nazwa – powiedział Ethan. – Dlaczego akurat klipami?

– Nie wiem. – Williams wzruszył ramionami. – Pochodzenie tej nazwy zaginęło. Jak widzicie, zmodyfikowałem pierwotny projekt w taki sposób, że zamiast zaokrąglonego dna statku, który ma pływać po oceanie, mamy płaskodenną tratwę. Będzie jeździć na pięciu płozach – dwie z przodu, dwie z tyłu i jedna jeszcze nieco bardziej wysunięta do tyłu, żeby umożliwić sterowanie.

– Może nie być taka zwrotna, jak niektóre z tutejszych tratw – wtrącił September – ale powinna być o niebo szybsza od każdego innego środka transportu powierzchniowego, kiedykolwiek widzianego na tej planecie-ślizgawce.

– Nie pozbawione rozsądku przypuszczenie – zgodził się ostrożnie Williams. – W porównaniu z miejscowymi tratwami pochłonie dużo więcej drewna. Potrzebne będzie kilka dużych, powiązanych drzew na maszty i olbrzymie ilości płótna na żagle.

– Żaden ze mnie inżynier – powiedział bez ogródek Ethan – ale wygląda mi na to, że z tymi wszystkimi żaglami, jak dobrze dmuchnie, to się ta tratwa położy na bok.

– W podstawę zostanie starannie wbudowana przeciwwaga, żeby uwzględnić właśnie takie niebezpieczeństwo – odparł nauczyciel. – Ale sądzę, że te podwójne płozy zapewnią jej potężną stabilność.

– A kto za to zapłaci? – Teraz Ethan znalazł się na znanym sobie terenie.

September szeroko się uśmiechnął.

– Pomimo tych wszystkich peanów z gloriami, chwałami i hosannami, którymi nas Landgraf zasypywał, kiedy przedstawił mi kosztorys, zaczął jąkać się i chrząkać jak żebrak bez środków do życia. Nie przestawał opowiadać, jak to remonty fortyfikacji w porcie i odszkodowania wojenne dla nadwątlonych rodzin wyciągają ze skarbcza tyle pieniędzy, że zostaje on pusty jak jego obietnice. Ktoś mógłby pomyśleć, że chcemy mu odebrać nawet jego koszulę ze złotogłowiu.

Hunnar i Balavere też tam byli. Przysłuchiwali się temu wszystkiemu spokojnie, z wielką godnością i zachowaniem form towarzyskich. Kiedy jednak jego wysokość skończył, tak go obsobaczyli, że wióry musiały lecieć z jego przodków do czterdziestu pokoleń w tył! Wtedy ja zwróciłem mu uwagę, że jak tylko zostaniemy dostarczeni żywi, zdrowi i stosunkowo mało zamrażnięci na Wyspę Asurdun, statek stanie się własnością marynarki sofoldyjskiej. Udało mu się przeoczyć ten drobiazg w swoim biadoleniu.

Kapitanem tej tratwy ma być Ta-hoding... pamiętasz go? – Ethan kiwnął głową. – Ta-hoding wyliczył jaką to niezmierną przewagę będzie miał ten pojazd nad wszystkimi konkurentami, zwłaszcza z nigdy nie tracącymi ostrości płozami z duramixu i...

– Czekaj no chwilę – przerwał Ethan. – Wydawało mi się, że oni nie potrafią obrabiać tego materiału.

– I nie umieli – odparł potężny mężczyzna z odcieniem dumy. – Przez cały zeszły tydzień grzebałem się w kuźni z Vlad Vollingstadem, szefem odlewni. Wyrwaliśmy cały pokład z szalupy ratunkowej, awaryjny zestaw naprawczy, sterownię – wszystko. Elektrodynamiczna obrabiarka nie jest znowu taka trudna do zrobienia. Mając do dyspozycji tutejsze nie ograniczone zapasy ciepła, sądzę, że uda mi się ją uruchomić. Obawiam się, że o resorowanej obudowie mowy nawet nie ma, ale będą potrafili ciąć i giąć, aż kompletnie przerobią szalupę. A na kilka dużych płóz potrzeba nam dużo mniej. Może nawet skończy się na odcięciu paru pasów z kadłuba i zaostreniu ich.

Największy problem to mozolna fizyczna praca. Ponieważ nie możemy doprowadzić ciepła do metalu, musimy metal doprowadzić do ciepła. Oznacza to, że musimy zawlec cały ten wrak w góry, do odlewni. Zaskakujące, ale Landgraf nie protestował słysząc o kosztach tego przedsięwzięcia,

choć mogą do tego być potrzebne wszystkie vole na wyspie. Tak sobie myślę, że po prostu woli nie ryzykować, by cały ten niezniszczalny metal tkwił w porcie, skąd kilku obdarzonych wyobraźnią, a będących w gościnie kapitanów mogłoby go gdzieś odholować.

– Niedaleko by ujechali, ciągnąc taką masę po lodzie – uśmiechnął się Ethan.

– Pewnie, że nie – zgodził się Skua – ale spróbuj przekonać o tym Landgrafa. Jak tylko uda nam się zgromadzić ludzi i zwierzęta, to nasze przedsięwzięcie będzie miało bezwzględne pierwszeństwo zaraz po uruchomieniu kuźni.

Ethan przesunął palcem po części rysunku.

– Naprawdę uważasz, że to coś utrzyma się w pionie na silnym wietrze?

– Dopóki nie wypróbujemy tego na wietrze, nie będziemy mieli pewności – powiedział Williams – ale obciążenie balastem powinno utrzymać ją w równowadze. Zwróćcie także uwagę na te płyty na przedzie i z tyłu. O to McKay akurat nie musiał się martwić, ale ja boję się że z powodu tak wielkiej powierzchni żagli tratwa prędzej może unieść się w powietrze, niż się położyć na boku. To – i tu postukał w dwa płyty na rysunku – powinno wykluczyć taką możliwość.

Ethan wpatrywał się w hybrydę dziewiętnastowiecznej, ziemskiej i nowoczesnej, trańskiej technologii i potrzebował z podziwem głową.

– Gratuluję, Millikenie. Niesamowity projekt. – Wyciągnął rękę, a nauczyciel ujął ją nieśmiało. – Mam tylko nadzieję, że to cholerstwo da się uruchomić.

– Co za przedsięwzięcie! – zaczął Eer-Meesach. – Niczego podobnego nie widziano nigdy ani w Sofoldzie, ani u jej sąsiadów. Nazwiemy ją *Slanderscree* na cześć ciemnego stada ptaków świtu, które poprzedzają w locie dusze zmarłych!

– Cóż za zachęcająca nazwa – powiedział sucho Ethan. Czarodziej nie zrozumiał go.

– Bardowie będą w pieśniach opiewać jej żeglowanie sto razy po sto lat. Zostaniemy wszyscy nieśmiertelnieni w pieśni i wierszu, panowie. Ogrom naszego przedsięwzięcia będzie...

September dał Ethanowi lekką sójkę w bok.

– Sądzę, że usłyszałeś już wszystko, co chciałeś, chłopcze.

– Tak myślę, Skuo.

Przeprosili czarodzieja. Malmeevyn tak był pochłonięty opisywaniem splendoru, jaki go czeka po uzyskaniu nieśmiertelności, że niemal nie zauważył ich odejścia.

Kiedy wyszli na korytarz, chłodny i cichy, Ethan nie mógł powstrzymać ostatniego pytania.

– Zakładając, że to monstrum naprawdę zostanie zbudowane, Skuo...

– Zostanie, chłopcze.

– Dobrze, uwierzę w to, kiedy złapie pierwszy wiatr w żagle. I kiedy nie rozleci się na drzazgi przy pierwszym uczciwym powiewie. Zakładając, że... czy uda nam się dojechać? Czy uda nam się dotrzeć do osiedla? I ile czasu nam to zajmie?

– Mam zaufanie do tej łodzi, chłopcze. Williams może gdzieś w głębi duszy, w tajemnicy przed wszystkimi jest romantykiem, ale to rozsądny projekt. Mamy kompas. Teraz, kiedy wiemy, że niedaleko wyspy znajduje się punkt orientacyjny, ten wulkan... jak oni go nazywają?

– Miejsce-Gdzie-Krew-Ziemi-Płonie – pospieszył mu z pomocą Ethan.

– No... stamtąd nie powinniśmy mieć żadnych trudności ze znalezieniem miasta. Zaraz, zaraz... mamy daną szybkość, z jaką to coś powinno się poruszać, musimy dać miejscowym czas na przyzwyczajenie się do innego olinowania, plus fakt, że czasami będziemy jechali pod wiatr... sędzę, że powinniśmy się zmieścić w dwóch miesiącach. W zależności od pogody, oczywiście.

– A co myślisz o naszym kapitanie? Nie wzbudzał we mnie nabożnego szacunku, kiedy pierwszy raz podróżowaliśmy razem.

September wyszczerzył zęby.

– Ta-hoding? Wygląda i mówi jak tłusty maruda, prawda? Pewnie dlatego, że jest tłustym marudą. Ale zrobił też na mnie wrażenie trana, który zna się na sztuce żeglarskiej... w każdym razie po łodzi. Wolę, żeby to on z szeroko otwartymi oczami stał u steru, w przeciwieństwie do jakiegoś aroganckiego chwalipięty z gładką mową, który nie będzie potrafił odróżnić burzy śnieżnej od kurzawy. Za każdym razem nad jakiegoś szarmanckiego idiotę przedłożę kapitana, który troszczy się przede wszystkim o własną, cenną skórę.

W najbliższym czasie będę uwiązany w kuźni przy kształtowaniu tych płóz do tratwy, a Williams i Eer-Meesach będą harowali nad planami i projektami. Trzeba było znaleźć kogo, do kierowania robotnikami. I na Czarną Dziurę w Łabędziu czy wiesz, kto się zgłosił na ochotnika, kiedy się o tym dowiedział?

– Powiedze – powiedział Ethan.

– Stary du Kane, ot kto! Wyobraź sobie, że prosił, czy mc że. Powiedział coś w tym sensie, że nie jest zbyt biegły w pozbawianiu głów wojowniczych obstrukcjonistów ani w upijaniu się po koleżeńsku z miejscową soldateską, ale że potrafi zarządzać dużymi grupami pracowników i rozdzielać materiał. Nabrał wystarczającej biegłości w lokalnym dialekcie, żeby sobie poradzić, więc powiedziałem mu, żeby się brał do roboty.

Ethan nie podzielał zaufania, jakim Skua obdarzył finansistę.

– Czy sądzisz, że będzie umiał z nimi postępować? Nie należy do najbardziej taktownych istot w tym Ramieniu Galaktyki.

– Nie myl działania i osobowości – zbeształ go September, drapiąc się po zakrytym futrem uchu. – Ja też nie jestem wielbicielem tego finansowego rekina ani jego krewnych, ale nie znajdujemy się w sytuacji, która pozwoliłaby nam wybierać z nieograniczonych zasobów sił roboczych. Poza tym potrafię sobie wyobrazić, ile kredytów kosztuje go każdy dzień, który spędza z dala od swego imperium. Już on doprowadzi do tego, że tratwa zostanie zbudowana najszybciej, jak tylko się da.

– Przypuszczam, że tak – powiedział Ethan niepewnie. – Ciągle mnie jednak gnębi, co też się mogło stać z Waltherem.

September mruknął coś na wspomnienie porywacza, którego stracili z oczu.

– Pewnie została teraz z niego zamarznięta plama na lodzie, co? A może komfortowo wypoczywa sobie w brzuchu jakiegoś drooma albo innego pełnego uroku członka miejscowej fauny.

– Przypuszczam, że tak – to mówiąc Ethan ruszył do własnego pokoju i buzującego ognia.

## ROZDZIAŁ XI

Budowa *Slanderscree* postępowała szybko, zgodnie z ich najśmielszymi marzeniami, pomimo iście królewskich jęków cierpienia, jakie wydawał z siebie Landgraf Torsk Kurdagh-Vlata na widok nie kończącej się listy wydatków. Dźwięki te harmonizowały wspaniale z nieustannym wyciem wiatru.

Podczas pierwszego przeskoku iskry w prowizorycznej kuźni September oparzył sobie rękę, jednak po godzinie wytężonej pracy i przekleństw oporny kawał maszyneryi zaczął działać idealnie. Niewątpliwie przejęty nabożną czcią i przekonaniem, że na tym świecie, jak się okazało, istnieją żywioły potężniejsze niż on sam.

Podczas gdy Skuę oblewały w kuźni siódme poty, Williams i Eer-Meesach biegali tam i z powrotem od portu do wioski z dziesiątkami rysunków i poprawek, a du Kane nadzorował samą budowę, Ethan miał niewdzięczny obowiązek zajmowania się tysiącami drobnych szczegółów. Aż nie mógł uwierzyć, że budowa prymitywnej tratwy może wymagać tylu drobnych decyzji i budzić tyle wątpliwości, które na miejscu trzeba było rozstrzygać. Chyba nawet międzygwiazdna rakietka transportowa nie mogła być bardziej skomplikowana. Dopasowano zgodnie z planami brązowo-zielone płótno żaglowe, pomierzono i przycięto dziesiątki metrów lin z pika-piny. Trzeba też było dopilnować sprowadzania na dół do lodowego doku nowych skrzyń ze świeżo wykutymi sworzniami i wyposażeniem. Budowana z równym udziałem potu i inwektyw *Slanderscree* zaczynała nabierać kształtu.

I jeszcze coś zaczynało nabierać kształtu, a to podobało się Ethanowi dużo mniej niż budowa tratwy. A mianowicie nie ustające usiłowania Elfy, by zostać czymś więcej niż tylko jego przygodną znajomą. Pewnego dnia wściekł się na nią, chociaż mogło to zostać uznane za obrazę dla Landgrafa i zaszkodzić ich sprawie. Ku jego zaskoczeniu jednak przyjęła to raczej spokojnie – niemal jak gdyby na to czekała. Później nie zaczepiała go już. Ethan był zaintrygowany, ale postanowił nie dociekać powodów. Chwilowo wygrywał na punkty. Lepiej, żeby tak zostało.

Pomimo opóźnień i nieuniknionych nieporozumień wynikających z problemów językowych, pomimo chwilowego zepsucia się elektrodynamicznej kuźni, pomimo nie kończących się, trwających godzinami wyjaśnień Williamsa, jak należy instalować skomplikowane olinowanie, nadszedł dzień, kiedy *Slanderscree* została ukończona, załadowana i przygotowana do odjazdu – chociaż Ethan miał nadal duże wątpliwości, czy w ogóle da się ją ruszyć z miejsca.

Tkwiała przy końcu pomostu Landgrafa, a tratwy handlowe, które pomykały u jej boków jak nartniki, karłały w jej obecności. Miała niemal dwieście metrów długości, trzy górujące nad wszystkim maszty, bukszpryt i dziesiątki ciasno zwiniętych żagli; promieniowała z niej trzymana w



ryzach moc. Trański projekt, mający kształt grotu strzały, został wysmuklony do proporcji godnych igły. Tylko dwa płaty powietrzne psuły zuchwałą linię tratwy.

Ranek wyznaczony na odjazd niczym szczególnym się nie wyróżniał. Typowy trański dzień – słoneczny, wietrzny i przejmujący zimnem do szpiku kości. W ostatniej chwili ładowano jeszcze ostatnie zapasy i części zamienne. Spory tłum zrobił sobie wakacje od nie kończącego się mozołu zarabiania na życie i przybył, żeby ich pożegnać, a może by nie stracić wspaniałej zabawy, jak się będą roztrzaskiwać. Było ich tylu, że nie mieścili się na brzegu, stali nawet na lodzie. Kocięta ignorowały swoje matki i przemykały tam i z powrotem pomiędzy wielkimi płozami z duramixu.

Sir Hunnar wchodził na pokład jako naczelny dowódca ich militarnego kontyngentu, chociaż generał Balavere też wybierał się w podróż, ale z innego powodu. Kiedy był kocięciem, przeżył deszcz popiołu i gorących kamieni z Miejsca-Gdzie-Krew-Ziemi-Płonie. Deszcz zaciemnił wtedy niebo nad Wannome na cztery dni. To Miejsce musiało być święte – a generał osiągnął wiek, w którym takie sprawy robiły się coraz ważniejsze. Miał zamiar zobaczyć tę legendarną górę. A starego Eer-Meesacha oczywiście nie powstrzymałoby nawet stado wygłodniałych krokimów.

Na tratwie nie było naturalnie żadnej takiej starannie zorganizowanej piramidy odpowiedzialności, jak na pokładzie kosmicznego liniowca. Z tajemnej wiedzy Williamsa nie dało się też wycisnąć, jakie mogły być odpowiednie stanowiska na starożytnych kliprach ziemskich, poniżej rangi kapitana. Tak więc giermkowie Hunnara, Suaxus i Budjir, pojechali z nimi jako zastępcy Hunnara. A Ta-hoding zatrzymał dużą część załogi ze swojej tratwy i to oni wykonywali jego rozkazy.

Dobór giermków ukazywał jeszcze jedną cechę charakteru Hunnara. Żaden z nich nie należał do ludzi, jakich byłby wybrał Ethan: Suaxus był zawsze surowy i podejrzliwy, a Budjir tak małomówny, że sprawiał wrażenie po prostu głupiego, ale i jeden i drugi byli niemal do przesady kompetentni.

Przy akompaniamencie hucznych wiwatów i okrzyków zachęty – niektóre były dobrodusznie nieprzyzwoite – zebranych mieszkańców miasta, załoga i pasażerowie weszli gromadnie na pokład. Wśród żegnających byli tacy, którzy przyjechali aż z odległego, położonego daleko na zachodnim cyplu Sofoldu, Ritsfasen.

Landgraf stał przy doku w otoczeniu swoich co ważniejszych szlachciców i rycerzy. Kiedy wszyscy znaleźli się na tratwie i ściągnięto trap, podniósł swoją laskę. W tłumie zapanowała pełna szacunku cisza.

– Przybyliście z dziwnego miejsca i do dziwnego miejsca się udajecie – rozpoczął uroczyście. – W tym krótkim czasie, pomiędzy przyjazdem a odjazdem, dokonaliście czynów, które lud Sofoldu będzie pamiętał na zawsze. Powiedzieliście również, że wszechświat jest ogromny, ogromniejszy, niż kiedykolwiek potrafilibyśmy sobie wyobrazić, i że żyją w nim tysiące stworzeń tak odmiennych od was, jak wy jesteście odmienni od nas. Pamiętajcie, że gdyby nawet te światy i istoty ciągnęły się w nieskończoność, a wy pragnęlibyście wszystkie, co do jednego odwie – dźić, zawsze znajdziecie dom i ognisko dla was i dzieci waszych dzieci tutaj, w Wannome.

Teraz jedźcie. Jedźcie z wiatrem.

– Z WIATREM – zawtórował mrocznie jak echo tłum. Potem ktoś wydał jakiś grubiański odgłos i tłum wybuchnął dzikim wrzaskiem i wiwatami.

– Reakcja do przewidzenia – zauważył autorytatywnie Hellespont du Kane.

– Tak? Może oni wiwatują na naszą cześć, a może dlatego, że ich szanowny władca streszczał się w sposób godny podziwu – teoretyzował September, odwracając się. Ale czy aby w kąciku jego oka nie pokazał się ślad wilgoci? Czy może było to tylko złudzenie, wywołane przez podrapane i sfatygowane gogle śnieżne.

– W porządku, Ta-hodingu! – ryknął do tyłu. – Zobaczymy, czy tej landarze uda się wyjechać cało z portu!

Dziwne nowe komendy wydawano w zmodyfikowanej trańskiej terminologii żeglarskiej, podawano je po pokładzie z ust do ust i przekazywano na górę do marynarzy na stanowiskach w olinowaniu.

Ethanowi wystarczyło popatrzeć, jak olbrzymi tubylcy w tym nieustannym huraganie wspinają się na olinowanie między wanty i już zaczynało go telepać ze zdenerwowania. A będzie znacznie gorzej, kiedy wyjadą zza osłaniającej ich bryły wyspy. Ale potężne mięśnie i opatrzone pazurami ręce i stopy pozwalały marynarzom nie tracić równowagi, kiedy jeden za drugim zielonobrunatne żagle zaczęły opadać w dół i łapać wiatr.

Powoli, gładko *Slanderscree* zaczęła wyślizgiwać się z portu, a okrzyki na brzegu przybierały na sile. Z oczami utkwionymi w żeglarzy uwijających się nad ich głowami September podszedł do Ethana i z uśmiechem poklepał go po plecach.

– Ale, ale, mój chłopcze, czy udało ci się w końcu jakoś załatwić tę sprawę z córeczką Landgrafa?

– Nic do załatwiania nie miałem – stwierdził Ethan. – Tak mi się zdawało, że coś było na rzeczy, ale nie widziałem, by stała w pierwszym rzędzie tłumy i ze łzami machała mi na pożegnanie, kiedy odjeżdżaliśmy. Chyba nie.

– Ja też jej nie widziałem. Chociaż zauważyłem, że cieplej coś patrzysz na córkę du Kane’a.

Dama, o której wspomniał, zniknęła pod pokładem jak tylko wsiedli, chcąc się schronić przed wiatrem. Czy to na tratwie, czy na łodzi, czy na zamku, ten wiatr był nie do wytrzymania.

– DUBY SMALONE – odparował Ethan, przechylając się przez poręcz, żeby popatrzeć jak lód przemyka pod nimi. – Przecież to też człowiek. Po prostu musiała sobie w końcu z kimś pogadać. Nie dziwi mnie to, że nie za wiele rozmawia ze swoim ojcem. A z pewnością ani ty, ani Williams nie należycie do najbardziej urokliwych rozmówców w okolicy.

– Przepraszam, chłopcze, ale kiedy tylko ją spotkam, zawsze jest bez futra i warstwy ochronnej, mówiąc metaforycznie. Na ten widok przechodzi mi chęć na przekomarzenie się. – Poklepał Ethana po ojcowsku i pogwizdując oddalił się beztrąsko.

*Slanderscree* wychodziła zza osłony góry. Załoga z coraz większą wprawą stawiała żagiel za żaglem i tratwa zaczęła gwałtownie nabierać prędkości. Kiedy dojeżdżali do głównej bramy, którą zdążono już całkowicie naprawić, stał już nawet grotmarsel. W tak krótkim czasie nabrali już przyzwoitej szybkości – trzydziestu kilometrów na godzinę. Będą mieli szczęście, jeżeli uda im się ją utrzymać jadąc na zachód. Ale podczas jazdy na wschód szybkość *Slanderscree* będzie ograniczała tylko wytrzymałość jej żagli i masztów i zdolność do powstrzymania się od lotu.

Ostatnie wiwaty, jakie usłyszeli mknąc pomiędzy wieżami, pochodziły od straży przy bramie i obsługi Wielkiego Łańcucha. Kiedy wydostali się już z objęć portowych murów, Ta-hoding, nieustannie odmawiając modlitwy, zawrócił tratwę szerokim łukiem na południowy zachód, żeby znowu skierować ją we właściwą stronę. Kiedy tratwa skręcała, Ethan wstrzymał oddech. Nikt nie potrafił przewidzieć, jak zareagują maszt i żagle statku, który się znalazł w świetle tak bardzo odmiennym od najbardziej szalonych wyobrażeń dawno zmarłego Donalda McKaya.

Żagle strzeliły jak prymitywny proch Williamsa, maszty zaskrzypiały, ale tratwa wykonała czysty skręt. Nic się nie rozpadło, kiedy halsowali pod gwałtowny wiatr. Mieli jechać zygżakiem przez tysiące kilometrów, mozolnie i wytrwale posuwając się do przodu, ale za każdym razem *Slanderscree*, kiedy skręci na południe, będzie rozwijała dobrą szybkość, nawet do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, zanim będzie musiała skręcić na zachód pod wiatr.

Odwrócił się i przebiegł wzrokiem pokład w poszukiwaniu Septembra, ale go nie znalazł. Prawdopodobnie Skua udał się pod pokład, chcąc również ukryć się przed wiatrem. Ethan nie widział powodu, żeby samemu też tak nie postąpić. Doszedł właśnie do luku, kiedy doleciały go odgłosy wrzasków i pohukiwania. Minęło kilka sekund, zanim przyszło mu na myśl, żeby spojrzeć w górę. A tam, tuż za plecioną klatką obserwacyjną, na szczycie głównego masztu, znajdował się Skua September; obłapiał czubek smaganego wiatrem masztu obiema nogami, wymachiwał rękami i ryczał niczym włochaty osioł. Ethan stał na pokładzie jak wryty, dopóki tamten nie zmęczył się i nie zszedł na dół. Przez cały ten czas wstrzymywał oddech, spodziewając się, że lada chwila Skua się poślizgnie albo ręka mu się omsknie, lub złapie go w swoje szpony huragan i uniesie jak jakiś ostatni jesienny listek. Ale Skua bez większych problemów zszedł na pokład. Podszedł do Ethana, jego gogle śnieżne pokrywały drobinki śniegu. Odgarnął je z roztargnieniem dłonią w rękawiczce. Ciężko dyszał.

– Co za widok, chłopcze, co za widok! Aż mi szybciej krąży krew. A może byś też spróbował?

– Jak już powinieneś się do tej pory zorientować, nie jestem typem szalonego trapera, Skuo.

– W porządku, Ethanie, w porządku – westchnął tamten. – Jesteś typem zniedołęźniałego mieszcza. Co za wstyd. To takie zachwycające przeżycie.

– Nie wątpię w to, ale jest mi już całkiem wystarczająco zimno tu, gdzie jestem; wcale nie czuję potrzeby, żeby pogarszać sytuację, narażając się na katastrofalne wychłodzenie i cielesne zagrożenia. Wolę pokład. A jeszcze bardziej wolę moją kabinę. – Odwrócił się i otworzył pokrywę luku.

I zobaczył, że drogę zagradza mu dobrze znana, chociaż nie oczekiwana postać.

– Dzień dobry, Sir Ethanie – powiedziała kokieteryjnie Elfa Kurdagh-Vlata. – To prawda, że pod pokładem jest ciepłej.

– Elfa – stęknął niepewnie Ethan. – Ani trochę mi się to nie wydaje śmieszne. Jak udało ci się namówić ojca, żeby pozwolił ci wejść na pokład statku?

Elfa wyszła z luku i stanęła na pokładzie.

– Nie pytałam go. Ukrywałam się na pokładzie, dopóki nie uznałam, że jest za późno, byście zawrócili. I mam rację, czyż nie?

– Nie pytałaś go? To jak u diabła się tu wśliznęłaś?

– Schowałam się w pustej skrzyni i żeglarze wnieśli mnie na pokład razem z innymi zapasami. Tylko że akurat ta skrzynia nie była pusta. – Uśmiechnęła się ładnie. – Była pełna mnie.

Hunnar, jak tylko rozpoznał Elfę, przyłączył się do nich. Wyglądało na to, że zaskoczony był jeszcze bardziej niż Ethan.

– Elfa!

– Naprawdę, spostrzegawczość przywódców tej ekspedycji nie przestaje mnie wprawiać w zdumienie. Jesteś drugą osobą, Sir Hunnarze, która mnie rozpoznała od pierwszego rzutu oka.

– A co – ciągnął dalej Ethan uparcie, nie zwracając uwagi na sarkazm – powie Landgraf, kiedy zorientuje się, że cię nie ma?

Elfa zamyśliła się.

– Spodziewam się, że wpadnie w furję. Będzie szalał i kłął, i groził, i rozbijał różne rzeczy, i wywróci Wannome do góry nogami. I w końcu znajdzie mój list...

– List?

– ...i dowie się, że pojechałam z wami. A wtedy wścieknie się na serio.

Ethan odwrócił się do Septembra.

– Co z nią zrobimy, Skuo?

– No cóż, moglibyśmy zawrócić – zastanawiał się Skua, z otwartym podziwem wpatrując się w ubraną w futra Elfę. – Mamy wiatr za plecami, więc nie trwałoby to zbyt długo, ale nie mam najmniejszej ochoty marnować czas i już pokonaną odległość tylko dlatego, że należałoby zwrócić tatusiowi tę napaloną nastolatkę. No i czekałyby nas przeróżne wyrzuty i tłumaczenia, i różne takie... i zmarnowalibyśmy jeszcze więcej czasu. Nie, powiedzcie stewardowi, że mamy jedną osobę więcej na kolacji i ruszajmy wesoło w dalszą drogę. Zawsze się dla niej znajdzie jakieś miejsce... prawda, Hunnarze?

– Co? – odparł zaskoczony rycerz. I popatrzył niepewnie na potężnego mężczyznę.

Znajdowali się już o tysiąc kilometrów od Wannome. Jeden oddech, a już pod duramiksowymi płozami przesuwało się następnych kilka metrów lodu i znikało za rufą. Sunęli teraz po nieznanym lodzie, po którym nigdy nie halsowali ani ludzie Hunnara, ani marynarze Ta-hodinga. Na ostatnich kilkuset kilometrach minęli kilka wysp, z których żadna nie była zamieszkała. Wszystkim dokuczało wrażenie pustkowiec.

– Pusty kraj – zauważył Hunnar cicho i markotnie.

– Tak – zgodził się z nim Ta-hoding. – Wyraźnie widać, że nie będzie tu z kim handlować. A przecież część tej ziemi, którą minęliśmy, wyglądała gościnnie.

– Powodem może być wulkan – powiedział September. – Nie dziwiłbym się, gdyby na te wyspy spadały okresowo deszcze gorących popiołów i pumeksu.

– A mimo to – dumiał Ethan leniwie – sama możliwość założenie kilku ośrodków handlowych z perspektywą rozszerzania międzyplanetarnego handlu mogłaby... – przerwał mu okrzyk dochodzący z głównego masztu, na który obydwaj tranowie zamarli w bezruchu, całkiem jakby nagle temperatura spadła do stu poniżej zera.

– Gutorrbyny! Z północnego wschodu!

Hunnar, Ta-hoding, dziesiątki marynarzy i żołnierzy rzucili się do poręczy.

– Co się dzieje? – wrzasnęła Colette z luku. Hunnar był szybszy niż Ethan.

– Zejdź pod pokład, o pani!

Zabrzmiało to jak rozkaz, a nie propozycja. Colette najeżyła się.

– Zaczekaj no chwilę... – zaczęła gwałtownie.

Głos Septembra był groźny i wyprany z humoru.

– Proszę zrobić, co każe, panno du Kane.

Colette zawahała się, popatrzyła na niego niepewnie. Wciąż coś mamrocząc zniknęła pod pokładem.

– Widzę je – zamruczał potężny mężczyzna, osłaniając oczy ręką.

– Ja również – zawtórował mu Ethan.

Daleko na północnym wschodzie pojawiła się niewielka chmura malusieńkich, brązowych plamek. Wyglądała jak chmura komarów, po chwili urosła do chmury much, a potem zmieniła się w chmurę kształtów przypominających literę T.

– Czy możemy je prześcignąć? – zapytał September. Odpowiedź Hunnara była zwięzła.

– Nie, mój przyjacielu. Może gdybyśmy mieli wiatr za plecami... ale one wciąż jeszcze leciałyby pod lepszym kątem. Pewne jest, że nas dostrzegły. Niewykluczone, że będziemy musieli walczyć, chociaż zawsze jest szansa, że się nami nie zainteresują.

Z drugiej strony pokładu dobiegł gderliwy ryk. Ethan poznał głos generała Balavere.

– Smoki, panie! – odkrzyknął Hunnar.

– Jak blisko? – warknął generał, przypinając miecz.

– Pięć, może sześć kijatów i podlatują coraz bliżej.

Balavere zaklął, wielkimi krokami podszedł do przedniego luku i z roztargnieniem coś do środka wrzasnął. Niemal natychmiast z dziury zaczęli wypadać na pokład żołnierze; jak gdyby ruszył mrowisko. Tymczasem generał pospiesznie dołączył do stojących na rufie.

– W żadnym wypadku przy tym olinowaniu nie uda nam się ich nie dopuścić do statku – zauważył Hunnar wpatrując się zmartwiony w górę. – W samym środku ustawimy grupę łuczników, a przy poręczach włóczyków.

Ethan obserwował jak stado robi się coraz większe.

– Ile te stworzenia mają rozumu?

– Mniej niż k'nithy – odparł Hunnar. – Polują na wzrok, głos i zapach, a nie na rozum.

– Mam taki pomysł – zaczął September. – Moglibyśmy spróbować...

\* \* \*

Na pokładzie *Slanderscree* nikt się nie poruszał. Wszyscy usiłowali wcisnąć się w poręcze albo jedną z prowizorycznych barykad z beczulek i skrzyń. Żadnego, nawet najśmielszego pilota nie można było przekonać, żeby stał przy kole sterowym podczas ataku smoków, a Hunnar i Balavere nie chcieli nikogo zmuszać. Tak więc sterowanie odbywało się spod pokładu za pomocą systemu linek do pociągania.

Stado zbliżało się, wyraźnie doganiając statek.

– Musi ich być ze setka – zagadnął Skua ze swadą. – Paskudnie wyglądające ptaszyska, co, chłopcze?

Rozległ się brzęk luku i gdzieś od dziobu dobiegł ich głos Balavere'a.

– Wstrzymać mi tam ogień! Niech te strzały się liczą, idioto!

Gutorrbyny nie atakowały. Ich przywódca skręcił w ostatnim momencie i zaczął krążyć nad tratwą. *Slanderscree* nadal brnęła przez wiatr, na jej pokładzie nikt ani nie drgnął, a aureola kwiczących, kraczących potworów tańczyła naokoło masztów.

Były potężne, przypominały nietoperze, ich skórzaste skrzydła wyrastały z włochatych, opływowych ciał, które kończyły się długimi, rozwidlonymi ogonami. W połowie długości każdego skrzydła widoczne były pazury, a wielkie, zakończone szponami nogi podkurczyły się jak sprężyny pod miękkimi brzuchami. Każda głowa wyglądała jak koszmarna krzyżówka krokodyla z wilkiem, długie, pomarszczone pyski nabite były podwójnymi rzędami ostrych jak brzytwa, trójkątnych zębów. Olbrzymie jak u małpiatek oczy wściekle wpatrywały się w dół z tępą, bezmyślną wrogością.

– Uwaga na przywódców – ostrzegł Balavere. – Jeżeli zaatakują, to ze zwrotu.

Nie mogli jednak trwać zbyt długo bez ruchu, istniało niebezpieczeństwo, że po prostu zamarzną. Statek pędził dalej w szeleście stu par skrzydeł dudniących na wietrze i potrzaskiwaniu rei i żagli. Nagle otwarł się luk. Colette du Kane wychyliła się na pokład.

– Kiedy wreszcie coś się będzie dzia...?

Przypadkiem podniosła oczy w stronę nieba, zobaczyła masę krążących demonów. Jeden histeryczny wrzask.

– Trinska! – zaklął Hunnar. – A była szansa, że się zniechęcą!

Colette wrzasnęła jeszcze raz.

September nagle krzyknął:

– Uwaga na zenit! – po terangielsku, co zostało pospiesznie przetłumaczone na trański, kiedy pojedynczy szereg gutorrbynów zwinął skrzydła, opadł na prawo i zanurkował po pojedynczą postać widoczną na pokładzie.

– Strzelać, strzelać! – wrzeszczał Hunnar do łuczników.

Rozległ się podniecony bełkot łuków. Jeden z potworów zwałił się na pokład niecały metr od Ethana; był niemal tak wielki jak człowiek i dwa razy tak potężny. Ethanowi wydawało się, że słyszał trzaśnięcie, kiedy przy uderzeniu w deski łamał się kark stworzenia. W jego piersi pograżyły się trzy strzały.

Colette chyba odzyskała rozum. Ethan usłyszał, jak zatraskują się drzwi do luku. Nie widział tego, bo tuż przed jego twarzą błysnęły nagle zęby i rozległ się łoskot, jakby zatrzasnął się potrzask na niedźwiedzie. Ciął na oślep mieczem. Poczuł, że miecz zagłębia się w coś miękkiego. Rozległ się ochryply wrzask jakby gigantycznego szczura i jego nagi przegub pokryła jakaś lepka substancja. W nos uderzył ohydny, cuchnący smród, a potem wszystko zniknęło i miecz był znowu wolny.

Trudno było odróżnić od siebie wrzaski tranów i smoków. Pograżony w upiornym koszmarze krwi i zębów Ethan zobaczył, jak jeden ze smoków muska w locie powierzchnię lodu; z jego

szponów zwisało bezwładne ciało jakiegoś marynarza. W pewnej chwili zębata paszczęka opuściła się i niemal bezwiednie chapnęła kołyszącą się głowę.

Drewno pokładu okrywały ciała padłych gutorrbynów. Małe grupki włóczyków trzymały atakujące zwierzęta na odległość, a działający z ukrycia łucznicy zbierali straszliwe żniwo śmierci. Tuż obok przemknął z wrzaskiem ranny smok i roztrzaskał się na lodzie. Wydawał się okryty piórami, tyle w nim było strzał. Ethan okręcił się i ciał w szczyrzący zęby koszmar, który zataczał krąg i nurkował w kierunku jego pleców. Uchylił się i następna para szponów o centymetry minęła się z jego głową; właściciel szponów rozwrzeszczał się, że mu pokrzyżowano plany. Uniósł się w powietrzu, żeby ponownie spaść na pokład. Coś jednak uderzyło go potężnie w bok i rozbił się o maszt. Ethan zauważył teraz, że spora część rosnącej sterty smoczycy ciał po-nabijana była krótkimi, grubymi strzałami. Na moment spojrzął w górę.

Na szczycie każdego masztu przywiązane były plecione klatki, które miały chronić obserwatorów od wiatru. Teraz w każdej z nich kryła się para kuszników. Siedzieli spokojnie, dopóki nie rozgorzała walka, teraz dawali o sobie znać; zestrzeliwali gutorrbyny i te w dole, i te które plątały się w olinowaniu. W całym zamieszaniu żaden smok nie starał się wypatrzeć skąd dosięgają ich te zabójcze bełty. Spadały teraz po dwa, po trzy. Ethan znowu pchnął do przodu mieczem, ale nie bardzo było już w co celować. Skrzecząc wyzywająco resztką potwornie przetrzebionego stada nagle uniosła się z wiatrem i pomknęła na zachód. Dysząc ciężko Ethan podszedł do miejsca, gdzie Hunnar usiłował opatrzeć szpetnie zranioną rękę włóczyka.

– No, odpędziliśmy je. Jakie ponieśliśmy straty?

– Może być ich więcej, ale wydaje się, że straciliśmy tylko jednego człowieka i niezbyt wielu odniosło rany. I znowu dobrze nam się przysłużyła magia czarodzieja.

– To i może jeszcze coś – powiedział Ta-hoding. Kapitan spędził cały ten czas kuląc się w pobliżu Hunnara, kłując od czasu do czasu swoim mieczem, przede wszystkim jednak pomstował na swoich przodków, że dopuścili do tego, by znalazł się w podobnych opałach. W efekcie tylko jego ego doznało pewnych obrażeń. Stał teraz przy poręczy i wpatrywał się w północny horyzont.

– Jeszcze noc daleko, a nadchodzi ciemność. Czy zwróciliście na to uwagę, panowie?

Ethan nie zwrócił. Szczerze mówiąc nawet teraz nie dostrzegał różnicy w natężeniu światła. Ale Hunnar chyba ją dostrzegał, podobnie jak Ta-hoding.

– Masz rację, kapitanie. Podszedł do nich September.

– O co właściwie chodzi? Znowu jakiś atak? Dobrze, że te zwierzęta nie mają za wiele rozumu. Mogłyby nas po jednym wyłapać, jakby trochę pomyślały.

– Nie wiem, Skuo – wyznał Ethan. – Chyba Ta-hoding i Hunnar martwią się, że coś się dzieje ze światłem.

– Nie ze światłem, szlachetni panowie – powiedział Ta-hoding. – Popatrzcie jeszcze trochę



uważniej tam, na zachód. – Obydwaj mężczyźni zastosowali się do polecenia. – Rifs!

Teraz Ethan zobaczył. Wielka, ciemna chmura zaczynała właśnie wylazić zza ostro zarysowanego horyzontu. Jej frontowa część połyskiwała i błyskała, jak widzialny puls jakiegoś gigantycznego zwierzęcia. A niebo rzeczywiście wydawało się trochę ciemnieć.

– Wcześniej nadchodzi – zaniepokoił się Hunnar. – Dziwiłem się, że gutorrbyny nadlatują z północy. Zwykle lecą z wiatrem lub pod wiatr. Wyraźnie „coś” odeгнаło nasze stado na południe.

– A więc to nie my je odpędziliśmy? – zapytał September.

– Nie, Sir Skuo. Podejrzewam, że walczyły aż tak długo tylko dlatego, że były bardzo głodne. Prawdopodobnie już od jakiegoś czasu uciekają przed tamtym. A teraz zmuszone są próbować przelecieć na zachód, zanim dopadnie je Rifs.

Żagle nad nimi strzelały i biły w maszty, młóciły w reje, nie obznajomione z takimi poprzecznymi wiatrami.

– Będziemy musieli skręcić dalej na południe i uciekać przed nim tyle, ile się da – powiedział Hunnar. – Jeżeli uda się nam utrzymać kurs na zachód, może to nawet pomóc... pod warunkiem, że nic się nie rozleci.

– Zacny panie – zaczął Ta-hoding nerwowo – ośmieliłbym się zamiast tego zaproponować...

– I zrefujemy tyle żagli, ile uznasz za rozsądne, zacny kapitanie...

Ta-hoding odrobinę się odprężył.

– ...ale mniej niż dziesięć procent tego, co rozkażę dodatkowo postawić, bo podejrzewam, że możesz własną skórę cenić wyżej niż jak najszybsze ukończenie naszej podróży.

– Okazujesz mi straszliwe lekceważenie, szlachetny panie, bo zaprawdę z radością poświęciłbym moją nieszczęsną osobę, żeby tylko zagwarantować, że czcigodni i wspaniali przyjaciele..

– Dostyc, dostyc! – powiedział Hunnar z niesmakiem, ale bez gniewu. – Pilnuj swoich żagli a nie komunałów, kapitanie, i to szybko!

Ethan odwrócił się i rzucił okiem na chmurę. Podwoiła swoją wielkość i zaczynała zajmować cały widnokrąg, ze wściekłą szybkością pochłaniając światło i błękitne niebo. Ruszył dc przodu.

– Schodzisz na dół, mój chłopcze? – zapytał Septembe

– Nie! – Ethan sam był zaskoczony gwałtownością swojej reakcji. Ale słowa przyjaciela brzmiały ociupinę protekcyjnie. Może nie był gotów puścić się w tany na czubku głównego masztu, ale na Rotschilda, niech go diabli, jeżeli nie będzie po trafił zostać na pokładzie i znieść ataku jakiejś tam burzy!

Hellespont du Kane obrzucił pokład uważnym spojrzeniem, wyszedł z luku i podszedł wolnym krokiem. Ethan nie miał wielkiej ochoty rozmawiać z finansistą, ale jedną z cech jego charakteru była uprzejmość. Poza tym może mu się kiedyś przydać taki sławny znajomy – jeżeli kiedykolwiek odtaje. Du Kane trącił stopą trupa jednego ze smoków, do którego jeszcze nie doszła ekipa sprzątających. Prawdopodobnie oszacowuje jego potencjalną cenę za kilo na międzygwiazdnych targowiskach, pomyślał Ethan sucho.

– A więc skończyło się, panie Fortune?

– Przynajmniej ten etap – odparł Ethan usiłując nie mówić szorstko. – Wydaje się jednak, że teraz trochę nam powieje wiaterek. Proponowałbym, żeby zszedł pan na dół i poprzywiązywał wszystko, co według pana nie powinno się telepać po okolicy.

– Na dole mam tylko córkę, a ona potrafi o siebie zadbać. – Czy naprawdę tak myślał, czy też prowadził jakąś rozgrywkę? Z tej kamiennej twarzy pokerzysty nie dało się niczego wyczytać. – A więc Rifs?

– Słyszał pan o nim? – powiedział Ethan nieco zaskoczony.

– O, tak, zostanę na pokładzie, żeby zapoznać się z tym nowym przeżyciem. Jeżeli nie ma pan nic przeciwko?

– Ja? Miałbym mieć coś przeciwko? – To dopiero będzie widok, kiedy ten nadęty facet co sił w nogach zacznie uciekać w jakieś bezpieczne miejsce, jak tylko uderzy w nich pierwszy silniejszy podmuch. – Będę się cieszył z pana towarzystwa.

Hellespont du Kane popatrzył mu prosto w twarz.

– Nie ma potrzeby ironizować, panie Fortune. Wiem, co pan o mnie myśli.

– Zaraz, sekundkę, du Kane – zachnął się Ethan. Jakoś go to szpetnie wytrąciło z równowagi. – Czemu uważasz, że...

– To bez znaczenia, bez znaczenia. – Finansista lekceważąco machnął ręką. – Wszystko jedno. Niektórzy z nas, panie Fortune, nie urodzili się z takim koleżeńskim, łatwym i przyjemnym sposobem bycia, nie umieją spoufalać się od pierwszego wejrzenia. Mam przyjaciół, ale nasze stosunki opierają się na wzajemnym poszanowaniu i w niektórych przypadkach na wzajemnej obawie. Żałuję, że nie jestem bardziej... bardziej...

– Ludzki? – zapytał Ethan i natychmiast pożałował.

W tym momencie du Kane wyglądał na swoje lata. Tak na niego popatrzył, że Ethanowi zrobiło się go niemal – niemal, ale nie całkiem – żal.

– Nie ryzykowałbym aż tak silnego sformułowania, panie Fortune, ale jesteśmy tacy, jacy jesteśmy i nic na to nie możemy poradzić, prawda?

– Nie wiem, Hellesponcie.

Chwytał za kawałek olinowania, żeby utrzymać równowagę w nasilającym się wietrze. Marynarze zaczęli oplatać pokład linami awaryjnymi.

– Czy to pytanie, czy stwierdzenie?

\* \* \*

Ethan stał przy sterze. Ta-hoding obsadził jedną stronę olbrzymiego koła, a jego sternik drugą.

– Będziemy obaj potrzebni, żeby sobie z nią poradzić, przynajmniej przez pierwszą godzinę – tłumaczył.

Zwinięto wszystkie żagle oprócz żagli gniezdnych. Tratwa delikatnie muskała lód pędząc na północny zachód. Ta-hoding usiłował ujechać jak najdalej, zanim uderzy ich czołowa fala i zmusi do skręcenia na południe, z wiatrem. Tymczasem czarna zasłona pokryła już większość nieba na północy. Grzmoty dudniły z trzech stron statku, jak kompozycja jakiegoś szalonego muzyka.

– Wkrótce – jęczał Ta-hoding. – Wkrótce. Czuję go już w powietrzu.

– Trzymajcie się mocno, przyjaciele – ostrzegł ich Hunnar. – Pierwsze chwile są najgorsze. Rifs to żywe stworzenie. – I poszedł na przód, żeby jeszcze raz sprawdzić liny awaryjne.

– Zgodnie z tym, co mówi kapitan – powiedział September, który musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć wiatr – to jest coś w rodzaju atmosferycznej fali powrotnej po przyptywie. Wiecie, co to jest fala powrotna?

Nikt nie wiedział. Ale zanim Skua miał okazję im to wyjaśnić, Rifs uderzył.

Ethan był przygotowany na wszystko i dokładnie to się właśnie stało. Podmuch oderwał go od poręczy i toczył po pokładzie kilka metrów, aż zatrzymały go stopy jakiegoś marynarza. Tran, który tulił do siebie jedną z awaryjnych lin jak kochankę, zdołał się jakoś utrzymać, wyciągnął masywną, włochatą łapę i złapał Ethana za kołnierz kurtki. Ethan praktycznie wspinał się po jego nodze, dopóki sam nie uchwycił mocno liny.

Ten pierwszy podmuch podobny był do uderzenia młotem, obdarował go sińcem na policzku i rozciętą wargą – w efekcie Ethan ucierpiał gorzej niż podczas napadu guttorbynów. Powoli, ostrożnie podczołgał się z powrotem do poręczy. Jakimś cudem Ta-hoding i jego sternik utrzymywali statek na kursie. Hunnar proponował, żeby przywiązać koło; kiedy kapitan odmówił, wszyscy poczuli się zaskoczeni.

– Szlachetny panie, lina nie ma rozumu, a Rifs to wielkie, gniewne kocię. Nie można powierzyć mu przywiązanego koła.

Ale zgodził się, żeby zamocować te dwa nieznane płyty powietrzne na miejscu.

*Slanderscree* nagle przechyliła się i Ethan rzucił się do poręczy. Wicher kładł rozpedzoną tratwę na bok i popychał ją od spodu, aż zaczęła gnać na złamanie karku tylko na lewych płozach. Wtedy Ta-hoding gwałtownie obrócił koło; tratwa skierowała się na południe i z gwałtownym zgrzytem powróciła do pozycji poziomej. Nadal jechała gładko i wyglądało na to, że nic się nie złamało ani nie wygięło.

September podciągnął się do miejsca, gdzie przywarł do poręczy Ethan.

– Troszkę za długo trzymał ją na kursie, ale odważny jest ten nasz tłusty kapitan, co? Nic ci nie jest?

Ethan ostrożnie wysunął odzianą w rękawicę rękę i przysunął się o krok bliżej.

– Przyjdzie taki dzień, że ci powiem, że właśnie umieram, tak dla kawału – odkrzyknął.

Wicher walił w nich jak cepem, jak gdyby zawziął się, że rozwali nieustępliwą tratwę na drzazgi. Teraz, kiedy znaleźli się już w samym sercu burzy i poruszali się razem z nią, tratwa miała mniej kłopotów. Wicher z furią pchał ich do przodu, ale rozszalałe pierwsze uderzenie przetoczyło się już na południe.

– Jak myślisz, z jaką szybkością jedziemy, mój chłopcze?

Ethan nie miał zielonego pojęcia, ale jakiś ledwie słyszalny głos dochodzący z za pleców wydawał się mieć.

– Oceniałbym, że to pierwsze uderzenie miało dobre sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Teraz odnoszę wrażenie, że poruszamy się z wiatrem nieco powyżej stu kilometrów. Orzeźwiający, nieprawdaż?

Ręka za ręką Hellespont du Kane przesuwał się do miejsca, gdzie Ta-hoding i jego sternik walczyli z kołem.

– Wszystko mi jedno, czy jest stary, czy nie – zaczął September, w rażący sposób pomijając fakt, że sam bardzo mało przypomina niemowlę w pieluszkach – pewnego dnia zdzielę go pięścią w tę zadowoloną z siebie gębę.

– Ta mina chyba nie świadczy o zadowoleniu z siebie – odparł Ethan dziwiąc się, że stary przemysłowiec w ogóle jeszcze znajduje się na pokładzie. – Sądziłbym raczej, że bez względu na to, czy chodzi o milion kredytów, czy o odpowiednie ułożenie sztuców na stole, du Kane reaguje na wszystko bardzo trzeźwo.

– Pewnie by tak samo zareagował, jakby dostał pięścią w ryj – mruknął Skua.

Ethan zamrugał oczami. Pod pasmami chmur burzowych lód wydawał się szary; chmury ścigały się ze statkiem jak bezkresne stado galopujących hipopotamów. Za każdym razem, kiedy w lód uderzał piorun, podnosił się gejzer odłamków.

Kilka razy żelazne pręty na czubkach trzech masztów ściągnęły na siebie ciosy zakrzywionych, rozpalonych do białości, milionwoltowych szabli, ale bez szkody dla tratwy. Ethan musiał przyznać, że gdyby udało mu się nie zwracać uwagi na ból w rękach kurczowo zaciśniętych na poręczy i na to, że gogle drażyły rowki dookoła jego oczu, to zachwyciłby się dziką i niesamowitą urodą tej burzy. Krótko mówiąc była ona wspaniała.

– Schodzę na dół trochę się ogrzać. Idziesz, chłopcze?

– Zaraz... za minutkę – zamruczał Ethan.

Błyskawica przeskoczyła gargantuicznym potrójnym łukiem z jednej wysepki na drugą.

– Nie czekaj na mnie.

September coś wymamrotał, potem stanął, chwiejąc się w huraganowym wietrze.

– Czy słyszałeś coś kiedyś o Systemie Analava?

Ethanowi udało się odciągnąć część uwagi od meteorologicznego domu wariatów.

– Tak, ale nic pewnego. Czy to nie były te dwie planety w sektorze Vandy, które wdały się w wojnę pomimo interwencji pokojowej ekipy Wspólnoty i edyktu Kościoła... gdzieś tak ze dwadzieścia lat temu?

– Dwadzieścia dwa. Mówiłem ci, że mnie poszukują. No, to chcesz wiedzieć, za co mnie poszukują? Tak myślę, mój chłopcze, że może właśnie teraz ci powiem.

To odwróciło uwagę Ethana od wyjącej aury. September obrócił się do niego twarzą, trzymał się jedną ręką poręczy, a drugą awaryjnej liny i walczył z wiatrem.

– Sto dwadzieścia milionów ludzi zginęło w tej wojnie. A trwała jeden tydzień. Jest taki człowiek, a może dwóch, którzy myślą, że to ja za nią jestem odpowiedzialny. To dlatego mnie poszukują.

Potem odwrócił się, położył obie dłonie na linie awaryjnej i zaczął przesuwać się do najbliższego luku.

Ethan był zbyt wstrząśnięty, żeby miał próbować go zatrzymać, zbyt oszołomiony, żeby sformułować jakieś pytania. Wojna analawańska była jednym z wielkich koszmarów czasów współczesnych, plamą na historii Wspólnoty, ropiejącą raną na świadectwie dojrzałego *homo sapiens* i atawizmem z Ciemnych Wieków. On sam miał bardzo mgliste wspomnienia osobiste – miał wtedy tylko osiem czy dziewięć lat, szczegółów dowiedział się później, kiedy dorósł, ale przerażenie jakie wywoływała u dorosłych – tego nie zapomniał. September musiał zwariować. Żaden pojedynczy człowiek nie mógł ponosić odpowiedzialności za sto dwadzieścia milionów istnień ludzkich.

Pioruny cięły i rozdzierały szary lód. Ethan patrzył w przestrzeń i nic z tego nie widział.

Uniosła go jakaś olbrzymia dłoń i wyrzuciła z koi. Wcale mu się ten kawał nie wydawał śmieszny i wyraził swoją opinię bez ogródek, waląc na oślep w ciemności rękami w koce. Kiedy wydostał się wreszcie na wierzch, uświadomił sobie kilka faktów, a senność, która dotąd zasłoną okrywała mu umysł, gdzieś się ulotniła.

Po pierwsze, był pewien, że siedzi prosto, a jednak był pochylony na bok. Był pewien, że winien temu jest wszechświat, a nie on sam. Kiedy oczy przyzwyczyły się do ciemności, upewnił się, że ma rację. Pogmerał po omacku, zapalił oliwną lampkę. Tak, pokład przechylał się na lewo pod niezwykłym kątem.

Z głównej ładowni przypląnął do niego wzbudzający szacunek stek trańskich przekleństw. Z kabiny Septembra, sąsiadującej z jego kabiną, doszły go potoki spokrewnionej semantycznie terangielszczyzny. Pierwsze poryki oburzenia zaczęły już zastępować okrzyki niepewności i niespokojne pytania. Otworzył drzwi. Ktoś zapalił już na korytarzu lampę i w ładowni też zaczynały rozbłyskiwać światła. Może był gdzieś jakiś żołnierz albo marynarz, którego wstrząs nie wyrzucił z koi, ale Ethan takiego nie spotkał.

Doszedł do końca korytarza przez całą drogę borykając się zawzięcie z kurtką i kombinezonem awaryjnym. Tranowie mozolnie gramolili się na nogi, usiłowali poustawić koje i rozeznac się, która pościel jest czyja, zadając sobie nawzajem bez końca te same idiotyczne pytania, na które nie było odpowiedzi. Gdzieś z daleka, od dziobu, nadleciał pojedynczy jęk bólu, ale oprócz tego wszyscy wydawali się bardziej wstrząśnięci psychicznie niż fizycznie. Wrócił i zastukał w drzwi kabiny usytuowanej naprzeciwko.

Niemal natychmiast stanął przed nim zatroskany Sir Hunnar. Rozchełstany rycerz usiłował równocześnie przetrzeć oczy i przypasać miecz.

– Coś nas zatrzymało! – wykrztusił Ethan.

Hunnar potrząsnął swoją wielką, rudą grzywą.

– Nie ma co, potrafisz dotknąć samej istoty rzeczy, Sir Ethanie. Bez żadnych wątpliwości zatrzymało nas.

Ethan zerknął w głąb kajuty i zobaczył, że generał Balavere również walczy ze swoim ubiorem. W chwilę później dołączył do nich September i wszyscy ruszyli korytarzem. I zaraz prawie zderzyli się z Ta-hodingiem. Wyraz twarzy pulchnego kapitana nie dodał im otuchy. Hellespont du Kane wytknął głowę przez drzwi kabiny i zawołał do nich:

– Co się stało, panowie?

– Właśnie się mamy zamiar dowiedzieć, du Kane – odkrzyknął mu Ethan. – Jak tylko będziemy wiedzieli, zawiadomię cię.

Finansista kiwnął głową i zniknął z powrotem w pokoju. Ta-hoding poprowadził ich po schodach,

utyskując przez ramię.

– Wydaje się, że mogliśmy się zderzyć z lądem. Już samo to przyczyni nam niemałych zmartwień, szlachetni panowie, ale bardziej niepokoją mnie szkody. Jest niemal pewne, że jedna albo dwie nasze płozy się zerwały. Sądząc po kącie, pod jakim spoczywa tratwa, powiedziałbym, że pewnie jedna. Mam tylko nadzieję, że puściło zamocowanie, a nie sama płoza.

– To, na czym jedziemy, kapitanie, to duramiks – przypomniał mu September. – Nawet po wtórnej obróbce nie będzie się giął. Myślę, że prawdopodobnie masz rację, że to zamocowanie.

Ta-hoding pchnął drzwi luku. Jak zawsze obydwaj mężczyźni zebrali się w sobie, w oczekiwaniu na podmuch powietrza, który zdawał się po omacku szukać ciepła i wysysać je.

Rifs zmalął do zwykłej zawieruchy. Zanim przyjdzie ranek, burza już się od nich oddali. Pracowicie chronione przed wiatrem latarnie rzucały roztańczone smużki światła na pokład. Na spotkanie Ta-hodingowi wyszedł sternik z nocnej zmiany, potem podszedł następny marynarz i oddychając nierówno i jękając się zaczął wygłaszać długi szereg informacji.

Narada trwała, Ethan przysłuchiwał się przez krótką chwilę, potem dołączył do Hunnara i Septembra stojących przy poręczy.

– No i rzeczywiście ugrzęźliśmy – stwierdził September.

– Czy damy radę się stąd wyrwać? – zapytał Ethan.

Hunnar rozważył pytanie.

– Z pierwszym światłem zaniknie ten południowo-wschodni wiatr. Będziemy wtedy mieli normalny wiatr z zachodu, wiejący prosto w twarz. To powinno umożliwić nam wyrwanie się stąd bez większych kłopotów.

Dołączył do nich Ta-hoding.

– No cóż, szlachetni panowie, wydaje się, że w godny pożałowania sposób się myliłem. Wcale nie wpadliśmy na ląd. A przynajmniej nie dokładnie.

– Nie rozumiem, o czym mówisz – powiedział Ethan, wpatrując się zmrużonymi oczami w ciemności. – Dla mnie to coś w przodzie wygląda całkiem jak jakaś wyspa.

– Wygląda – zgodził się kapitan. – I znowu świat nas okłamuje. Chodźcie.

Ruszyli za nim na ostry dziób tratwy. W pewnej chwili Ethan zauważył, że na prawo od nich, w świetle księżyca coś połyskuje. Duża, kremowego koloru kolumna. Wyglądała dziwnie znajomo. Musieli stąpać uważnie, żeby nie wpaść na opadłe na pokład olinowanie i roztrzaskane reje, które zostały pozrzucone na dół. Górna połowa przedniego masztu złamała się w połowie i ogromny pień drzewa zwałił się na pokład, ciągnąc za sobą olinowanie i pozwijane żagle. Widać było tylko ułamek bukszprytu, a lewa poręcz w pobliżu dzioba była pogięta, chociaż kadłub wydawał się cały. Na lewo

od nich marynarze z latarniami zrzucali z burty sznurowe drabinki i zaczęli schodzić na lód. Ten stawaner był całkowicie martwy. W ciemnościach na prawo i na lewo ciągnął się górując nad dziobem, zaskorupiały grzbiet. Na ziemskie standardy był to olbrzym, w porównaniu jednak z tamtym okazem tego gatunku, którego Ethan widział wcześniej, był mały, a nawet maleńki. Ta-hoding niezgrabnie przelazł przez złamaną reję gniazdową, doszedł na dziób i wychylił się do przodu.

– Młody, bardzo młody. Ciekawe, jak to się stało, że jest tylko jeden.

– Może podczas burzy oddzielił się od swojego stada – zgadywał Hunnar – i usiłował znaleźć schronienie na tej wysepce. – Wpatrywał się w szeroki, wygięty w łuk grzbiet, w dwie sflaczałe dysze powietrzne. – Musiał być bardzo słaby, a może nawet spał, kiedy go trafiliśmy. Myślę, że zginął na miejscu. Widzicie? Trafiliśmy go tuż za głową.

I rzeczywiście, ostry dziób szybko poruszającej się tratwy uderzył kolosa tuż za wielkim, zamkniętym okiem. Długi, stożkowato zwężający się bukszpryt pograżył się zabójczo głęboko w wielkie cielsko, siejąc spustoszenie w jego nie kończącym się układzie nerwowym.

– Mieliśmy cholerne szczęście, że to nie był dorosły osobnik – zauważył September.

– Prawdziwie, mieliśmy – zgodził się Hunnar.

– Hej, kapitanie! – Ten okrzyk dobiegł z lewej strony, gdzieś z lodu. Poszli za Ta-hodingiem.

Nocną zmianę miał Budjir. Właśnie pomagano mu przeleźć przez roztrzaskaną poręcz.

– Uderzyliśmy grzmotożercę pod kątem, panowie. Przednia prawa płoza kompletnie odłamała się z zamocowania i leży teraz na lodzie. Przednia lewa płoza jest solidnie zgięta, ale umocnienia wytrzymały.

– Vunier! – mruknął Hunnar. – Mamy zapasowe zamocowania. Z masztem nie będzie kłopotów, ale tamta sprawa... – Westchnął. – Będziemy musieli dokonać napraw. I znowu opóźnienie, drodzy przyjaciele.

– Nie trap się tym – powiedział Ethan wesoło. – To żadna różnica.

\* \* \*

Przynajmniej pogoda nie robiła im niespodzianek. Oddalająca się burza trwała nieco dłużej, niż spodziewali się tranowie, ale przed południem panowała znowu niepodzielnie zachodnia zawierucha.

Ethan uciał sobie pogawędkę z Budjirem, kiedy pomagał wyciągać z ładowni skrzynię prymitywnych gwoździ.

– Ale mieliśmy burzę, co? Jak często jest tak intensywna?

– Och, to była bardzo lekka burza, panie – odparł giermek, a na jego otwartej, prostackiej twarzy



nie było śladu zakłamania. – Mieliśmy tylko pecha, że złapała nas na otwartym lodzie. Ale już niedługo zaczną się prawdziwe burze.

Ruszył do przodu ze skrzynią, zostawiając Ethana w towarzystwie własnych, mocno wyziębłych myśli.

Ponieważ dziób tratwy pogrążony był w martwym stawanerze, a tylne płozy trzymały się mocno, *Slanderscree* w części dziobowej była tak wysoko uniesiona nad lodem, że ludzie bez trudu mogli pracować pod spodem. Na wszelki jednak wypadek wycięto drewniane podpory i bloki i poustawiano je, żeby wzmocnić dziób i mieć pewność, że nie zwali się on na pracujących u dołu, gdyby wiatr nagle zmienił kierunek. Wkrótce ponad wyciem wichury niosły się odgłosy stukania i piłowania, walenia i drapania.

Ta-hoding przechylił się przez burtę i stęknął z zadowoleniem.

– Pracując w takim tempie możemy ruszyć w drogę, jeszcze zanim minie następny dzień. Z jakiegoż cudownego metalu zrobiona jest wasza podniebna łódź, Sir Ethanie. Podczas takiego zderzenia nawet stal byłaby się połamała i pocięła.

– Można by to tak urządzić, żebyście otrzymali więcej takiego metalu – powiedział z namysłem Ethan, który zaczynał czuć się jak ryba w wodzie. Interesy! – A do tego różne metody obróbki, żeby łatwo i szybko przetwarzać go na rzeczy wam potrzebne. Z kolei wy wytwarzacie takie przedmioty, które mogłyby dobrze się sprzedawać... oczywiście nic nadzwyczajnego... wśród moich ludzi. Na przykład te wasze wspaniałe wyroby w drewnie. I coś takiego jak ten płaszcz z hessavara. I inne rzeczy.

Zerknął w bok, gdzie kilku członków załogi usuwało – wykopywało byłoby właściwszym terminem – przeogromne kły nieżywego stavazera.

– Na przykład te zęby. Do czego one mu się tak w ogóle przydają? Chyba nie do obrony.

– Hę? – Ta-hoding dzielił swoją uwagę pomiędzy Ethana, a ekipę naprawczą. – Och, oczywiście, że nie. Stawaner nie ma żadnych wrogów. Avaerów używa, żeby kopać w lodzie i dostać się do korzeni i smakowitych grenloenów pika-pedanu.

No, to było tłumaczenie raczej nieskomplikowane. Miał jeszcze więcej pytań, ale przerwał mu okrzyk obserwatora na głównym maszcie.

– Żagiel na horyzoncie! – A w kilka sekund później. – Wiele żagli!

– Konwój? – ryknął kapitan tak głośno, że Ethan aż się wzdrygnął.

Na górze zapanowała cisza. Załoga oderwała się od pracy i zaczęła wpatrywać się w kosz na topie masztu. Kiedy wieści dotarły na dół, naprawa też zaczęła się ślimaczyć.

– Za daleko! – Dobiegł wreszcie krzyk w odpowiedzi. – Ale jest ich zbyt wiele! I układ jest niewłaściwy!

September właśnie wychodził na pokład, gdy Ethan spotkał go w pół drogi do rufy.

– Mamy towarzystwo, chłopcze?

– Na to wygląda, Skuo. Ta-hoding uważa, że może to być flotylla kupców. Obserwator nie jest taki pewien. Pewnie można by tu kogo bądź spotkać.

Naprawę kontynuowano, ale metalowcy, stolarze i nadzorcy nie przestawali rzucać niespokojnych spojrzeń na północno – wschodni horyzont. Pracowali teraz troszkę szybciej. Wreszcie zawiadomiono, że prawa płoza została wyprostowana i że wymieniono zgięte zaczepy. Nowy maszt przedni też był już na swoim miejscu i kilku tranów wiązało na powrót olinowanie i stawiało nowy żagiel. Żwawo postępowała także praca nad lewą, złamaną płozą. A potem od strony bocianiego gniazda doleciał do nich okrzyk, po którym wszystko zamarło.

– Bogowie z nas drwią! To Horda, Horda nadciąga!

Hunnar zaklął gwałtownie i wymierzył z wściekłością kopniaka w poręcz. Wysunięte w gniewie szify wyorały w drewnie potrójne szramy. Odwrócił się na pięcie i poszedł poinformować o niebezpieczeństwie Balavere'a. September potrząsał głową.

– No, czegoś tak ślicznego to się nie spodziewałem – pojękiwał.

– Jakim cudem mogli nas wytropić? – wołał Ethan. – Jakim?

– Wcale nie jestem pewien, czy to spotkanie było zaplanowane, mój chłopcze. Oni pewnie uciekali, uciekali. To po prostu zwykły pech, że uciekali w tę właśnie stronę. Mogą myśleć, że jesteśmy jakimś zwykłym, dużym statkiem kupieckim... Ale jak podjadą bliżej, to nas poznają, szkoda słów.

– Moglibyśmy zdjąć ten proporzec – zaproponował Ethan – i niechby Ta-hoding i parę osób z załogi spróbowało zamydlić im oczy.

– Jak sobie wyobrażasz to zamydlenie im oczu? Chłopcze, ty nic nie rozumiesz. Obojętne, czy bylibyśmy dwuosobową tratwą, załadowaną drewnem opałowym dla starej chaty, czy czymś dwa razy takim jak jesteśmy, załadowanym jedwabiami i cennymi metalami, i tak nas obleżą. Dla tego Sagyanaka może to mieć jakieś znaczenie, że jesteśmy tym, czym jesteśmy, ale dla nas to żadnego znaczenia nie będzie miało. Wynik będzie taki sam, jak gdybyśmy ich nigdy wcześniej nie spotkali. Dla nich jesteśmy łupem. Niech to szlag trafi!

Żołnierze stadami włązili na olinowanie, kusznicy zajmowali miejsca w trzech koszach obserwatorów, łucznicy zajęli pozycje przy poręczy. Pozdejmovano osłony z trzech niewielkich kata-pult, które były bezużyteczne w walce z gutorrbynami. Załoga *Slanderscree* skierowała teraz całą energię na przygotowanie do spotkania swoich niechcianych gości. Wszyscy poza ekipą naprawczą, która pracowała szybciej niż kiedykolwiek dotąd.

Hunnar wpatrywał się za rufę. Tratwy zbliżyły się teraz tak, że można je dyło policzyć i tym się właśnie zajmował.

– Jest ich za dużo. Strzęp, mała resztką tego, czym byli dawniej, ale wciąż jeszcze zbyt wiele dla jednego statku, nawet takiego jak ten. – Wymamrotał znowu kilka wyborowych przekleństw. – Gdyby udało im się naprawić tę venierowatą płożę, z łatwością moglibyśmy ich prześcignąć! – Zauważył pytające spojrzenie Ethana. – Nie, sir Ethanie. W żadnym wypadku nie będziemy gotowi na czas. Ludzie będą pracować, dopóki ich tamci nie odkryją, ale w czasie ataku nie będą w stanie niczego naprawiać. Może... – głos jego opadł do niewyraźnego mamrotania, kiedy patrzył z wściekłością na zbliżające się tratwy – może przynajmniej uda nam się ją tym razem wykończyć.

Ethanowi coś się nie zgadzało. Zorientował się, co.

– Ją?

Hunnar popatrzył na niego ze zdumieniem.

– Oczywiście. Czyżbyś nie wiedział? Bicz jest kobietą.

\* \* \*

Na pokładzie obszarpanej, nadwerężonej wielkiej tratwy, która wyglądała jak cień swojej dawnej wspaniałości, Sagyanak Nagła Śmierć przyjmowała raport zwiadowców. Tak, płoży tej unieruchomionej łodzi dziwnego kształtu naprawdę zrobione są z metalu, który ma taki kolor i połysk jak podniebna łódź demonów. A na maszcie powiewa proporzec Sofoldu. Sagyanak uśmiechnęła się na wpół bezzębny, okrutny uśmiechem.

Młody wojownik po jej prawej ręce zeszywniał, kiedy zwróciła się do niego.

– Norsviku, chcę, żeby wzięto żywcem tak wielu, jak tylko się da, czy słyszysz? Nawet gdyby miało nas to kosztować więcej ofiar z Ludu. Powinno się ich zachować w możliwie dobrym zdrowiu i nieuszkodzonych żeby mogli wytrzymać długo.

– Będzie, jak mówisz, o Wielka.

Wojownik skłonił się i opuścił pokój.

Sagyanak złożyła pomarszczone, szponiaste palce i zaczęła gładzić oparcie swojego tronu. Był zbudowany z kości tych, których pokonała. Wkrótce do jego zawile zdobionej konstrukcji doda następny zestaw. Może nawet jakieś kości demonów.

Zastanawiała się z zaciekawieniem, czy demony będą krzyczeć tak jak zwykli ludzie. Powinna o to zapytać Szaleńca.

\* \* \*

– Schodzą z tratw – powiedział Hunnar, osłaniając łapą oczy przed promieniami słońca.

– Dziwne mi się to wydaje, że nie próbują dokonać abordażu z tratw – przyznał Ethan.

– No cóż, mój chłopcze, jestem pewien, że mają swoje powody. Po pierwsze – przymrużył oczy kiedy wiatr szarpnął go za gogle – żadna z tych tratw nie wygląda mi na to, żeby była w dobrym stanie. Na dodatek do tego, co im zrobili krajanie Hunnara, ta burza na pewno też im nie pomogła... I pamiętaj, co nam Hunnar mówił, że ci ludzie lepiej potrafią jeździć na szifach niż większość tratw.

Horda wylewała się na lód. Tym razem nie było ich tylu, żeby lód pod nimi zniknął i kiedy w końcu ruszyli do przodu, ich wrzaski i śpiewy nie ogłuszały. A może wiedzieli, kto jedzie na tym dziwnym pojeździe, który mają przed sobą, i ich stosunkowy spokój był oznaką nie tyle braku ducha, co okrutnej zawziętości.

Zaatakowali nie zatrzymując się. Grad bosaków i drabin obleźniczych uderzył w burty unieruchomionej tratwy. I wkrótce Ethan wywijał mieczem z tym samym brakiem mistrzostwa, ale i taką samą determinacją, jaką okazywał na murach Wannome.

September przebił jednego z wojowników przez pierś, wyrwał topór, wrzasnął polecenie do tranów przy miniaturowych katapultach. Równocześnie zwolnili celuloidowe rozciągacze. Cztery niewielkie, dymiące tłumoczeki wyleciały łukiem na lód. W samym środku szeregów atakujących nastąpiła eksplozja szrapneli ze szkła, żelaza i oślepiającego prochu. Pokrwawieni i poranieni tranowie zwalili się na lód, ale ich towarzysze nie stracili odwagi. I znowu wystrzeliły katapulty i powaliło następnych koczowników na zamrożone morze. Kilka razy wydawało się już, że barbarzyńcy wedrą się na pokład i zaleją ich. Kilka razy łucznicy i włócznicy zostali odepchnięci od poręczy lub powycinani w pień. Tylko stały deszcz bełtów z kusz od tranów na masztach zamykał wyrwy, blokował wyłomy. Bitwa trwała przez cały dzień, tranowie i ludzie na statku odpierali jedną za drugą falę atakujących. Dopiero kiedy lód zaczął pożerać słońce, ci ostatni zaniechali ataków i wycofali się.

Nie zwracając najmniejszej uwagi na to, kto go może zobaczyć, Ethan legł wyczerpany na pokład. Jego miecz z łoskotem opadł obok niego. Hunnar ruszył na przód, bez wątpienia chcąc naradzić się z Balaverem i ocenić poniesione straty. Generał odniósł ciężką ranę w ramię, ale pozostał na pokładzie przez cały czas walki. September wycierał swój topór; wyglądał na przybitego i zmartwionego.

– Tutaj nie ma co liczyć na żadne cuda, mój chłopcze. Chyba ze Williamsowi uda się zmienić te zagle na repelenty pozygrawitacyjne. Aż wstyd, że nie wierzę w magię. Żeby dojechać tak daleko, pracować tak ciężko... a po tym wszystkim, żeby człowieka dopadła taka banda prymitywnych wyrzutków z innego świata, jak ci tutaj i zrobiła z niego kotlet mielony... – potrząsnął głową, jego wielki nos kiwał się jak żuraw studni; obrzucił spojrzeniem zawalony trupami pokład. – Wygląda na to, że straciliśmy co najmniej połowę naszego kontyngentu. Sądzę, że lada chwila będziemy musieli wcisnąć miecz nawet du Kane'owi i jego córce.

– A jakie szkody zadaliśmy tamtym? – zapytał ze zmęczeniem Ethan.

– Duże, mój chłopcze, duże. Ale nie wystarczająco duże. Jutro nas obleżą od góry do dołu. Gdyby zdecydowali się złamać tę jeszcze nie naprawioną płozę albo podpalić statek...

– Właściwie dawno już powinni spróbować to zrobić. Ciekawe, dlaczego nie zrobili?

– No cóż, chłopcze, na tej planecie poza aerobusami nie ma szybszego środka lokomocji niż ta tratwa. Tak mi coś się zdaje, że ona chciałaby ją dostać w całości, ta Sagyanak, jeżeli uda jej się na niej położyć łapę. O, popatrz.

Ethan podniósł się ociężale na nogi. Pierścień koczowników w ilości połowy pozostałych im sił, otoczył szerokim kołem *Slanderscree*. Reszta wracała na swoje tratwy. W pobliżu dziobu, tuż za zasięgiem kusz, zajęli stanowiska łucznicy z napiętymi łukami.

– Zobaczyli rozwaloną płożę – powiedział September. -

I na Głowę Końską, nie mają zamiaru pozwolić nam jej naprawić, o nie. Każda ekipa remontowa, którą spuścimy za burtę, zostanie posiekana na strzępy. Jakoś musimy sobie poradzić z tą naprawą, żebyśmy mogli jutro wyrwać się stąd. Nie ma mowy, byśmy wytrzymali jeszcze jeden całodzienny atak. Niemalże skończyły nam się też bomby naszego nauczyciela-pacyfisty.

Nie da się ukryć, że w grupce, która tego wieczoru zebrała się w kabinie kapitana, panował ponury nastrój.

– No i na tym stoimy – zakończył Hunnar.

Właśnie powtórzył z upiększeniami to, co wcześniej mówił Ethanowi.

– Jest rzeczą jasną, że nasze szansę na odparcie następnego ataku tego robactwa są realistycznie rzecz biorąc bardzo małe. Zostało nam kilka pakietów z grzmotami, nieco bełtów do kusz i stanowczo za mało ludzi. Kiedy skończą nam się bomby i bełty, dopadną nas. Musimy się stąd wyrwać. A przecież nie możemy bezpiecznie wyprawić na zewnątrz ekipy, żeby naprawiła płożę.

– Prawa płoża jest całkowicie naprawiona i ustawiona – dodał Suaxus-dal-Jagger. – Ale ta druga zarwie się, jak tylko się ją chociaż trochę obciąży. Rzeczywiście, nie ma szans, żebyśmy ruszyli, dopóki jej się nie zreperuje.

Na stole przed nimi leżał plan tratwy. Teraz odezwał się Ta-hoding, który dotąd w milczeniu przysłuchiwał się i patrzył na schemat.

– Jest jedna rzecz, której moglibyśmy spróbować, panowie.

– Na tym etapie każda sugestia jest mile widziana, kapitanie – powiedział Balavere, trzymając się za ramię.

Ta-hoding pochylił się w przód i przesunął palcem po rysunku.

– Moglibyśmy wyrąbać otwór w podłodze naokoło centralnego zamocowania płoży, o tutaj i tutaj. Nasi rzemieślnicy mogliby wtedy bezpiecznie pracować z wnętrza tratwy. A może nawet częściowo na zewnątrz, ponieważ z pewnością wrogowie będą wypatrywali tylko tych, którzy spróbowałiby ześlizgiwać się po burtach.

– Czy uda się zreperować płożę od środka? – zapytał Ethan.

Był rozczarowany przeczącym potrząśnięciem głowy Ta-hodinga. Kapitan ciągnął dalej.

– Niezbyt dobrze i nie na stałe. Nie ma możliwości dokonania koniecznych końcowych prac w metalu. Ale można by prowizorycznie ją przymocować, przeciągając przez dziury na sworznie podwójnie grube liny, które następnie można by związać i zacisnąć na wewnętrznych sponach.

– Nie brzmi mi to zbyt przekonująco – dumął Balavere. – Czy to w ogóle będzie trzymać?

Ta-hoding przewrócił oczami w sposób będący irańskim ekwiwalentem wzruszenia ramionami.

– W żaden sposób nie da się tego przewidzieć, szlachetny panie. Taka prowizorka może wytrzymać dwa dni, a może strzelić, jak mówi giermek, jak tylko się ją obciążą.

– Składam to w twoje ręce kapitanie. Czy twoim zdaniem wytrzyma?

Ta-hoding nie chciał się zdeklarować, wyraźnie nie lubił, żeby stawiano go w kłopotliwym położeniu. W końcu wydusił z siebie:

– Powiedziałbym, że bez obaw przez jeden ranek. Liny powinny być wystarczająco silne, żeby wytrzymać duże tarcie, jeżeli zaciśnie się je bardzo ciasno i nie poluzują się za szybko. Tak, postawiłbym własne życie, że wytrzyma cały ranek. Postawię własne życie, że wytrzyma.

– To bezpieczny zakład, kapitanie – powiedział Hunnar. – Jeżeli nie masz racji, nikt z nas nie będzie w stanie odebrać wygranej. Czy da się to przygotować na rano?

– Na pewno nie, jeżeli będziemy tu siedzieć i paplać przez całą noc – wtrącił podniecony Balavere. – Kapitanie, zajmij się swoimi ludźmi i naprawą. I dopilnuj, żeby wszystko przebiegało w ciszy. Nie chcemy przecież obudzić ciekawości tych bestii.

Ta-hoding skinął głową i oddalił się niemal biegiem, a w każdym razie niczego bardziej zbliżonego do biegu Ethan dotąd u niego nie widział; plan statku ścisnął silnie w łapach.

– A więc, panowie, jeżeli nie została nam już do podjęcia żadna decyzja...

– Przepraszam generale, ale to jeszcze nie wszystko – powiedział September. – Powiedzmy, że uda nam się dokonać tej naprawy w tajemnicy i na czas. Powiedzmy dalej, że ta cała tymczasowa prowizorka kapitana wytrzyma. Wyrwiemy się z tej góry mięsa i zaczniemy jechać pod wiatr. Zakładam, że możemy pod wiatr ruszać się szybciej niż oni?

– Nie ma co do tego wątpliwości – powiedział Balavere.

– No to w porządku, wypniemy się na nich i będziemy pokładali się ze śmiechu, kiedy będą znikali za rufą. A co może im przeszkodzić, żeby uparcie jechać po naszych śladach... a ta tratwa zostawia za sobą ślad, nie ma dwóch zdań... i dogonić nas, kiedy to prowizoryczne zamocowanie wreszcie się zarwie?

Balavere pomyślał, zawahał się.

– Musimy podjąć to ryzyko. Możliwe, że ich zgubimy. Albo może, nie wiedząc, jak niepewna i niebezpieczna jest nasza sytuacja, uznają, że nas nie dogonią.

– Albo nie uznają – odparował September. Popatrzył po zgromadzonych przy stole. Niestety problem przez niego poruszony, nie miał najmniejszej ochoty oddalić się i ukryć w nieznanym nikomu miejscu. Żądał rozwiązania, a nikt żadnego nie miał.

– Przepraszam was, szlachetni panowie – powiedział Eer-Meesach milczący dotąd na końcu stołu. – Nieczęsto zdarza mi się angażować w sprawy militarne i teraz też wolałbym stać z boku. Ale mam pomysł. Możemy mieć jeszcze innych sprzymierzeńców.

– Nie mów takimi zagadkami, o mędrce – zbeształ go Balavere. – Jestem zanadto zmęczony na zabawę i boli mnie ramię.

– Bardzo dobrze. Jest to ryzyko i to znaczne. Ale tak to wygląda, że życie nasze waha się na ostrzu losu jak ten statek na swoich płozach. Jedno więcej ryzyko nie powinno nas bardziej pogrążyć...

## ROZDZIAŁ XII

Jedno jest pewne na tym świecie, myślał sobie markotnie Ethan następnego ranka, przy tym wietrze człowiek budzi się szybko. Żadnego wylegiwania się w łóżku. A on teraz ze szczęściem w oczach oddałby rok życia za skromną, wygodną sybarytanę, którą natychmiast nastawiłby na „przypiekanie”, a następnie zablokował kontrolki. Odwrócił się i ze znużeniem wbił wzrok w dziób. Marynarze wycofali się na tylną połowę statku; w chłodzie przedświt każdy usiłował skulić się za czymś solidnym.

Niespodziewanie nastąpiła gwałtowna eksplozja. Fontanna surowego mięsa rzygnęła w czyste niebo. Zachodni wiatr pochwycił większą jej część i uniósł pod kątem prostym od samego statku. Ethan stał i gapił się na lód. W pierścieniu nieprzyjaciół, ledwie że widocznych w nasilającym się świetle, zakotłowało się; ich także obudziła eksplozja. Co te demony mają teraz zamiar zrobić?

Przynajmniej tyle mieli radości, że pobudka, jaką urządzili nieprzyjacielowi, była niezwykle brutalna. Głęboko zaczerpnął powietrza, ale w połowie zrezygnował, bo miało ono teraz swobodny dostęp do porozrywanej padliny i smród rozkładu powoli ogarniał cały statek. Nie pomagały wysiłki wiatru, żeby go ze sobą unieść.

Wartownik wydał okrzyk i wszyscy rzucili się biegiem na rufę. Mała grupka czterech... nie, pięciu barbarzyńców oderwała się od kręgu i powoli, gęsiego szifowała w stronę nieruchomej *Slanderscree*. Wydawali się nie uzbrojeni.

– Parlamentariusze – wyjaśnił lakonicznie Hunnar. – Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli o czym z nimi rozmawiać.

– Pozwolę sobie być odmiennego zdania, przyjacielu Hunnarze – powiedział September. – Mamy im bardzo wiele do powiedzenia, wszystko, co tylko nam przyjdzie na myśl, i musimy to mówić jak najdłużej, dopóki sprawa nie stanie się zbyt oczywista. Pozwoli nam to zyskać na czasie i dać ekipie naprawczej szansę działania. Może nie skończą na czas, ale każda minuta, o którą uda nam się odwlec ostateczny atak... – zawiesił głos.

Ktoś pomógł jednemu z koczowników – niezbyt delikatnie – przejść przez poręcz. Balavere i inni zbili się w gromadkę wokół niego.

Wspaniały niegdyś hełm wysłannika był z jednej strony szpetnie wgnieciony, a skórzany napierśnik pocięty i poplamiony. Ale sam właściciel nie wydawał się ani zmęczony, ani zniechęcony, jak się tego spodziewał Ethan. Zwrócił się bezpośrednio do Balavere’a, bez żadnych sformalizowanych wstępów.



– Bicz życzyłby sobie odbyć rozmowę z tymi spośród was, którzy przywodzą. Jestem Haldur Mówca. Ja i moi trzej oficerowie zostaną tutaj jako zakładnicy, jako gwarancja za tych, których wyślecie. – Kiedy mówił, trzech innych z pomocą marynarzy gramoliło się na pokład.

– Zgadzą się na te warunki – powiedział Balavere po pospiesznej naradzie z Hunnarem.

– Suaxusie, przygotuj jeden z noanów. Giermek odszedł wykonać polecenie.

Na *Slanderscree* były dwie małe tratwy, inaczej noany, które wykorzystywano, zależnie od okazji, jako szalupy ratunkowe lub łódki patrolowe. Teraz jedną z nich opuszczono za burtę, miała służyć jako środek transportu, głównie ludziom wchodzącym w skład ruszającej na negocjacje grupy; inaczej musieliby ślizgać się na butach i hamowałiby całą resztę. Zabrało się z nimi trzech członków załogi *Slanderscree*, żeby obsługiwać ster i żagle.

Na wymianę pojechali Hunnar, Ethan, Skua i Suaxus. Kiedy znaleźli się na pokładzie, na noanie postawiono żagiel. Koczownik, który został na łodzi, poprowadził ich przez przerwę w pierścieniu barbarzyńców. Kiedy przejeżdżali przez to niepiękne zbiorowisko, podniósł się cichy pomruk. Wielu z wojowników Bicza oprócz szpetnie pogiętych zbroi miało na sobie bandaże i łupki. Nastrój wśród nich panował iście morderczy i Ethan miał nadzieję, że Hunnar wie, co robi, zgadzając się na tę wymianę. Mijali oddziały koczowników szifujących w kierunku pierścienia. Niewątpliwie trwały przygotowania do ostatecznego szturmu. Myśli Septembra szły podobnym torem.

– Znowu przygotowują się do ataku.

– Czy można było mieć jakąkolwiek wątpliwość? – zdziwił się Hunnar. – Bardziej zdumiewa mnie ta prośba o rozmowy. Czy ona myśli, że będziemy na tyle głupi i się poddamy?

– Jaki by nie był tego powód, ciesz się – odparł September. – Pozwala nam to zyskać na czasie.

– Słuchaj – powiedział Ethan – czy jesteś pewien, że uda nam się wrócić na tratwę? Charakter tej urokliwej damy nie robi na mnie zbyt wielkiego wrażenia. Do jakiego stopnia jest ona honorowa?

– Tak honorowa jak najpodlejszy śluz wyciekający spod ogona góry śmieci – warknął rycerz. – Ale ta sprawa nie ulega kwestii. Wszyscy szanują osobę posła. Bez takiej ugody nie bardzo byłoby się jak poddać. Im podobni wolą nie walczyć, jeżeli da się wejść w układy. Pamiętajcie, kiedyś mówiłem, że zrobili się tłuści.

Ethan przyglądał się szifującej obok nich następnej grupie wyraźnie zdenerwowanych tranów ubranych w mocno pościągane zbroje.

– Nie widzę tu żadnego jakoś szczególnie korpulentnego osobnika.

– Już nie, od czasu kiedy zostali pokonani, przyjacielu Ethanie. Gdyby to się wydarzyło dwieście czy trzysta lat temu, kiedy Horda była wciąż nowym przybyszem na naszych ziemiach, nie sądzę, żeby nawet z pomocą kusz waszego czarodzieja i jego grzmotów udało nam się pokonać ich tak, jak to zrobiliśmy.

Zbliżali się do zakotwiczonej floty koczowników, a raczej jej nędznych resztek. Przewodnik prowadził ich pomiędzy tratwa mi, aż podjechali do czegoś, co kiedyś musiało być istnym pałacem na płozach. Teraz mrozące krew w żyłach motywy i wzory wyrzeźbione na poręczach i na samym pawilonie centralnym ze – szpecił ogień. Złota folia, którą obłożono budynek, była opalona i nadtopiona.

Czekano już na nich, żeby im pomóc wejść na pokład, łapy chwyciły ich mocno. Pewnie po to, pomyślał sobie Ethan, żeby zobaczyć, ile mięsa na nich zostało. Usiłował sobie przypomnieć, czy zdarzyło mu się już przebywać kiedyś w gorszym towarzystwie, ale ten osobisty żarcik w najmniejszym stopniu go nie rozbawił. Nie było łatwo robić sobie podśmiechujki, jeżeli w każdym momencie któryś z tych prymitywów mógł podjąć próbę przerobienia człowieka na stek.

Weszli do pawilonu i przeszli przez kilka pokoi. Wnętrze wielkiej kabiny wciąż wyglądało bogato i wygodnie. W końcu doszli do pokoju większego niż wszystkie poprzednie. Pod ścianami stało kilku świetnie zbudowanych przedstawicieli trańskiej potęgi, uzbrojonych w olbrzymie, dwustronne miecze. W drugim końcu pokoju stał nieprawdopodobny tron, zrobiony z kości i czaszek tranów i wykładany drogocennym metalem i klejnotami. Postać siedząca na tronie nawet według ludzi, przyzwyczajonych do innych wzorców urody, była niezwykle odpychająca.

Ethan wyobrażał ją sobie jako gigantycznego wojownika o groźnym spojrzeniu, a tymczasem Sagyanak była pokurzoną, pomarszczoną staruchą. Szpetny worek kości i żółci, tym obrzydliwszy, że na twarzy i ciele widoczne były efekty jej dziecinnych usiłowań umalowania się.

\* \* \*

Sagyanak stanowiła połączenie starych, osłabłych ścięgien i pełnych jadu oczu; pochyliła się w przód i wpatrywała w nich, pocierając palcem dolną wargę, jak bladego, szczeciniastego robaka.

– A więc stoicie tu, tak jak przepowiadał Szaleniec. – Nie pytali, ani nie odpowiadali. – To, że wyraziliście zgodę na negocjacje, mówi mi, że nie jesteście tacy mocni, jak myślałam. Jeszcze lepiej, najlepiej, jeszcze lepiej, najlepiej.

– To, że przybyliśmy na rozmowy – odpowiedział spokojnie Hunnar – oznacza, że we właściwy sposób szanujemy reguły konfliktu... coś, czym ty sobie nigdy nie zawracałaś głowy.

– Na wojnie nie ma żadnych reguł – odparła starucha obojętnie. – Jest tylko zwycięzca i zwyciężony. Metodologia jest bez znaczenia. Ale przybyliście.

– To już zostało ustalone – powiedział Hunnar zniecierpliwiony, pomimo uspokajających spojrzeń Septembra. – Czego chcesz? Przerwałaś mój poranny posiłek.

– A więc macie i mnóstwo zapasów. Świetnie. Dodatkowe rezerwy zawsze są mile widziane.

– Możesz podążyć naszym śladem i poczęstować się odpadkami, jeżeli uda ci się je złapać, zanim dopadnie ich wiatr.

Starucha pochyliła się powoli do przodu i pokazała połamane, żółkłe zęby.

– Kiedy was pojnę, tylko przez krótki czas będziecie się nadawali nawet na odpadki. – Potem z trudem wyprostowała się i usiłowała się miło uśmiechnąć. Rezultat był przerażający. – Ale nie widzę powodów do poruszania takich nieprzyjemnych tematów. Nie potrzebuję, żebyś usprawiedliwiał moje działania w walce, zacny rycerzu. Zostaw to na inną wizytę. A teraz słuchajcie, znana jestem z tego, że nigdy nie łamię danego słowa. Gdybym tak zrobiła, straciłabym cześć w oczach bogów i Złego. Czy wiesz, że taka jest prawda?

– Tak jest – przyznał Hunnar.

– A więc oto co ci powiem. – Jej głowa oparła się o tył tronu, skośne oczy zwęziły się. – Oddaj mi wielką tratwę, którą zbudowały dla ciebie demony. Tak, możecie nawet zatrzymać broń, łącznie z tymi magicznymi łukami, których się nie naciąga. Pożądam ich, ale możecie je zatrzymać. A także grzmoty i błyskawice, które miotają wasze katapulty. Zachowajcie je i możecie odejść wolni, gdzie tylko chcecie. Przysięgam to.

Hunnar musiał być zaskoczony tą pozornie szczodłą propozycją, ale w godzien podziwu sposób nie okazał tego.

– To niemożliwe. Jesteśmy zbyt daleko od Sofoldu, żeby bezpiecznie poszifować z powrotem po otwartym lodzie.

– Dam wam dosyć tratw dla wszystkich waszych ludzi, łącznie z rannymi, i dosyć zapasów na drogę powrotną. To również przysięgam. A będziecie jechali z wiatrem. – W jej oczach zapaliły się drapieżne błyski. – Cóż powiesz?

Hunnar wydawał się rozważać jej propozycję, inni omawiali ją szeptem.

– To dziwne, że gotowa darować nam życie, ale jeżeli złożyła przysięgę, to można.

– Nie podzielani twojej pewności – wtrącił September. – Jeżeli uda nam się wrócić, będziemy musieli zacząć budować nową łódź od początku. Nie wiem, czy ta niby kuźnia sobie z tym poradzi. Coś mi tu gorzej śmierdzi niż to wielkie, cuchnące padło przed dziobem statku. Zwariowany Eer-Meesach!

– Zgadzam się z tobą, przyjacielu Skuo. Najprawdopodobniej czeka nas śmierć, jeżeli się nie zgodzimy – wyjaśnił Hunnar. – Możemy nie dożyć wieczora. Tej oferty po raz drugi nie otrzymamy.

– Wciąż jeszcze mamy szansę, żeby wyrwać się i uciekać.

– Jak tylko postawimy żagiel, Sir Skuo, zaatakują żelazem i ogniem. Jeżeli nie uda im się osiąść tego statku, z pewnością nie pozwolą nam na nim uciec.

– Jeszcze jest ten pomysł czarodzieja – powiedział Ethan.

– Z którego na razie nic nie wyszło – odparował September.

Debatę przerwał im nowy głos. Przez kilka sekund Ethan nie mógł go rozpoznać.

– No, no, panowie, już wystarczająco długo zwlekaliście. Równie dobrze możecie propozycję przyjąć. Tylko to wam pozostało i dobrze o tym wiecie.

Odwrócili się. Ethan nie sądził, że jeszcze kiedyś usłyszy ten głos.

Przez osłonięte drzwi widoczne po prawej stronie tronu wszedł Walther, zajął miejsce u stóp Sagyanak i uśmiechnął się do nich. Nikt nie wyrywał się z powitaniem.

– Nie róbcie takich zaskoczonych min – zbeształ ich w płynnym trańskim. Wtedy po raz pierwszy Ethan usłyszał, jak biegle mówi w miejscowym języku; prawda, nigdy nie krył, że go zna. – Wyznam, że byłem przez jakiś czas w opałach. Bałem się, że któryś z tych włóchatych berserkierów przebijie mnie włócznią, zanim zdołam wyjaśnić, kim jestem i co mam do zaoferowania. Jak już przedarłem się do czegoś w rodzaju bardziej rozgarniętego kapitana, kazał mnie zaprowadzić do pani szefowej. Miło sobie pogawędziliśmy.

Oczywiście było za późno, żebym mógł coś zrobić w sprawie tej bitwy, którą już przegrała, ale miałem kilka innych propozycji. Udało mi się rzucić okiem na plany wielkiej tratwy tego słabeusza. Nietrudno było się domyślić, co zamierzacie z jej pomocą zrobić. Lwia część resztek Hordy wyniosła się chyłkiem i zajęła najazdami i kradzieżą w poszukiwaniu środków do życia, ale małe tratwy, udające stateczki kupieckie, jeździły tam i z powrotem pomiędzy nami a portem.

Wiedzieliśmy, kiedy osadzony został każdy maszt, kiedy na pokład wnoszono każdą skrzynkę zapasów. Jak tylko odbiliście i straciliście was trochę z oczu, ruszyliśmy za wami. Nie zginęlibyście nam, bo wiem, dokąd się udajecie, a poza tym ta wielka tratwa żłobi diabelnie głęboki ślad w lodzie. Łatwo was śledzić.

Jedyna rzecz, jakiej nie przewidziałem, to szybkość jaką to coś rozwija. Gdybyście nie mieli na tyle przyzwoitości, żeby wrębać się w tego wielkiego trawożercę, wciąż jeszcze byśmy was ścigali. Ale teraz już się wszystko ułoży.

– Tak, też jestem tego zdania – powiedział Ethan, sam zaskoczony tym, że się wtrąca. – Weźmiesz bandę tych morderców i pozełgujecie sobie do Asurdunu. Nie wiedząc, że jesteś człowiekiem, władze thranludzkie nie zwrócą na ciebie uwagi. Wtedy poszukasz swoich współników. Jeżeli cię od ręki nie obedrą ze skóry za to, że skopałeś całe przedsięwzięcie, wyjaśnisz im sytuację, polecisz z powrotem aerobusem, zabierzesz du Kane'ów i z niewielką tylko stratą czasu będziecie kontynuowali swój plan otrzymania za nich okupu. Sprytne. A my?

– Wiercie mi – powiedział Walther szczerze – żałuję, że kiedykolwiek któregoś z was zobaczyłem na oczy. Nawet tego nauczyciela. Tak, to niegorszy scenariusz. A wy możecie sami sobie szukać drogi do Dętej Małpy. Zanim uda wam się zbudować następną łódź, dojechać stąd do Wannome, a potem do Asurdunu, my powinniśmy już mieć kredyty w swoich rękach i rozpierzchnąć się w najdalsze kąty Ramienia.

September pokazał palcem na przysłuchującą się Sagyanak.

– Jeszcze jeden drobiazg. Co ona będzie miała z tego, że cię ochrania i wozi, co?

– Och, w zamian za swoją pomoc Jej Wysokość zatrzyma tę śliczną, dużą tratwę, którą zbudowaliście.

– To wszystko?

– No cóż, właściwie to obiecałem jej kilka skrzyń nowo-czesnej broni i może jedną czy dwie niewielkie armatki. Kiedy już nam zapłaca.

– Pomijając już fakt – ciągnął dalej September – że jest to pogwałcenie wszelkich przepisów dotyczących kontaktów ze światami klasy cztery-B, to jak to sobie wyobrażasz, co ta skorpionica z nimi zrobi?

– Spodziewam się, że Jej Wysokość – powiedział Walther, rzucając na nią okiem – poześle prosto z powrotem do tej mroźnej lodówki z zapasami i kamień na kamieniu z tego miejsca nie zostanie. Po czym, nie zabijając zbyt wielu mieszkańców, znowu obejmie stanowisko protektora handlu na tym terytorium. A co do praw – ciągnął dalej pogardliwie – jak się już zdecydowałem na sabotaż liniowca i porwanie was wszystkich, to tak jakbym sam zgłosił swoją kandydaturę na wymazanie pamięci. W najmniejszym stopniu nie obchodzi mnie to, co tubylcy mają zamiar zrobić z tymi nowymi zabawkami, które może się zdecyduję im dać.

– Powiniennem ci być kark skrócić, kiedy miałem po temu okazję – powiedział ze spokojem September.

– Tak, powinieneś. Ale straciłeś okazję. Zgódźcie się, a przynajmniej cało uniesiecie stąd swoją skórę. Odmówcie, a i tak odbierzemy wam łódź. Walczcie, a pokonamy was. Próbujcie uciekać, a odetniemy tę ułamaną płożę i podpalimy żagle. Utknęliście na dobre, przyjaciele.

– A nawet gdybyśmy się zgodzili, co będzie, jeżeli tranowie się nie podporządkują? – zapytał Ethan.

Walther wzruszył ramionami.

– To już wasz problem. Myślę, że lepiej będzie, jeżeli ich przekonacie. A, jeszcze jedna rzecz. Chciałbym zabrać ze sobą tę pannicę, jak jej tam... tę Colette, jako gwarancję, że nie będziecie próbowali jechać za nami do Dętej Małpy na tratwach, które wam zostawimy. To byłoby niewskazane, gdybyście przybili w kilka dni po mnie i dopuścili do naszego sekreciku siły pokojowe, prawda?

Od strony tronu doszło ich coś bardzo zbliżonego do gdakania. Obojętne, czy takie żądanie stawiały demony, czy ktoś inny, Sagyanak potrafiła je zrozumieć.

– A może jeszcze chciałbyś, żebym sobie obciął prawą rękę, jako dodatkową gwarancję z mojej strony? – zapytał September sarkastycznie.

– E, nie. Zatrzymaj ją sobie. Jestem dziś wyjątkowo hojny.

Wyszczерzył zęby, taki nędzny człowieczek o ograniczonym umyśle, który nagle znalazł się na pozycji siły i raduje się każdą chwilą.

– Wrócimy na statek i poinformujemy was o naszej decyzji – powiedział Hunnar, który już nie był w stanie słuchać dłużej i nie skoczył komuś do gardła.

– Macie pół godziny, według słońca – odparł pogodnie Walther. – Jeśli chodzi o mnie, możecie ten czas spędzić na liczeniu hurys, wszystko mi jedno. Jeżeli zgodzicie się na nasze warunki, zdejmijcie proporzec na rufie. Jeżeli nie, no cóż – wzruszył ramionami – zrobiłem dla was, co w mojej mocy.

– Nic dziwnego, że ona nazywa cię Szaleńcem – domyślił się Ethan.

Walther wzdrygnął się i stracił trochę zimnej krwi.

– Uważaj no, co mówisz, bystrooki. To nie jest zjazd sprzedawców.

– Aż ciebie też nie żaden towar pierwszej klasy – skwitował Ethan, kiedy wychodzili z sali tronowej.

Usiłował zachowywać się z nonszalancją, kiedy sunęli z powrotem po lodzie, ale tak naprawdę odprężył się dopiero, kiedy minęli krąg wokół *Slanderscree*. W tej grupie było mnóstwo kobiet i kociąt w niemniejszym stopniu obszarpanych i zajadłych, jak ich panowie. Było oczywiste, że Sagyanak niczego nie zostawia przypadkowi. Miał to być najwyższy wysiłek z jej strony. A czemu by nie, jeżeli czekał taki łup? Mając nowoczesną broń rządziłaby taką częścią planety, jaką by chciała, a dalekie władze thranxludzkie nigdy by się o niej w ogóle nie dowiedziały.

– Oczywiście, że nie możemy się na zgodzić – powiedział tak do nikogo w szczególności.

– Oczywiście, że nie – powiedział September. – Ale zajęło to trochę czasu. Może wystarczająco dużo. W każdym razie musimy teraz próbować się oswobodzić. Na myśl, że to okropieństwo miałyby dostać w swoje ręce nawet jeden porządny pistolet, w żołądku mi się przewraca.

– Coś o tym wiesz, nieprawdaż? – powiedział nagle Ethan, rzucając mu osobliwe spojrzenie.

September zdecydował się nic udzielać odpowiedzi. Zamiast tego odwrócił się do Hunnara.

– Będziemy musieli ich utrzymać na odległość, znaleźć najbardziej dogodny wyłom w ich szeregach, a potem się uwolnić. Balavere i Ta-hoding czekali zaniepokojeni na powrót posłów. Dobrze było znowu poczuć wysoki pokład pod nogami, nawet jeżeli za niecałą godzinę tratwa mogła stać się czymś w rodzaju barokowej trumny. Barbarzyńscy zakładnicy przełazili niechętnie przez burtę. Hunnar z jawnym lekceważeniem przyglądał się, jak pospiesznie suną na bezpieczny teren obozowiska. Ledwie weszli na pokład, gdy na Ethana wpadło coś, czego nie zdążył nawet rozpoznać, złożyło na jego policzku marznący pocałunek i zniknęło w przednim luku. Kącikiem oka ujrzał tylko przelotnie rozwiane futra i niewyraźną, różową plamkę twarzy.

– Co to było? – wymamrotał raczej głupio.

– Przecież to była Colette du Kane, mój chłopcze. – September się wyszczerzył. – Ciekawe, czemu groźba śmierci zawsze roznamiętnia kobiety?

– Na wszystkich bogów, Skuo! Czasami twój brak ogłady przekracza wszelkie granice!

– Proszę, bez takich komplementów przed walką – odparł Skua.

Wyjaśnili pozostałym wyniki tych jednostronnych „negocjacji”. Ta-hoding w pospiesznym tempie zmieniał się w roztrzęsioną ruinę trana. Balavere wysłuchiwał ich spokojnie, kiwając od czasu do czasu głową na coś, co mówił Hunnar, zadając pytania Septembrowi, aż obydwaj skończyli.

– To nie do pomyślenia, żeby można było oddać statek w ich ręce w jakichkolwiek okolicznościach – powiedział ostatecznie generał. – Raczej zrównałbym go z lodem, niż dopuścić, żeby ta Niegodziwa się do niego zbliżyła.

Ethan pociągnął nosem i zadławił się. Smród gnijącego kolosa był tak potężny, że powinien sam wystarczyć do odparcia ataku. I faktycznie, kiedy wychylił się przez poręcz, zauważył, że część pierścienia koczowników bezpośrednio na wschód od nich wyraźnie się przerzedziła. Mogło to się nawet do czegoś przydać. Kiedy zaczną się uwalniać, będą mieli gdzie szukać tego osłabionego sektora. Ale Hunnar i Ta-hoding chcieli uciekać w przeciwną stronę. Ethan westchnął i z żalością popatrzył na wyszczerbione szeregi nieprzyjaciół. Tranowie prawdopodobnie mieli rację. Poza tym tratwy koczowników zgromadzone zostały po stronie wschodniej i tam tworzyły następną barierę.

Każdemu wydano dodatkową broń, razem z poważnym ostrzeżeniem, że przy tym następnym ataku nie będzie litości ani żadnej folgi. I znowu dokonano przygotowań do sterowania spod pokładu. Nie z powodu zagrażającej burzy, ale na wszelki wypadek, gdyby powalono sterników na pokładzie, kiedy tratwa będzie usiłowała wyrwać się z okrążenia.

Ranni ujęli miecze i włócznie. Podobnie zrobili Elfa, Colette, a nawet Hellespont du Kane, który przynajmniej potrafił wymachiwać jednym z nich jak laską. Kuznicy wdrapali się na górę, usadowili w swoich koszach i poukładali sobie stosiki bełtów pod ręką. Łucznicy i włóczniecy zajęli stanowiska przy poręczy.

Czekali.

Ethan bacznie przyjrzał się żalośnie przetrzebionej grupie zrównoważonych Sofoldian, a potem tysiącom zamaryłych w napięciu koczowników. Tym razem nic mieli rezerw, które mogłyby zająć puste miejsce przy poręczy, jeżeli ktoś padnie. Zaczynał opłakiwać te wszystkie transakcje, zlecenia, interesy, promesy i kobiety, których nie zdążył zaliczyć. Musiało to trwać ponad pół godziny.

Może sobie to tylko wyobraził. A może Sagyanak i Walther postanowili dać im nieco więcej czasu w nadziei, że narastające napięcie osłabi podjęte na *Slanderscree* postanowienie. Następne kilka bezcennych minut dla szaleńczych działań ekipy naprawczej.

I w końcu ruszyli, wyjąc i wrzeszcząc, i poszifowali w stronę tratwy ze wszystkich stron. Nie był to zdyscyplinowany atak, ale rozwrzeszczany, wściekły tłum, który wymknął się spod kontroli. O

pokład zaczęły stukotać strzały. Padł jakiś żołnierz kilka metrów na lewo od niego. Tymczasem ich kusznicy i łucznicy odpowiadali ogniem z większej wysokości. Padały dziesiątki barbarzyńców, setki posuwały się do przodu. Znowu drabiny oblężnicze i bosaki jak pnącza oploty burty. Jeden z haków niemalże przygwoździł Ethana do poręczy.

Nad burtą pojawiła się odziana w hełm głowa. September zamachnął się – miał znowu w rękach ten wielki topór. Ethan rąbał i walił w powiazaną w węzły linę, przyczepioną do haka.

Poprzez cały ten hałas i zamieszanie doszedł ich z góry jeden głos. Ethan z trudem go poznał. Był to głos obserwatora na głównym maszcie, który zajął stanowisko na górze razem z kusznikami. Użył megafonu – następny z mniej skomplikowanych wynalazków Williamsa. Informacja, jaką przekazał, była zwięzła.

– NADCHODZĄ!

Wiadomość usłyszał również Ta-hoding, który dygotał za każdym razem, kiedy jakaś strzała z gwizdem przelatywała z dziesięć metrów od niego. I nagle jego tłusta postać zaczęła się poruszać po pokładzie ze zwariowaną szybkością, własną osobą ściągał marynarzy ze stanowisk i niemal kopniakiem wysyłał ich w olinowanie. Ethan modlił się, żeby tylko kapitan nie wpadł na jakiś maszt i nie rozciągnął się jak długi.

Porzucając miecze, włócznie i dzidy marynarze pędem gramolili się między wanty. Żagle zaczęły opadać, wydymać się na wietrze. Kiedy przy pomocy systemu lin pod pokładem usiłowali ruszyć na wpeł wmarzniętą w lód piątą płożę, koło trzeszczało i obracało się, jak gdyby stał przy nim duch. Żołnierze walczyli z tym większym zacięciem, usiłując wyrównać ubytek sił. Stopniowo obie strony walczących zdawał się ogarniać jakiś niesamowity spokój.

– Słyszysz to, chłopcze? – zamruczał September.

– Tak... tak, słyszę – odszepnął Ethan; wcześniej nie zdawał sobie z tego sprawy.

Dźwięk był słaby, daleki. Tsunami pod starannym nadzorem. Nieustanne dudnienie dobiegające z głębi samego lodu.

Atakujący też ten dźwięk usłyszeli. Wschodni horyzont zasypały pytające spojrzenia. W miarę jak szmer przybierał na siłach, zaczął pojawiać się w nim pewien rytm, falujący i huczący jak ciężki przyptyw. Jakiś koczownik zawahał się w pół cięcia mieczem, inny z mniejszym przekonaniem miotnął włócznią, jeszcze inny naciągnął łuk i pozwolił, żeby cięciwa zwisła.

*Slanderscree* zaczęła wycofywać się z martwej góry. Ethan był pewien, że gdzieś z przodu, spod pokładu, słyszy lekkie, metaliczne pojękiwanie. Zignorował je. Może sobie gdzieś pójdzie. Co by to nie było, powiązana linami płoza nie wygięła się.

W kręgu otaczającym ze wszystkich stron tratwę podpalano nagromadzone w stosy drewno. Buchnęły płomienie. Przygotowano tratwy z wyschłego, nasączonego olejem drewna, żeby pchnąć je w stronę ociężałego, powoli poruszającego się, wielkiego statku. Tu i tam ruszyli niosący pochodnie



tranowie. Ale w tym samym czasie inni koczownicy zaczęli ześlizgiwać się po linach oblężniczych, potykając się opadać z drabin. Szarpali się z tymi, którzy parli do przodu.

Tranowie z pochodniami dotarli w pół drogi do zawracającej tratwy, która teraz wprost ociekała opadającymi z jej burt wojownikami.

– Tam, widzę je! – wrzasnął Ethan.

September odwrócił się również, potem Hunnar, a potem tych kilkoro nieprzyjaciół, którzy jeszcze nie przestali walczyć.

Daleko, daleko na wschodzie w polu widzenia pojawiła się maleńka kępka stalowoszarych garbków, jakby stado wielkich wielorybów. Tyle że najdrobniejszy z nich był większy niż największy wieloryb, jaki kiedykolwiek pływał w ziemskich morzach. Twarde światło słoneczne napotkało cienkie, ułożone parami paski bieli i zabłysło. Po szklistej ziemi płynął złowieszczy odgłos grzmotu.

Ta-hoding, nie zwracając najmniejszej uwagi na sporadyczne strzały, które jeszcze przelatowały nad pokładem, pognął do koła. Dołączył do niego jeszcze jeden marynarz. Teraz cztery pary potężnych ramion ciągnęły tę piątą płożę, dwie na górze, a dwie pod podkładem. Ethan przyglądał się, jak nabrzmiewa nalana twarz kapitana, z wysiłkiem próbującego uwolnić statek z więzów trupa. Wystarczy kilka sekund, żeby złapać wiatr i ruszyć na południe. W tej sytuacji nie mogło być mowy o żeglowaniu pod wiatr. Pod wiatr mogli wyprzedzić Horde, ale nie stado. Może im się udać wydostać z ich trasy. Musi im się udać wydostać z ich trasy.

W miarę jak rozchodziła się wieść, opętańczy chaos wysuwał szpony i zatapiał je w szeregach barbarzyńców. Włócznie, topory i pochodnie padały na lód, pozostali koczownicy rozpościerali dany i szifowali, usiłując ratować życie. Kilka tratw barbarzyńców z niepełną załogą borykało się z kotwicami lodowymi, próbowało wyrwać je i również ruszyć pod żaglami. Na tę odległość niewiele można było zobaczyć, ale Ethanowi zdawało się, że wiele z tych kotwic po prostu odcinano.

Większość koczowników zdecydowała się chyba pokonać odległość dzielącą ich od tratw, jedynych domów, jakie kiedykolwiek znali. Kilku nie przejmowało się tym, tylko rozproszyło się we wszystkich kierunkach, chociaż ciężko było jechać i pod wiatr, i na północ, i na południe. Pewna liczba ich kłębiła się bez celu, inni ginęli pod szifami swoich ogarniętych histerią towarzyszy.

Hunnar wydawał niski, gardłowy pomruk, popatrując to na żagle, to na mozolącego się kapitana, to na rufę.

– Obróć jej dziób, Ta! Obróć jej dziób! Teraz stado było już tak blisko, że Ethan odróżniał poszczególne zwierzęta. Tak blisko, że widział te długie, gargantuiczne kły, zagięte po części w głąb przepastnych paszczy. Grzmot, jaki wydawały wdychając hektolitry powietrza, a potem wypychając je z mięsistych dysz odrzutowych w tyle swoich ciał, zagłuszał nawet wycie wiatru.

Tranowie na *Slanderscree* uwijali się jak w ukropie, żeby postawić każdy centymetr żagla. Słychać było skrzypienie i trzaski. Połamany bukszpryt flegmatycznie skręcał na południe.

*Slanderscree*, prawie zupełnie uwolniona od uwagi Hordy, ruszyła. Nieznośnie powoli mijała na wprost zgniętego trupa – tego trupa, którego gnilny smród przywabił rozwścieczone, ryczące stado z pastwisk leżących daleko za horyzontem, kazał mu się zebrać i opłakiwać jednego ze swoich zmarłych. Dokładnie tak, jak przepowiedział Eer-Meesach.

Ethan zdał sobie sprawę, że wali pięścią w poręcz.

– Prędeż, statku, ruszaj się! Proszę cię, prędeż!

Falujący odgłos grzmotu pochłaniał teraz wszystkie inne dźwięki, bił bezlitośnie w jego bębniaki uszne. Błagań Ethana nikt nie chciał wysłuchać.

Bardzo, bardzo niewielu barbarzyńcom udało się postawić żagle na tratwach. Inni wciąż usiłowali. Stado jak na zwolnionym filmie zbliżało się do tratw. Zbliżyło się. Znalazło się między nimi.

Przeszło przez nie. Już nie było tratw.

Żagle *Slanderscree* wypełniły się wiatrem i tratwa zaczęła się oddalać. Uszkodzona płoza wytrzymała przez minutę, potem drugą i jeszcze jedną, aż w nawale innych problemów została zapomniana. Ethan jak gdyby przymarzył do poręczy, kiedy stado zbliżało się z niewiarygodną szybkością. Poruszało się co najmniej sto kilometrów na godzinę – pod wiatr!

To, co jeszcze zostało z niegdyś wszechwładnej Hordy Bicza, zniknęło pod kilkoma milionami ton szarego cielska i stało się czerwono-brązową plamą na lśniącej lodzie.

Stado zbliżyło się jeszcze bardziej. Po raz drugi Ethan spojrzął w gardziel Lewiatana. Gardziel zatrzymała się, zamarła w bezruchu. I zaczęła się cofać.

– Zatrzymują się przy ciebie – zamruczał Hunnar w dłuższy czas po tym, jak już bezpiecznie oddalili się na południe. Musiał odchrząknąć, zanim zdołał wykrztusić słowo. – Dzięki wszystkim bogom!

– Nie wyglądało na to, żeby wielu z nich udało się uciec – powiedział Ethan.

– Nie – powiedział Hunnar dziwnie mało poruszony. – Niewielu.

– I kocięta też – ciągnął dalej Ethan, a jego głos opadł do ledwie dosłyszalnego pomruku.

September nie sprawiał wrażenia poruszonego. Zacierał obie ręce, wdał się w pogawędkę z marynarzami i żołnierzami, rozradowany, jakby właśnie udało się szczęśliwie wyjąć z pieca świeżo upieczone, dobrze wyrośnięte ciasto. Hunnar pochylał się nad sterem i usiłował rozpoznać szybko oddalające się kształty.

– Nie miałem na oku tratwy Sagyanak w tych ostatnich sekundach. Czyżby tej diablidy znowu udało się uciec?

– Przykro mi, że muszę cię pozbawić wszystkich tych koszmarnych marzeń, które na wpół miałeś nadzieję snuć, przyjacielu Hunnarze – powiedział September. I złapał za swój kaptur, który nagły podmuch wiatru usiłował mu zedrzyć z głowy. – Ja miałem ją na oku.

– Co te stanzery będą robić z tym nieżywym? Teraz, kiedy go już znalazły? – zapytał Ethan.

– Jeżeli czarodziej ma dokładne informacje, a dotąd miał – odparł rycerz – to grzmotożerce przez kilka dni zostaną ze zmarłym. Nigdy sam czegoś takiego nie widziałem. Podobno popychają kłami ciało, trącają je co chwilkę, wyraźnie mając nadzieję, że pobudzają je znowu do życia... I w końcu, kiedy zaspokoją jakąś wewnętrzną potrzebę, odejdą i nigdy już na to miejsce nie wrócą. A może po prostu zgłodnieją. Nikt tego na pewno nie wie. Przynajmniej wśród moich ziomków podglądanie zwyczajów grzmotożerców z bliska nie należy do nad-miernie popularnych zajęć. A grzmotożerce nieczęsto umierają

– Wcale się nie dziwię waszej przezorności.

Ethan zauważył, że teraz, kiedy *Slanderscree* nic już nic groziło, Ta-hoding jest o włos od kompletnego załamania. Kapitan po prostu opadł na pokład obok koła sterowego, taka pokryta potem sterta futra i ciała. Oczy miał wbite bezmyślnie w przestrzeń. Wydawało się, że cały wysiłek skupia na tym, żeby jeden oddech następował po drugim.

– Szlachetne zwierzęta – wymamrotał Ethan.

– Co? – Podszedł do niego September. – Te przekarmione, groteskowe roślinożerce? Weźże się w garść, chłopcze!

– Skuo, niekiedy wydaje mi się, że nie ma ani szczypty poezji w twojej duszy – westchnął Ethan.

– A co do tego, mój chłopcze, to najpierw trzeba by ustalić, czy ta ostatnia istnieje. I popatrzcie tylko, kto to mówi!

Prychnął z przesadną siłą. Wynikła z tego tak prześmiesznie wyniosła poza, że Ethan nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

– Bądź tak uprzejmy i wyjaśnij mi, jak się ma poezja do kupowania hurtem i sprzedawania z opustem.

Ethan właśnie się do tego zabierał, ale musiał przerwać w połowie pierwszego zdania.

Czemu ciągle ktoś musiał mu przypominać, gdzie nie jest?

## ROZDZIAŁ XIII

Tratwa połykała kilometr za kilometrem, a po drodze niewiele nowego było widać. Podróż bardzo szybko zmieniała się w do znużenia powtarzającą się serię czynności: wstawanie, spacerowanie po aż nazbyt znajomym pokładzie, rozmowy, jedzenie i znowu sen. Przynajmniej pod jednym względem ludzie mieli szczęście. Musieli dodatkowo walczyć o to, żeby uchronić się przed odmrożeniem, które podążało za nimi krok w krok.

Wjechali na nowy obszar, który wypełniały niezliczone, małe wysepki. Wiele z nich wyrastało z lodu niemal pionowo – ciemne, czarne skały, kikuty i czopy pozostałe po dawno uległych erozji wulkanach. Nieco urozmaicały one monotonię płaskiego krajobrazu, ale nie zanadto, bo każda następna aż nazbyt przypominała swoją poprzedniczkę. Kilka wysepek było zamieszkałych. Maciupieńkie wioski wczepiały się ryzykancko w urwiska.

Sporadycznie jakaś mała tratwa albo grupka wędrownych myśliwych przez kilka dziesiątków metrów jechała równolegle do *Slanderscree*. Tutejszy dialekt odbiegał od sofoldzkiego, mimo to Ta-hoding, dobry kupiec, był w stanie porozumieć się z nimi jak to sąsiad. Po pierwszych kilku spotkaniach nawet Ethan i pozostali ludzie potrafili mówić zrozumiale, chociaż brak im było płynności kapitana.

A więc język trański był ogólnoplanetarny, lokalne odmiany nie wykluczały możliwości porozumiewania się szeroko rozproszonych grup. Jeszcze jeden plus, interesujący z punktu widzenia handlu i kupców. Miejscowi ludzie, nawet na najdoskonalszych tratwach, nie byli w stanie dotrzymać tempa wielkiej trat – wie i zostawali z tyłu. Zaczęło być tak nudno, że Ethanowi zamarzyła się następna zawierucha, chociaż nie Rifs. Aż taki znudzony nie był.

No i zawierucha przyszła.

Kiedy mijał trzeci już dzień dojmująco zimnego wiatru z niewielkim dodatkiem kłującego jakby szydłem deszczu ze śniegiem, wyzywał sam siebie od romantycznych idiotów i dla odmiany marzył o powrocie jasnej monotonii dni minionych. Wszystko, żeby tylko powtórzyła się ładna pogoda!

Stałe manewry na silnym wietrze doprowadziły w końcu do tego, że popękało kilka górnych rei i osłabł naprawiony maszt przedni. Poza tym Ta-hoding miał ochotę wyremontować wciąż jeszcze obłamany bukszpryt; trzeba też było sprawdzić, co burza zrobiła z niezdarne naprawioną płożą. Wciąż jeszcze mieli przed sobą daleką drogę do przebycia, a nie można było przewidzieć, kiedy przyda im się każdy centymetr kwadratowy żagla i solidne płozy, na których będą mogli polegać.

Ich, mała nieoficjalna rada spotkała się znowu – w dużo lepszym nastroju niż poprzednim razem.

Z pogodą ducha wysuwano propozycje i z pogodą ducha je odrzucano. W końcu wszyscy zgodzili się, że zatrzymają się w pierwszym miasteczku czy wiosce, która zdoła zapewnić tratwie ochronę przed zachodnim wiatrem i będzie miała porządny port.

Następnego ranka, kiedy obserwator dostrzegł taki port, Ethan znajdował się na pokładzie i w ten sposób stał się jednym z pierwszych, którzy zobaczyli klasztor Evonin-ta-ban. Gdy już pokazał im się cały, mrocznie połyskując w promieniach wschodzącego słońca, Ethan dołączył do Ta-hodinga.

– Niesamowite miejsce – powiedział Ethan. – Co to jest? Nie mijaliśmy jeszcze niczego takiego. Nie może to chyba być żadna osada łowiecka ani rolnicza.

– Nie wiem, co to jest, o szlachetny panie – odparł niespokojnie kapitan. – Prawdą jest, że nigdy czegoś takiego wcześniej nie widziałem. Ale Dagestev, ten obserwator, miał rację co do portu. Wygląda nieźle... przynajmniej na tę odległość. Nie wydaje mi się, żeby stały w nim jakieś statki, więc nie może to być żadna społeczność kupiecka. Bardzo, bardzo dziwne. Może... może lepiej byłoby tu nie zawijać, szlachetny panie.

– DUBY SMALONE. Musisz się nauczyć Ta-hodingu bez takich uprzedzeń patrzeć w twarz wszechświata. A któregoś dnia może poprowadzisz statek międzygwiazdny.

Kapitan odpowiedział mu bez ogródek, nie zostawiając miejsca na semantyczne subtelności.

– W życiu, nawet jakby wszystkie diabły wlażyły mi za plecy i pchały, Sir Ethanie!

– A czemu nie, kapitanie? Twój przodek prawdopodobnie potrafił latać.

– I mieli też na tyle rozumu, że z tego zrezygnowali – odparował nabożnie Ta-hoding. – Dajcie mi dobry statek o ostrych płozach, gładki lód pod kilem i mocny wiatr zza rufy, a będę całkiem zadowolony. Niebiosa zostawię tym, którzy za nimi tęsknią. Nie mówię nic o ich zdrowiu psychicznym, choćby wzbudzało największe wątpliwości.

Ton jego głosu dobitnie świadczył, że uznaje rozmowę za zakończoną, zaczął warkliwie wydawać załozdze rozkazy związane z lądowaniem. *Slanderscree* podjeżdżała pod kątem do wejścia do portu i Ethan zdecydował się zostawić kapitana w spokoju. Refowano żagle jeden po drugim. Ethan zszedł na dół, oderwał Septembra od przedłużającego się śniadania i poinformował Hunnara, du Kane'ów i kilku innych, że będą zawijać do portu. Hunnar przyłączył się do niego i razem wspięli się na dziób, razem patrzyli ponad ułamany bukszprytem.

– Ta-hoding mówi, że nigdy czegoś takiego nie widział, Hunnarze.

– Ja również nie, przyjacielu Ethanie, ja również nie. Ale wydaje mi się to jedynie niezwykle, a nie groźne. Chociaż ten, kto to wybudował, niewątpliwie brał pod uwagę możliwość łatwej obrony. Zaiste, dziwne miejsce. Jest chyba nie do zdobycia.

To, co służyło za port, było po prostu naturalną rozpadliną w skorupie wyspy. Z dwóch stron wyciągnęły się palce ciemnej, poźłobionej skały i objęły zwalniającą *Slanderscree*.

Tylko po prawej stronie portu widać było kawałek płaskiego terenu, poza tym wyspa składała się z kilku pionowych, poszarpanych szczytów, które wystrzelały z lodu prosto w górę na wysokość czterystu czy pięciuset metrów. Pod osłoną zacienionego urwiska wyęczała wszystkie swoje siły niska roślinność. Kiedy wjeżdżali do portu, zobaczyli, że po zachodniej stronie gór prosto pod wiatr ciągnie się niewyraźnie pasmo wszechobecnej pika-piny. Płaski teren po ich prawej ręce wyglądał na intensywnie uprawiany.

Na trzech czwartych wysokości bryły pionowego bazaltu tkwiła, wtulona w zagłębienie pomiędzy dwoma najwyższymi szczytami, dziwaczna płatanina wielopoziomych budowli, które zdawały się wyrastać wprost z nagiego kamienia. Pod względem architektonicznym były dużo bardziej wyszukane niż wszystko, co Ethan do tej pory widział. Wieżyczki i blanki znał z Wannome, ale te budynki mogły się poszczycić jeszcze iglicami, minaretami, a nawet prawdziwymi kopułami – pierwszymi, jakie widział na tej planecie. Coś, co wyglądało na serię zaskakująco przestronnych podestów i schodów, zaczynało się u podstawy skały i ciągnęło szeregiem zakrętów w górę, aż do najniższej z tak ryzykownie usytuowanych budowli.

W porcie dostrzegli jeden jedyny dok; wyraźnie było widać, że jest starannie utrzymany i zadbane, chociaż nieczęsto używany. Nie przycumowano w nim żadnego statku i żadnych nie było też w porcie, ale zarówno stan doku, jak i pola uprawne były widomą oznaką, że miejsce to jest zamieszkane. Przynajmniej będą mieli gdzie przycumować i obędzie się bez zarzucania masywnych kotwic lodowych. Po zawietrznej tych łechtających niebo turni było niemalże bezwietrznie. Można by powiedzieć sztil.

September dołączył do nich i w milczeniu wpatrywali się w górę, narażając się na skurcz w karku.

– Facet, który poskładał do kupy tę przyprawiającą o zawrót głowy kamienną konstrukcję, przyjacielu Hunnarze, musiał na to poświęcić coś więcej niż tylko wolny czas. Bez pomocy podnośników, rotatorów i jeszcze w tym klimacie... nie zawahałbym się nazwać tego potężnym osiągnięciem inżynierii budowlanej. Czeka nas zdrowy spacer do drzwi frontowych.

– Myślisz, że tam dziś pójdziemy? – zapytał Ethan.

– Nie potrafię tego przewidzieć – wtrącił pospiesznie Hunnar, zanim Skua zdążył ich wszystkich wplątać w następne żmudne przedsięwzięcie. – Ale jeżeli opuścicie wzrok, zobaczycie, że nasz przyjazd nie umknął uwadze mieszkańców.

Jakaś postać szła od podnóża schodów w kierunku doku. Tran wyglądał na przedstawiciela płci męskiej, krok miał zdecydowany, choć niespieszny. Albo szczerze chce ich powitać, albo jest na wszystko przygotowany, dumiał Ethan. Przyglądali się tubylcowi z zainteresowaniem.

Niczym szczególnym się nie wyróżniał. Brodę miał dłuższą niż Hunnar i bielszą niż Balavere, ale żadnych innych oznak zaawansowanego wieku nie było po nim widać. Jak na trana był średniego wzrostu i nieco szczuplejszej budowy niż większość tranów na tratwie. Na sobie, zamiast dobrze im już znanego zewnętrznego ubrania Irańskiego, które zapinało się na ramionach, miał tylko długie, białe futro, upięte trochę jak toga. Futro było gładkie, tran nie nosił też żadnych ozdób, jeżeli nie

liczyć laski długości jego ciała trzymanej w prawej łapie. W pierwszej chwili Ethan pomyślał, że to drewno, ale kiedy tubylec podszedł bliżej, zobaczył, że laska została wyrzeźbiona z jakiegoś porowatego, zielonego kamienia. Ale co najważniejsze, tran chyba w najmniejszym nawet stopniu się ich nie obawiał. I znowu mogło to oznaczać albo szczerą życzliwość, albo obecność włóczników ukrytych pośród skał. Jak się okazało później, to drugie przypuszczenie było słuszne.

Spuszczono trap. Hunnar, Ethan i September zeszli na ląd, a marynarze i żołnierze na pokładzie i w olinowaniu nadal wykonywali swoje zadania. Wszyscy z ciekawością spoglądali na zbliżającego się, dziwacznie ubranego gospodarza. Ethan zdążył pomyśleć, że może dobrze byłoby mieć tu Tahodinga, który potrafił uporać się z wszelkimi trudnościami, ale zdolności językowe kapitana okazały się niepotrzebne.

– Nazywam się Fahdig, o panowie – powiedział ich gospodarz. – A to jest klasztor Evonin-ta-Ban. Jesteście tu mile widziani.

– Przyjmij nasze dzięki – odparł Hunnar. – Jam jest Sir Hunnar Rudobrody, a ci oto – tu wskazał na dwóch ludzi – są gośćmi z daleka, szlachetnie urodzonymi w obcej ziemi: Sir September i Sir Fortune. Prosimy, byście pozwolili nam zatrzymać się pod ochroną waszego portu na kilka dni, by dokonać koniecznych napraw. Jeżeli jest jakaś opłata portowa, możemy wnieść...

Ich gospodarz skinął swoją laską.

– Nie ma żadnej opłaty. Pomieszczenia klasztorne dostępne są każdemu rozumnemu człowiekowi. Niewielu odprawiliśmy, nie zaspokoiwszy ich pragnień. Ale o tym musi zdecydować Bractwo, a nie ja.

– Nie wiedziałem, że istnieją u was zakony religijne – szepnął Ethan do Hunnara. Witający usłyszał go.

– Nie wiem, co masz na myśli, dziwny rycerzu. Bractwo jest stowarzyszeniem wolnych duchów i umysłów i zebrało się w tym miejscu, by uchronić wiedzę i historię o wszechświecie od naporu Złego. Jesteśmy uczonymi, a nie piewcami.

– Na gwiazdne nasiona – wybełkotał Ethan. – Niech no się tylko Williams i Eer-Meesach dowiedzą, że trafiliśmy na miejscowe stowarzyszenie naukowo-badawcze.

September skomentował to bez osłonek.

– Szczerze mówiąc, mam to gdzieś, jak oni budowali tratwy albo uprawiali pika-pinę na tej kostce lodu parę tysięcy lat temu. Właśnie coś takiego z dużym prawdopodobieństwem można znaleźć w takiej starej przechowalni „wiedzy”. Bezużyteczne banały. Religijne pomyleńce i tyle! – Wszystko to oczywiście wyrecytował na wszelki wypadek w terangielszczyźnie. – Tyle, że czczą nie jakąś nadprzyrodzoną istotę, tylko coś innego, to wszystko. Nie zmienia to ich kwalifikacji z religijnych fanatyków na oświeconych kustoszy.

– Mnie tam się oni nie wydają aż tacy fanatyczni – odparował Ethan w terangielszczyźnie, a

tymczasem Hunnar nie przestawał wymieniać uprzejmości i informacji z ich gospodarzem.

– Może to się tak bardzo nie rzuca w oczy... – mruknął September. Podniósł wzrok ku niebu, na którym rysowały się owiewane wiatrem wieżycy i iglice, wyrąbane z nagiej skały. – W każdym razie mam ochotę zerknąć do tego ich gniazdka. Zawsze podziwiam mistrzowską robotę, niezależnie od tego, co leży u jej podstaw.

September nie musiał przekładać swojej prośby, Fahdig sam poprosił, by towarzyszyli mu do klasztoru, gdzie Bractwo podejmie decyzję.

– Mam nadzieję, że będą się jak najkrócej handryczyć – psioczył September mało dyplomatycznie po trańsku. – Komu jak komu, ale mnie nadal się spieszy.

– O, panie, podjęcie decyzji nie powinno trwać dłużej, jak jedno uderzenie serca – odparł Fahdig. – Tyle tylko, ile Przeorowi zajmie przekonanie się, że jesteście istotami rozumnymi. Do tego momentu będziecie naszymi gośćmi. Port jest do waszej dyspozycji.

– Wolelibyśmy wcześniej wiedzieć – upierał się September – ile czasu minie, zanim Bractwo i wasz Przeor zareagują na naszą prośbę?

– Chodźcie, proszę, ze mną, a zajmiemy się tym natychmiast po przybyciu na miejsce.

– To wspaniale. Po prostu wspaniale.

Skua odwrócił się i przytknął złożone dłonie do ust.

– Hej, du Kane! Hellesponcie du Kane!

Szczupła postać finansisty pojawiła się przy poręczy tratwy.

– Tak, panie September?

Ten znowu przeszedł na terangielszczyznę.

– Chłopiec, Hunnar i ja idziemy na spacer z jego brodatością! Wygląda na to, że trafiliśmy na bandę uczonych eremitów! Wydają się dosyć nieszkodliwi. Mamy tymczasowe zezwolenie na parkowanie i prace remontowe, ale musimy wdrapać się na górę, żeby przekonać miejscową szychę, że jesteśmy rozumni... cokolwiek to znaczy. Powiedz Ta-hodingowi, żeby brał się piorunem do roboty i nie spuszczał oka z klasztoru... tak to coś nazywają. Jeżeli w ciągu najbliższej godziny nie zacznę machać płaszczem, może pracować na pełny gwizdek. Załapałeś?

– Nieczęsto zdarza mi się opacznie zinterpretować informację mi powierzoną, panie September. Proszę się nie niepokoić, przekażę kapitanowi wiadomość z jak największą precyzją. A co mamy robić, gdyby zauważono, że czyni pan pewne gesty swoją odzieżą?

– Wtedy niech stawia żagle i zjeżdża stąd jak najszybciej! – September prychnął i odwrócił się do ich przewodnika, mówiąc po trańsku: – W porządku, przyjacielu Fahdig, chodźmy zobaczyć się z tym



waszym Bractwem.

Do tej pory Ethan był absolutnie pewien, że nie ma lęku przestrzeni. Zdarzało mu się popijać koktajle na przezroczystych balkonach, dziewięćdziesiąt pięter ponad poziomem parujących bagien, ale wtedy otaczały go ze wszystkich stron ściany komfortowego apartamentu. A tu trzeba się było wdrapywać na setki schodów, z pionowym urwiskiem liczącym sobie setki metrów po prawej ręce, a czasem po lewej. Idąc, niemal podświadomie uhonorował tę część schodów, która przylegała do ściany skalnej. Same schody wykuto w nagiej skale; musiała to być istna udręka, a robota zajęła pewnie więcej lat, niż mógł sobie wy – obrazić. Dobrze chociaż, że były na tyle szerokie, by kilku mężczyzn lub tranów mogło po nich iść ramię w ramię. Tak więc nie przeszkadzała mu ciasnota. Poza tym od strony urwiska znajdowała się wprawdzie niska, ale szeroka kamienna balustrada. Mimo to, w miarę jak tratwa, która wydawała się teraz tkwić wprost pod nimi, i port robiły się coraz mniejsze, podobnie kurczył się jego żołądek.

W pół drogi do góry zauważył, że się zasapał. September wciąż wyglądał świeżutko, ale Sir Hunnar zacisnął zęby z bólu, który przeszywał mu uda i łydki. Tranowie nie byli odpowiednio zbudowani do dłuższej wspinaczki. A tu tymczasem Fahdig wyraźnie był uodporniony na ten rodzaj bólu.

Pod gładkim, uroczystym hakiem, który wieńczył wejście do klasztoru, nie było straży. Drzwi sporządzono z niczym nie zdobionego drewna i przez te drzwi Fahdig wprowadził ich do środka. Ethan jeszcze ostatni raz rzucił okiem na schody. Znajdowali się teraz niemal pięćset metrów nad portem. Tratwa wyglądała jak zabawka dziecinna, spoczywająca na tafli bladego kryształu. A potem przeszli przez drzwi i stanęli w mrocznym, przypominającym grobowiec korytarzu. Chociaż na zewnątrz był jasny dzień, na ścianach żarzyły się lampy.

– Zdaje się lubicie ponury nastrój – powiedział September, kiedy powoli szli korytarzem.

– Znajdujemy się na niższych poziomach klasztoru – poinformował ich przewodnik. – Im wyżej wejdziemy, tym więcej będzie światła. Umieszczanie na tym poziomie okien ani nie jest potrzebne, ani nie byłoby rozsądne ze względów konstrukcyjnych.

I rzeczywiście było tak, jak mówił Fahdig. Wkrótce szli przez jasne pokoje i sale o wysokich, belkowanych sufitach. Od czasu do czasu spotykali jakiegoś członka Bractwa, to starszego, to młodszego niż ich przewodnik. Kilko to były jeszcze kocięta. Reagowały na obecność ludzi z dużo bardziej szczerym zaskoczeniem niż wcześniej Fahdig. Kilko zatrzymało się, żeby długo patrzeć w ślad za nimi.

– Nie widziałem na zewnątrz ścieżki lodowej – powiedział September do Hunnara. – Ani na tych schodach.

– I wcale mnie to nie dziwi, przyjacielu Skuo. Umiejętność tranów w posługiwaniu się szifami i danami ma swoje granice.

W połączeniu ze zdradzieckim wiatrem i ostrymi zakrętami taki stromy zjazd wystawiłby na ciężką próbę najznakomitszego żołnierza. A nawet Tancerza.

– Tak też myślałem. Ale mogą być również inne powody, dla których oni obywają się bez ścieżek. Może estetyczne, może ascetyczne.

– Niewykluczone – zgodził się rycerz. – Może są zdania, że większe zasługi ma ten, kto porusza się tylko na piechotę.

Szli niezbyt długo, potem Fahdig poprosił, żeby poczekał na zewnątrz okutych żelazem drzwi. Zniknął w środku, w kilka chwil później pojawił się znowu.

– Przeor przyjmie was teraz. Poszli za nim.

Ethan nie wiedział, czego się spodziewać – może następnej sali tronowej, jak u Kurdagh-Vlaty. Tymczasem pokój, do którego weszli, umeblowany był skromnie, chociaż nie po spartańsku. Jedyne szeroki, pięknie rzeźbiony, wypolerowany stół świadczył o pewnym bogactwie. Jeszcze kilka krzeseł i oto było całe umeblowanie. Znajdowali się wyraźnie na jednym z wyższych poziomów klasztoru. Światło wlewało się przez okna wybite we wschodniej i południowej ścianie, chociaż najwięcej dawał go świetlik, następna nowość na Tran-ky-ky.

Najbardziej jednak zaskoczył ich widok ścian. Trzy z nich od podłogi do sufitu zakryte były nieprzerwanym ciągiem półek, zapchanych niezliczonymi rzędami schludnie wyrównanych, w doskonałym stanie książek. Ethan zetknął się już w Wanno-me z mocnym, odpornym na zużycie papierem z włókien pika-piny, ale w bardzo niewielkich ilościach. Sofoldianie zdawali się przedkładać papier welinowy i pergamin, ponieważ na włóknistym papierze roślinnym ciężko było pisać nie robiąc ciągle kleksów. Szepnął do Septembra.

– Musimy się dobrze zastanowić, zanim sprowadzimy tu Williamsa i Eer-Meesacha. Może nam się nigdy nie udać ich stąd wyciągnąć.

– Phi! – September szybko przebiegł okiem półki. – Ciekawe, czy oni je tylko zbierają i przechowują, czy też czasem podejmują trud przeczytania krórejś z nich.

Sam Przeor okazał się łagodnie wyglądającym, starym tranem. Brodę miał dużo dłuższą niż Hunnar, jego grzywa była śnieżnobiała, a zachowywał się miło i spokojnie. Jeżeli wstrząsnęło nim pojawienie się Septembra i Ethana, był zbyt uprzejmy, żeby to po sobie pokazać. On również miał taką dziwną łaskę.

– Wybaczcie mi, że nie wstaję, żeby was przywitać, o panowie. Nie czuję się dziś najlepiej.

– Z bólem to słyszymy i życzymy, byś Przeorze odzyskał zdrowie tak pełne wigoru, jak zimowy wiatr.

Starzec lekko się uśmiechnął.

– Fahdig opowiedział mi o waszym wspaniałym statku i o prośbie, byście mogli się zatrzymać u nas na kilka dni. I o tym, że się spieszyście.

– Zwłaszcza, że się spieszymy – wtrącił September. – A co do tego głosowania, czy co to tam

jest...

Przeor uciszył go skinieniem ręki.

– Nie ma potrzeby zasięgać opinii Bractwa, odciągać ich od codziennych zajęć w tak błahej sprawie. Możecie pozostać tu tak długo, jak długo sobie życycie. Jadło w Evonin-ta-ban mamy proste, ale pożywne. Uczynicie nam ten zaszczyt, zasiądźcie z nami do wieczornego posiłku i pozwólcie się gościć przez noc!

Hunnar skinął głową, zanim któryś z mężczyzn zdążył się odezwać. Ethan założył więc, że rycerz spodziewa się jadalnego posiłku, chociaż może nie na poziomie królewskich mistrzów patelni.

– Odejdźcie teraz panowie, ażebym odpoczął. O waszych planach, potrzebach i podróży porozmawiamy więcej dziś wieczorem.

Wyszli.

– Dzięki, Fahdigu – powiedział szczerze Ethan – że pomogłeś nam przyspieszyć załatwianie wszystkiego.

– Miło mi przyjąć twoje podziękowania, o panie, ale źle je ukierunkowałeś. Nikt nie „przyspiesza” niczego u Przeora. Powtórzyłem mu po prostu to, co mi powiedzieliście. On sam zdecydował się przychylić do waszej prośby.

– Ale ty już wcześniej wyraziłeś zgodę, żebyśmy tu się za – trzymali na jeden dzień – oznajmił September. – A jeżeli on nie zważałby na tę decyzję i kazał nam natychmiast odjechać? Udało mu się chyba zaszokować Fahdiga.

– Nigdy by czegoś takiego nie zrobił! Nawet Przeor nie postąpił wbrew decyzji, jaką wcześniej podjął któryś z Braci. Żyjemy tu zgodnie z rozsądkiem i logiką. Wzajemne zaufanie, jakim darzymy nasz rozum, jest integralną składową Bractwa.

– No pewno. Ale powiedzmy, że on by... w bardzo odmienny od ciebie sposób postrzegał sytuację.

– Wtedy – powiedział Fahdig wyraźnie borykając się z obcą mu koncepcją – grzeczność wymagałaby, żebym wycofał moją rekomendację.

– Przeor ma imponującą bibliotekę – wtrącił Ethan, żeby zmienić temat.

– Och, to nie była biblioteka Przeora. – Przewodnik wydawał się rozbawiony. – To tylko pokój, w którym prowadzi on dziś swoje badania. W klasztorze jest wiele podobnych pokoi. Wszystkie pełne są ksiąg historycznych i papierów naukowych, gromadzonych przez tysiące lat.

– Rozumiem – zamruczał Ethan. – Mamy ze sobą dwóch takich, którzy zapatrują się na sprawę identycznie jak Bractwo. Jeden jest rodzaju ludzkiego, jeden trańskiego.

– A więc dzięki swojej profesji będą po trzykroć mile widziani – powiedział Fahdig.

– Tak. Chciałbym się dowiedzieć, czy istnieje taka możliwość, żeby mogli przejrzeć wasze biblioteki? Obydwaj byłiby dozgonnie wdzięczni.

– Nieczęsto dopuszczamy ludzi z zewnątrz, ale też i niewielu z nich wyraża chęć dzielenia naszej wiedzy. Prostacy! Większość z tych, którzy zatrzymują się w klasztorze, to niższe formy życia, kupcy i pośrednicy z towarami na wymianę.

– Doskonale rozumiem – odparł Ethan, zachowując powagę.

Fahdig ciągnął dalej bardziej pogodnie.

– Ale jeżeli ci wasi towarzysze to prawdziwi uczeni, jestem pewien, że Braterstwo z radością pozwoli im cieszyć się wynikami wieloletniej pracy. Tak, możecie sprawę uważać za załatwioną!

– Dziękuję ci, Fahdigu. Jestem pewien, że otwarcie będą okazywać wdzięczność.

– Jeżeli upowszechniać będą wiedzę – zaintonował ich przewodnik nieco pompatycznie – to samo to wystarczy za podziękowanie, bo powstrzyma zakusy Złego!

– Och, niewątpliwie – zgodził się Ethan.

Fahdig towarzyszył im aż do podnóża ostrych zakrętów i powiedział, że spotka się tu z nimi za godzinę, zanim słońce zniknie za górami. Hunnar formalnie przyjął zaproszenie Przeora i ruszyli z powrotem na tratwę. Niepokój na twarzy Ta-ho-dinga wyrażał więcej pytań niż tysiące słów.

– Wszystko wspaniale, kapitanie – powiedział September. – Tym miejscem zarządza zgraja zasuszonych, starych moli książkowych. Nie widziałem ani jednej włóczni, ani jednego łuku w tym całym mauzoleum. Mamy pozwolenie na korzystanie z portu tak długo, jak będziemy go potrzebowali. Nie sprawią nam żadnych kłopotów... A, jeszcze jedno. – Przerwał. – Zaprosili nas na kolację.

Ta-hoding znacząco podniósł wzrok.

– Tam na górę?

– Nie myślisz chyba, że nam ją tu podadzą?

– No to – odparł kapitan – przekażecie naszym gospodarzom wyrazy ubolewania z powodu mojej nieobecności. Muszę odmówić... dopóki nie wrócicie do nas z następną łodzią podniebną. Proszę o wybaczenie. – Oddalił się, wlokąc nogi za sobą, wkrótce zaczął wydierać się na jakiegoś marynarza, który źle zawiązał węzeł.

Kiedy poinformowali pozostałych, reakcje były różne. Szczególnie Balavere'owi gospodarze wydawali się zbyt uprzejmi, żeby nie budziło to niepokoju, ale Hunnar przypominał generałowi, że te niewielkie rolnicze i myśliwskie wioski, które mijali po drodze, wydawały się równie otwarte i równie mało zmilitaryzowane. Najwyraźniej tego regionu nie nawiedzał nikt taki jak Horda.

– Klasztor proponuje nam swoje usługi na tę przynajmniej noc – dodał.

Ethan wyraził swoją własną radość z możliwości przespania choć jednej nocy dla odmiany w prawdziwym łóżku. W takim, które nie będzie kołysało się na wietrze. Hellespont du Kane stwierdził, że jest mu to obojętne, ale Colette wyraźnie była równie podniecona propozycją jak Ethan. Nawet jeżeli miało to oznaczać pięciusetmetrową wspinaczkę. Kiedy zaś obydwaj czarodzieje dowiedzieli się o bibliotekach, oczywiście mowy nie było, żeby ich powstrzymać, dokładnie tak, jak to przepowiadał Ethan. Gotowi byli sami i to natychmiast ruszyć na górę. Hunnar łagodnie im przedkładał, że jeżeli zjawią się za wcześnie, może to zostać uznane za uchybienie lokalnej etykiety, ale Ethan i September nie zgodzili się, przypominając wyjątkową uprzejmość i szczerą życzliwość Przeora i Fahdiga. Nie czekając więc, aż ktoś oficjalnie rozstrzygnie tę kwestię, obydwaj, Eer-Meesach i Williams, zniknęli w najbliższym luku.

– No, tych dwóch to nie zobaczymy przez spory kawałek czasu – powiedział szorstko Budjir.

Ethan poczuł się zaskoczony. Rzadko się zdarzało, żeby któryś z giermków wyrwał się tak spontanicznie z komentarzem.

– Czemu tak mówisz, Budjirze?

– Nie rozumiem ich – odparł giermek. – Od tego ich stałego paplania głowa mi pęka.

– Nie kłopotz się tym, Budjirze – powiedział September jowialnie, klepiąc wielkiego trana po ramieniu. – Niekiedy łapię się na tym, że czuję się podobnie jak ty. Co innego wysoki puchar ridilu i kształtna niewiasta, co?...

Giermek szeroko się uśmiechnął, a jego skośne źrenice z lubością wpatrzyły się w coś daleko za horyzontem.

Ethan przysłuchiwał się tej koleżeńskej wymianie zdań i mamrotał:

– Coś wspaniałego... jakie wzajemne zrozumienie. – I odwrócił się, żeby pójść do własnej kabiny i przygotować się do nocy.

Prace remontowe postępowały miarowo i bez pośpiechu. Nie było powodu, żeby popędzać robotników. Tym razem będą mogli przyzwoicie popracować również nad przednim masztem. A chociaż prowizorycznie naprawiona prawa przednia płoza trzymała się lepiej, niż ktokolwiek miał się prawo spodziewać, Ta-hoding z ulgą powitał okazję, żeby rzetelnie ją naprawić. Wstawiono już pod dziób belki i zamocowania i metalowcy zabierali się do ponownego przyczepiania krnąbrnej płozy do kadłuba tratwy. Mieli to ukończyć, zanim zrobi się zbyt ciemno na pracę. Połamane reje, maszt przedni i bukszpryt będzie można naprawić jutro. Na otwartym lodzie przy normalnym wietrze ta robota zajęłaby co najmniej tydzień, ale pod osłoną niebosiężnych turni mogli to samo zadanie ukończyć w dwa dni.

Ludzie nie byli osamotnieni w swoim pragnieniu, by poczuć pod sobą miękkie, stabilne łoża. Większość załogi też chętnie by się z nimi wybrała, ale Hunnar i Ethan pamiętali uwagi Przeora o

„prostej, choć pożywnej strawie”. Chociaż stary uczoney niezaprzeczalnie wykazywał chęć, żeby się dzielić wszystkim, nie powinni nadmiernie wykorzystywać jego uprzejmości. Tak więc mająca nocować w klasztorze grupa składała się z ludzi, Hunnara, jego dwóch giermków i Elfy. Dwaj czarodzieje już szli pod górę. Generał Balavere, któremu wciąż jeszcze dokuczała rana od strzały, zdecydował się zostać na pokładzie.

Fahdig czekał na nich u stóp urwiska. Ubrany był w tę samą białą szatę, ale miał ze sobą lampę, na wypadek, jak to ujął, gdyby „niektórzy spośród was przekonali się, że wspinaczka jest dla nich zbyt wyczerpująca i życzyli sobie zawrócić, mając jakieś oświetlenie”. Jak się okazało, podejście ukończyli wszyscy, chociaż Colette otwarcie okazywała swój lęk przed czarną otchłanią ziejącą po jednej stronie. Ethan ani trochę nie wstydził się razem z nią tulić się do zbocza góry. Uwagę wszystkich rozpraszała Elfa, która uparła się biec i podskakiwać tuż przy zupełnie iluzorycznej kamiennej balustradzie, żeby już nie wspomnieć o tym, że coraz to wychylała się i pokazywała jakieś niezwykle widoki gdzieś w dole. A raz ze śmiechem wspięła się nawet na samą balustradę. Szła po wąskim zwieńczeniu muru, chwiejąc się na samej krawędzi. Ethan nie mógł na nią patrzeć. Nie trwało to długo, ponieważ Hunnar zagroził, że przywiąże jej przeguby do kostek i przez resztę drogi na górę będzie ją włókł za sobą. Narzekała, ale zeszła – i wszystkim ogromnie ulżyło. Kiedy już przeszli przez pierwszy ciemny korytarz, Fahdig poprowadził ich na górę inną drogą niż ta, którą pierwotnie przemierzyli. Minęli jakąś długą, przytulnie wyglądającą salę i przewodnik pokazał na łóżka schludnie poustawiane pod ścianami.

– Na dzisiejszą noc – wyjaśnił zupełnie niepotrzebnie. W sali nie było kominka ściennego, zamiast niego na środku w podłogę wpuszczone było zagłębienie wypełnione kłodami i chrustem. Tuż nad zagłębieniem duży, drewniany, wykładany miedzią lej zwężał się w długą, czarną rurę, która znikwała w suficie. Pod jednym względem ci samotni uczeni przewyższali ruchliwy port handlowy Wannome – rozwinęli podstawową formę prawdziwego ogrzewania. Była wydajniejsza niż kominek – pod warunkiem wszakże, że wszystkie nie zużyte cząsteczki skończą w kominie, a nie w którymś łóżku. Na ścianach osadzone były lampy i pochodnie. Jeżeli zamknie się pojedyncze drzwi, będzie im naprawdę wygodnie. A kilka okien usytuowanych od wschodu wpuści o poranku światło.

– Bardzo sympatycznie wyglądająca sala sypialna – pochwalił September. – Czy wy tu tak mieszkanie?

– Och, nie – odparł Fahdig. – Każdy brat ma swoją własną salkę. To jest pokój do pracy.

– Z łózkami?

– W geście przyjaźni niektórzy z braterstwa odstąpili wam na tę noc swoje łóżka. Będą spali na pryczach. To dobrze robi na ciało i na umysł. Normalnie ten pokój wypełniają stoły i krzesła. Wróć tu, kiedy odejdziecie.

– Jesteście bardzo uprzejmi – powiedział Ethan. – Przykro nam, że narobiliśmy tyle kłopotu.

– Gościnność nigdy nie jest kłopotem – odparł ich niewzruszony przewodnik. – Zechciejcie teraz pójść za mną tędy.

Szli dalej korytarzem i weszli o jeszcze jeden poziom wyżej, a tam Fahdig gestem zaprosił ich do następnego pokoju. Znaleźli się chyba na jednym z najwyższych poziomów w klasztorze. Przez ogromny świetlik, który zajmował niemal cały sufit, napływało wieczorne światło. Ethan zastanawiał się, czy te przepiękne świetliki wybudowali i zaplanowali sami uczeni, czy może była to umiejętność znana dawno temu, ale zapomniana w Wannome. Nie było jak sprawdzić, a pytanie mogło zostać uznane za niegrzeczność.

Stół był długi i skromny. Podobnie skromne było jadło, które inni członkowie bractwa na nim stawiali. U szczytu stołu siedzieli Przeor i kilku innych starszych tranów, Williams i Eer-Meesach także już czekali. Mały nauczyciel niemal wyprysnął ze swojego miejsca na ich widok. Podszedł prosto do Ethana.

– Mój drogi przyjacielu, nie masz pojęcia, nie masz pojęcia, jakim skarbem jest to miejsce! Malmeevyn i ja niemal nie mogliśmy opanować wzruszenia. Jeden zdumiewający tom za drugim! Niektóre z przechowywanych tu ksiązek sięgają wstecz dosłownie o tysiące lat... a przynajmniej tak twierdzi Malmeevyn. Dużej części nie potrafię przetłumaczyć. Już same książki są zdumiewające. Ale ilość czystej informacji i danych zmagazynowanych w środku... lata całe zajęłoby to setkom ksenologów, mających dobry komputer, żeby chociaż udokumentować i skatalogować te materiały, które ma u siebie Bractwo.

– Nie chciałbym tłumić twojego entuzjazmu – odparł Ethan spoglądając z podobnym entuzjazmem na postawione przed nim świeże jarzyny – ale będziemy tu jeszcze tylko przez jeden dzień. Do tego czasu remont zostanie ukończony i ruszymy w drogę powrotną do cywilizacji. Przypominasz sobie cywilizację?

– Nie powiem, żeby z wielką czułością, Ethanie. Masz oczywiście rację, ale to, co już odkryliśmy... czy zdajesz sobie sprawę, że kiedyś średnia temperatura na tym świecie była o jakieś pięćdziesiąt stopni wyższa? Lód pokrywał tylko bieguny. Z jakiegoś powodu klimat gwałtownie się zmienił. Morza zamarły, a większość ładu znalazła się pod wodą. Z geologicznego punktu widzenia działo się to wczoraj.

– To ciekawe – powiedział z roztargnieniem Ethan, zajmując miejsce. Jego żołądek powarkiwaniem domagał się uwagi.

– A oprócz tego... – Williams przerwał, w jego głosie pojawiła się nuta wyrzutu. – Nawet nie słuchałeś. Jesteś taki sam jak reszta, interesuje cię tylko alkohol, pieniądze i kobiety.

– Słuchaj, Millikenie, jestem zafascynowany. Ale po tych dwóch wspinaczkach umieram również z głodu. Później, dobrze? – Wbił spojrzenie w półmisek dymiącego mięsa, który jakby sztuką czarodziejską pojawił się przed nim.

Williams zignorował go i sztywno się oddalił. Zajął miejsce i wydawał się kompletnie zapominać o tej rozmowie pograżając się w debatę z Eer-Meesachem. Równie dobrze mogli być przy stole tylko oni dwaj. Ucichli jednak, kiedy Przeor podniósł starą, szponiastą łapę i gestem poprosił o ciszę. Ethan nie spodziewał się modlitwy przed posiłkiem, a to było właśnie coś takiego i jeszcze pewna osobliwość na dodatek.

– Spożywamy wytwory zaradności i myśli – powiedział uroczyście Przeor. – Mówi nam tak nasz rozum. Oby Bractwo nigdy nie zachwiało się w swoich usiłowaniach, ani nie zmaląła jego moc, abyśmy na zawsze mogli powstrzymać spustoszenie, jakie sieje Zły.

To było wszystko. Potem inni Bracia – nie służący, ale członkowie społeczności, którzy tego wieczoru spełniali tę rolę – zaczęli podawać talerze pełne mięsa, jarzyn i wypieków. Ethan spróbował kilku potraw i przekonał się, że są mdłe, ale sycące.

Hunnar i jego dwaj giermkowie wyraźnie niezręcznie się czuli z powodu dyktowanego uprzejmością naruszenia manier, do jakich byli przyzwyczajeni. Nie zwykli byli hamować się przy jedzeniu. Tutaj zasada „kto najpierwszy ten najlepszy” nie znajdowała zastosowania. Udało im się jednak powstrzymać od zaatakowania stołu i pozwolili się obsłużyć jak pozostali. Następnie przez pewien czas wszyscy zajmowali się wyłącznie jedzeniem. Członkowie Bractwa wydawali się nie mieć nic przeciw temu, żeby sprawy toczyły się takim torem, ale stopniowo, w miarę jak żołądki napełniały się, umysły siedzących przy stole zaczęły oddawać się myślom innym niż te dotyczące konsumpcji i posypały się pytania.

Wyjaśnili więc swoim uważnym gospodarzom, przy czym Hunnar mówił najwięcej, jak walczyli i pokonali Horde, jak to się stało, że wybudowali ten wielki kliper lodowy i jak później wykorzystali grzmotożerce, żeby zniszczyć resztki Hordy. Kiedy doszli do tego, skąd wśród nich wzięli się ludzie, Ethanowi zdawało się, że kilku z Braci wyglądało na bardziej niż zdawkowo zainteresowanych. Jeden z nich był niemal bezwstydnie zafascynowany okrojona wersją ich pierwszego lądowania i pierwszymi kontaktami z rodakami Hunnara.

September od czasu do czasu wtrącał jakąś uwagę czy poprawkę, Du Kane’owie jedli i przysłuchiwali się w milczeniu, a dwaj czarodzieje pograżyli się znowu w swoim prywatnym wszechświecie, niepomni tak na ludzi, jak i tranów.

– Zdumiewająca opowieść – skomentował na koniec Przeor ze stosownym opanowaniem. – I taka, którą należy zapisać w kronikach... mimo że niektóre jej części wystawiają wiarę na wielką próbę. Jaka szkoda, że jak utrzymujecie, brak wam czasu.

– Obawiam się, że brak – powiedział September, wcale nie okazując skruchy. – Powinniśmy wyruszyć i wyruszymy, jak tylko zostanie ukończona naprawa naszej tratwy.

– Co za szkoda – dodał Przeor. Sączył pogodnie ze swojego dużego, glinianego kubka jakiś lekki odwar. – Byłby to wspaniały temat na poemat, czyż nie, bracie Hodjay?

– Prawdziwie, byłby – westchnął Hodjay. – Niestety istnienie jest tak ulotne. Czy jesteście całkiem pewni, że nie możecie się zatrzymać na dłużej? – popatrzył na Ethana.

– Przykro mi, naprawdę nie możemy. Powinniśmy też wykorzystać dobrą pogodę.

Przeor dłubał nożem w czymś, co wyglądało na zapieczony budyń.

– Jak daleka droga was jeszcze czeka?



– Pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt saczów – powiedział Hunnar. I dodał uprzejmie – Ale najpierw musimy dotrzeć do Miejsca-Gdzie-Krew-Ziemi-Płonie.

Rozległ się trzask.

– Ja... zawstydzona mnie moja niezdarność – powiedział jeden z braci.

Odepchnął krzesło i przykląkł, żeby pomóc pozbierać skorupy rozbitego kubka.

– Niestety, Bratu Podrenowi cały rozwój poszedł w umysł – zachichotał pogodnie Przeor.

Pozostali Bracia wydali z siebie trąski odpowiednik śmiechu. Ethanowi zdawał się on trochę wymuszony. Przeor ciągnął dalej, jak gdyby nigdy nic.

– Nie dziwcie się reakcji brata Podrena. Niewielu podróżuje do Miejsca-Gdzie-Krew-Ziemi-Płonie.

– A czemu nie? – zapytał September trochę ostro, a Ethan zorientował się, że nie on jeden zwrócił uwagę na reakcję gospodarzy.

Przeor rozłożył ręce, otworzył łapy.

– Przesady. Prosty lud opowiada osobliwe rzeczy o tej wielkiej, dymiącej górze.

– A więc to jest wulkan – zamruczał Ethan sam do siebie.

Zakładali tak przez cały czas, ale miło było uzyskać dodatkowe potwierdzenie.

– Czy mógłbyś podać nam więcej szczegółów, ojcie Przeorze? – naciskał September.

– Ależ oczywiście. Powiadają, że tym, którzy podjeżdżają zbyt blisko, pada to na umysł. Niektórzy donoszą, że mieli dziwne widzenia, podczas gdy inni w ogóle nic nie widzą i niczego nie doświadczają. Jeszcze innych, jak mówią, przyciąga ta góra, jak strawa może przyciągać umierającego z głodu. A znowu ich towarzysze mogą niczego nie odczuwać. Nie ma tam ziemi i niewiele rośnie. A i tak nikt by tam nie zamieszkał.

– I przesady to wszystko, co trzyma ich z daleka? – zapytał Ethan.

– Tak. I jeszcze fakt, że góra wyrzuca bardzo często stopioną ziemię i duszący, czarny pył.

– O!

– Ale ty tam byłeś – powiedział chytrze September. Stary tran skinął głową.

– Byłem w pobliżu tego miejsca – przyznał. – Ale noga moja tam nie powstała.

– Z powodu tego zabobonu? – September jakby od niechcienia grzebał łyżką w swoim

pseudobudyniu.

– Nie. Ponieważ w tym czasie wyrzucała ona stopiony kamień w wielkich ilościach i gorąc był przerażający. Niebezpieczeństwo było realne, a nie wyimaginowane. Mojej duszy nic nie groziło, ale ciało było w prawdziwym niebezpieczeństwie. Tak więc statek, na którym byłem, pospiesznie się stamtąd oddalił. Mam nadzieję, że będziecie mieli więcej szczęścia.

– Tego się spodziewamy – odparł September.

– A teraz opowiedzcie mi jeszcze raz o waszej cudownej, podniebnej łodzi i jej niezgłębionym mechanizmie. Nie zrozumiałem za pierwszym razem i prawdopodobnie tym razem też nie zrozumiem, ale same starania mają pewną wartość.

Obiad skończył się odrobiną smacznego likieru, ale rozmowa ciągnęła się jeszcze przez godzinę czy coś koło tego. Potem Colette szeroko ziewnęła, a Budjir wyznał, że musi się podnieść jutro rano wcześniej, żeby doglądać osadzania nowego bukszprytu. Tak więc Przeor uznał spotkanie za zakończone. Grupka goszczących w klasztorze ludzi i tranów została poprowadzona z powrotem do wspólnej sypialni. Ethan szedł obok Septembra.

– Co myślisz o naszych gospodarzach? – zapytał Skua.

– Hmm? Och, chyba są w porządku. Nieco kostyczni i egocentryczni, ale w porządku. Przez jedną chwilę, kiedy Hunnar wspomniał o naszym celu podróży i ten, jak mu tam, upuścił swój kubek...

– Podren.

– Tak, Podren. Wydawało mi się, że na jego twarzy malował się jakiś nieprzyjazny wyraz. Szybko go jednak ukrył, a niewątpliwie ja się na minach obcych ras słabo wyznaję. Z drugiej strony wydawało się to nie mieć najmniejszego wpływu na Przeora.

– I pewnie miał rację... w końcu wybieramy się w miejsce uznawane za dom diabłów i duchów i czego tam jeszcze, mój chłopcze. Uchodzące gazy mogłyby tłumaczyć halucynacje i niesamowite reakcje przejeżdżających tamtędy tubylców.

– Przypuszczam, że tak. Zresztą, nim upłynie wiele czasu, będziemy mieli okazję, żeby się o tym przekonać.

Doszli do pokoju. Centralne zagłębienie potrzaskiwało i pryskało wesoło iskrami, zalewając miłe widzianym ciepłem wszystkie kąty pokoju. Bracia musieli napalić w czasie posiłku, bo na dnie zagłębienia zebrała się spora kupka żaru, który wzmagał jeszcze miłe ciepło.

Ethan powiedział wszystkim dobranoc. Pomiędzy łózkami nie było parawanów, nie stanowiło to jednak problemu, ponieważ i tak nikt z ludzi nie miał zamiaru wystawiać gołej skóry na wciąż lodowate powietrze. Wszedł do łóżka. Hunnar i September podzielili się robotą i obydwaj wzięli się za gaszenie lamp, które paliły się na ścianach. Ethan byłby im pomógł, ale wisały one na wysokości trana, a to dla niego było nieco za wysoko.

Na łóżku było mniej futer i kocy, niż się przyzwyczaił. Ich gospodarze oczywiście nie mieli się od kogo dowiedzieć, że tym bezwłosym obcym zimno dokucza dużo bardziej niż Hunnarowi, giermkom i Elfie. A poza tym nie był to wielki zamek w Wannome, ani nie byli tu uprzywilejowanymi pasażerami wielkiej tratwy.

Hunnar i giermkowie zajęli miejsca najdalej od dołu z żarem, Elfa uparła się, żeby zrobić to samo, podobnie jak stary Eer-Meesach. Jeżeli chodzi o Ethana, nawet nie protestował.

W najmniejszym stopniu nie miał ochoty odgrywać stoickiego Ziemianina. Miejsce przy dogasającym ogniu warte było pewnych skrupułów moralnych.

Niemal natychmiast zapadł w głęboki sen bez snów.

\* \* \*

Kiedy otworzył oczy, wydawało mu się, że minęło dopiero parę minut, ale było inaczej. Rozbudził go niepokojąco swojski wrzask. Ogień zagasł, ale pełne gwiazd okna i dogasający żar dawały dość światła, żeby dało się rozpoznać zarysy postaci. Pokój pełen był szarpiących się, przeklinających, pomykających to tu to tam osób. Pierwszy wrzask nie powtórzył się, ale mnóstwo było krzyku i głosów oburzenia. Wśród nich udało mu się wyróżnić porykiwania Hunnara i Septembra.

Połowa pokoju bliższa drzwi pełna była odzianych w białe szaty, brodatych sylwetek. Jakaś para muskularnych łap złapała go, kiedy usiadł na łóżku, i przemocą wyciągnęła spod futer. Zaczął miotać się w ciasnym uścisku, aż opadł na kolana. Odchylił się do tyłu i mocno szarpnął. Jego nieproporcjonalnie wielki ciężar zaskoczył atakującego. Chwytiliwe łapy rozluźniły uścisk, kiedy ich właściciel nagle po szarpnięciu stracił równowagę. Coś uderzyło go w prawe ramię, odwrócił się i zamachnął na oślep. Pod pięścią poczuł brodą twarz. Wciąż jak szalony usiłował przetrzeć zaspane oczy, kiedy ktoś pchnął go brutalnie na bok, prosto na jakąś wielką postać. Złapał się jej.

– To ja, mój chłopcze! – September wcisnął w rękę Ethana jeszcze ciepłe bierwiono i odwrócił się, żeby palnąć w jakiś niewyraźny kształt.

Do tyłu pchała ich fala wciąż napływających do pokoju napastników. Bracia walczyli pałkami, ale chyba uważali, żeby nikogo nie zabić. Nie musiało to jednak świadczyć o przyjaznych zamiarach na przyszłość. Ci jednak, z którymi walczyli, nie mieli żadnych takich skrupułów i to nieco Braciom utrudniało całą sprawę. Ale w tym ciasno upakowanym tłumie trudno było nawet zamachnąć się pałką.

– Tędy! – rozległ się krzyk na tyłach pokoju.

Ethan odwrócił się gwałtownie i zobaczył, jak Budjir przechyla się przez parapet jednego z wysokich okien po stronie wschodniej. Odparował więc następny cios, zamachnął się w dół i poczuł jak drewno z zadowalającym chrzęstem zetknęło się z kością. Potem odwrócił się i ruszył biegiem w stronę okna. Był tam Hunnar, który go podsadził. Potężne ręce wielkiego giermka podsunęły się pod jego ramiona. Jeszcze chwila, a znalazł się po drugiej stronie okna i stanął na chłodnej, wykończonej

kamykami kalenicy dachu pod beznamiętnie patrzącymi gwiazdami. Na szczęście wiatr był słaby. Na zachód groźnie wznosiły się ciemne, monolityczne formy, wieże i iglice najwyższego klasztoru. Elfa i Suaxus już znajdowali się na dachu.

Jeszcze sekunda i pomagał wyleźć Eer-Meesachowi. Ethan zaparł się o mur i stary czarodziej bez kłopotów wznosił się w górę. Oddech miał nierówny. Jego stare oczy mrugały w ciemnościach. Odgłosy walki z dołu wydawały się dalekie, nierealne. Sam Hunnar wprost wystrzelił przez otwór. September pojawił się tuż za nim; jeden z Braci owinął się wokół jego lewej nogi i trzeba było potężnych kopniaków drugiej kończyny, żeby pozbyć się wytrwałego naukowca. Ethan wciąż jeszcze zbyt był oszołomiony, żeby zadawać jakieś pytania. Rozejrzał się dookoła i zobaczył, że ich grupa jest w wysokim stopniu niekompletna.

– Hej, a gdzie... gdzie jest reszta? Milliken i...

– Złapali ich nasi pacyfistycznie nastawieni gospodarze – warknął w odpowiedzi September. – I bynajmniej nie sędzę, żeby zrobili to w celu poszerzenia granic dobroczynnych badań. Niewiele brakowało, żeby wszystkich nas pojмали. I udało by im się to, gdyby Hunnar nie wstał dołożyć drewna do tego cholernego ognia. Tak więc nie spał, kiedy pierwsi z nich zaczęli się wkładać do środka.

– Nie rozumiem tego – zastanawiał się rycerz równie oszołomiony jak Ethan. – Nie ma ku temu żadnej przyczyny. Naprawdę wydawali się tacy przyzwoici i...

– ...mają rozdwojenie jaźni – dokończył September. – Pogadamy o ich niefortunnych odchyleniach do normy później. Ukląkł i ostrożnie wetknął głowę do pokoju.

– Nie ma ich. Spodziewam się, że za minutę będą już gonić za nami po dachach. A na wszystkie bogi, znają je lepiej niż my. Z tej kupy kamieni prowadzi na dół tylko jedna droga. A chociaż nasi wykształceni przyjaciele nie wydają się posiadać talentów militarnych... o czym świadczyć może ich działalność w tamtym pokoju... wcześniej czy później jakiś sprytny chłopiec wśród nich zda sobie sprawę, że jak zablokują schody, to znajdziemy się tu w pułapce.

Kilka następnych minut spędzili jak w zwolnionej wersji jakiegoś snu, biegnąc, przeskakując przez parapety, przemykając się po kalenicach i opadając poziom po poziomie w dół. Hunnar i September ruszyli przodem. Wszyscy musieli ruszać się szybko i ostrożnie. Jeden fałszywy krok w jakimś nieznanym miejscu, a mogliby znaleźć się poza obrębem góry. Wieki chyba minęły, zanim dwaj przywódcy wrócili do grupki i dali znak, wszyscy mają być cicho.

– Jesteśmy wprost nad bramą – szepnął September. – Na straży stoi tam jeden brat i nie wygląda, żeby nadmiernie przejmował się tym, co się dzieje.

Ethan wyrztał zza jego pleców; po Hunnarze nie było śladu. W minutę później zabrzmiał z dołu krótki, ostry gwizd. Podbiegli na skraj budynku. September się nie wahał. Odwrócił się, złapał za skraj muru i poleciał. Nie zastanawiając się, żeby przypadkiem się nie rozmyślić, Ethan poszedł w jego ślady.

Upadek nie był taki straszny, a na dole czekali September i Hunnar, żeby go złapać. Następny opadł Suaxus i natychmiast zajął stanowisko przy zamkniętych drzwiach. Po obu stronach wejścia paliły się latarnie. Lekki wiaterek, zawodząc żałośnie, opływał szczyty i spadał w dół, w czarną otchłań.

Ostrożnie opuszczono starego Eer-Meesacha, a potem Elfa i Budjir zawisli na moment na skraju dachu i zostali pozbierani na dole. Odwrócili się, żeby ruszyć w dół. Hunnar zatrzymał się na chwilę. Podniósł zieloną, kamienną laskę nieprzytomnego brata, potem zerwał z niego białą szatę. Starannie zdjął z uchwytu jedną z latarni. Przełożył ją z laski do łapy. Zakręcił nią młynca i łukiem puścił w drewniane wrota. Płonący olej rozbryznął się po słojach, przez chwilę migotał niepewnie, potem jasno rozgorzał.

– Powinno to ich myślącym umysłom dostarczyć trochę zajęcia – zamruczał posępnie.

Pobiegli tak szybko, jak tylko się odważyli w tych ciemnościach. Trzeba było też myśleć o Eer-Meesachu. Czarodziej dobrze się trzymał w tej pełnej napięcia sytuacji, ale musiała przyjść taka chwila, kiedy zawiedzie go ciało, jaki by nie był mocny jego duch. Pokonywali schody z przyzwoitą szybkością. Teraz w pełni już rozbudzony Ethan wyjrzał ostrożnie przez parapet. Bezkresny lód błyszczał nierealnie w świetle gwiazd, rozsiane po nim były tu i tam hebanowe iglice, będące innymi, przyjaznymi wyspami. Po raz ostatni obejrzał się za siebie i zobaczył jasny blask wciąż palących się drzwi. Zanim dotarli na najniższy stopień, Ethan się wyraźnie zasapał, a Eer-Meesach bliski był omdlenia. Przenieśli czarodzieja pod osłonę jakichś wielkich głazów.

Budjir poszedł przodem w kierunku statku. Wrócił i pomiędzy jednym sapnięciem a drugim powiedział im, że widział, jak na pokładzie *Slanderscree* poruszają się tranowie i że stanowczo zbyt wielu z nich ma brody, nosi długie szaty i trzyma zielone laski. W niewielkiej grupce podniosły się jednoczesne przekleństwa. Języki różniły się między sobą, ale wyrażane opinie były identyczne.

– Nie są aż tak naiwni, jak sądziłem – wymamrotał September. – Czy dostrzegłeś kogoś z naszych ludzi, Budjirze?

– Ani jednego z załogi. Wszystkich musieli schwytać w pułapkę pod pokładem.

– Pewnie nie było to zbyt trudne – dumął Skua. – Jeden marynarz na warcie i niczego się nie spodziewał.

– Nie mogli pokonać całej załogi – powiedział Ethan z niedowierzaniem. – Nie za pomocą pałek.

– Ha! Wątpię, czy w ogóle kogoś musieli uderzyć, może poza wartownikiem. Cicho zasunęli zasuwę na wszystkich łukach i mieli oko na to, czy ktoś nie próbuje się wymknąć jakąś inną drogą. Balavere i cała reszta pewnie wciąż nie wiedzą, co na nich spadło. Ilu wypatrzyłeś, Budjirze?

– Ośmiu... może dziewięciu. Może być ich więcej, nie widziałem.

– Mało prawdopodobne. O tak dobre rozeznanie ich nie posądzam. – September był pełen namysłu. – Ta-hoding i jego grupa nie spodziewali się ich. Ale oni nie będą się spodziewali nas.

To Durnad zauważył, że mała grupka zbliża się do doku. Wzdrygnął się zaskoczony. W grupce było sześciu niewiernych. Szli razem, z opuszczonymi głowami, z łapami skrzyżowanymi na plecach. Za nimi postępował jeden brat.

– Podejdź tu, bracie Tydin. – Jeszcze jedna na biało ubrana postać dołączyła do Durnada u wejścia na pomost.

– Co, Durnadzie... och! – On także zauważył pochód. – Cóż to ma oznaczać?

– Witaj, bracie! – zawołał Durnad. – Co stało się w Domostwie? Widzieliśmy wielkie światło.

Odpowiedź brata była cicha, ale zrozumiała.

– Wszystko w porządku. Tych oto należy zatrzymać na pokładzie do rana.

– To dziwne bracie – powiedział Tydin wyraźnie skonfundowany. Grupka szła w górę po rampie. – Słyszałem, że wszyscy ci niewierni mają zostać załatwieni pod wielką kopułą jeszcze tej nocy. Czemu kryjesz swoją twarz? Czy te diabły cię zraniły? – Tydin niepewnie cofnął się o krok.

– Nastąpiła pewna zmiana w planach, bracie – ryknął September. Zamachnął się złożonymi rękami i uderzył mocno kamieniem, który w nich ukrywał. Tydin padł bez głosu.

– Na pomoc, bracia! – krzyknął Durnad. – Zostaliśmy oszukani!

Jak się okazało *Slanderscree* strzegło dziewięciu z bractwa – minus Tydin. Szansę były znośne.

Bracia walczyli jak szaleni, wywijali pałkami i zielonymi laskami jak obłąkani. Można było pomyśleć, że biją się z samym diabłem. Ale nie byli zawodowymi wojownikami. Nie mieli też po swojej stronie przewagi zaskoczenia oraz druzgocącej przewagi liczebnej, jak wcześniej w klasztorze i tylko rozruszali tranów takich jak Budjir, Suaxus i Hunnar. Elfa wywijiała nadłamaną laską równie umiejętnie, jak każdy z nich. Ethan wykorzystał swoją zaskakującą masę, żeby przewrócić dwóch przeciwników. W uczciwej walce ze świadomym tego tranem szansę byłyby wyrównane, ale tu element zaskoczenia działał na jego korzyść. September cisnął jednym z braci przez pół pokładu i rozbijał właśnie następnego, jak jakiegoś bladego kurczaka.

Ethan pochylił się i złapał pałkę upuszczoną przez jednego z braci. Jego przeciwnik pognał za nim i zamachnął się laską. Ethan uchylił się na bok i wbił pałkę tępym końcem w brzuch tamtego. Brat wydał z siebie przeciągłe „Uffff” i zwinął się we dwoje. Ethan zadał potężny cios pałką i odwrócił się na pięcie twarzą do następnego przeciwnika.

Ale następnego przeciwnika nie było.

Suaxus stał z boku i ciężko dyszał.

– Co zrobimy z nimi, panie?

Na twarzy giermka jak zwykle nie było widać żadnego zaangażowania, ale gdyby go zapytać, Ethan nie wątpił, że miałby gotową jakąś propozycję albo dwie.

– Powiążcie ich i zrzućcie pod pokład – rozkazał Hunnar. Przerwał i wzdrygnął się. – Pod pokład! – Odwrócił się na pięcie i już był przy najbliższym luku.

Wystarczyła zwykła pętla i kołek, żeby zablokować klapę. Hunnar wyciągnął kołek, zwolnił pętlę. Klapa odskoczyła w górę. Z dołu spoglądała na niego niespokojna twarz kapitana Ta-hodinga, który mrugał oczami w świetle pochodni.

– Słyszeliśmy z góry odgłosy bójki – stęknął wychodząc z ładowni. – Mieliliśmy nadzieję, że to będziesz ty, Sir Hunnarze i nasi przyjaciele.

Marynarze i żołnierze wylali się na pokład, zabrali się do wiązania odzianych na białą postaci. Kilku z braci zaczynało wracać do przytomności. Ci, którzy przesiedzieli zamknięci w ciemnej ładowni przez cały wieczór, nie traktowali-ciał braci z jakąś szczególną troskliwością.

– To wstyd, że nas zaskoczyli, ale nikt nie został raniony – poinformował ich Ta-hoding. – Więc teraz wszystko jest w porządku.

– Wszystko jest nie w porządku – odparował Hunnar, kiedy obydwaj tranowie szli do miejsca, gdzie stali Ethan z Sep-tembrem. – Troje naszych przyjaciół wciąż znajduje się w niewoli w jaskini tych zbójów.

Ta-hoding aż się zapluł.

– Na przeciwne wiatry. A więc musimy zorganizować ekspedycję! Oblężyć to miejsce i...

September powoli potrząsał głową.

– Nie, mój zacny kapitanie. W ten sposób się tego nie da zrobić.

– Sir Skua ma rację, Ta. Te opryszki tam w górze założą prawdopodobnie, że tu, na dole pojмали nas ich pachołkowie. – Wyżej wymienionych pachołków wleczono teraz bez ceremonii pod pokład. – Ale mimo to wystawią warty na schodach. Gdyby tego nie zrobili, świadczyłoby to o tak infantylnym braku inteligencji, że nie potrafię sobie wyobrazić, żeby tego zaniedbali. Wystarczy kilku braci, żeby obronić wejście do klasztoru przed całą armią. A to – ciągnął dalej zwracając się do Skuy – martwi mnie bardzo, przyjacielu Skua. Jak mamy uratować naszych przyjaciół?

– Szczerze mówiąc, Hunnarze, przez ostatnią godzinę byłem zbyt zajęty, żeby coś więcej o tym pomyśleć. Zaraz, zaraz...

– Spodziewam się, że trzeba będzie znaleźć jakąś drogę okrężną – powiedział z wahaniem Ethan.

– Sir Ethanie – przypomniał mu Hunnar z pewną niecierpliwością – tu nie ma drogi okrężnej. Istnieje tylko jedno, starannie pilnowane wejście. Po jednej stronie znajduje się pionowe urwisko, a ośmieliłbym się twierdzić, że druga strona jest równie mało łagodna.

– Zgadzam się – powiedział September. – Tak czy owak musi to być niewielka grupka. Zbyt wielu ludzi... zbyt wiele hałasu i ruchu. – Odwrócił się do Ta-hodinga. – Kapitanie, czy mamy na pokładzie sprzęt do wspinaczki?

Ta-hoding wyraźnie nie mógł się połapać, o co chodzi, i to nie bez powodu. Wspinaczka nie należała do sztuk uprawianych przez jego ziomków.

– Wspinaczka? Ja... ja mam linę, oczywiście, ale nie wiem, co masz na myśli, mówiąc „sprzęt”.

– Rozumiem. Następny problem – mruknął September. – Moja wina. Powinienem się domyślić, że nie odróżnisz czekana od sękacza.

– Dziwne słowa – powiedział Hunnar. – Czy to następne z waszych osobliwych urządzeń, przyjacielu Skuo?

– W pewnym sensie. – Potężny mężczyzna wpatrywał się przez chwilę z namysłem w pokład, potem podniósł wzrok na rycerza. – Czy zabraliśmy ze sobą na pokład jakieś mocne, solidne haki?

– Haki? – Rudawa grzywa zakołysała się przecząco. Potem Hunnar rozjaśnił się. – Ależ tak, mamy! Musimy mieć całą masę wspaniałych bosaków do abordażu, zdobytych podczas ostatniego ataku. Są w zbrojowni.

– Powinny być idealne.

– Suaxus! – warknął Hunnar.

Giermek skinął głową i zniknął w luku.

– Co o tym myślisz, mój chłopcze?

– Właściwie – powiedział Ethan, który przysłuchiwał się rozmowie z podobnym zafascynowaniem, jakie wykazuje ptak przyglądający się zbliżającej do niego kobrze królewskiej – to zawsze miałem coś w rodzaju lęku wysokości i...

– Nonsens, chłopcze, nonsens. Tylko ci się tak wydaje. Po prostu nie patrz w dół... oczywiście ta nocna wspinaczka będzie nieco trudniejsza, ale to nic nie szkodzi, prawda?

– Och, na pewno nie.

September przyjrzał się im wszystkim z napięciem.

– Zatrzymamy się na ostatnim zakręcie schodów, tyle, żeby nie można nas było dostrzec od wejścia do klasztoru. Jeżeli będziemy mieli szczęście, wciąż jeszcze będą zajęci tym pożarem roznieconym przez Hunnara. Nie będą się spodziewali, że ktoś im spadnie na łeb z góry. Ja zaczepię pierwszy bosak...



## ROZDZIAŁ XIV

Pokój nie był bardzo wielki i Bractwo wypełniało go bez reszty. Każdy szczelnie przyciskał się do sąsiada, żeby lepiej widzieć służalców Złego. Nieczęsto trafiali im się prawdziwi niewierni, których można było poddać oczyszczaniu i każdy z braci chciał wziąć udział w tej rzadkiej, interesującej ceremonii. Światło lamp i latarni obejmujących pierścieniem kolisty pokój rzucało na kopułę roztańczone cienie. Wysokie misy na żar pełne były płonącego oleju i drewna. W okrągłym świetliku jasno świeciły gwiazdy.

Na brukowanej podłodze połyskiwały zielono i złoto trzy koryta z brązu o zaokrąglonych dnach. W każdym leżało jedno ciało z głową ułożoną wyżej niż nogi. Hellespont du Kane był najwyższy z całej trójki, a głową nie sięgał rantu koryta. Podobnie jak reszta był skrzepowany, ręce miał ciasno przywiązane do boków. Milliken Williams zajmował koryto po jego prawej ręce, a Colette po lewej. Dziewczynie udało się wcześniej zerwać więzy na nogach i zostawiła za sobą wielu obolałych braci, ale wszystko nadaremnie.

Bracia powoli napełniali koryta wodą, którą przynosili z topialni, wiadro za wiadrem. Ponieważ w pokoju nie było ogrzewania, zimne nocne powietrze Tran-ky-ky powoli zamrażało każdą kolejną porcję wody. Jeńcy aż do ramion zakuci byli w brylantowy pancerz z przejrzystego lodu.

Colette zasypywała zebranych gradem inwektyw w kilku językach, z których żadnego bracia nie rozumieli. Od momentu kiedy zaczęło się nalewanie wody, niewielki chórek jęklwym głosem zawodził tę samą niemelodyjną, buczącą pieśń. Tylko wspaniałe kombinezony awaryjne uchroniły jak dotąd jeńców przed poważnymi odmrożeniami, ale na nic się one nie zdadzą, kiedy lód zamknie im się nad głowami.

Colette popatrzyła na ojca pogrążonego w lodzie i w transie, potem podniosła wzrok na przyglądających się braci.

– Nic złego wam nie zrobiliśmy. Dlaczego tak nas traktujecie?

Życzliwy Przeor popatrzył na nią z rozbawieniem.

– Żeby sługa Złego miał czelność prosić o łaskę!

– Słuchaj – powiedziała Colette, którą wstrząsnął kolejny dreszcz. Zimno zaczęło brać górę nad zdolnością izolacyjną jej kombinezonu. – My nawet nie wiemy, czym jest ten wasz cholerny Zły! Jeżeli jesteście aż tak upośledzeni na umyśle, że zdaje się wam, iż jesteśmy uczniami jakiegoś waszego lokalnego diabła, współczuję wam!

– Nie, Ona, to my wam musimy współczuć – odparł umoralniająco Przeor. – Wszystkim wiadomo, że Miejsce-Gdzie-Krew-Ziemi-Płonie jest domem samego Złego. Z jakiego by kraju nie pochodzili przybysze, wiedzą to. Szczęśliwie zdradziliście nam mimowolnie cel swojej podróży, tak że mogliśmy podjąć odpowiednie kroki. My tutaj nie jesteśmy pełnym ignorancji pospółstwem, o nie!

Podniósł wzrok w niebo.

– W miarę, jak udziałem waszym będzie stawało się Zimno, które na te wszystkie wieki skuło nasz ukochany dom, będzie coraz bardziej przybliżał się Czas Ostatecznego Ocieplenia! – Popatrzył znowu na Colette. – Oto nasz cel i kres.

– Słuchaj no. – Williamsowi zimno dokuczało bardziej niż pozostałym i miał trudności z mówieniem. – Jeżeli jesteśmy służalcami Złego, to jak nas zamroziś, twój świat się od tego nie ogrzeje.

– Zapisano w Prastarych Księgach, że za każdego sługę Złego, którego odeślemy z powrotem w pradawny mróz, nasz świat stanie się odrobinę cieplejszy, odrobinę łagodniejszy, odrobinę bardziej zielony. Do tego zobowiązane honorem jest nasze Bractwo!

– Słuchaj – ciągnął dalej rozpaczliwie nauczyciel. – Tran-ky-ky można by zmienić znowu w ciepłą i zieloną planetę. Moi rodacy znają proces zwany teraformowaniem, który niewykluczone, że potrafiłby stopić ten lód i podnieść temperaturę planety. Ale nie dalibyście rady zaadaptować się, gdyby stało się to za waszego życia. Poza tym potopilibyście się wszyscy.

– Kłamiesz bardzo intrygująco, mój Niegodziwcze, ale nie sądz, że nas oszukasz.

Znowu podeszło dwóch braci niosących duży kocioł z brązu. Ostrożnie rozdzielili z niego wodę pomiędzy trzy koryta. Colette usiłowała podciągnąć się wyżej, kiedy wlewali wodę do jej koryta, ale woda sięgała jej już do szyi. Dwaj bracia wyszli do topialni po następną porcję. Niemal natychmiast na powierzchni wody zaczęła się tworzyć warstewka lodu. Jeszcze kilka tur i lód zakryje ją z głową. A może przedtem wysiądzie izolacja w kombinezonie.

– Przybyliśmy tu otwarcie, jako goście, a wy chcecie nas zamordować – powiedziała nieco już przestraszona. Umiała parować argumenty i radzić sobie z wszelkiego typu rozsądną logiczną dyskusją. Ale religijni fanatycy!... – Niech to szlag trafi, potrzebna nam była wasza pomoc!

– I mamy zamiar wam pomóc – łagodnie odparł Przeor. Odwrócił się do ruchliwego, zagapionego motłochu. – Bracia! Te nieszczęsne, zdegenerowane umysły wołają do nas o zbawienie! Módlmy się za nich, żeby dusze ich mogły spotkać się na następnej płaszczyźnie istnienia, nie skażone brakiem logiki i brakiem rozsądku!

– Niech się tak stanie! – zanucili zebrani bracia. Przyłączyli się do chórkę, który nie przestawał niemelodyjnie i nie-harmonijnie buczeć; przerywało mu tylko histeryczne łkanie Colette.

I nagle nad ich głowami rozległ się ostry trzask. Jakiś przejmujący grozą głos zadudnił jękliwie grobowym tonem.

– NIECH WIEDZA WSZYSCY PO SAM KRAJ ŚWIATA, ŻE ZŁY CHRONI TYCH, CO DO NIEGO NALEŻĄ! – Nagle głos przeszedł na terangielszczyznę – ZASŁOŃCIE SOBIE OCZY!

I natychmiast spojrzenia wszystkich tranów skierowały się w górę, podczas gdy trójka ludzi pochyliła głowy i mocno zacisnęła powieki.

Eksplozja. Rozlatujące się na wszystkie strony ciała. Ci, którzy utrzymali się na nogach, w panice rzucili się jak jeden do wyjścia, tratując w niezbyt braterskim pośpiechu rannych braci. Nad nimi jak grom przetaczał się niesamowity głos.

– JAM JEST POTĘGA I CHWAŁA CIEMNOŚCI I ZGINA WSZYSCY, KTÓRZY PRZECIWNIE POWSTAJĄ!

Nastąpił jeszcze jeden wybuch i następni bracia padli na podłogę. Od góry dobiegł nieco słabszy huk. Po nim rozległo się kryształowe podzwanianie, kiedy ktoś rozbijał świetlik. Wężowym ruchem wsunęła się do pokoju sznurowa drabinka, Skua September już znajdował w połowie jej wysokości, Ethan, Hunnar i kilku żołnierzy zsuwali się tuż za nim. Potężny mężczyzna skierował się natychmiast do jedynych drzwi. Potrzebował pomocy Hunnara, żeby usunąć z drogi ciała.

– Dzięki wszystkim bogom za niewielkie nawet dobrodziejstwa – sapnął. – Rygiel jest po wewnętrznej stronie! – Hunnar zasunął zasuwę.

Wszyscy mieli zatknięte za pasy pochodnie, na wypadek, gdyby bracia pogasili lampy. Teraz zastosowano je w innym celu. Wsunięte do wiszącej latarni zapłonęły natychmiast, a potem zaczęło się powolne, niebezpieczne wytapianie skutych lodem więźniów.

Ethan mozolił się nad jedną stroną koryta więżącego Colette.

– Pospiesz się, proszę! – błagała. – Ja... ja już nóg nie czuję.

– Ile mamy czasu? – zapytał September Hunnara.

– Trudno powiedzieć. – Rycerz wpatrzył się w zaryglowane drzwi. – To nie są żołnierze i nie reagują jak żołnierze. Wkrótce jednak ci, którzy uciekli jako ostatni, uświadomią sobie, że nasze kształty trudno uznać za nadprzyrodzone, a niektórzy mogli nas nawet rozpoznać.

Żeby podnieść jedną metalową trumnę musieli się do tego zabrać we cztery. Do postawienia jej sztorcem starczało dwóch. Jeden za drugim trzej więźniowie wysliznęli się na wolność, każdy opancerzony jeszcze bryłą lodu. Teraz wytapianie mogło postępować w przyzwoitym tempie.

– To dla nich trudna decyzja – ciągnął dalej Hunnar. – Jeżeli rzeczywiście jesteśmy sługami Złego, jak to się zdaje sugerować nasza zdolność do miotania piorunów i błyskawic, to spodziewałbym się, że w ogóle już nie będą atakowali. Ale mogą też uznać nas jedynie za śmiertelne sługi Złego, za zbałamuconych śmiertelników, a w tym przypadku...

– Pies drapał tego Złego! Ile mamy czasu?

Rozległ się rumor; ktoś sprawdzał, czy drzwi są zamknięte. Potem słychać było grzechotanie rygła, po czym ktoś zaczął usilnie łomotać do drzwi. Potem zapadła cisza.

– No, to mamy odpowiedź – zawarczał September. Odwrócił się znowu do wnętrza pokoju.

Prawie ukończyli już wytapianie Williamsa i Colette, a i nieruchomy du Kane senior był niemal wolny.

– Wiesz co – zagaił Ethan topiąc resztki lodu, który przywarł do kostek Colette. – Niesamowicie byś wyglądała w kieliszku martini.

– Przydałby mi się teraz kieliszek czegoś mocnego i to mniej więcej tego rozmiaru – odpowiedziała sztywno. – Te kombinezony to czyste błogosławieństwo! – Ethan zaczął rozcierać jej nogi; Colette nie zaprotestowała.

– Już w porządku – powiedziała w końcu. – Pomóż nauczycielowi. – Ethan obejrzał się na du Kane'a seniora, który wciąż bez ruchu leżał na kamiennej podłodze.

– Twój ojciec... czy on...?

– Popatrz. – Schyliła się nad nim i Ethan usłyszał, jak szepcze mu do ucha: – Darmowy kredyt.

Najpierw drgnęła jedna ręka, potem noga. Bezruch, a potem starszy pan usiadł, zaczął mrugać i podniósł oczy na córkę. Wsunęła mu swoją potężną rękę pod ramię i pomogła się podnieść na nogi.

– Jak tam, moja droga, czy jesteśmy bezpieczni, czy martwi?

– To jeszcze nie zostało rozstrzygnięte, ojcze, ale skłaniamy się ku tej pierwszej możliwości.

Du Kane westchnął.

– No cóż. Szkoda. – Pstryk. – Taki byłem ciekaw, jakie kwiatki mają na tamym świecie.

– Już ci mówiłam, ojcze, tylko kwiatowe dusze. Chodź teraz, poruszaj się trochę. O tak. Widząc ogłupiałe spojrzenie Ethana dodała: – Automatyczny trans ochronny. Zawsze w niego popada, kiedy grozi mu przeładowanie systemu. Nie po raz pierwszy już ocaliło mu to życie.

Usłyszeli donośny huk i drzwi zatrzęsły się gwałtownie.

– Zasiedzieliśmy się w gościnie – stwierdził Ethan.

September stał twarzą do drzwi i przyglądał im się w napięciu. W jednej ręce trzymał niewielką, szczelnie obwiązaną paczuszkę ze skóry vola. Wystawał z niej z jednej strony krótki, grubawy lont. September z nonszalancją przerzucał ją z ręki do ręki, z ręki do ręki, z ręki do ręki.

– No, koledzy, ruszajmy się żywo.

Znowu rozległ się łomot i drzwi przerażająco wygięły się do wewnątrz. Williamsowi już pomagano przeleźć przez roztrzaskany świetlik. Hellespont du Kane znajdował się w połowie drabiny, a Ethan czekał z Colette na dole.

– Idziemy – powiedział w końcu.

Colette spojrzała niepewnie na chwiejącą się drabinę.

– Ja... ja sama nie wiem. Nie mam odpowiedniej budowy do takich wyczynów.

– Wolałabyś raczej skończyć w martini? No, chodźże. Pomogę ci.

Colette ruszyła w górę. Podsunął rękę pod jej olbrzymi zadek – miał wrażenie, że dotyka grudy lodu – i usiłował podsadzić ją do góry. Potem sam wszedł na drabinę tuż za nią. Nie miał pojęcia, co zrobi, jeżeli ona zacznie spadać. Colette wspinała się i psioczyła, a on wspinał się i modlił. Hunnar wchodził tuż za nim.

Tymczasem September stanął u stóp drabiny. Pokój wypełnił teraz trzask rozłupywanego drewna i drzwi rozprysnęły się do wewnątrz. Tłuszcza wyjących, odzianych w długie szaty naukowców całą kupą władowała się do środka. Wyhamowali ostro na widok Septembra spokojnie stojącego pod drabiną. Kilku z nich tym razem miało noże, prawdopodobnie zabrali je z klasztornej kuchni. Intelktualny chłód opuszczał braciszków w zastraszającym tempie. September wyciągnął rękę i dotknął lontem najbliższej lampy. Przez chwilę przyglądał się pakiecikowi, potem łagodnym ruchem rzucił go. Pakiecik wylądował u stóp znieruchomiałych braci. September nadal przyglądał mu się z zainteresowaniem. Lont kurczył się. Nagle potężny mężczyzna jednym ruchem odwrócił się, dał susa i zanim ktoś z tłumu ocknął się na tyle, żeby cisnąć pierwszą pałkę, znalazł się w połowie drabinki.

Ethan zaglądał niespokojnie przez roztrzaskane szkło świetlika. Rozpaczliwie wyciągnął jedną rękę, a Hunnar drugą. We dwóch szarpnęli, aż Ethan poleciał do tyłu. September wyskoczył z dziury i upadł na dach, a za nim wyleciał słup kurzu i sproszkowanego kamienia.

– Ale grzmotnęło – wymamrotał macając się po boku, w który drasnęła go rzucona laska. – Cieszę się, że zachowałem to na koniec.

Po raz drugi tej nocy Ethan biegł na oślep po dachach, uchylał się pod filarami i przyporami, opadał z poziomu na poziom w stronę schodów. Wyglądało na to, że bracia są zbyt zdezorganizowani lub zbyt zniechęceni, żeby gotowi byli ruszyć w pościg. Albo może ta ostatnia bomba wyeliminowała świątobliwego Przeora i kilku jego zastępców. Jak by nie było, podczas szaleńczej galopady w dół nie napotkali na żaden opór i bez żadnych przeszkód dotarli do ostatniego dachu nad schodami. Na lewo od nich długą, czarną smugą zwęglone drewno ciągnęło się w głąb klasztoru; rezultat roznieconego wcześniej tej nocy przez Hunnara ognia, mającego okrywać im tyły. Przed spalonym wejściem stała duża grupa braci uzbrojonych w swoje tradycyjne pałki i laski. Widać spodziewali się ataku od frontu. Najwyraźniej nikt im nie doniósł o powrocie sług Złego. Niezbyt to po wojskowemu. Żołnierze Hunnara zaskoczyli ich bez reszty.

Kiedy rzucili się pędem w dół po schodach nikt już ich nie ścigał.

\* \* \*

– No, to by było na tyle, jeśli chodzi o rządy rozumu i logiki – zrzędził September ciężko dysząc.

Bieg w dół od klasztoru w końcu zmęczył nawet i jego. Na szczęście znajdowali się już bezpiecznie na pokładzie *Slanderscree*, a na całym świecie nie znalazłoby się dość braci, żeby ich znowu z tego pokładu ściągnąć. Potężny mężczyzna wpatrywał się w zabudowania klasztorne, rysujące się widmową, czarną kreską na tle urwiska.

– Biorąc pod uwagę ich przekonania działały nie najgorzej – odparował Ethan.

Za jego plecami Ta-hoding wysyłał załogę na reje, wykrzykując różne srogie groźby pod adresem tych, którzy jak mu się zdawało ociągali się. *Slanderscree* zaczęła wysuwać się z portu. Na rufie czwórka żołnierzy bez szczególnej delikatności wyrzucała na lód braci, którzy wcześniej zajęli tratwę. Było to bardziej humanitarne postępowanie niż podobne działania na Ziemi przed wiekami, bo nie było wody, w której jeńcy mogliby się potopić. Z drugiej strony lód nie był specjalnie miękki.

Wiatr wiał, *Slanderscree* pochwyciła go w żagle i ruszyła na zachód, potem na południe, żeby wykorzystać nawet najłżejszy wiatr poprzeczny. Oczom Ta-hodinga niewiele mogło ujść.

\* \* \*

W tydzień później zobaczyli pierwszy dym. Statecznie, wysoko unosił się z wiatrem na zachód, gęsty i pełen sadzy. Od tego miejsca Ta-hoding mógł nie zważać na kompas i trzymał kurs na tę czarną krechę. Jechali nawet szybciej niż dotychczas. Minęły następne dwa dni, zanim po raz pierwszy ujrzeli Miejsce-Gdzie-Krew-Ziemi-Płonie, a następne dwa zanim pokazało się podnóże tego gigantycznego wulkanu. Pokrywały go plamy brązu i czerni, wyżej obryzgany był lodem i śniegiem – istne czternaście kilometrów pionowego piekła, spowitego w polarny lód i skały. Był wspaniały, groźny i nawet odrobinę przerażający.

– No, jak dotąd brak halucynacji – dumiał Ethan.

– A skąd będziesz wiedział, czy je masz? – warknęła Colette.

Za nimi rozległ się głos Williamsa.

– Bardzo bym pragnął tam wylądować. Ethan odwrócił się. Eer-Meesach też tam był.

– No wiesz, Millikenie, w świetle tego, co działo się przez ostatnie tygodnie, czy nie sądzisz, że...

Na jego ramię opadła łagodnie ogromna łapa.

– Wyjechaliśmy nie zdążywszy jak należy naprawić bukszprytu, przyjacielu Ethanie – powiedział Hunnar. – A załoga także nie miała, jak jej obiecano, szansy odpocząć na brzegu.

– Nie obawiasz się, że różne duchy i gobliny wyrażą swój sprzeciw?

Rycerz bez uśmiechu wpatrywał się w lód i w niebotyczny stożek.

– Mogłem się tego obawiać jako kocię. Jako młody człowiek nie byłbym pewien. Ale czarodzieje wyjaśnili mi, co to naprawdę jest. Teraz, gdy wiem, że to rzecz nie nadprzyrodzona i pozbawiona wrodzonej wrogości, nie obawiam się.

Jechali wzdłuż poszarpanego brzegu na południe, szukając miejsca na postój. W stronę przejrzystego lodu opadały wielusetmetrową rozwichrzoną kataraktą splekane, udręczone skały. Ale nigdzie nie było widać ani kawałka płaskiego terenu. Gdy tylko objechali południowy cypel wyspy-góry, wiatr zaczął wiać im w twarz, a wulkaniczna skorupa ustąpiła nagle miejsca gładkiej, kamiennej plaży. Lśniące strumienie lawy przypominające grubo skręcone powrozy zagłębiały się łagodnie w zamarzniete morze. Przycumowali na wpeł pod wiatr, wciąż jeszcze pod osłoną bryły wulkanu. Tym razem wykorzystali kotwice lodowe, zarzucono je starannie i precyzyjnie pod czujnym okiem doświadczonego Ta-hodinga. I znowu ekipa remontowa zabrała się do swoich zajęć – mieli nadzieję, że po raz ostatni.

Biorąc pod uwagę to, co przeszli przez te kilka ostatnich tygodni, nikt nie miał za złe rzemieślnikom, że od czasu do czasu oglądają się przez ramię. Nie można było mieć pewności, że okolica nie zaskoczy ich jakąś następną szatańską niespodzianką, prawda? Tak więc cieśle i żaglomistrze pracowali odrobinę wolniej, odrobinę bardziej uważnie.

\* \* \*

Mętne ciemności. Plazmatyczna groza dalekich nocnych gwiazd. Niezmierzone otwarte przestrzenie. Fałszywe koncepcje życia i śmierci. Nadciągały żywe ciemności, ohyda smolistych macek i wysysających duszę kłów. Szukały go w tej pustce po omacku, wyciągając się, skręcając. Biegł coraz szybciej wzdłuż morza bulgoczącej smoły, nad głową miał oleiste niebo. Ocean chwycił go i szarpał. Biegł po grzbiecie bezpostaciowej ameby, która garbiła się, trzęsła i śmiała. Usiłował zeskoczyć, ale teraz tłuste nibynóżki pochwyciły go i trzymały nieustępliwie. Wszędzie dookoła, po całym tym koszmarze, plątały się jakieś kształty. W środku każdego z nich twarze czegoś nieludzkiego chichotały i wykrzywiały się do niego. Czarne odrośla oplatały go ciaśniej, obejmowały, dusiły. Usiłował krzyknąć i jeden z tych atramentowych powrozów zagłębił się w jego gardło, zaczął go dusić. Pełzały mu po oczach, pod uszami, wpełzały w nozdrza. Rzęski ocierały się o niego i sprośnie go łaskotały. Nie mógł oddychać. Zakaszał, zadławił się. To coś z jego gardła wiło się w kierunku brzucha, nabrzmięwało, napełniało go brzemienną czernią.

\* \* \*

We wnętrzu kabiny również panowały ciemności. Ale te ciemności były pocieszające, swojskie, prozaiczne – nie lepkie, nie złowieszcze, nie pełne koszmarnych kształtów. Chociaż było tak zimno, pocił się obficie i dyszał, jak gdyby dopiero co ukończył maraton. Rozdygotany sięgnął po lampę, potem się powstrzymał. Jego ręka zatrzymała się w pół drogi, powoli się cofnęła. Nie... nie. To był zły sen. Nic więcej. Zdarza się każdemu.

Położył obydwie ręce na łóżku, dłonie na płask przywarły do kocy i futer, powoli opadł na pościel, wpatrując się w ledwie widoczny zarys sufitu. Podjął świadomy wysiłek, żeby zamknąć

oczy i zaczął równomiernie i głęboko oddychać. A potem powoli skulił się na boku i poprawił sobie koc pod głową.

Tuż przed zaśnięciem przyszło mu na myśl, że od dzieciństwa nie miał koszmarnych snów. Zaintrygowało go to na jedną chwilę.

\* \* \*

Światło poranka ukłuło go jak komar. Wulkan ani nie lśnił, ani nie błyszczał, ani nie poróżwiał. Już raczej wydawało się, że czarna wulkaniczna skała pochłania światło. Tylko leżący w górnych rejonach lód i śnieg współgrały z przepyszny światłem, dając miłe dla oka efekty.

Mroczny, posępny stożek, jakim była góra, nie pozwalał w najmniejszym stopniu się domyślać, że w jego wnętrzu żarzy się płonący rdzeń. Nawet pomykający po chmurach czarny dym miał kolor wystygłej sadzy. W powietrzu otaczającym górę nie wyczuwało się niczego groźnego, ale wcale też nie było miło znaleźć się w pobliżu. Ludziom trudno było jakoś się do niej odnieść, bo brakowało gór towarzyszących, rodzeństwa naokoło jej podnóża. Stojąc tak samotnie była bezosobowa i obca, jak jakiś zagubiony księżyc.

Ethan oparł się o poręcz i wpatrzył w pobrużdżoną sznurami lawy plażę. Właściwie wolałby pozostać na pokładzie, ale zawsze istniała niewielka szansa, że trafią na coś ciekawego. Potknął się tylko raz, kiedy po lodzie przechodzili na skałę. Niewielki powód do dumy. Na skamieniałej lawie ludzie mieli przewagę nad swoimi trańskimi kolegami. Tubylcy musieli ostrożnie stawiać nie obute stopy na szorstkich, nierównych bułach spękanej lawy. Czarodzieje mogli wprawdzie iść we dwóch, ale ze względu na bezpieczeństwo towarzyszyć im musiał ktoś, kto w odpowiednim momencie powie im, że czas wracać na *Slanderscree*. Zostawieni sami sobie wędrowaliby pewnie po wysepce, aż do zmroku, potem by się zgubili, a potem któryś by złamał nogę albo skręcił sobie kostkę i trzeba by ich było z mozołem zanosić w ciemnościach na pokład.

Zbocza gigantycznego stożka wydawały się ulatywać ku niebu, coraz wyżej, w mieniący się błękit, aż zlewały się ze sobą w punkcie zbiegu perspektywy malarskiej. O tym, że góra ma szczyt, upewniał ich wyłącznie wydobywający się stamtąd czarny dym płynący w chmury. No cóż, mogli spędzić rano na grzebaniu w skałach pod osłoną wschodniego zbocza, pozbierać trochę okazów i wrócić na statek. Kamyki powinny Williamsowi i Eer-Meesachowi dostarczyć dość zajęcia, żeby nie wpadli w żadne tarapaty, dopóki nie dojadą do Asurdunu. Ethan nie spodziewał się niczego zaskakującego, nawet Williams miał na tyle zdrowego rozsądku, że poniechał sugestii o wspinaczce, ale nie wziął pod uwagę jaskini.

Była dobrze ukryta wśród skał i niskich zarośli, ledwie ją dostrzegli. Nie różniła się niczym od innych fragmentów tego zmaltretowanego kamienia. Tylko światło, które o świcie świeciło prosto do środka, pozwalało się domyślić, że może być większa niż tysiące takich zagłębień, którymi upstrzona była lawa. Schylił się i zajrzał do środka. Była wystarczająco duża, żeby tran mógł się w niej wyprostować, więc przywołał pozostałych.

– Fascynujące – powiedział nauczyciel, nie odrywając oczu od mrocznego wejścia. Zanim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, przekroczył jedną z buł lawy i już stał na gładkiej podłodze



jaskini.

– Wyjdź stamtąd, Millikenie – powiedział September. – Cała ta konstrukcja może się lada chwila na ciebie zawalić.

– Bzdury! Tę strukturę wybudowała sama przyroda, a nie jakiś marny człowieczyna, panie September. Kiedy już raz uformował się taki kanał, utrzyma się bez zmian, dopóki jakieś gwałtowne ruchy geologiczne nie potrzaskają zestalonej skały. Mój drogi Eer-Meesachu, musisz to zobaczyć.

– A co tam masz? – Czarodziej-tran przykląkł powoli i teraz on wpatrywał się w dziurę.

Głos Williamsa dochodził do nich gdzieś z głębi.

– Ściany tego kanału porośnięte są świecącymi porostami czy grzybami jakiegoś rodzaju. Widzę całkiem wyraźnie, chociaż sporo oddaliłem się od wejścia. – Nastąpiła pauza. – Kanał wydaje się ciągnąć w głąb góry na pewną odległość.

– No to za wszelką cenę – odparł Eer-Meesach, przełaząc przez skraj dziury – musimy to zbadać dalej.

Hunnar rzucił Septembrowi pełne rezygnacji spojrzenie.

– Wolałbym zaczekać tutaj, Skuo, ale ci dwaj bez najmniejszych wątpliwości zgubią się na pierwszym rozwidleniu korytarza.

Potężny mężczyzna pogrzebał w kieszeni i wyciągnął jeden z małych kompasów z zestawu awaryjnego.

– Pewnie masz rację – zgodził się. – Równie dobrze mogę sam też pójść.

Hunnar bez namysłu wskoczył do tunelu, a za nim Budjir i Suaxus. Następny wszedł September, odwrócił się i popatrzył na Ethana.

– Idziesz, mój chłopcze?

Ethan zawahał się. Tunel nie wyglądał jakoś szczególnie zachęcająco, ale ktoś mógł cały czas obserwować ich ze statku. Colette wyznała już, że boi się ciemności; to chyba jedyna rzecz, jaka była w stanie ją zaniepokoić. Przestał się zastanawiać. Naturalnie, że musi wejść do środka. Dobrze może, że nie miał czasu zastanowić się co nim powodowało, bo chyba nie byłby sobą zachwycony.

Szli sobie wolnym krokiem, zagłębiając się coraz bardziej we wnętrze góry. Ściany, sufit i podłoga były tak wygładzone, że aż śliskie. W niektórych miejscach sufit wznosił się na dwie lub trzy wysokości trana, a od czasu do czasu natykali się na szyby wypełnione zieloną gliną. Zielona glina w wulkanicznych szybach. Gdzie on to już widział? Ethan łamał sobie nad tym głowę.

W głębi tunelu jarzące się rośliny nie rosły bujniej, ale też i nie przygasały. Dostarczały takiej ilości światła, że widać było z rzadka rozsiane głazy i skały, które oberwały się z sufitu (zielona

głina w wulkanicznych szybach?) Na szczęście było ich niewiele, jak z wdzięcznością zauważył Ethan. Ruszył do przodu, żeby posłuchać, o czym mówi nauczyciel.

– Lawa musiała płynąć tym korytarzem stosunkowo niedawno – tłumaczył Williams – co tłumaczy, dlaczego ściany są tak gładkie.

– Co za pocieszająca myśl – uśmiechnął się szeroko Ethan. Pomyślał o tysiącach ton wrzącej magmy pod swoimi stopami, dla której ujście stanowił kiedyś ten kanał, którym właśnie stąpali.

Po godzinie marszu Hunnar w końcu zarządził postój. Czarodzieje nie mieli się chyba nigdy zmęczyć, a korytarz skończyć.

– Badania naukowe to wszystko dobrze i pięknie – powiedział rycerz, przycupnąwszy pod szarą, zimną ścianą – ale nie zabraliśmy ze sobą żadnych zapasów. Nie uważam, żeby dalsze badania tej dziury, która może przechodzić aż na drugą stronę góry, warte było tego, by nas ominął południowy posiłek.

Do tej opinii natychmiast przychyłili się September, Ethan i obydwaj giermkowie. Obydwaj uczeni mężowie, przegłosowani, grzecznie się poddali.

– Ja również muszę wyznać, że czuję się nieco znużony i zgłodniały – przyznał Eer-Meesach. – I wydaje się, że dowiedzieliśmy się wszystkiego, czego mogliśmy się dowiedzieć. Ale ciekaw jestem, czy wylot tego tunelu otwiera się w pobliżu głównego krateru.

– Co prawda jest mi zimno – dowcipkował September – ale nie do tego stopnia.

Usiadł naprzeciw Hunnara i zaczął rzucać kamykami w ścianę. Ethan zrobił kilka kroków w przód i zamierzał również odpocząć. Nagle wyteżył wzrok i wpatrzył się w głąb tunelu.

– Hej... tam na przodzie chyba rzeczywiście robi się jaśniej.

– Oczy ci się zmęczyły od wypatrywania przy tym świetle, chłopcze. – September rzucił okiem w głąb tunelu. – Ja nie widzę różnicy.

– Nie, naprawdę robi się jaśniej – upierał się Ethan. Zrobił jeszcze kilka kroków do przodu. – Miałem rację. – Ruszył dalej tunelem.

– Nie odchódź za daleko – ostrzegł go September. – Nie wychodź poza zasięg głosu. Nie chciałbym, żebyś skręcił, gdzie nie trzeba i wlaź w jakiś labirynt bez końca. Jeżeli tak zrobisz, ja za tobą nie idę, rozumiesz?

– Nie martw się, Skuo. Nie pójdę tak daleko. – Tunel ostro zakręcał tuż przed nim.

Wystarczy, jak dojdzie do tego miejsca. Skręcił i wszedł do komory.

Była obszerniejsza niż tunel, może trzy albo cztery razy szersza niż korytarz i równie jak on wysoka. Nie było tutaj już tych fosforyzujących roślin, a mimo to światło było oślepiające.

Oślepiało, raziło go w oczy, ogłuszało – i było zielone. Teraz sobie przypomniał, gdzie czytał o zielonej glinie w kanałach wulkanicznych.

Kopalnie ozmidinu znajdowały się tylko w dwóch miejscach w całym znanym wszechświecie. Jedna leżała na maleńkiej wysepce pośrodku jeziora na świecie thranxów, Draxie IV. Drax IV był to koszmarny świat, duszna, rozparzona, pleśniejąca kula zgnilizny, która mogła doprowadzić człowieka do szaleństwa, jeżeli go najpierw nie dopadł Po'pione lub Turabisi Delphius. Thranxowie byli w stanie wytrzymać tę kanikulę i wilgotność, ale lokalna flora i fauna nie rozróżniała jakoś szczególnie gatunków, kiedy przychodziła pora na obiad. Ale był tam ozmidin, więc nie odchodzili.

Drugą żyłę odkryto na Mantis, pierwszym świecie zasiedlonym przez ludzkość po odkryciu napędu KK. Została odkryta nie przez jakiegoś samotnego poszukiwacza, przez kombinat górniczy czy oficjalną ekipę badawczą. Na pierwsze pokłady natrafił wiertnik, który przepychał nowy tunel dla metra pod samym centrum Locusty. Teraz na środku stolicy planety znajdowała się szpetna, ciemna, dymiąca dziura. Ale mieszkańcom to nie przeszkadzało. Wzbogacili się.

W skali relatywnej twardości minerałów najtwardszy jest diament, mający twardość 10. A raczej był, dopóki nie odkryto ozmidinu, którego twardość określono na 14. A kryształy surowego minerału są soczyście zielone z odcieniem fioletu. Szmaragdy przy nich wyglądają jak kawałki szkła. Ozmidin występował w skałach wulkanicznych, w pokładach zielonej gliny.

Potykając się Ethan ruszył do przodu, oczy przystosowały mu się do odbitego światła, którym zalewał go nie kończący się korytarz zielonych, heksagonalnych kryształów. Ozmidin zwisał z sufitu w postaci stalaktytów, wyrastał ze ścian w postaci ozdobnych mieczy, wypełniał podłogę odłamkami z sufitu kolcami i kryształami. Widział kiedyś zdjęcie Zielonej Supernowej. Zielona Supernowa był to kawałek czystego ozmidinu z kopalni na Draxie IV. Był wielki jak męska pięść, a oszlifowanie go zajęło najlepszemu szlifierzowi na Ziemi trzynaście miesięcy i to z zastosowaniem lasera i narzędzi tnących z ozmidinu. Nie miał ceny.

Potknął się i skrzywił na ból w dużym palcu. Zahaczył stopą o bryłkę czystego ozmidinu wielkości piłki do koszykówki.

To już nie było bogactwo – nie było słów, nie było sposobu na porównanie tego z normalnymi pragnieniami człowieka. W tym tunelu leżała możliwość posiadania całych światów. Możliwość zmieniania struktur rządów, a nawet dość, żeby wstrząsnąć samym Kościołem.

– Hej, chłopcze!... – doszedł do niego głos Septembra. – Już czas...

Ethan niejasno zdawał sobie sprawę, że to głos Septembra, a gdzieś w tle głosy pozostałych: Ale nie zawrócił. Wiedział, jak oni wyglądają.

Coś zatrzęsło mu się pod stopami. Poczul to, ale zignorował.

– Mój drogi Eer-Meesachu, to jest coś cudownego! – szepnął Williams. – Taka symetria postaci, taka zdumiewająca różnorodność... – Zmarszczył brwi. – Czy to nie był wstrząs?

– HEEJOOO! – ryknął September. Złapał Ethana i zatańczył z nim w kółeczko, a Ethan kurczowo się go trzymał, bo brakowało kilku centymetrów, żeby stopami sięgnął podłogi. – Na bogi i czorty, i złamane serca, na naruszoną sławę i niedotrzymane obietnice na całej ścieżce czasu! – przerwał, opuścił Ethana na ziemię. Ethan obmacał się, chcąc sprawdzić, czy ma wszystkie kości całe.

Szeroko się do tamtego uśmiechał.

– Mam dokładnie taką samą opinię na ten temat. September schylił się, żeby podnieść kawałek idealnie czyste – go kryształu wielkości kciuka. I w tej samej chwili wylądował na tyłku.

Ziemia zatrzęsa się.

Odłamki bezcennych klejnotów, z których każdy wart był królestwo i konia, gradem zabębniły po nie chronionej niczym twarzy Ethana. Kiedy drzenie ustało, obmacał się delikatnie. Miał na twarzy sporo kosztownych zadrapań. Gdzieś w dole narastało ciągłe dudnienie. Demony tej góry wyraźnie coś knu-ły. Williams wycofał się do głównego tunelu, wydawało się, że traci nieco swego naukowego obiektywizmu. Podejrzliwie przyglądał się ścianom.

– Ja... naprawdę mi się wydaje, że lepiej będzie wrócić na statek. Sądzę, że tu coś się może wydarzyć.

Jego słowa przebiły się przez zieloną mgiełkę, która otaczała Ethana. Niejasno zdawał sobie sprawę, że September nim potrząsa.

– Lepiej zrobić tak jak on mówi, chłopcze. Możemy tu wrócić jutro... może. Czas się stąd wynosić.

– Wynosić się...? – wyjąkał Ethan. – Wracać...? – Podniósł oczy na Septembra i zamrugał powiekami. – Zostawić to... och, w żadnym wypadku!

– Słuchaj no, chłopcze... – zaczął September.

– Nie, nie zrobię tego... to ja to znalazłem, do cholery... ja zostaję... a ty idź!

September zachichotał.

– W porządku chłopcze, jak sobie chcesz. – Odwrócił się i przechodząc obok Ethana zdzielił go w szczękę aż miło. Ukląkł, złapał osuwające się ciało i przerzucił je sobie przez ramię.

– Idziemy. – Rzucił ostatnie spojrzenie na jaskinię i wymamrotał tak cicho, że nikt nie dosłyszał. – Wybacz mi... Shano. – I ruszył w stronę wyjścia z tunelu.

Bieg powrotny na tratwę zmienił się w koszmar, w którym jęki i kołysania oraz iście cyklopowe trzaski następowały na przemian z dalekimi detonacjami. Jedna z nich była na tyle potężna, że zbiła ich z nóg. Septembrowi z nosa zaczęła lecieć krew. Zmełł parę wyborowych przekleństw w zębach, podciągnął Ethana wyżej na ramię i klusem leciał do przodu. Kiedy wychynęli na światło dzienne, nie tylko nie zwolnili, ale pobudziło ich to do jeszcze szybszego biegu. Na wybrzeżu czekał na nich

Balavere i grupa ze statku.

– Niech bogom będą dzięki! – powiedział stary generał obejmując Hunnara za ramiona. – Już myśleliśmy, że dopadła was ta góra. – Potem zauważył zadrapania i siniaki na nieruchomej twarzy Ethana. – Co się tam działo?

– Opowiem ci później, czcigodny generale – odparł Hunnar – jeżeli wciąż jeszcze będę w to wierzył.

Za nim rozległ się straszliwy ryk i znowu ich niemal zbiło z nóg.

– Ale jeżeli ta interesująca rozmowa ma w ogóle się odbyć, musimy opuścić tę przeklętą wyspę szybko. Natychmiast!

Pospieszyli na lód. Dwóch żołnierzy niosło Ethana; po lodzie poruszali się dużo szybciej, niż mógłby to zrobić September.

– Kapitanie, wysyłaj ludzi w olinowanie! – ryknął Hunnar, kiedy wsiadali na tratwę. Ale niepotrzebnie.

Ta-hoding usłyszał wybuchy i miotał się po pokładzie jak przerażony k'nith, przeklinając płacząc, że choćby miał żyć tysiąc lat, nie dożyje momentu, żeby ten plugawy statek został do końca zreperowany. Wciągnięto kotwice lodowe. Wiatr wypełnił żagle i *Slanderscree* zaczęła się poruszać.

Przyciągnięci hałasem du Kane'owie wychynęli na pokład. Colette popatrzyła na wulkan i odwróciła się, żeby zadać Septembrowi pytanie. Wtedy spojrzenie jej padło na nieprzytomnego Ethana.

– Co mu się stało? – zapytała niedbale, trochę za bardzo niedbale, pomyślał September. Wpatrywał się w nią z napięciem, kiedy następny wybuch – z chwili na chwilę stawały się coraz częstsze – kompletnie uniemożliwiał porozumiewanie się.

Kiedy zrobiło się nieco ciszej, zawołał:

– On... hmmm... uderzył się w głowę, wychodząc z tunelu. Może byś się nim zajęła?

Colette cofnęła się o krok.

– Ja? Nie jestem żadną cholerną pielęgniarką. Niech się nim zajmą Williams i Eer-Meesach.

– Och, popilnujże go przez chwilę, co?

Zastanowiła się, przygryzając dolną wargę.

– No dobrze, daj go tu.

September pochylił się i przekazał bezwładne ciało Colette. Poradziła sobie z nim z łatwością, potem usiadła przy maszcie, wpatrując się w jego twarz. September mruknął coś z aprobatą.

Okrażyli ostatnią ostrogę czarnej ziemi i wulkan zaczął zostawać za rufą. Dym, który kłębammi wydobywał się teraz ze stożka, zabarwiony był szkarłatem i wydawało się, że zrobiło go się dużo więcej. Nagle nastąpiła gigantyczna eksplozja, od której im omal bębunki w uszach nie popękały, połączona z jęklwym, rozdzierającym dźwiękiem. *Slanderscree* podniosło z lodu i rzuciło ją o kilkanaście metrów dalej. Popękało kilka rei, ale płozy wytrzymały.

Tranowie zbierali się właśnie z pokładu, niektórzy z nich bardzo powoli. Jednego wstrząs zrzucił z olinowania i biedak leżał teraz w groteskowej płataninie rąk i nóg w pobliżu jednego z luków.

– Niech to wszyscy diabli! – September niemal się zapluł, podnosząc się z pokładu i masując nadgarstek, na który upadł.

Ethan odzyskał przytomność akurat na czas, żeby wpaść na Colette. I się od niej odbić.

– Zielona glina – mamrotał, potem rozejrzał się niepewnie. – Coś było z tą zieloną gliną... ale nie pamiętam. Co się ze mną stało?

– Uderzyłeś się w głowę wychodząc z tunelu – poinformował go Colette i łagodnie, ale stanowczo zdjęła go sobie z nóg. – I nic nie wiem o żadnej zielonej glinie.

Ethan potarł sobie szczękę... śmieszne, żeby się wywrócić właśnie na szczękę – i głęboko się zamyślił. Podniósł na nią oczy i zobaczył, że mu się dziwnie przygląda.

– No trudno... nie mogło to być nic bardzo ważnego – powiedział.

– Co byś powiedział na możliwość zostania bogatszym niż w najśmielszych marzeniach?

– Co?

– Ożeń się ze mną.

– Przepraszam, panno du Kane?

– W tej sytuacji możesz do mnie mówić Colette. No?

– Czekać chwilkę. Czekać chwilkę. – Chyba jeszcze nie w pełni odzyskał przytomność. – Zdawało mi się, że ty mnie nawet nie lubisz... nie mówiąc już o miłości.

Te zdumiewające zielone (zielone?) oczy wpatrywały się w niego.

– Czy ktoś mówił coś o miłości? Proszę, żebyś się ze mną ożenił! Jesteś umiarkowanie atrakcyjny, stosunkowo inteligentny i bardziej życzliwy niż większość mężczyzn. Mnie o rękę proszą wyłącznie ci, którzy lecą na pieniądze. W ich oczach widziałam pogardę. W twoich jej nie widzę. Jest nieco współczucia, ale do tego jestem przyzwyczajona. No?

Ethan zamyślił się.

– To za szybko, a ja wciąż jeszcze jestem oszołomiony. Pozwól mi... pozwól mi to sobie przemyśleć. Co powiedziała by twój ojciec?

Uśmiechnęła się do niego krzywo.

– Ojciec? Ojciec przez ostatnie cztery lata bywa od czasu do czasu nie całkiem normalny. – Wstała i wpatrywała się w niego z ogromnej wysokości. – Jak myślisz, kto kierował firmą du Kane Enterprises przez ostatnie cztery lata, Ethanie Fortune?

– Popatrzcie na tę górę! – wrzasnął jakiś głos.

Ci, którzy byli w stanie to zrobić, mozolnie przesunęli się do poręczy. Na zboczu wulkanu, mniej więcej o kilometr od podstawy, stok góry przecięła olbrzymia rysa, jak od ciosu toporem. Otwór wypełniła szeroka rzeka ognistej czerwieni i żółci i przelała się przez brzegi szczeliny. Bursztynowy strumień sięgnął lodu. Natychmiast strumień przegrzanej pary z rykiem uniósł się w niebo i zasłonił przed ich oczami dużą część szczytu.

– Co za widok – powiedział September z aprobatą.

Obok niego ktoś nagle wydał głośny okrzyk.

Williams popadł w krańcowe przerażenie. Wymachiwał rękami i wywijał nimi młyńce, jak gdyby stracił nad nimi panowanie.

– Spokojnie, nauczycielu. Co się dzieje? Duchy?

– Musimy postawić więcej żagli! – pisał nauczyciel jak szalony. – Powiedźcie załodze, żeby w nie dmuchała, jeżeli trzeba! Musimy... musimy się z tego miejsca oddalić!

– Dlaczego? – September obejrzał się. – Mamy teraz trochę wiatru w plecy. W tym tempie stracimy wyspę z oczu, zanim się ściemni.

– Nie... nie wystarczy! – sapał zadyszany Williams.

– Słuchaj, przecież w najmniejszym stopniu nie zagraża nam lawa. Nie jestem geologiem, ale...

– Nie lawa. Nie lawa! – Głos Williamsa zrobił się błagalny.

Ta-hoding podszedł do nich i teraz przysłuchiwał się z zainteresowaniem. Hunnar również.

– Nie rozumiecie! Lawa roztopi lód, a ta rysa mogła rozszczepić całą wyspę. Jeżeli zimna woda morska spod lodu dostanie się do krateru... ciśnienie... nieobliczalne... – Stracił oddech i ucichł.

– O czym mówi ten mały czarodziej? – zapytał niepewnie Hunnar.

September poskrobał się po bujnym zaroście, który teraz pokrywał jego wystającą brodę.

– Mówi, że tę górę rozerwie, przynajmniej tak mi się wydaje.

– Rozerwie? – Tłusta twarz Ta-hodinga była komiczna, ale jego niepokój zdecydowanie nie. – Rozerwie? – powtarzał głupio.

A potem zakręcił się na pięcie i zaczął histerycznie sypać rozkazami i poleceniami. Pokład *Slanderscree* zmienił się w dom wariatów.

Załoga usiłowała postawić każdy centymetr kwadratowy żagla, jaki jeszcze został w schowkach. Napinali je nawet między olinowaniem a pokrywami luków. Zielonobrązowe płótno żaglowe z pikapiny podnosiło się wszędzie, aż *Slanderscree* zaczęła przypominać ruchomą wyspę.

Przez resztę dnia nic się nie działo i przez noc też. Następnego ranka, kiedy to się stało, wciąż jeszcze pędzili na południowy zachód. Zostawili wulkan już daleko za rufą i dawno stracili go z oczu. Ale usłyszeli dudnienie. Potem huk.

Całe niebo na północny-wschód od nich rozświetliło się od tytanicznej erupcji ognia i płonących gazów. Pioruny wydawały się roztrzaskiwać resztę nieokaleczonego nieboskłonu. Usiany błyskawicami słup czerwoczarne dymu i popiołu kłębamii unosił się w stratosferę. Tym razem to September chwycił za megafon i ryknął, żeby wszyscy przywarli do pokładu. W sekundę później sam naśladował termita.

Nic się nie działo. Wybuchy nie ustawały. Groźny, ryczący powiew przeleciał nad statkiem, rzucając wyzwanie zachodnie – mu wiatrowi. A potem, kiedy olbrzymi wulkan zaczął sam siebie rozdzierać na strzępy, wyparte powietrze uderzyło w nich z pełną siłą. Przy tej trąbie powietrznej, która spadła na tratwę, Rifs zdawał się przypominać wiosenny zefirek. *Slanderscree* wystrzeliła do przodu po lodzie, ale większość supermocnych żagli wytrzymała. Wytrzymała także większość olinowania. I węzły, którymi powiązано koło sterowe, wytrzymały.

Huraganowy potwór zmienił się w zwykły cyklon. September podczołgał się do poręczy i uniósł głowę mimo huraganu, który niemal obdzierał człowieka ze skóry. Potem podniósł się utrzymując jakoś równowagę na tej wichurze.

– Ale sukinsyn! – zawył. – Co za jazda!

A potem wiatr zbił go z nóg i Skua musiał mocno złapać się za wantę, żeby go nie zwiąło z pokładu. Szkoda, że chłopak nie mógł tego zobaczyć, myślał. A może nawet lepiej? Ozmidin? Stopiony, prawdopodobnie sproszkowany na zielony pył. Nieśmiertelność była taka krótka. Popatrzył na drugą stronę pokładu. Colette wykorzystywała swoją masę, żeby choć trochę osłonić Ethana przed wiatrem. Z drugiej strony, pomyślał z uśmiechem, górnictwo oznacza pracę. A łagodne dojenie przyjaciela... to dużo bardziej cywilizowany sposób!

*Slanderscree* gnała na południowy zachód z szybkością niemal trzystu kilometrów na godzinę.

\* \* \*



Marszowy silnik buczał miarowo, kiedy dwuosobowy lodolot wyleciał podczas codziennego patrolu z placówki thrax-ludzkiej w Dętej Małpie i skierował się w górę zamrożonego fiordu.

Dwóch mężczyzn w środku przyzwyczaiło się do tego skutego lodem świata i jego burkliwych, ponurych tubylców, ale kompletnie nie byli przygotowani na gigantyczną tratwę, z dziesiątkami wydętych żagli, która objechała wejście do fiordu i przemknęła obok nich, zanim zdążyli się ocknąć.

– O mamusiu, widziałeś to? – wykrzyknął pilot.

– A jak mógłbym nie zauważyć, Marcelu – odparł drugi pilot – skoro niemal nas to coś przejechało. – Majstrował przy kontrolkach na tablicy. – Ale złap za ten swój drążek, zanim wrąbiemy się w skały, dobrze?

– Zdawało mi się, że widziałem już wszelkiego typu i rozmiaru pojazdy lodowe, jakie do zaproponowania ma to zadupie – wymamrotał zawstydzony Marcel.

– Pędzą na łeb na szyję, jakby ich wszyscy przysłowiowi diabli gonili – zgodził się drugi pilot. – Ktoś odwalił kawał dobrej roboty przy tym maleństwie. – Zawrócili swój mały lodolot. Śmigło aż jęknęło z wysiłku.

– Lepiej połącz się z Portem i powiedz, żeby Dokowanie i Odbiór przygotowały się na to coś, bo jeszcze komuś puszcza nerwy i wystrzeli. A ja chciałbym spotkać tubylców, którzy coś takiego zbudowali.

Marcel dodał gazu, aż silnik zaczął jękliwie zawodzić.

– Będę musiał zadzwonić. Bo wyprzedzić to tego nie wyprzedzimy. – Pochylił się, żeby wcisnąć guzik łączności i zachichotał: – Wiesz co... to śmieszne, ale taki tu blask słoneczny i w ogóle... ale to coś mijало nas w takim tempie, że wydawało mi się, że widzę, jak za rufą w miejsce zwykłego proporca tubylców powiewają babskie majtadały. Takiego olbrzymiego rozmiaru jeszcze nie widziałem. Ale zabawa, co? – Wcisnął następny guzik i ekran nad wygiętą osłoną przeciwwiatrową zaczął się rozjaśniać.

– E tam, masz źle w głowie.

– Pewno... tylko mi się przywidziało – zgodził się pilot. Drugi pilot miał zamyślony wyraz twarzy.

– No to mnie się też przywidziało, bo mógłbym przysiąc, że widziałem te same cholerne majtadały.

Spojrzenia, jakie między sobą wymienili, były otchłannie głębokie.

**KONIEC tomu 1**